

EWĄ
BIAŁOŁĘCKĄ
KRONIKI
DRUGIEGO
KREGU

KSIĘGA
I

NAZNACZENI BŁĘKITEM

Ewa Białołęcka
Naznaczeni błękitem
Kroniki Drugiego Kręgu
Księga pierwsza cz. 1

Prolog

Twierdza na Kozim Wzgórzu

Ludzie pracowali od rana, kiedy tylko słońce zaczęło spijać rosę z trawy i zwierzęcej sierści. Długie, wiszące prawie do ziemi kozie runo należało starannie wyczesać zgrzebłem, a kłaczki wełny zebrać do worków. Kóz nie strzyżono tak jak owiec. Wyczeski wędrowały w kobiece ręce, a spod ich zręcznych palców wychodziły następnie wełniane szale niezrównanej delikatności, które można było przewlec przez pierścionek, albo płaszcz słynne w całej prowincji - ciepłe, a jednocześnie tak lekkie, że się ich prawie nie czuło na ramionach.

Zanim jednak wełna przemieni się w owe cuda, trzeba się tego napracować. Biały Róg spojrział na swój worek, w połowie już wypełniony, i otarł pot z czoła. Było parno. Przepłukał usta wodą z glinianej butelki wiszącej na sznurku u pasa.

Niektóre kozy lubiły czesanie - te stały spokojnie, poddając się wątpliwej pieszczocie druczanej szczotki. Inne były krnąbrne, więc ludzie musieli je przywiązywać za rogi do ogrodzenia, a czasem nawet pętać nogi, by nie pokopały robotnika. Biały Róg uwolnił zwierzę, które oddało już swój haracz w sierści, poklepał je łagodnie po boku. Jego młodszy brat, pracujący obok, podniósł się ze stołka, by wybrać i przyprowadzić Rogowi następne.

- Biaaaaaały Róóóóóóg...! - przeciągłe wołanie i tętent kopyt dołączyły do zwykłych odgłosów pracowitego przedpołudnia na pastwisku.

Biały Róg nakrył oczy daszkiem z dłoni. Pozostali robotnicy unieśli głowy z zaciekawieniem. To najmłodszy z trzech

tuniki, w charakterystycznej błękitnej barwie, zastrzeżonej wyłącznie dla członków Kręgu Magów.

- No i co? - spytał Tkacz.

- Dziękuję, panie - odezwał się cicho chłopiec. - Ładna.

- Ładna! - parsknął śmiechem Wędrowiec. - Słyszałeś? Ładna...

- Nie jesteś zbyt gadatliwy - zwrócił się Tkacz do chłopca. - Inny skakałby z radości, że spełniło się marzenie jego życia.

- Bo ja najbardziej marzę, żeby być dobrym pasterzem i pracować na tej ziemi - odparł Róg z powagą, która rozbawiła nawet pochmurnego Tkacza Iluzji, a Wędrowiec aż się zatoczył ze śmiechu.

- Nikt nie ma zamiaru zabierać cię stąd siłą - mruknął kpiąco Tkacz. - Żadne z ciebie cudo. Jak dla mnie możesz paść te swoje kozy do końca życia. Jeśli jednak będziesz wykonywał jakąś pracę dla nas, albo związaną z magią, to musisz wpisywać ją do tej księgi - stuknął w okładkę knykciami. - Rozumiesz?

- Tak, panie.

- Nauczono cię pisać?

- Tak, panie.

- Każdą kartę masz podpisywać u góry swoim imieniem.

- Tak, panie.

- Umiesz powiedzieć coś więcej?

- Tak, pa... - powtórzył chłopiec mechanicznie i zaciął się.

Mag poklepał go po ramieniu, mając przy tym wrażenie, że dotyka twardego kawałka pnia.

- Nie mamy zbyt wiele czasu. Pożegnamy twą matkę i zostawimy wiadomość ojcu. Życzę szczęścia.

Obaj magowie wyszli z izby, zostawiając chłopca samego.

*

Biały Róg zaczerpnął tchu tak głęboko, aż zabolowało go w płucach. Wysoka, barczysta postać chłopca skurczyła się i zmalala pozbawiona iluzyjnej osłony skrywającej go przed wzrokiem obcych. Pot spływał mu po plecach. Wreszcie mógł sobie pozwolić na osłabienie uwagi napiętej jak struna od ponad dwóch godzin i ze zdumieniem stwierdził, że zaczyna się trząść jak liść na wietrze. To wprost niewiarygodne... sam w to jeszcze nie wierzył, ale jednak... dali się nabrać. Mistrzowie Kręgu, dorośli, doświadczeni mężczyźni - pozwolili się oszukać jak dzieci.

Nie, nie nosił się z zamiarem tego szalbierstwa. Po prostu tak się zdarzyło. Nienawidził, kiedy oczy ludzi błędziły po jego ułomnym ciele. Nawet ci, którzy usiłowali być mili i mówiąc do Roga, patrzyli mu w oczy, zawsze w końcu spuszczały wzrok niżej, tam gdzie znajdowały się (czy może „powinny znajdować się”) jego nogi. Los przeklął go jeszcze w łonie matki i w ten sposób pierworodny syn Fali i Dębowego przyszedł na świat z krótkimi, zniekształconymi, pozbawionymi czucia nóżkami. Całe życie polegał wyłącznie na rękach - natura, jakby usiłując wynagrodzić niedostatki dolnej połowy ciała, sprawiła, że barki i ramiona Białego Roga rozrosły się niewiarygodnie. Tak, był bardzo silny, lecz cóż z tego, skoro przez to wyglądał jeszcze bardziej dziwnie? Pewnym ratunkiem stał się magiczny talent. Róg nauczył się chować za złudzeniem samego siebie, takim, jakim mógłby się stać, gdyby nie przekleństwo Losu.

Kiedy wszedł do izby, w której oczekiwali go wysłannicy Kręgu, zrozumiał, że najwidoczniej nie wiedzieli o jego kalectwie lub nie uwierzyli w nie. I właśnie wtedy, w nagłym olśnieniu podjął ryzyko oszustwa osób tak potężnych. Utrzymał doskonały miraż ludzkiej postaci, jednocześnie wykonując polecenia przybyłego Tkacza Iluzji. Na Matkę Świata, ileż go to kosztowało, by te prościutkie wizerunki nie były za dobre! Nigdy by nie przypuszczał, że świadome robienie błędów jest tak trudne. Nie mógł zawalić tego zupełnie - aż wstrząsnął się na myśl o wściekłości ojca - lecz nie wolno mu było pokazać za wiele. Gdyby tamten mag domyślił się ile chłopiec umie w rzeczywistości, Biały Róg nigdy już nie zobaczyłby Kozich Wzgórz.

Drzwi uchyliły się, a w szparze pojawił się ciekawski pyszczek

- Poszli sobie - zawiadomił brata malec. - Nie poczekali na ojca. - Coś ty taki mokry? - Zapytał Roga, patrząc ze zdumieniem na jego spocone czoło i plamy na tunice. - Nie chcieli cię wziąć? Przegrałeś? Nie dostałeś paska?

- Dostałem. - Róg ściągnął ze stołu długi pas błękitnej materii. Koziołek z fascynacją dotknął szarfy palcem i natychmiast go cofnął, jakby parzyła.

- Ale nie pójdziesz w świat z domu?

- Nie. Powiedzieli, że za mało umiem.

- Za mało? - powtórzył Koziołek z niebotycznym zdumieniem. Starszy brat w jego osobistej hierarchii stał niewiele niżej od surowego, wymagającego ojca, a ojciec natomiast był zbliżony do Boga. Brwi dziecka ściągnęły się w zabawnym wyrazie głębokiego namysłu.

- To ty tak jakby do połowy przegrałeś, co, Róg...?

- Nie, mały. Ja wygrałem... do połowy.

*

Tego wieczoru Biały Róg otworzył swą nową kronikę. W żółtawym świetle kaganka wypisał starannie u góry pierwszej stronicy: Biały Róg syn Fali, z ojca Dębowego, z domu na Kozich Wzgórzach. Po długim namyśle napisał niżej:

Nazywam się Biały Róg, mam piętnaście lat i jestem Tkaczem Iluzji. To lepiej niż być Obserwatorem, bo ludzie nie lubią, jak im zaglądać do głów. A ja mogę wymyślać różne rzeczy i wtedy się nie nudzę. Ten mag, co mnie sprawdzał, a potem dał tę księgę i szarfę, powiedział, że pewnie spełniło się marzenie mojego życia. A to nie jest prawda. Bo najbardziej bym chciał paść kozy na pastwiskach należących do mego ojca. Powiedziałem to człowiekowi Kręgu, a on się śmiał. Nie domyślił się, o co mi chodziło. Jakbym był pasterzem, to by znaczyło, że mogę chodzić i biegać, i mam prawdziwe nogi, a nie takie chude patyki. Ale skoro nie mogę być pasterzem, to muszę być magiem. To też jest jakieś zajęcie.

Biały Róg leżał nieruchomo w mroku, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w smugę księżycowego światła wpadającą przez szczelinę uchylonego okna. Nie było duże - ot, pozioma deska w ścianie, którą dawało się unieść. Dom stojący na pograniczu przypominał małą twierdzę. Gdzieś na zewnątrz głośno ćwierkała cykada, a z izby rodziców dobiegały odgłosy kłótni. Róg już dawno temu wydlubał szparę między belkami, by móc słyszeć, o czym się mówi w sąsiedztwie. Ojciec właśnie wylewał przed matką swoje rozczarowanie.

- Dostał tę durną szmatę, dostał jakiś papier i co? Dalej tu siedzi i w oczy mnie kole! Zabrać go mieli!

- Pracuje na równi z innymi. Nie je darmo - powiedziała matka tak cicho, że Róg ledwo ją dosłyszał. - To zaszczytne mieć maga w rodzinie.

- Maga od obrazków! Zaiste zaszczytne! - parsknął ojciec. - Myślałem, że mi z oczów zejdzie, że będę mógł Bystrego dziedzicem naznaczyć, i co? Nadal mam na karku to twoje pokrzywione umiłowanie.

- Tyś tu pan i gospodarz, nic ludziom do tego, kogo naznaczysz - przypomniała matka.

- Ale gadać będą! Mówiłem tobie wtedy, co by pozbyć się dzieciaka, póki czas był, ale baby zawsze za miękkie serca mają.

Za ścianą zapadła głucha cisza, a potem znów odezwała się matka.

- Nawet wilki nie zabijają swoich szczeniaków - rzekła zdławionym głosem. - A tyś widać od wilka gorszy.

„Jeśli ją teraz uderzy...” - przeszło chłopcu przez głowę, ale nie dokończył tej myśli. Co mógłby zrobić? I czy w ogóle odważyłby się na otwarty sprzeciw wobec kogoś takiego jak Dębowy? Wiedział, że dorównuje już ojcu siłą, a może nawet go przewyższa, lecz doskonale zdawał sobie także sprawę, że potem nie miałby już czego szukać na tej ziemi.

Smutek leżał mu w brzuchu nieznośnym ciężarem, jak kamień, domyślał się od dawna (właściwie od zawsze), że ojciec wolałby nie mieć w domu takiego dziecka. Wtedy Bystry zostałby pełnoprawnym właścicielem ziemi i stad - w sposób prosty i naturalny. Pierwszy raz usłyszał, jak jego własny ojciec życzy mu śmierci. Wiedział o braku miłości, ale to go zabolowało jak cięcie noża, z piersi chłopca wyrwało się głębokie westchnienie. Za ścianą nadal panowała cisza, widocznie rodzice zakończyli już spory na dziś. Róg wyciągnął rękę i po omacku zatkał szparę zwitkiem pakuł.

Obok poruszył się w ciemności Koziółek. Ciepła łapka młodszego brata dotknęła ramienia Białego Roga.

- Nie pójdziesz nigdzie, prawda? Nie pójdziesz? - ozwał się niespokojny, żalony szept malca.

Róg zmeł w zębach przekleństwo. Widać małego obudziły podniesione głosy rodziców i zapewne też słyszał wszystko.

- Nie - odpowiedział chłopak, starając się, by jego głos zabrzmiał normalnie. - Nigdzie nie pójde.

Koziółek odetchnął głośno, na czworakach wylazł ze swego posłania. Objął niezdarnie Roga i pocałował w policzek, po czym skulił u jego boku, opierając głowę na muskularnym ramieniu starszego brata.

- Opowiesz mi coś?

Róg nasłuchiwał przez chwilę oddechu Bystrego, który spał pod przeciwległą ścianą, ale nic nie wskazywało na to, by zmęczonego całodzienną harówką trzynastolatka mogło obudzić cokolwiek, poza waleniem w bęben.

Popatrzył znów na smugę księżycowego światła.

- Był sobie pewnego razu...

- Król? - wtrącił Koziółek cichutko, moszcząc się wygodniej.

- Król? Król też był, ale najpierw był czarodziej.

W potoku srebrnego blasku pojawił się wizerunek mężczyzny w czarno-czerwonych szatach i znajomej, błękitnej szarfie.

- To był bardzo potężny czarodziej... - Tak jak ty?

- Dużo potężniejszy. Umiał odgadywać myśli, fruwać jak ptak, rozmawiać z węzami... umiał też przywoływać ogień z nieba, przemieniać kamienie w złoto, srebro i... ee... klejnoty.

Do potężnego czarodzieja podpełzła wielka, nakrapiana żmija. - Mężczyzna podniósł ją, a gibkie ciało zwierzęcia owinęło się wokół jego ramienia. Obok pojawiły się też góry błyszczącego metalu i wielkich, różnobarwnych kryształów.

- Jeju, to musiał być strasznie okropnie bogaty!

- Szysz... obudzisz Bystrego.

Biały Róg zerknął niespokojnie na średniego brata, ale chłopak tylko obrócił się na drugi bok i spał dalej.

- A był też król tej krainy... - ciągnął szeptem Tkacz Iluzji, tworząc nowy miraż. - Chciwy ponad wszelkie wyobrażenie. Przywołał czarodzieja i rozkazał mu przemienić wszystko w swojej komnacie w złoto. I czarodziej tak zrobił. Ale królowi było mało, kazał mu cały zamek przemienić w złoto. A potem jego chciwość rosła i rosła... rozkazywał czarownikowi zamieniać w drogocенności nawet ziemię wkoło zamku i drzewa, i nawet wodę w morzu zmienić w płynne srebro. A wtedy...

Gdzieś z zewnątrz napłynął daleki głuchy odgłos bębna. Chłopiec zamilkł, nasłuchując. Ostatnio coraz częściej słyhać było nocą bębny, dudniące gdzieś na północy niczym nieregularne tętno olbrzyma.

- To oni grają? To biali? - wyszeptał z lękiem Koziółek, przytulając się mocniej do brata. Zapomniał o bajce, teraz liczył się jedynie groźny głos bojowego instrumentu.

- Tak - odpowiedział cicho Biały Róg.

- Przyjdą tu, żeby nas zabić?

- Szysz... nie mów głupstw. To tylko bębny. Ci zza granicy chcą nas nastraszyć. Nasz król

jest potężny, ma dużo wojska. No i są jeszcze magowie, co są groźniejsi niżli najlepsi wojownicy.

- Ale tamci są bliżej nas niżli król i czarodzieje - odrzekł Koziołek.

Biały Róg westchnął niezauważalnie. Jak na smarkatego dzieciaka jego braciszek wykazywał się nieraz zadziwiająco trzeźwym osądem. Trudno go było zwieść. Róg zaczerpnął tchu, by wygłosić jakieś przekonujące kłamstwo, kiedy całkiem blisko ozwał się niski dźwięk rogu, jakby ktoś odpowiadał sygnałom bębna. Zaraz potem rozszczękały się psy.

Koziołek westchnął spazmatycznie, sztywniejąc ze strachu. Biały Róg zerwał się i przylgnął twarzą do okiennego prześwitu, usiłując ujrzeć cokolwiek w mroku nocnym i zwodniczym świetle księżyca, który panoszył się na niebie. Głos rogu rozległ się znowu. Wydawało się, że dobiega od strony szopy, w której sypiali malcy, ale mogło to być złudzenie. Chłopak wyteżył wzrok.

Czyżby w czarnej łacie cienia pod ścianą drewnutni coś się poruszyło? Przetarł oczy i znów wbił spojrzenie w tamto miejsce, lecz kształty, które noc odbarwiła do szarości i czerni, zdawały się drgać i słaniać, obdarzone pozorami życia. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że Koziołek stoi obok niego i także wygląda na zewnątrz.

- Widzisz coś? - szepnął.

- Nie...

Z sieni doszedł ich dźwięk odsuwania ciężkiej zasuwki i skrzypnięcie wrót, a po chwili w polu widzenia chłopców ukazała się barczysta sylwetka ojca i trzy znajome figury parobków z pałkami. Czterech mężczyzn rozbiegło się po dziedzińcu i chłopcy widzieli, jak przetrząsają obejście. Dębowy musiał zajrzeć do budy niewolnych, gdyż słyhać było jego podniesiony głos. Wkrótce jednak powrócili wszyscy - z niczym. Któryś z pacholków krzyknął rozkazująco na kundle, które odzywały się jeszcze przez chwilę pojedynczymi szczęknięciami, aż w końcu pomilkły.

- To już niejedyn raz - burczał gospodarz, gdy wracali do domu. - Nawołują się jako te wilki. Rankiem obszukamy tę budę, choćby trza było na deski ją rozebrać.

*

Nazajutrz jednak od północy i zachodu pojawiły się na widnokręgu ciemne łaty, które prędko rozpełzły się szeroko, tworząc popielaty pas nisko na niebie.

- Może to chmury... - odezwał się niepewnie Bystry, lecz jego głos brzmiał tak, jakby sam w to nie wierzył.

- A może ptaki latają tyłem - warknął Biały Róg ponuro, aż jego brat popatrzył na niego ze zdziwieniem. Róg był zwykle spokojny i bardzo rzadko okazywał złość czy niepokój. Przygnębienie Bystrego wzrosło - skoro nawet Róg w ten sposób reaguje, sprawy musiały iść naprawdę źle.

Nadal wyczesywali wełnę, ale praca szła wolno i nieskładnie. Co rusz ktoś podnosił głowę, spoglądając ku północy. Ciemnowłosi Lengorchianie z zatorowaniem, marszcząc czoła i zaciskając wargi. Niewolnicy - o skórze i włosach jasnych, stąd właśnie zwali się białymi - z powagą i nadzieją w oczach. Bunt wisiał na jedwabnej przędzy i Róg przeczuwał, że niebawem ta nić pęknie. Błędem było trzymanie niewolników tutaj, tak blisko granicy, gdzie od wolności dzieliły ich tylko dwa dni marszu. Stanowili jednak tanią siłą roboczą, znacznie mniej kosztowną niż wolni robotnicy najemni.

Słońce tego wieczora zachodziło czerwono - wielkie, rozdęte i złe. Rozlana krew zabitych ulatywała w niebiosa, kalając złocistą tarczę.

Fala bez słowa przeglądała skrzynie, pakując w tobołki rzeczy niezbędne i te najcenniejsze. W spiżarni służące liczyły bochenki chleba i zapasy suszonego mięsa, robiąc z nich poręczne paczki. Mężczyźni pozdejmowali ze ścian miecze oraz łuki, kładąc je na noc tuż przy postaniach.

- Wojenne kochanki - mruknął ktoś, ale to było wszystko. Nikt nie miał ochoty rozmawiać o nadciągającej groźbie.

*

Tej nocy bębny zdawały się grać bliżej. Głębokie „dum-dumdum-dummm” niosło się bez przerwy w chłodnej, mrocznej ciszy. Kiedy Biały Róg zamykał oczy, widział kroczącego ku niemu białowłosego giganta dzierzącego zakrwawione ostrze. Psy w obejściu milczały, jakby i im udzielił się nastrój grozy. Koziołek również słuchał zatrwazającej wojennej muzyki. Nie domagał się opowieści, nie zadawał pytań, tylko wyciągnął drobną rękę daleko w stronę brata, szukając jego dłoni. W końcu zasnął i dopiero wtedy Róg cofnął zdrętwiałe ramię, dotąd ściskane przez wystraszone dziecko.

Jest za mały, żeby spać z nami - pomyślał Róg. - Powinien być jeszcze z matką.

Bębny tętniły nadal głucho, serce chłopca wydawało się przejmować ten sam jednostajny rytm, jego myśli mieszały się, aż w końcu zasnął również.

Obudził się raptownie, wyrwany z mętnych czeluści niespokojnych snów nowym dźwiękiem. Do odległego dudnienia wojennych bębnow dołączył chór ludzkich głosów, skandujących, ba, wyzyskujących w tym samym rytmie:

- Ta-ga-ro! Ta-gaga-ro! Len-go-ri, len-go-ri...! NiPeva taga-ro len-go-ri fuo-hmor! Ta-ga-ro...

Nie musiał się podciągać do wąskiego okna, by wiedzieć, że klaskanie w dłonie i w kółko powtarzane obelżywe słowa o podcinaniu gardeł Lengorchianom dobiegają z niewolniczego baraku. Za ścianą wszczął się ruch, ktoś rzucił kilka przekleństw, słychać było łomot otwieranych drzwi. Bystry i Koziołek zerwali się ze swych sienników, nasłuchując. Wkrótce jednak zamieszanie wewnątrz domu uspokoiło się, a wichrzyielski śpiew trwał. Najwyraźniej nikt nie wyszedł, by ukarać i zastraszyć krnąbrnych robotników.

- Ojciec ich jutro każe wybatożyć - szepnął ze złością Bystry. - Nie wiedzą tego?

Biały Róg obrócił twarz w stronę brata, choć w mrocznej izbie prawie nic nie było widać.

- Głupiś - mruknął. - Zasuń deskę, trza nam spać, bo jutro huk roboty czeka. A wy między niewolnych nie łażcie. Koziołek, przy matce bądź. Bystry, ty się ojca albo kogo ze starszych pilnuj.

- Bo co? - burknął chłopiec.

- Bo mnie się zdaje, że biali ino czekają okazji, coby dać drapaka, a jak będziesz im w oczy lazał, to ci ten dumny łeb rozwałą, ani zipniesz - odparł Róg, kładąc się na powrót i obracając twarzą do ściany.

*

Rano nikt nie wspominał o pełnych buntu nocnych śpiewach, a w powietrzu czuło się napięcie. Robotnicy wykonywali polecenia opieszale i niedokładnie. Od południa na horyzoncie wznosiły się dwa pojedyncze słupy dymu z ognisk sygnałowych. Dębowy przypatrywał się im w

milczeniu, osłoniwszy oczy dłońmi. Kiedy opuścił ręce, jego twarz była ściągnięta i nieruchoma, jak wyrzeźbiona w twardym drewnie.

- Dzielcie stada - nakazał. - Łata i Przypadek w dolinę. Bystry, Klin i Róg nad rzekę do Podwójnego. Małego weźcie, niech zwierzynę znaczy.

Dzielenie stad... Biały Róg przeżył już coś takiego, choć był wtedy za mały, by pamiętać cokolwiek więcej niż zamieszanie, strzępy obrazów i wrażenie ogólnego przerażenia, gdy uciekali przed hordą białych, unosząc ze sobą jedynie skromną część dobytku i pędząc najcenniejsze sztuki ze stada. Granica przebiegała wtedy spory kawał dalej na południe, nim el Tiis zdobył następny szmat ziemi dla swych pobratymców. Czemu Dębowy upierał się, by żyć zawsze w okolicach tak niebezpiecznych? Czy lepsze pastwiska i dobre źródło wody warte były tego niepokoju, który zrastał się z człowiekiem jak druga skóra? Nikt nie miał pewności, czy któregoś dnia nie stanie się tylko kawałem okaleczonego mięsa, leżącym na trawie wydeptanej przez kopyta bojowych koni obok wybitych psów zaganiaczy.

Kiedy Biały Róg opływał potem po paru godzinach uganiania się na koniu z pasterskim imakiem w dłoni, był już prawie pewien, że nie warto. Zziębnięty, ubabrany ochrą Koziołek biegł z kubelkiem farby i smarował nią rogi wskazanych sztuk. Oznakowane kozy popędzili potem do zagród przy gospodarstwie.

Kiedy Róg wjechał na dziedziniec, od razu rzucił mu się w oczy niepokojący obraz: ojciec pochylał się nad kimś, przyciskając sztych miecza do twarzy mężczyzny leżącego na zapylonej ziemi. Parę kroków dalej stała matka, nerwowymi ruchami odgarniając z twarzy jasnobrązowe włosy. U jej stóp walały się rozrzucone tobołki.

- Nie będziesz się przybliżał do mojej kobiety - cedził Dębowy z wściekłością. - Nie będziesz do niej mówił ani nawet patrzył na nią! Inaczej zarżnę cię jak koźlę!

Nagle szarpnął ostrzem, a z ust niewolnika wyrwał się zdławiony okrzyk bólu.

- To abyś pamiętał i trzymał gębę zawartą. Was też się to tyczy. - Dębowy skierował miecz w stronę dwóch innych niewolnych, obserwujących każdą z zaciśniętymi pięściami. - A teraz precz, do roboty!

Rozeszli się w milczeniu, lecz w ich oczach płonęła nienawiść. Róg pomógł zejść na ziemię Koziołkowi, którego wioził przed sobą w siodle. Chłopczyk natychmiast podbiegł do matki, by pomóc jej pozbierać pakunki. Zaraz zaczęli szeptać o czymś między sobą, lecz tak cicho, że nie dało się niczego zrozumieć. Dębowy zdecydowanym krokiem oddalił się między zabudowania.

- Fonon! Chodź tu, weź konia! - zawołał Biały Róg do zranionego mężczyzny, który tymczasem szedł w stronę koryta z wodą, by obmyć się z krwi. Niewolnik zawrócił powoli, niechętnie.

Róg nachylił się ku niemu z siodła.

- Nie wiem, co ty zrobił mej matce, ale lepiej tego nie rób znowu, bo ci kark skręcę, nim cię mój ojciec dopadnie - wyszeptał złowroźnie. - Chybaś na łeb z drabiny spadł, że Dębowemu teraz w oczy leziesz - dodał cicho, tonem łagodniejszym. - W nocy pyski drzecie, w dzień go drażnicie, ino czekać, a komuś żelazo między żebra wsadzi. Za Bramę Bogini ci pilno?

- Ja podlegam Panu Żelaza i on mnie uchroni - syknął Fonon, chwytając jedną ręką cugle tak mocno, że zaniepokojony koń zachrapał. Drugą przyciskał do brody, gdzie drasnęło go ostrze właściciela.

Następny dzień zastał ich już w drodze na Południe, ku bezpieczniejszym regionom - ścigani wciąż narastającym łomotem bębnow wojowników z Górnych Księstw, które teraz nie milkły nawet w dzień. Pasterze pędzili przed sobą ponad setkę kóz w obłoku kurzu unoszonym kopytami z gościńca. Dokoła uwijały się cztery kudłate kundle obszczekujące stado. Za nim toczyły się wozy wyładowane głównie wełną, narzędziami i jedzeniem. A za ostatnim niemrawo człapało szeregiem sześciu niewolnych, których Dębowy nakazał przywiązać do niego na sznurze za szyje. Ilekroć Białemu Rogowi zdarzyło się spojrzeć w tamtą stronę, odczuwał niepokój. Oczywiście, ojciec miał rację - należało się zabezpieczyć przed ucieczką niewolników, kosztowali zbyt wiele. Niemniej widok ludzi wiedzionych za wozem na sznurze jak zwierzęta budził w nim niesmak. Toż to ci sami ludzie, z którymi pracował każdego dnia; uczył się ich mowy, słuchał ich przyspiewek, opowiadań i żartów. Ci sami mężczyźni wyplatali z trawy zabawki i obdarowywali nimi Koziółka, gdy ten był jeszcze zupełnym maluchem.

Na zakurzonym trakcie spotykali innych uciekinierów. Większość maszerowała w równym, mechanicznym tempie, gapiąc się w ziemię i unosząc oczy tylko wtedy, gdy ktoś naruszał granice ich ruchomego terytorium, podchodząc za blisko. Czasem oglądali się za siebie, patrząc z niepokojem ku północy, gdzie zbierało się coraz więcej dymów.

Noc miała przynieść kolejne z całego szeregu nieszczęść. Coś - może zwierzę, a może jakiś rabuś - spłoszyło kozy, które rozbiegły się w mroku. Wszyscy musieli szukać zagubionych zwierząt w świetle pochodni, a o świcie okazało się, że spora część stada nadal błąka się po okolicy. Nie wiadomo było, co stało się z psami, póki ktoś nie odkrył w krzakach poskręcane go ciała z pianą na pysku. Zniknęli również wszyscy niewolnicy - nietrudno odgadnąć przebieg wydarzeń. Zagadką natomiast było, skąd uciekinierzy wzięli truciznę. Dębowy wyładowywał złość na każdym, kto mu się nawinął, więc Róg z ulgą przyjął polecenie, by szukać zagubionych sztuk stada. Cały dzień miał znów spędzić w siodle, ale to i tak było lepsze niż wysłuchiwanie utyskiwań ojca i jego szturchańce.

Biały Róg marnie trzymał się w siodle z powodu bezwładnych nóg, więc nie zachęcał konia do kłusa. Starał się trzymać kulbaki jedną ręką; kiedy musiał użyć obu, chwycił wodze w zęby. Kiedyś przywiązywał się do siodła, lecz gdy zdarzyło mu się spaść i zawisnąć w sznurowej pętli, wtedy okazało się, że jest całkiem bezradny, więc zrezygnował z dodatkowych więzów, polegając tylko na silnych ramionach i zmyśle równowagi.

Gdzieś w zaroślach meczała zagubiona koza. Róg skierował konia w tamtą stronę. Wśród zieleni dojrzał błysk złotej farby, potem łeb zwierzęcia i zarzucił na jego rogi pętlę zwisającą z końca kija. Wiedział doskonale, że zapędził się za daleko od miejsca postoju, lecz uciekły najcenniejsze sztuki, te, które miały runo sięgające ziemi, i trzeba było podjąć ryzyko, by je odzyskać. Wyciągana z krzaków koza protestowała, gdy ciernie i drobne gałązki wyrywały jej sierść z boków.

- No, no... cichaj, stworzenko, pódziem do twoich. Noooo... - przemawiał chłopiec do kozy, naśladowując śpiewną gwarę pasterzy. Skupiając uwagę na opierającym się zwierzęciu i na tym, by nie spaść z konia, nie usłyszał lekkich kroków. Nie spodziewał się ataku, póki para silnych rąk nie ściągnęła go z siodła, rzucając brutalnie na ziemię. Uderzył głową w twardy grunt tak mocno, że na chwilę wszystko wokół się zamgliło. Poprzez szum w uszach i dudnienie pulsu słyszał niespokojne chrapanie konia i ludzkie głosy. Zamrugał, usiłując odzyskać normalny wzrok. Coś zacisnęło się na jego szyi, tamując mu oddech. Ktoś syczał mu z wściekłością do ucha gniewne słowa:

- Teraz też mi będziesz grozić, wyskrobku?

Róg rozpoznał głos niewolnika Fonona.

- Kark mi skręcisz, bo patrzyłem na twoją matkę, dziwkę, co się z czarnym pokłada? Anibym splunął na tę świnię, co własną krew... swoich zdradza!

W skroniach Białego Roga waliły bliźniacze młoty. Jego palce bezwiednie drapały szyję, gdy próbował uwolnić się od dławiącego sznura. Zebrał rozproszone myśli, zwinął pięść w kułak i z całej siły rąbnął napastnika w głowę. Sądząc z trzasku i głuchego jęku, trafił tamtego w nos. Może nawet mu go złamał.

Chłopiec złapał głęboki oddech i rozkasał się. W chwilę potem otrzymał kopniaka w zębra. Zwinął się instynktownie, chroniąc brzuch. Kolejny cios w plecy.

- Dosyć! - powiedział ostro drugi mężczyzna, w którym Róg rozpoznał najstarszego z niewolnych, Mjela. - Dostyć, mówię! Zatłuc go kcesz?

- A jakby co, to mi zakażasz?!

- Wielka chwała zadusić chłopaka bez nóg.

- On by się tam nade mną nie użalał! Ani on, ani jego ojczulek.

- Znam chłopaka od małego - odparł ostro Mjel. - Nigdy nikogo nie uderzył, choć jemu wolno było. Ostaw go, Fonon. Bierz konia, kozę weźmiem na mięso i do swoich nam trza. Rusz się!

Mjel miał posłuch u młodszego mężczyzny, lecz nie oponował, gdy ten zarzucił chłopcu pętlę na szyję, a potem uwiązał do nisko rosnącej gałęzi jak do szubienicy. Podduszony Biały Róg mógł się tylko przyglądać, jak rabusie odchodzą z jego koniem i zaszlachtowaną najlepszą runną kozą. Siedział pod niskim drzewem i nie mógł się poruszyć, w obawie, by pętla nie zacisnęła się jeszcze silniej, odcinając mu ostatecznie powietrze. Niedobrze... bardzo niedobrze. Trudno się spodziewać, że ktoś go tu niebawem znajdzie i uwolni. O ile w ogóle ktokolwiek wyruszy go szukać. Najpewniejsze było to, że jeśli nie zrobi czegoś szybko, skona tu jak królik pozostawiony w zapomnianych siódlach.

Z wysiłkiem uniósł ręce, chwytając mocno sznur nad głową. Dobrze, że miał tak silne ramiona, ale czy jego ciężar zdoła przygiąć gałąź, czy raczej chłopiec zawisnie pod nią na podobieństwo pająka? Gałąź uniosła się nieco, chude pośladki Roga oderwały się od ziemi. W skupieniu przełożył ręce wyżej. Wnętrza dłoni piekły go od szorstkiej, konopnej liny. Gałąź poddała się wreszcie, pękając z głuchym trzaskiem w połowie. Sznur zwisał luźno. Następne długie minuty Biały Róg poświęcił na rozplątywanie węzła, ale nareszcie był wolny.

Wolny i postawiony przed kolejnym trudnym wyborem. Co dalej? Zostać na miejscu, wołając od czasu do czasu o pomoc? Róg wątpił, by Dębowy wysłał kogokolwiek na poszukiwania swego najstarszego syna, którego i tak zawsze uważał za zbędnego. Zwłaszcza teraz, gdy najeźdźcy deptali im już po cieniach. Mógł się raczej spodziewać, że wołanie prędzej sprowadzi mu na kark słomianowłosych, a ci okażą mu jeszcze mniej litości niż Fonon.

Chłopak rozważał przez kilka minut swoje położenie, potem wyciągnął zza pazuchy grube rękawice, włożył je na otarte dłonie i zaczął przedzierać się przez wysokie trawy i zielska w stronę Koziego Wzgórza. Tam mógł znaleźć schronienie, resztki zapasów jedzenia i tam też najpewniej zatrzymają się na popas żołnierze króla... chyba że byli tam już biali.

- Przynajmniej umrę w domu - szepnął Biały Róg do siebie, wykrzywiając wargi.

*

Nie wiedział, ile minęło godzin. Sądząc po słońcu - około czterech. Róg padł na ziemię

doszczętnie wyczerpany. Pot zalewał mu oczy, język przysechł do podniebienia. Nawet nie chciało mu się oglądać, wiedział, że nie uszedł zbyt daleko. Tyle, ile może przebyć ktoś, kto wlecze za sobą skarłate, bezwładne nogi. Spojrzał z niechęcią na dół swego ciała. Poruszałby się szybciej bez tego niepotrzebnego balastu. Po raz nie wiadomo już który w życiu zapragnął zwyczajnie odrąbać siekierą zbędne kończyny. Mniej z nich pożytku niż z uschłych gałęzi.

Odpoczywając, chłopiec nasłuchiwał bębnow, które tymczasem zmieniły tonację. Nie była to już szydercza groźba „lękaj-się-jes-tem-za-tobą”, lecz miarowy, beznamiętny (budzący tym większą grozę) rytm marszowy „dum-dam, dum-dam...”. Biali nadciągali nieuchronnie.

Coś zaszeleściło. Róg napiął mięśnie. Zwierzę? Człowiek...? Ktoś stąpał powoli, jakby z trudem rozgarniając przed sobą wysokie trawy o wypłowiałych czubach. „Przejdź bokiem. Precz” - zaklinał Biały Róg w myślach, jednocześnie utwierdzając się w pewności, że ów przybysz idzie jego śladem - szerokim, doskonale widocznym, jakby Róg ciągnął za sobą wór piasku. W prześwicie między roślinami zamajaczyła czyjaś niewielka postać, a potem ukazał się...

- Koziołek! - sapnął Róg ze zdumieniem.

Chłopczyk kucnął, podpierając brodę pięściami. Z ustami smutno wygiętymi w podkówkę patrzył na brata, mrugając jak sowa oślepiona słońcem.

- Gdzie masz konia? - zapytał w końcu.

Róg zawahał się. Opowieść o napadzie i okrucieństwie Fonona mogłaby wystraszyć malca śmiertelnie.

- Spadłem - odpowiedział cicho i odchrząknął, gdyż jego głos zabrzmiał słabo i ochryple. - Spłoszył się i mnie zrzucił. Ojciec się wścieknie.

- Yhy... - mruknął Koziołek, żałośnie pociągając nosem i rzucając bratu współczujące spojrzenie. Dębowy był twardym człowiekiem, więc lanie za utratę wierzchowca było równie pewne, jak wschód i zachód słońca.

Biały Róg wpatrywał się w zielska za plecami Koziołka, spodziewając się lada chwila widoku któregoś z parobków, lecz nikt się nie zjawiał. Ciszę mąciło jedynie szeptanie wiatru w trawach i niezmiennie tętnienie bębnow w oddali, do którego już zaczynał przywykać, jak do bicia własnego serca.

- Sam jesteś? Jak mnie znalazłeś?

Koziołek zmieszał się.

- Sam. Sam przyszedłem. Oni tam łapią kozy i nie mogli... a ojciec, on powiedział, że sam wrócisz i coby ciebie nie szukać.

Rogowi przeszło przez myśl, że niczego innego nie powinien się spodziewać.

- Ja się bałem - ciągnął chłopczyk - i mama płakała. Myślała, że nie widzę, ale widziałem. No i poszedłem za tobą. Patrzałem na ziemię, kędy koń szedł, a potem był sznur na drzewie i krew na ziemi. Skąd ta krew, Róg?

Oczy Koziołka zrobiły się wielkie jak księżycy.

Biały Róg wziął głębszy oddech.

- Szuwarowi pod kopyta lis wpadł.

- Ale tam lisa nie było...

Chłopak prychnął z udawaną złością.

- Widać żył jeszcze i w chaszczce polazł. Nie pleć głupot.

Koziołek skwapliwie pokiwał głową, a potem znów spytał:

- To jak? Mam lecieć po kogo?

Róg wpiern od ruchowo popatrył na południe, sponsepniał i odwrócił twarz ku północy. Powoli pokręcił głową przecząco.

- Nie.

Letnie dni były długie. O świcie rozpoczęli poszukiwania rozproszonego stada. Róg stracił konia gdzieś tak koło południa, a teraz słońce pokonało już połowę drogi w dół do widnokregu. To oznaczało, że kawalkada uciekinierów jest już pewnie w drodze, oddalając się z każdą chwilą. Gdyby kazał bratu wracać, niewątpliwie Dębowy i tak nikogo by nie przysłał z pomocą, ale za to Koziołek byłby bezpieczny. Jednak mogło tak się zdarzyć, że mały nie zdąży przed zmierzchem i zgubi drogę. W ten sposób obaj chłopcy bliżej mieli na Kozie Wzgórza.

- Idziemy z powrotem do domu - zarządził Biały Róg.

Koziołek odetchnął z ulgą, lecz jego okrągła buzia wyrażała powątpiewanie.

- A jak tam będą już... tamci?

- Zajdziemy od rzeki, skryjemy się w trzcinach, a jak obaczym obcych, to poczekamy, aż przyjdą nasi - uspokoił brata Róg. - Król ma dużo wojska, szybkie konie i wielkie wozy bojowe, i miecze... i łuki wysokie na chłopa. A z wojskiem przyjdą magowie. Ci, co umieją palić ogniem i ziemię otwierać, albo zabijać samymi oczami. Nic się nie bój, prędko nasi nadejdą, ani się obejrzą.

Koziołek słuchał tych krzepiących łgarstw, a Biały Róg z niejakim niepokojem sumienia pomyślał, że tego jednego dnia nakłamał już więcej niż zwykle przez miesiąc.

- No to idziemy.

Koziołek ruszył przodem, starannie wydeptując swymi drewniakami dogodną ścieżkę ułomnemu bratu. Zostawiali za sobą idealnie wyraźny trop, lecz przynajmniej Róg poruszał się szybciej. Nad rzekę dotarł niemal skrajnie wyczerpany, ale wygrali ze słońcem, które jeszcze nie zaszło.

Posiadłość Dębowego wyglądała niewiarygodnie spokojnie, jakby nigdy nie zawisła nad nią groźba wojny i zniszczenia. W nadbrzeżnych szuwarach pokrzykiwało ptactwo, a w wodzie rzucały się ryby, polujące na owady. Bracia napili się chciwie, a potem obserwowali zabudowania poprzez zasłonę kolebiących się w lekkich powiewach trzcin. Mechanicznie odpędzali komary od twarzy, mrużąc oczy i wypatrując najmniejszych oznak czegoś podejrzanego. Jednak budynki wydawały się całkiem opustoszałe. Otwarte wierzeje stodoły rzucały kanciastą łatę cienia, a wewnątrz nie dostrzegli najmniejszego ruchu. Rogowi serce wskoczyło do gardła, gdy raptem coś wyłoniło się zza poidła, lecz natychmiast wyśmiał w duchu samego siebie - był to po prostu gołąb przechadzający się po podwórzu.

- Chyba nikogo nie ma - szepnął Koziołek.

Mały miał lepsze oczy, więc Róg zgodził się, że jeśli młodszy brat nie widzi niczego podejrzanego, to są bezpieczni... na razie. Bez słowa skierował się w stronę brodu. Rzeka, zwana Siostrą, nie była głęboka, zwłaszcza podczas letniej posuchy. Spokojnie toczyła swe wody po dnie wyłożonym białymi kamieniami. Kilkoma leniwymi łukami przewijała się przez pagórkowatą dziedzinę Dębowego, by dopiero na skraju wypełnić zagłębienie w gruncie i rzucić się na łeb na szyję z wapiennego uskoku. Przy Kozim Wzgórzu woda sięgała im ledwie po pierś. Przystanęli na moment nad brzegiem, rozglądając się jeszcze raz uważnie, po czym wkroczyli w cudownie chłodny nurt. Gdyby nie widmo niebezpieczeństwa unoszące się nad okolicą, Biały Róg z przyjemnością by popływał - w wodzie nie ograniczało go kalectwo - lecz ta chwila słabości trwała zaledwie chwilę, zaraz odsunął ją od siebie bez żalu.

Ze spiżarni zabrano wartościowe rzeczy, takie jak mięso, fasolę, ryż i mąkę. Chłopcy jednak

odkryli w jakimś kącie zapomniany worek, w którym zostało parę szekali owsa. W skrzynce z sianem leżało nieco jabłek, a w dzbankach nadal stało kozie mleko. Nie zagrażała im natychmiastowa śmierć z głodu. Biały Róg rozpałił niewielki ogień na kominie, dbając, by wybrać suche drewno. Wyszukiwał małe kawałki brzozy i kolczastego ostróżnika dające znikomą ilość dymu. Istniała nadzieja, że wrogie oczy nie dojrzą siwego pasemka, unoszącego się nad zabudowaniami. Parę garści owsa rozgniecionego w stępie rozgotowywało się powoli w garnku pilnowanym przez Koziołka, a Róg wyprawił się na poszukiwania czegoś, co mogłoby posłużyć za broń.

Po mieczach i łukach pozostały tylko puste haki. Skrzynia, w której Dębowy od lat przechowywał małe garnuszki napchane prochem i ostrym krzemiennym żwirem, także ziała pustką. Biały Róg znalazł jedynie zapomniany sierp oraz pałkę do głuszenia bydła, natomiast Koziołek odkrył w kuchni nóż. Było to śmiesznie mało, ale zawsze więcej niż nic.

Róg krążył po obejściu, z niepokojem popatrując to w stronę południową, skąd miały nadejść królewskie wojska, to znów ku północy, gdzie kłębiły się dymy pożarów. Słońce kolejny raz zachodziło krwawo. Odzywały się pierwsze cykady. W wieczornej ciszy rozległ się całkiem wyraźny odgłos stąpającego konia. Róg zamarł, przyciśnięty do ściany domu. Jeden koń - jeden jeździec. Przyjaciel czy wróg? Chłopak ostrożnie zerknął zza węgła. Na tle czerwieniejącego nieba odcinał się kontur głowy w hełmie ozdobionym ptasimi skrzydłami. Biały Róg przełknął kurczowo ślinę. Jego najgorsze obawy ziściły się.

- Róg, owsianka got... - powiedział Koziołek, wytykając głowę z kuchni. Ostatnie słowo roztopiło się w zalęknionym pisku, gdy chłopiec zobaczył tuż przed sobą obcego w oskrzydłonym kasku. Żołnierz wykrzywił się pogardliwie, unosząc znacząco miecz. W następnej minucie rozegrało się wiele rzeczy naraz. Za jego plecami jeden z dwóch kłoców do rąbania drewna, stojących pod ścianą, rozmył się, ujawniając przysadzistą sylwetkę Białego Rogo z sierpem w ręku. Chłopak zamachnął się wygiętym ostrzem i ciął mężczyznę w zagłębienie pod kolanem. Trysnęła krew, biały zawył przeraźliwie. Klinga miecza przecięła powietrze w miejscu, gdzie napastnik normalnego wzrostu miałby tors, lecz na szczęście Rogowi przeleciała nad głową. Żołnierz zachwiał się, nie napotykając oporu. Chłopak z determinacją ugodził raz jeszcze, tym razem w pachwinę, znajdując prześwit między folgami. Krew bluznęła silnym strumieniem. Pod mężczyzną załamała się zraniona noga i upadł tuż obok chłopca, który w ostatniej chwili uniknął pchnięcia sztychem. Z okrzykiem, brzmiącym jak szloch, Biały Róg uniósł znów sierp i opuścił z rozmachem ostrze na szyję żołnierza. Mężczyzna zacharczał okropnie, jego napięte ciało zmiękło. Krew jeszcze przez chwilę uchodziła z niego pulsującym strumieniem, ale i ten osłabł, a człowiek leżący w plamie czerwieni stał się tylko przedmiotem.

Spłoszony odorem krwi koń chrapał niespokojnie, rżał i kulił uszy. Tętent kopyt, który dołączył do tych odgłosów, nie zaskoczył braci. Na dziedziniec posiadłości Dębowego wpadł kolejny jeździec.

Kiedy Biały Róg wspominał później te wypadki, zdawało mu się, że to wszystko było złym snem albo zdarzyło się komuś zupełnie innemu. Jakby on sam, Róg, siedział z boku i obserwował poczynania człowieka obcego i groźnego.

Kilka rozżartych psów rzuciło się natychmiast do nóg wierzchowca, szczekając i gryząc jego pięciny. Wystraszony koń z kwikiem stanął dęba, waląc kopytami. Jeździec ściągał wodze, usiłując zmusić go do uległości. Jeden z psów skoczył w górę i uczepił się końskich chrap. Oszałałe z przerażenia zwierzę zważyło się ciężko na bok, przygniatając żołnierza. Psy nie ustępowały, koń zerwał się, tratując jednocześnie swego pana. Nawet poprzez zgiełk czyniony

przez zwierzęta Róg słyszał ohydny trzask łamanych kości.

Zamknął na chwilę oczy. Psy rozpląły się, ale to nie uspokoiło spłoszonych koni. Jeden usiłował przeskoczyć ogrodzenie - nie udało mu się, wpadł na drągi i zwałił się z łomotem na ziemię. Drugi zatoczył krąg po dziedzińcu, dziko potrząsając łbem. Wypatrzył w szarówce prześwit między stodołą a drwalnią i pogalopował w gęstniejący mrok. Jego okulały towarzysz próbował iść w jego ślady, lecz drogę znów zagroził mu widmowy pies. Koń kuśtykał na trzech nogach, kuląc uszy, chrapiąc i obnażając długie zęby.

Ranny żołnierz leżał na brzuchu. Rzęził ochryple. Jak we śnie Biały Róg podszedł do niego, patrząc na jasne włosy wymykające się spod przekrzywionego kasku i plecy poznaczone śladami kopyt. Ręce mężczyzny bezładnie przegarniały piach. Było coraz ciemniej, lecz chłopak mógł zobaczyć, jak oko tamtego otwiera się szeroko.

- Nie czuję... nóg... nie... m-mam nóg... - wykrztusił z trudem ranny. W chwilę później strumień ciemnej krwi rzucił mu się z ust.

- U-uma-arł...? U-u-u-uma-arł...?

Róg usłyszał obok rozdygotany głos młodszego brata. Odwrócił głowę, by zobaczyć Koziółka - skulonego, obejmującego się ramionami, jakby mu było zimno. Krew nadal wolno płynęła białemu z ust, ale leżał spokojnie i oczy miał przymknięte.

Biały Róg przełknął ślinę. Usłyszał samego siebie, jakby z daleka:

- Już po wszystkim. Złap konia, Koziółku.

Chłopczyk oderwał przerażone spojrzenie od nieruchomego ciała, przenosząc uwagę na konia, który nadal drobił niespokojnie na trzech nogach.

- Pokopie mnie...

Znikąd pojawił się trzeci wojownik w hełmie ze skrzydłami i w brązowym półpancerzu. Podszedł bez obaw do zwierzęcia i położył mu dłoń na chrapach. Koń rzucił jeszcze łbem raz i drugi, a potem uspokoił się.

- Weź wodze i przywiąż go do belki - polecił cicho Biały Róg. Wierzchowiec pozwolił się poprowadzić widmowemu mężczyźnie i małemu chłopcu do stajni. Róg powlókł się za nimi.

- Pojedziemy na nim? - zapytał małe z nadzieją.

- Okulał - odparł jego starszy brat. - Nawet jakby dał się dosiąść, to nie uniesie nas daleko.

*

W kuchni czekała na nich jałowa owsianka, ale mimo całodniowego postu chłopcy nie mieli ochoty na jedzenie. Koziółek już ani słowem nie wspomniał o trupach leżących na podwórzu, więc Biały Róg tym bardziej omijał ten temat. W milczącym porozumieniu zwinęli się na słomie w stajni w pobliżu parsającego cicho konia. Obecność żywej istoty jakoś dodawała im ducha. Zmordowany Koziółek wkrótce zasnął, przytulony do boku brata, ale Biały Róg długo wpatrywał się w mrok, śledząc bezmyślnie widmowe barwne kropeczki, które pływały mu przed zmęczonymi oczami. Choć wiedział, że to niemożliwe, wciąż miał okropne wrażenie, że zabici powstaną i przyjdą do niego - zakrwawieni i straszni - by wziąć odwet. Każdy szmer za wrotami stajni sprawiał, że chłopiec nasłuchiwał w napięciu długie minuty. Koziółek poruszał się w niespokojnym śnie, mamrotał coś niewyraźnie. Raptem wzdrygnął się, gwałtownie nabierając tchu, a potem Róg poczuł jak dłoń brata dotyka go niepewnie, jakby dzieciak chciał się przekonać, że nie jest sam. W ciemności pachnącej słomą i koniem przygarnął małego do siebie.

- To tylko sen - mruknął.

- Mhm... - mruknął Koziółek markotnie. - Przyjdą tu znów, no nie? - rzekł po krótkiej chwili przerwy.

Róg przygryzł wargę.

- Tak - odszepnął. Kłamstwa nie miały sensu, chociaż może już jutrzejszy dzień będzie ostatnim w krótkim życiu Koziółka. A i on, przeżywszy lat dwa razy więcej, nie był ani trochę bardziej gotowy na podróż za Bramę Bogini.

Koziółek przytulił się jeszcze mocniej do brata, a Róg potargał mu włosy w szorstkiej piesszocie. Lubił tego malca. Koziółek, choć taki mały, odzywał się całkiem mądrze. Wydawał się i sprytniejszy, i bardziej wrażliwy od Bystrego, któremu imię miało przynieść mądrość, ale w rzeczywistości chłopiec ten był poczciwy i całkowicie przeciętny.

Koziółek niebawem znów zasnął. Róg, wsłuchany w ciche posapywanie młodszego braciszka, wpierw walczył z opadającymi powiekami, lecz w końcu zmęczenie wzięło górę i chłopak zapadł w płytką drzemkę niczym zając.

*

Świt przyniósł chłód, a w powietrzu czuć było wilgoć po nocy. Biały Róg raptownie otworzył oczy i rozejrzał się niespokojnie.

„Jeszcze żyjemy” - pomyślał niewesoło, po czym lekko potrząsnął bratem.

- Wstawaj, Koziółku.

Chłopczyk ziewnął rozdzierająco, przeciągnął się i przetarł zaspane oczy.

- Mamy robotę - dodał Róg.

Wierzchowiec zabitego żołnierza zadomowił się przez noc w stajni na tyle, by bez oporu pozwolił się rozkulbaczyć. Skromne uzbrojenie Białego Roga wzbogaciło się w ten sposób o krótki, przytroczony do siodła oszczep. Znacznie bardziej ucieszyło go znalezienie kuszy i kołczana wypełniona bełtami. Nigdy nie miał możliwości, by ćwiczyć walkę na miecze czy kije, ale za to celnie miotał kamieniami i uważano go za dobrego strzelca. Przy ciałach zwiadowców odkrył noże i krótkie dwusieczne miecze. Zwłoki były za ciężkie, by mógł je przenieść poza obręb gospodarstwa. Jednak jakoś pojedynczo, za pomocą sznura okręconego wokół słupa i ciągniętego z całej siły, udało się je przewlec między wybijające chwasty za drwalnią. Koziółek na polecenie brata przysypał zakrzepłą krew piachem i zatarł ślady.

Zjedli paskudną owsiankę, która przez noc zamieniła się w zimną, zestaloną breję. Róg po krótkim namyśle wydzielił sobie i bratu po jabłku. Nie było sensu oszczędzać na jedzeniu, skoro wróg już wysyłał zwiady, a główne siły mogły ogarnąć Kozie Wzgórze lada chwila. Bębny dudniły marszowym rytmem tak blisko, że Rogowi zdawało się, iż to jednostajne tętno wchodzi mu w żyły, do wnętrza głowy i lada chwila rozsadzi go od środka.

- I co teraz? - odważył się zapytać Koziółek, obdarzając brata ufnym, psim spojrzeniem.

- Teraz się schowamy - odrzekł Biały Róg, zbierając broń. Od pewnego już czasu chodziło mu po głowie wciąż to samo: los go okaleczył, szansa na ucieczkę była marna, nawet gdy zyskali zdobycznego konia. Zranione w nogę zwierzę na razie nie nadawało się do jazdy. Może uniosłoby lekkiego Koziółka, ale Róg bał się wysyłać brata samego. Kiedy mały był obok, przynajmniej miał pewność, że może go chociaż próbować bronić.

- W domu? - indagował Koziółek.

Biały Róg wahał się krótką chwilę. Dom wybudowano solidnie, jak mały fort. Nawet zamiast okien miał wąskie szpary, przez które można się było bronić całkiem długo, pod warunkiem

jednak, że napastnicy nie zdołają podłożyć ognia. Widocznie przyszło to do głowy i Dębowemu, skoro zdecydował się opuścić gospodarstwo. Róg potrząsnął głową. Lepiej, jeśli zostaną w stajni. Łatwiej ukryć się tutaj, w słomie, lub w razie potrzeby uciec przez drugie wierzeje, prowadzące na wybieg.

Zgodnie z tym postanowieniem obaj chłopcy przenieśli całe swe skromne zapasy do stajni. Napełnili też wodą poidło dla konia i ceberek dla siebie.

- Nie wiadomo, jak długo tu będziemy siedzieć - powiedział Róg, kiedy Koziółek zaczął narzekać na ciężar wiadra.

Właśnie owo czekanie było najgorsze. Róg nie mógł się powstrzymać od ciągłego wychodzenia z kryjówek i rozglądania się na wszystkie strony. Szale losu na razie trwały w równowadze, lecz w każdym momencie chłopak mógł zobaczyć śmierć nadciągającą z północy - owianą smrodem dymu i krwi, lub życie - lśniące na ostrzach pik żołnierzy króla nadchodzących ze strony przeciwnej.

*

Obaj bracia drgnęli i jednocześnie unieśli głowy. Na zewnątrz rozległ się męski głos, a słowa wypowiedziano w języku lengore. Nasi! - krzyknął w myślach Róg, czując, jak uczucie ulgi łaskocze go w brzuchu. Koziółek już otworzył usta, by zawołać, lecz brat nagle zasłonił mu buzię dłonią, nasłuchując w napięciu.

- Pusto, jakby kto warem chlusnął - ciągnął ten ktoś za cienką ścianą z desek. - Ale zagródka niczego sobie. Najdziem coś pewno.

- Pewno, pewno... - pozzrzedził drugi głos, tym razem kobiecy. - Kożę do tych pór naszlim i trupa.

- Nie margaj, kobieto. Za to, co na grzbiecie targasz, dostaniesz jakie dwadzieścia srebrników.

Biały Róg zmarszczył brwi. Prędzej niż żołnierze pojawili się złodzieje. Można się było spodziewać, że na tych nieszczęsnych, targanych wojną ziemiach znajdą się szakale grabiące resztki porzuconego dobytku albo i napadające podróżnych dla garści miedziaków. W obejściu nie pozostawiono wartościowych rzeczy, a w każdym razie niczego, czego stratę odczułoby się boleśnie. Niemniej samo to, że ktoś chodzi po jego domu, obmacuje wszystko i kalkuluje, co warto sobie przywłaszczyć, napawało Roga coraz większym gniewem. Wymienili z Koziółkiem znaczące spojrzenia. Róg, starając się nie robić żadnego hałasu, napiął cięciwę kuszy i osadził bełt w łożu. Jego młodszy brat zrobił wielkie oczy i zatkał sobie usta obiema rękami.

Koń, który do tej pory drzemał spokojnie z opuszczonym łbem, parsknął cicho i stuknął kopytem. Głosy na zewnątrz umilkły. Biały Róg odetchnął głęboko i uniósł kuszę.

Kiedy rabuś ostrożnie wetknął głowę do stajni, oczy rozbłyły mu chciwie na widok zadbanego wierzchowca. Rozejrzał się czujnie, a nie widząc niczego podejrzanego, podszedł do konia i poklepał go po szyi z miną właściciela. Miał na sobie brązową, mocno powycieraną tunikę, za pasem nożyisko, niemal wielkości tasaka. Na ramieniu dźwigał spory tobół.

- Ostawili cię na zatracenie, mój ty piękniśiu? Ot, niczego sobie zdobycz.

Mężczyzna zrzucił z ramienia swój ciężar i pochylił się do zranionej nogi konia, którą zwierzę wyraźnie oszczędzało.

- Pójdziem se powoli, nie umęcysz się...

- Może jednak nie pójdziem? - odezwał się czyjś głos szyderczo.

Złodziej poderwał się gwałtownie. Parę kroków dalej stał rosły mężczyzna z kuszą wycelowaną prosto w jego brzuch. Rabuś wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu.

- Ot, zem nie wiedział, co tu już zajęte. Ale panicz tak sam? Toż czasy niebezpieczne...

- Trzymaj ręce tak, cobym je widział - warknął kusznik. - Koń mój i ta ziemia moja. Zabierzcie się stąd w try miga albo ci drugi pępek zrobię.

- Aaale... jakim gadał, czas wojenny nefartowny i lepiej się w kupie trzymać - ciągnął wielbiciel cudzych koni, przesuwając się nieznacznie i usiłując zejść z linii strzału. - Człeka samego złe wypadki mogą najść - w jego głosie zabrzmiał cień groźby.

Strzelec splunął pogardliwie.

- Ale też i ja sam tu nie jestem. Wyjrzyjcie no, chłopcy.

Na te słowa z co mroczniejszych kątów, zza stert siana i słomy zaczęli wyłaniać się barczyści mężczyźni. Ich miny nie wróżyły niczego dobrego, a każdy uzbrojony był jeśli nie w jakieś ostre żelastwo, to przynajmniej dzierzył pałkę lub kij. Przybysz wymamrotał pod nosem jakieś grube słowo i już całkiem jawnie począł wycofywać się ku wrotom. Schylił się po swój tobołek, lecz ostry rozkaz zatrzymał go w pół ruchu.

- Zostaw to! Nóż też! A teraz wynoś się, złodziejskie nasienie, zabieraj swoją dziewczkę i znikaj, pókiśmy nie stracili cierpliwości! Precz!

Złodziejaszek nie krył już wściekłości. Wyciągnął ostrze zza pasa i rzucił je na ziemię.

- Biali ogarnęli garnizon w Mudah, spalą was żywcem w tej budzie! - warknął.

- Spalą albo i nie - oświadczył zimno strzelec.

*

Iluzyjna gwardia przyboczna Białego Roga eskortowała pechowego szabrownika kawałek drogi. Dopiero kiedy chłopak zobaczył, że para złodziejasków ostatecznie zrezygnowała z przetrząsania jego domu i oddała się na południowy zachód, nie oglądając się za siebie, odwołał miraże i wrócił do Koziółka. Chłopiec siedział na ziemi, obgryzał paznokcie i ponuro wpatrywał się w zdobyczne zawiniątko. Róg w milczeniu rozwiązał rzemień ściskający pakunek.

- To było złodziejstwo? - zapytał niepewnie Koziółek, wyjmując kciuk z ust.

Róg westchnął niemal niezauważalnie. Moralność Dębowego była dość elastyczna i uznawał niemal wszystko, co dawało zysk, ale matka chłopców, Fala, bez wątpienia nie pochwaliłaby postępu syna.

- Zabrać coś złodziejowi to nie to samo, co ukraść porządnemu człowiekowi - odparł, starając się, by zabrzmiało to stanowczo.

- Aha - powiedział tylko Koziółek, ale widać było, że nie jest do końca przekonany.

W zawiniątku znaleźli paradną tunikę wyszywaną jedwabiem, zawiniętą w nią piękną misę z kolorowego szkła oraz kilka stalowych noży. Prócz tego drewnianą figurkę Bogini, pokrytą zieloną farbą i cienkimi płatkami złota, i łyżeczkę, wyglądającą na srebrną. Biały Róg odkładał wszystkie te przedmioty na bok (z wyjątkiem noży). Wolał nie zastanawiać się, do kogo należały przedtem i co stało się z byłymi właścicielami. Wiadomość o zagładzie garnizonu w Mudah była dostatecznie przygnębiająca. To by oznaczało, że biali są tylko o parę godzin drogi od Kozich Wzgórz, a może nawet bliżej, jeśli sądzić po tym, że już trafiło do gospodarstwa dwóch pechowych zwiadowców. Znacznie bardziej podniosło chłopca na duchu znalezienie w tobołku bochenka chleba i sporego kawałka sera - choć obeschnięte, nadal nadawały się do jedzenia. Róg wetknął odłamek sera do ręki markotnemu Koziółkowi.

- Masz, zjedz teraz. A potem wejdź na poddasze - Róg spojrział do góry, gdzie przedtem składowano w przewiewie naręcza wełny i pęki rozmaitych ziół. - Rozejrzysz się na wszystkie strony, co widać.

Malec pokiwał głową w milczeniu. Wziął w zęby ser, zrzucił sandały i zwinnie jak łasica wspiął się po drabinie na górkę. Róg z zadartą głową obserwował, jak jego najmłodszy brat zręcznie przeskakuje z belki na belkę i biegnie po kratownicy do prześwitu tuż pod dachem. Minęło parę minut.

- Róg... dym od wschodu! - zawołał Koziółek, kładąc się na brzuchu i ukazując zaniepokojoną buzię między deskami.

- Daleko?

- Nie wiem... - jęknął chłopiec. - Chyba blisko... Oj, blisko! - pisnął zaraz.

Róg poczuł, jak żołądek skręca mu się ze strachu. Zrobiło mu się nieco mdło i z trudem zmusił się do przełknięcia okrucha chleba, który właśnie miał w ustach. Z wysiłkiem wciągnął się do góry po drabinie i ostrożnie przepełznął na brzuchu do miejsca, gdzie leżał Koziółek. Rzeczywiście, w pewnym oddaleniu widać było wielkie kłęby czarnego dymu. Nie było wątpliwości, że widzą pożar sąsiedniego gospodarstwa. Biały Róg zastanawiał się, czemu właściwie wrogowie podłożyli ogień pod opuszczone budynki. Czy nie potrzebowali kwater dla oficerów, nie chcieli porzuconego dobytku, choćby paru worków ziarna - bo przecież chyba mieszkańcy Widłowej Kotliny nie zdołali zabrać wszystkiego? A potem uderzyła go myśl, która sprawiła, że w narastającym dziennym upale poczuł zimny dreszcz. Może Ocios jednak został, żywiąc jakieś szaleńcze nadzieje na ocalenie, stawiał opór i właśnie zwłoki mieszkańców Kotliny płonęły na tym gigantycznym stosie pogrzebowym? Bo cóż innego mogłoby skłonić białych do wzniecania ognia w czas letniej suszy? Na szczęście od sąsiadów ziemie Dębowego oddzielała rzeka i ogień nie powinien się przenieść tak daleko. Istniały też starannie utrzymywane „pożarne rowy”.

Róg przysłonił oczy dłońmi, wyteżając wzrok. Czy mu się wydawało, czy na tle ciemnego tumanu dojrzał czarne, ruchome punkciki?

- Róg, tam są ludzie - odezwał się Koziółek, który wpatrywał się w to samo miejsce. - Idą tu... - wyszeptał.

Róg odetchnął głęboko i powoli, usiłując odpędzić to paskudne, mdlące uczucie lęku wypełniające mu trzewia. Nadchodzili biali. Jeśli znajdą tu kogokolwiek, może zadowolą się wepchnięciem mu żelaza między żebra, a może zrównają wszystko z ziemią.

- Koziółek... weźmiesz konia i pojedziesz traktem na południe. Jeśli cię nie zechce nieść, masz go zostawić i biec, aż dotrzesz do naszych.

Młodszy braciszek popatrzył na Roga z niedowierzaniem.

- A ty?

- Ja zostaję, kulawy koń nie uniesie nas obu.

- To ja też zostaję!

- Ty uciekasz!

- Nie! - wrzasnął Koziółek. - Nie zostawię ciebie samego! Róg złapał małego za ramiona i potrząsnął nim, marszcząc groźnie brwi. Koziółek skulił się odruchowo, zaciskając powieki.

- Pójdiesz i to zaraz!

- Nie... - chlipnął chłopiec. - Nie, nie, nie...

- Tak!

- Nie.

Róg prychnął z irytacją i puścił brata, a Koziółek niespodziewanie zarzucił mu ręce na szyję, obejmując mocno.

- Nie zostawię cię - wykrztusił przez łyżę. - Nigdzie nie pójde. Nie pójde i już.

- Skórę ci zerżnę, Koziółku, zobaczysz - burknął Róg i wbrew tej groźbie objął trzęsące się dziecko.

- No to... co? - wychlipał Koziółek.

- Mogą nas zabić.

- No to co?

- Głupi, nieusłuchany bachor.

- Yhy...

- Puść mnie, kark mi złamiesz.

Chłopczyk puścił brata, wytarł mokre oczy i siąknął nosem.

- Ja nie pójde - powtórzył z uporem. - Możesz mnie nabić, a ja nie pójde. Jak mnie wypędzisz, to nawrócę.

- O Bogini... - westchnął Biały Róg i potrząsnął głową bezradnie. Jeszcze raz popatrzył w prześwit pod dachem. Z tego miejsca rozciągał się przed nim cały szmat łąk za rzeką. Nieliczne zarośla nie przysłaniały widoku na łąki i bród. Gromadka ciemnych punkcików, zapewne oddziału konnych, poruszała się z wolna. Kropki zamieniły się w plamki i Rogowi wydawało się nawet, że już widzi odblaski słońca na ostrzach włóczni. Nie pozostało wiele czasu.

Koziółek wlepił w Roga ciemne ślepka z ufnością i wiarą. Ta sama ufność, wiara oraz miłość wyгнаła małego chłopca spod opiekuńczych skrzydeł matki i kazała mu szukać zaginionego brata, a teraz kazała mu trwać przy jego boku mimo nadciągającej grozy. Biały Róg zrozumiał, że będzie musiał jakoś zasłużyć na to ogromne uczucie. Poczłł się, jakby ktoś włożył mu na ramiona dodatkowy ciężar.

*

Dowódca oddziału rozejrzał się ze zdumieniem i niepokojem, który prędko zaczął przeradzać się w złość. Od wczoraj prześladował ich pech. Najpierw dwóch jego wywiadowców nie wróciło o czasie i raczej już nie spodziewał się ujrzeć ich żywych. Potem trafili na gospodarstwo, którego zupełnie bez sensu i pomysłu usiłowało bronić kilku ludzi. Widział, że już wcześniej dokonała się tam rzeź. Zapewne wywiązała się nierówna walka między czarnuchami a ludźmi, którzy chcieli wyrwać się na wolność, do swoich. Sześciu wieśniaków (w tym dwóch rannych) przeciwko jego dwudziestu jeźdźcom - była to bardziej egzekucja niż wojna. Nim zdążyli temu zapobiec, ostatni zdesperowany obrońca podpalił dach chaty, a ogień w mgnieniu oka ogarnął wysuszoną trzcinę poszycia. Musieli zrejterować przed żarem i duszącym dymem, pozostawiając za sobą trupy i zgliszcza. A teraz cały oddział stanął nad brzegiem rzeki, której nurt rwał bystro, spieniony i mętny, jakby dopiero co zasiliły go ulewne deszcze - co wydało mu się dziwne i podejrzane.

- Ilb! Co tu powinno być? - spytał oficer z irytacją, przyzywając przybocznego gestem dłoni. Żołnierz fraszobliwie podrapał się po karku, a potem sięgnął do torby po mapę.

- Dobra, inaczej... Czy to gównno powinno tu stać?! - warknął dowódca.

- Nie, panie tuan! - odparł przyboczny stanowczo, cofając rękę od sakwy.

„Kurwa przydróżka, ja chyba śnię" - pomyślał dowódca.

Przed nimi wznosił się fort. Fort, który według wszelkich przewidywań stać tu nie powinien, o ile ich mapy nadawały się do czegoś więcej niż podtarcie tyłka. A mapy były świeże, gdyż wykreślono je nie dalej jak zeszłej jesieni. Ostrokół nie wyglądał na nowy. Drewno zdążyło ściemnieć, jakby przetrwało już co najmniej ze dwie pory deszczowe. Dokoła ani śladu pospiesznej budowy, takiego jak resztki drewna, wiórów czy też bruzdy w ziemi, wyorane belkami wleczonymi przez konie.

Panowała cisza, mącona jedynie pluskaniem wody i beztróskim terkotem jakiegoś ptaka, tokującego gdzieś w szuwarach.

- Wygląda, jakby się tam żywy duch nie ostał - odezwał się któryś ze zwiadowców, odgarniając z linii wzroku trzciniową kity.

Oficer skrzywił się, słysząc to.

- A Marai z Bugo to pewno w karczmie zapili, co? - warknął. - Wiatr ku nam wieje, nie czujesz trupa, wiechciu dumny?

Fort był mały, ale ostrokół miał całkiem wysoki, a na dwóch narożnikach tkwiły wieżyczki wartownicze. Coś w tej budowlu nie podobało się dowódcy, choć nie potrafił określić co. Pomijając, rzecz jasna, fakt, że w ogóle nie powinno jej tu być. Przeczucie skrobało go kosmatym paluchem po karku, podsuwając myśli, że coś jest nie tak, jak powinno. Okolica nadawała się, co prawda, do wojny pozycyjnej. Z jednej strony fortyfikacje ograniczała rzeka (choć wąska i nietrudna do sforsowania), z drugiej łagodnymi falami opadało w dół kilka wzgórz. Ataki pod górę zawsze nastroczały trudności. Fort stał cichy i pozornie opustoszały. Tuan przygryzł wargę. W końcu po namyśle kiwnął ręką na jednego z żołnierzy.

- Poślij tam strzałę.

Łucznik posłusznie napiął cięciwę. Pocisk zatoczył ostry łuk w powietrzu, spadając poza ostrożną krawędź palisady. Czekali. Minuty smętnie wlokły się w upale. Nadal w okolicy nic się nie poruszyło, mimo prowokacji.

- Ty i Kun. Podejdziecie z boku. Sprawdźcie bramę. Jeśli zamknięta, wejdiesz na palisadę. Tumo, Lawar, Boroh... chrońcie ich - rzekł półgłosem dowódca.

Zwiadowcy tylko skinęli głowami, natychmiast wypełniając rozkazy. Oficer popatrzył na nich ze skrytym zadowoleniem. Krótkie miecze przytroczone na plecach, hełmy i napierśniki przyciemnione sadzą, czarne linie nakreślone pod oczami, co chroniło przed jaskrawym słońcem. Nie musiał nikomu tłumaczyć, co i jak. Na pograniczu głupcy wykruszali się szybko jak suche błoto. Pozostawali ci, którym starczyło inteligencji, by nie strzępić języka po próżnicy i wykonać należycie swe zadania. Od trzech tygodni oddział przemierzał równiny Tiisel, wykonując szybkie i nieprzewidywalne ruchy niczym wataha polujących wilków. W tym czasie tuan stracił czterech ludzi (licząc dwóch dzisiaj, bo nie spodziewał się już ich zobaczyć żywych), co stanowiło dość przeciętny wynik. Jeśli w jego hordzie były jakieś psy, to właśnie się ich pozbył. Pozostały mu wilki - szybkie, milkiwe i groźne wilki.

*

Strzała wbiła się w ziemię pośrodku dziedzińca. Koziołek, który dotąd zatykał sobie buzię ręką, jakby bał się, że jeźdźcy usłyszą jego oddech, pisnął teraz przez nos jak przerażony psiak.

- Chcą nas tylko wystraszyć - szepnął Róg, dotykając jego ramienia.

- Ja już się boję, mogą mnie więcej nie straszyć - cicho odparł chłopczyk drżącym głosem.

- Nie zabiją cię, jesteś za mały - powiedział Biały Róg, mając nadzieję, że jego

przypuszczenia są zgodne z prawdą. - Wezmą cię co najwyżej do niewoli i każą pracować. A potem możesz uciec, jak się nadarzy okazja.

Jeden rzut oka na Koziółka przekonał go, że zrobił błąd.

- Ale ty jesteś duży... - szepnął malec, wpatrując się w brata wielkimi oczami, pełnymi łęku.

Biały Róg nic nie odpowiedział. Skierował znów wzrok na przeciwległy brzeg rzeki, gdzie między trzcinami niewyraźnie majaczyły wierzchołki skrzydlatych kasków. Uniósł lekko zdobyczną kuszę, przyciskając policzek do kolby. Dotyk ciepłego, gładkiego drewna wlał w niego odrobinę nonsensownej otuchy. To było głupie, wiedział o tym: cała ta rozpaczliwa obrona, oparta na oszustwie, krucha niczym skorupka jajka. Wystarczy, że tamci podejną bliżej i zechcą dotknąć palisady. Nie można oprzeć się na mirażu, nawet nie wiadomo jak doskonały - nie uniesie ludzkiego ciała. Tkacz Iluzji odetchnął głęboko, koncentrując się bardziej na utrzymywaniu wizji. Biali tkwili za wodą, ale jak długo tam pozostaną?

- Róg, ktoś płynie - odezwał się Koziółek przyciszonym głosem.

W tejże chwili i Biały Róg kawałek dalej dojrzał przepływających się przez rzekę żołnierzy. Widać wzburzony nurt nie zdołał ich zniechęcić, co zresztą było do przewidzenia. Brnęli zanurzeni po pas, opierając się prądowi, czujnie przy tym obserwowali widmowy ostrokół, osłaniając się niewielkimi tarczami i gotowi natychmiast dać nura, gdyby pojawił się tam ktoś z łukiem. Jeden z mężczyzn niósł na ramieniu zwój liny, drugi kuszę. Róg przeczołgał się w nowe miejsce i znów złożył się do strzału. Wdech, powolny wydech... Szeroko otwarte oczy. Nieraz polował z łukiem w trzcinach na kaczki albo na dzikie kuraki żyjące w gęstej trawie pastwisk. Obojętnie patrzył na to, jak zarzyna się kozy, którym zepsuła się sierść i zostały przeznaczone na mięso. Poprzedniego dnia własnymi rękami zabił człowieka, lecz tym razem to co innego. Wtedy bronił siebie i Koziółka, teraz miał z zimną krwią przycisnąć na spust. To nie było zwykłe polowanie... Chłopak jeszcze raz odetchnął głęboko i zwolnił cięciwę. Biały odsłonił się na chwilę, a bełt ugodził go w szyję, zagłębiając się niemal po pierzysko. Rana musiała być śmiertelna. Drugi ze zwiadowców natychmiast zanurkował, kryjąc się w mętnej wodzie. Po chwili poruszyły się szuwały i mignęła w nich jego głowa, lecz Róg nie zaryzykował drugiego strzału. Miał niewiele pocisków, więc musiał je oszczędzać. Ciało zabitego spływało z prądem.

„Jakie to łatwe” - zdziwił się Róg. Nie trudniejsze niż zabicie ptaka. Jeśli tylko nie myślało się o tym, że tego samego poranka ów człowiek zapewne dzielił się ze swymi towarzyszami chlebem, razem z nimi żartował lub przeklinał niewygody życia w siodle albo może wspominał pozostawioną na Północy rodzinę... Róg gwałtownie potrząsnął głową, odpędzając niebezpieczne rozważania. Nie, on też miał rodzinę! Jego rodzina leżała obok niego na brzuchu, wytrzeszczając zalęknione oczy na przeciwległy brzeg Siostry, gdzie pośród trzcin majaczyły skrzydlate kaski najeźdźców. Sumienie jest głupim zbytkiem, kiedy ma się pod opieką małego dzieciaka. Nie da go skrzywdzić, nawet jeśli miałyby wystrzelać wszystkich! Róg z rozpaczliwą determinacją znów napiął kuszę, osadził w łożu drugi bełt i posłał go między trzciny. W ciszy rozległ się krótki okrzyk bólu. Było dwudziestu? Dobra, teraz jest dziewiętnastu lub osiemnastu, jeśli trafił tamtego wystarczająco dobrze. Rozejrzał się, oceniając maskującą iluzję. Czas na wielkie przedstawienie.

*

Tuan kłął pod nosem. Opuszczony fort okazał się nie tak bardzo opuszczony, jakby tego chcieli. Bełt przebił ramię jego przybocznemu. Szczęście w nieszczęściu, ale upłyną tygodnie,

nim Ilb zacznie znów władać ręką. O ile nie wda się zgnilizna, o co nietrudno w czas letniego skwaru.

- Panie tuan! - zdławiony okrzyk podwładnego kazał mu na nowo spojrzeć na ostrokół, ponad którym ukazywały się właśnie spiczaste hełmy i wymalowane na niebiesko twarze lengorijeńskich wojowników. Jeden z nich uniósł włócznię. Lekki powiew wiatru poruszył zastale powietrze, rozwijając na końcu drzewca błękitną wstęgę.

Żołnierze księstwa Eimino zamarli na chwilę, czując dreszcz grozy, jakby na ten jeden moment słońce zasłoniła chmura.

- Odwrót do zagajnika - rzucił dowódca przez zęby.

Dopiero gdy skryły ich pobliskie zarośla, odważyli się odetchnąć głębiej. Nikt tego nie powiedział na głos, ale wszyscy myśleli podobnie: mieli niewiarygodne szczęście.

Tuan wyjął z sakwy rysik wraz ze skrawkiem pergaminu, na którym mozolnie nakreślił kilka symboli. Kozie Wzgórza, twierdza, 10 ludzi i magowie. Lawar bez słowa otworzył przytroczoną do łęku skrzynkę i wyciągnął z niego szarego ptaka. Oślepiiony światłem komran otworzył masywny dziób, skrzecząc niespokojnie. Dowódca zwinął kartkę w ciasny rulonik i schował wewnątrz kawałek trzciny, po czym przywiązał go do ptasiej nogi. Lawar delikatnie dmuchnął na głowę posłańca, mamrocąc ciche błogosławieństwo.

- Leć bezpiecznie, a Pan niech cię chroni.

Skrzydlaty goniec wzbil się w powietrze, szybko rozplływając się na tle jasnego, rozpalonego nieba. W krótkim czasie powinien dotrzeć do tuanadino, który po upadku Mudah skierował główne siły nad rzekę Enite, by przejąc z kolei faktorie u jej brzegów i odciąć czarnym dogodną drogę wodną.

Obecność maga tutaj nie wróżyła nic dobrego. Oznaczała, że czarni zorganizowali się bardzo szybko i mają wystarczająco duże siły, by obsadzać czarowników nawet na tak małych stanowiskach jak to. Tuan ukradkiem sięgnął do torby, namacał kawałek suchara owinięty w szmatkę, ułamał okrucz. Odszukał wzrokiem niewielki kamień leżący koło jego buta i włożył pod niego chleb, a potem nieznanym ruchem złożył końce palców, dopełniając w ten sposób ofiary. Mieli szczęście - to prawda. Utrata jednego człowieka wobec zagrożenia, że mogli zostać zabici wszyscy w mgnieniu oka, wydawała się wręcz łaską Pana. Wyglądało na to, że magiem rezydentem na Kozim Wzgórzu nie był Podpalacz ani Widmo, gdyż znad Siostry nie uszłyby żywa noga. Nie wiadomo, którzy gorsi: te przekłete potwory, palące ludzi żywcem, czy Widma, pojawiające się i znikające jak duchy. Po ich przejściu częstokroć nie zostawało nawet tyle, by było nad czym odprawić ceremonię żałobną. Tam, gdzie sięgały Widma, nie zostawało zwykle nic - nic, tylko goła ziemia, równa jak stół i jałowa. Tuan zacisnął pięści. Oby zaraza wybiła to ciemnoskóre plemię. Wyciągają chciwe łapy po cudze, wgryzają się w jego ojczyznę jak wszy w końską skórę. Czarni... wszędzie czarni, bezczelnie zagarniający najlepsze pola i pastwiska; mordujący wszystkich, którzy byliby zdolni unieść broń; niewolący kobiety... Dowódca westchnął krótko, odpędzając złe myśli. Nie mógł pozwolić, by zaślepił go gniew i nienawiść, miał pod sobą ludzi, którym powinien wydawać odpowiednie rozkazy oraz, w miarę możliwości, zachować ich przy życiu.

Dziwne, że żołnierze z fortu nie ruszyli się poza bramę, by dogonić i wyrząć jego oddziałek. Może otrzymali inne rozkazy. Możliwe też, że było ich po prostu za mało. Dowódca zmarszczył lekko brwi, licząc w pamięci głowy, które widział przez chwilę ponad Palisadą. Naliczył dziesięć, więc mógł się domyślać, że w forcie stacjonowało jeszcze od dwóch do pięciu ludzi - łącznie z magiem (lub magami). To niewielka liczba, prawdopodobnie czekają na posiłki.

Piętnastu na jego siedemnastu, jeśli nie brać pod uwagę rannego Ilba. W umyśle dowódcy krystalizowały się śmiałe plany.

„Czarownik... - zastanawiał się tuan. - Skoro jeszcze nie mamy go na karku, widać jakiś słabszy. Taki, co wyławia człekowi myśli z głowy, albo ten, co chmury do kupy zgania. Od deszczu nikt jeszcze nie umarł, choć nic to miłego, jak leje na łeb i cięciwy namiękają”.

Nagle nabrał otuchy. Składając wszystkie te kawałki w jedno, doszedł do wniosku, że istotnie w forcie stacjonuje malutki oddział czarnych, a mag, tak butnie ogłaszający swą obecność błękitną wstęgą, jest tylko Wiatromistrzem. Świadczyła o tym choćby sama rzeka, występująca niemal z brzegów, choć dokoła, jak okiem sięgnąć, wszystko suche jak słoma. Gdyby udało się przejąć tę placówkę, tuan zaliczyłby spore osiągnięcie. Obsadzenie fortu swoimi ludźmi dałoby solidne korzyści nadciągającym siłom księcia Eimino.

Ale z jakimikolwiek posunięciami należało poczekać do nocy. Nie mieli już do czynienia z paroma wieśniakami, uzbrojonymi w sierpy i tasaki, a teren był zbyt odkryty, by znów ryzykować podchodzenie w zasięg kuszników.

*

Biały Róg otarł pot z czoła. Pod dachem stajni było duszno i gorąco. Chłopak spojrzał w dół, gdzie na przysypanej słomą polepie kładły się na przemian pasy cienia i słonecznego blasku, w którym wirowały złociste drobinki kurzu. Wydłużały się, a to znaczyło, że słońce schodzi z nieba. Noc nie miała Rogowi przynieść wytchnienia. Był absolutnie przekonany, że jego oszukańcze przedstawienie odpędziło napastników jedynie na krótki czas. Wrócą pod osłoną ciemności. Już teraz ogarniało go zmęczenie, co będzie później...?

Oczy chłopca znów wróciły ku rzece, starannie ukrywanej pod mirażem. Ciało zabitego zwiadowcy zatrzymało się kilkanaście pik dalej, na kępie trzciny.

- Koziółek. Zrobisz coś dla mnie. To jest... trochę straszne - odezwał się Róg, wążąc słowa.

Koziółek kurczowo przełknął ślinę.

- Dobrze - odparł słabym głosem, darząc Roga spojrzeniem wiernego psiaka.

- Pójdiesz tam, gdzie leży zabity biały, i przyniesiesz mi jego kuszę. I strzały. Będzie ciężka. Zważaj, co byś się nie przytopił. I trzymaj się nisko, tak żebyś miał tę nieprawdziwą wodę nad głową, to cię nie zoczą.

- A... on na pewno jest zabity? - spytał Koziółek niepewnie, oglądając się na zakole Siostry.

- Jest martwy jak kamień, chyba że umie oddychać wodą jak ryba - burknął Róg. - Idź. Będę patrzył za tobą.

Chłopczyk zwinnie zsunął się po słupie na dół. Chwilę później Róg zobaczył go zatrzymującego się przed ostrokołem.

*

Koziółek wiedział, że ściana z bali jest w rzeczywistości tylko powietrzem, ale mimo to wyglądała bardzo solidnie. Pomacał ją na wszelki wypadek, czując pod palcami szorstką fakturę drewna. Biały Róg był doprawdy wspaniałym magiem, dziwne, że ci z wielkiego zamku go nie zechcieli. Wiedział, że z prześwietu pod dachem stajni obserwują go czujne oczy brata. Odetchnął głęboko, zacisnął powieki i zakrył twarz rękami, w myślach wyobrażając sobie znajomy widok obejścia. Zrobił krok do przodu. „Tam nic nie ma, tam nic nie ma...” - powtarzał w duchu, wciąż

myśląc o tym, co ma pod bosymi stopami: rozgrzaną, ubitą ziemię podwórza, zeschlą, szeleszczącą trawę u wierzchołka pagórka, coraz świeższą, w miarę jak zbliżał się do rzeki. Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy pod nogami chlupnęła mu ciepła woda płycizny. Brnięcie pod tą niby-wodą było wręcz okropne. Widział nieostro i wciąż odruchowo wstrzymywał oddech. W rezultacie do celu dotarł mokry także od potu i na wpół uduszony.

Trup pływał twarzą do dołu, co Koziołka naprawdę ucieszyło. Gdyby musiał spojrzeć w martwe oczy zabitego żołnierza, kto wie, czyby nie stchórzył i nie uciekł z powrotem do domu. A przecież kusza była bardzo ważna dla Białego Roga. Mieli tylko to, co mogli znaleźć lub ukraść... czy zabranie czegoś komuś, kto już był martwy, liczyło się jako złodziejstwo? Szczękając zębami, Koziołek pociągnął za ramię sajdaka z bekami. Ciało białego obróciło się w wodzie, wpadając na chłopca. Koziołek kwiknął i natychmiast wtoczył sobie pięść do ust. Raptem boleśnie uświadomił sobie, że ma bardzo wypełniony pęcherz. W końcu udało mu się zdjąć z trupa ciężki, przesiąknięty wodą kołczan. Kusza unosiła się tuż pod powierzchnią wody. Spłynęłaby z prądem, gdyby nie postronek, który łączył ją z nadgarstkiem zapobiegliwego właściciela. Jego ciało, zaczepione o trzciny tylko sprzączkami pancerza, zaczynało z wolna zsuwać się z kępy szuwaru i dryfować. Koziołek walczył z zaciśniętym węzłem, szlochając cicho ze wstrętu i grozy. Mokry sznur stawiał zacięty opór. Chłopiec zapierał się nogami w dno, czując, że trup go ciągnie, a on sam ma do wyboru: puścić cenną zdobycz lub towarzyszyć zwłokom. Powstrzymywany płacz wyrwał się z gardła chłopca, lecz Koziołek zacisnął zęby, spazmatycznie cedząc przez nie powietrze. Nie płakać! Nie wolno hałasować, bo tamci usłyszą! Głupi, dlaczego nie wziął noża? O Matko Świata, jaki on jest głupi. Miecz! Przecież ten żołnierz ma miecz na plecach! Koziołek, tłumiąc wstręt, dotknął zabitego, wyciągając ostrze z pochwy. Okazało się okropnie ciężkie. Omal go nie upuścił, walcząc z brzemieniem ponad siły i leniwym nurtem Siostry. Z wysiłkiem przepiłował linkę. Ociążone zwłoki popłynęły w stronę wodospadu.

Siedmioletni wojownik z trudem dźwignął broń na ramię i rozpoczął mozolny odwrót w stronę iluzyjnych fortyfikacji. Nigdy nie miał się dowiedzieć, że zaledwie dziesięć minut później w tym samym miejscu natknąłby się na innego żołnierza, którego dowódca białych wysłał po wyposażenie zabitego towarzysza.

*

Biały Róg odetchnął z ulgą. Koziołek wrócił cało. Ze swego stanowiska pod dachem widział, jak młodszy braciszek wlecze się noga za nogą przez podwórzec, taszcząc ciężką, bojową kuszę. Mokry kołczan obijał mu się o pięty. Chłopczyk zwałił swe brzemie na klepisko w stajni i sam padł obok wyczerpany. Róg dla pewności obrzucił jeszcze raz spojrzeniem palisadę i przemieścił nieco widmowych wojowników. Błękitna wstęga zwiślała w bezwietrznym letnim upale. Ostrożnie spuścił się po drabinie na ziemię i usiadł obok brata. Już na pierwszy rzut oka widać było, że z małym nie jest najlepiej. Nawet nie próbował ściągnąć mokrego ubrania. Leżał tylko na boku, skurczony, przyciskając pięść do ust. Milczał i wpatrywał się tępo gdzieś przed siebie.

- Koziołku... - odezwał się Róg łagodnie. - Koziołku, bardzo dobrze się sprawiłeś.

Żadnej odpowiedzi. Róg pogłaskał malca po głowie.

- Bardzo dobrze. Dzielnys bardzo. Sam bym nie dał rady, bez ciebie.

Chłopczyk popatrzył na niego, mrugając i krzywiąc się. W końcu zaczął cicho płakać. Biały Róg dalej głaskał zrozpaczone dziecko, dygocące pod jego ręką, mrucał uspokajające słowa i

kojące obietnice. A w głowie jednocześnie tłukła mu się myśl, że sam nie wierzy w to, że „wszystko się dobrze skończy”. W końcu Koziółek usiadł, pociągając nosem i wycierając buzię rękawem tuniki. W milczeniu obserwował, jak jego straszny brat troskliwie wyciera kuszę, zdejmując mokrą ściągawę i bada zawartość sajdaka.

- Tak myślałem - mruknął Róg, wysypując bełty. Z kołczana wypadła także garść kamiennych i żelaznych kul. Chłopak sięgnął do wnętrza, z samego dna wyławiając coś, co wyglądało na motek grubego sznura.

- Popatrz, Koziółku, mamy szczęście. Tu jest zapasowa ściągawa z chwytakiem na kule.

- Że z czym? - nie zrozumiał malec.

- Tu się wkłada pocisk, naciągasz i fru! To znaczy, że możemy zaoszczędzić na strzałach. Można strzelać nawet zwykłymi kamieniami - wyjaśnił Róg. - Choć to mała pociecha, bo kamień zbroi nie przebije - mruknął ciszej. - Ale może choć któremu łeb rozwałę.

- Róg... - odezwał się Koziółek cichutko. - Zostawiłem miecz na brzegu. Bo był za ciężki. On tam leży, ten miecz.

- Przyniesiesz, jak odpoczniesz - odparł Biały Róg krótko. Jego wzrok znów powędrował ku iluzyjnej palisadzie. Fałszywa „armia” - dotąd nieruchoma - zmieniła pozycje.

*

Tuan obserwował fort z bezpiecznego ukrycia za drzewem. Jasne punkty, to pojawiające się, to znikające na szczycie ostrokołu, były oczywiście lśniącymi w słońcu hełmami Lengorijenów. Uśmiechnął się ironicznie. Skłonność do przesadnej elegancji często sprowadzała kłopoty, a w tym wypadku pozwalała w miarę precyzyjnie policzyć wszystkich obrońców. Tak jak przypuszczał, nie kryło się ich tam więcej niż dziesięciu lub jedenastu. Tuan ponownie wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu, sięgając do torby po lusterko.

- Tarcze - rzucił półgłosem. Kryła ich zielenią, ale Pan lubił przezornych. Tuan skierował słoneczną „błyskotkę” wprost na umocnienie, poruszając nieznacznie przegubem i obserwując czujnie niebezpieczny teren sponad brzegu okrągłego jeździeckiego mukana. Nie czekał długo. Strzała ześliznęła się po obłej powierzchni tarczy, a potem płytko wbiła w ziemię parę kroków dalej.

„No i co dalej? Szczur da się wywabić z nory?” - pomyślał tuan.

Szczury jednak były sprytniejsze. Mimo dłuższego oczekiwania po drugiej stronie rzeki nadal trwał bezruch. Właściwie czego mógł się spodziewać, skoro te tchórzliwe lengorijeńskie świnię nie ruszyły zadków, choćby po to, by zapewnić ochronę sąsiedniego folwarku? Bezpośredni atak skończyłyby się dla jego ludzi smętną porażką. Oceniał drogę, jaka jeszcze pozostała słońcu do horyzontu. Tak, należało poczekać do nocy. Ciemność dawała przewagę ludziom o poczernionych twarzach, wspinającym się po ścianach jak koty i jak koty spadającym w mroku na swe ofiary.

- Ilb, ustal kolejkę wart. Dwóch czuwa, reszta spać. Poluzowali koniom popręgi. Odpoczywały, skubiąc z widocznym zadowoleniem zielone liście. Żołnierze - nauczeni doświadczeniem, że trzeba bezwzględnie wykorzystywać każdą chwilę wytchnienia - zjedli po skromnej racji twardego chleba i pokładli się w cieniu, zasypiając niemal natychmiast. Tuan ze zmarszczonymi brwiami przeglądał mapę, wracając myślą do tajemniczej budowli. Umocnienia, które wyrosły tu w ciągu niewiarygodnie krótkiego czasu, nie zdradzając przy tym śladów pospiesznej budowy, z całą pewnością nosiły wyraźne piętno magii. Z daleka znów nadleciał

głuchy łoskot bębnow wojennych, a myśli tuana na moment odpłynęły od zawiłych oznaczeń na mapie. Przed jego oczami na kilka chwil pojawiło się wspomnienie dumnego pochodu ich wojsk. Piechota i włóczniami i tasakami na długich drzewcach, łucznicy i kusznicy, lekka jazda - zwrotni i śmiertelnie groźni wojownicy, walczący zwykle dwoma mieczami; i ta ciężka - kopijnicy zakuci w blachy, przetaczający się po przeciwniku jak lawina. A wśród owego pochodu ogromne, obciążone byczą skórą kotły, zwane smoczymi gardzielami, których donośny łoskot niósł się dalej, niż wzrok mógł sięgnąć. Wojenne kotły Północy śpiewały pieśń odwetu za grabieże i mordy, za niewolę jasnowłosych. Wlewała otuchę w serca prostych żołnierzy. Czyż nie szli walczyć za słuszną sprawę, w obronie swoich domów i rodzin? Pan Młota nie mógłby okazać się tak niesprawiedliwy, by odwrócić się od swych wiernych wyznawców. Oficer mimowolnie potrząsnął głową. Nie był prostym piechurkiem i dawno już porzucił złudzenia co do łask bogów oraz sprawiedliwości losu. Lengorijeni rok po roku wyrwali Zjednoczonym Księstwom nowe terytoria z nonszalancją brytana okradającego szczenię. Życie jako takie nie było sprawiedliwe. Tuan złożył mapę i legł na ziemi, zakrywając oczy ramieniem.

*

Biały Róg w ponurym nastroju przepatrywał zarośla po drugiej stronie Siostry, od czasu do czasu przecierając zmęczone oczy. Znużony Koziołek przysypiał obok niego. Biali ukryli się, lecz nie odeszli i nie wyglądało na to, by mieli ochotę się stąd ruszyć. Do młodego Tkacza Iluzji szybko docierało, że po ciężkim dniu czeka go jeszcze cięższa bezsenna noc. Jak długo zdoła utrzymać tę misterną układę - jedyną barierę, jaka odgradzała jego i brata od śmierci? Nie był w stanie czuwać wiecznie, wciąż poświęcając uwagę iluzji fortu i widmowym żołnierzom. Wrogowie mogli spać na zmianę, cały czas obserwując Kozie Wzgórze, ale jego nie miał kto zastąpić. Nawet noc nie mogła mu przynieść wytchnienia. Starczy, by na chwilę zamknął oczy, zasnął na krótki tylko moment, a całe to piękne oszustwo rozwieje się jak dym.

Zamrugnął, czując piasek pod powiekami. Jaskrawy blask słońca męczył wzrok nawet tutaj, pod dachem.

- Wytrzymam, ile zdołam - szepnął do siebie.

Do zachodu pozostały jeszcze najmarniej trzy godziny. A po zapadnięciu mroku biali ruszą się ze swej kryjówki, by ponowić atak - tego był niemal pewien. Skoro nie widział ich odwrotu, niewątpliwie spróbują ponownie. Drażniący głos wojennych bębnow znów wlewał strach w żyły. Chłopak odetchnął głęboko, usiłując zignorować zimną łapę lęku stawiającą mu włosy na karku.

Róg wyciągnął rękę i delikatnie potrząsnął ramieniem Koziołka. Chłopczyk zamruczał niechętnie, przeciągając się jak kot.

- Koziołku, ocknij się.

- Mmm...?

- Weźmiesz konia... - zaczął Biały Róg.

- Nie! - zaprotestował Koziołek natychmiast.

- Cicho, bo ci przyleję! - Twarda dłoń brata potrząsnęła nim brutalnie. - Weźmiesz konia - powtórzył Róg. - Pojedziesz do południowego traktu.

- Nie chcę cię zostawiać. - Broda Koziołka zaczęła drżeć.

- Popędzaj konia. Odpoczął, będzie mógł lecieć kłusem. Masz najść naszych żołnierzy i rzec

im, co tu biali siedzą, a ja jestem sam. Nie wiem, jak to zrobisz, ale masz to zrobić. Konia zajeździsz, na uszach będziesz lazył, lecz masz dotrzeć do wojska. Rozumiesz?

Koziółek w milczeniu pokiwał głową, szeroko otwierając oczy. Róg przełknął gorycz, jaka podstępnie zebrała mu się w gardle. Okłamał małego. Żaden dowódca nie pośle ludzi na Kozie Wzgórze. Nikt nie narazi żołnierzy, by uratować jednego człowieka, nawet jeśli jest on magiem. Ale Koziółek przeżyje, i to było ważniejsze.

- Idź. Im szybciej odjedziesz, tym prędzej wrócisz - rzucił szorstko. Koziółek zrobił ruch, jakby chciał mu się rzucić na szyję, ale znów tylko kiwnął głową i lekko pogłaskał brata po ręce.

- Rychło wrócę - obiecał.

Róg ze swego stanowiska na poddaszu obserwował przez szpary między deskami, jak chłopczyk wspina się na koński grzbiet ze szczebla drabiny. Koń, czując niewielki ciężar na karku, lekceważąco parsknął i rzucił łbem, lecz Koziółek z całych sił ściągnął wodze, zmuszając go do posłuszeństwa. Ponaglony kopnięciem bosych pięt, wierzchowiec niechętnie poczłapał na podwórze.

- Wio! - rozkazał Koziółek, ale koń tylko stulił uszy.

W następnej chwili zachrapał trwożliwie, gdy do jego tylnych pęcin rzucił się ze złowrogim warczeniem kudłaty pies. Krnąbrny koń zarżał rozpaczliwie i rzucił się w prześwit w ostrokole, który otworzył się wprost przed nim. Biały Róg odprowadził wzrokiem kurczowo uczeploną końską grzywy drobną figurkę Koziółka.

- Matko Świata, chroń go - wyszeptał.

Przycisnął kciuk do grotu ściskanej w rękę strzały, aż gruba kropla krwi wytoczyła się z zadraśniętego ciała, a potem spadła z wysoka na ziemię.

- Oto moja krew, Bogini. Chroń go - powtórzył, a potem na nowo skierował wzrok na iluzyjną twierdzę i skupił się bez reszty na tworzeniu magii.

*

Ostatni skrawek czerwonej tarczy słonecznej krył się za linią widnokregu niczym zakrwawiony paznokciec powoli drapiący różowe niebo. Wieczorna zorza zdawała się wysysać kolory z ziemi - z wolna wszystko zmieniało się w czarnopopielaty szkic, aż wreszcie całkiem zniknęło w ciemności. Jeźdźcy z Eimino mieli nieco czasu, zanim wszędzie wielki księżyc zalewający okolicę zwodniczym srebrzystym światłem i odsłaniający wiele rzeczy, które woleliby ukryć. Końskie kopyta osłonięte miękkimi „butami” stąpały niemal bezgłośnie. Żołnierze trzymali swe wierzchowce krótko przy pyskach, zakrywając im chrapy dłońmi, by nie zdradziły się parskaniem. Wkroczyli w nurt Siostry w jej górnym biegu, oczekując głębiny i rwącego prądu, lecz, ku ich zdziwieniu, tutaj woda sięgała im niewiele powyżej kolan. No tak, obecność maga przewracała do góry nogami wszelkie prawa natury. Podchodzili ku fortowi od wschodu, dnem płytkiej dolinki między dwoma pagórkami. Budowla zdawała się czarną, kanciastą dziurą, wyciętą w niebie przysypanym srebrnym gwiazdowym prosem. Tuan sprawdził, czy Jego miecz łatwo wychodzi z pochwy. Zlikwidować strażę, otworzyć bramę, wyciąć zaskoczonych obrońców... robili już trudniejsze rzeczy. Chociaż łatwiejsze również.

Światło, które raptownie zalało nocny pejzaż, zaskoczyło ich zupełnie. Oczy, nawykłe już do głębokiego mroku, mrużyły się odruchowo. „Przecież za wcześnie!” - zawołał w duchu tuan, silniej ściągając wodze zdezorowanego, rzucającego łbem konia. Tarcza Księżycowego Wojownika tkwiła na niebie wprost nad magiczną twierdzę, drwiąc sobie z planów dowódcy.

Ktoś za plecami tuana rzucił szeptem grube słowo. W upiornym bladym świetle dałoby się liczyć szpilki. Podejście bliżej oznaczało samobójstwo. Mogli zrobić tylko jedno: pokłaść konie w trawie i czekać, aż zdradziecki księżyc ukryje się za chmurą. O tej porze roku szanse na to były znikome. Tuan obrzucił złym spojrzeniem jednolicie czyste niebo. Gwiazdy zbladły, na próżno też szukał tego obłoku, za którym Wojownik krył się poprzednio. „Czary... Złudy i mamidła. Niech to piorun strzeli - pomyślał ze złością. - Przekleństwo. Nawet niebo słucha tych synów wieprzy”. Wyglądało na to, że Pan Młota jednak odwrócił się od swych ludzi, o zgrozo, łaskawszym okiem patrząc na przybłądów zza morza.

Minuty wlokły się jak godziny. Jednostajne ćwierkanie cykad działało usypiająco. Dobrze byłoby po prostu zasnąć tutaj, w tym srebrnym świetle, na posłaniu z pachnącej, suchej trawy. Tuan potarł palcami powieki. Wydawało mu się, że przysadzista sylweta fortu chwieje się i rozmywa. Kiedy znów otworzył oczy, przez moment miał okropne wrażenie, że nagle oślepl. Tuż obok, w czerni, któryś z żołnierzy zasyczał gniewnie.

Co tu się działo, na Boski Młot? Czy ten księżyc całkiem zwariował? Jak to możliwe, by zniknął i pojawiał się tak nagle? Cokolwiek jednak to było, należało wykorzystać tę błogosławioną chwilę ciemności.

*

Biały Róg gwałtownie poderwał głowę, czując, jak przerażenie chwyta go za gardło. Zasnął! Jak długo spał? Chyba niedługo, zapewne tylko parę minut. Gdyby było inaczej, Gigant zdążyłby już wychylić jasne czoło nad horyzontu. Tymczasem wokół wciąż panowała smolista czerń. Chłopiec czym prędzej przywołał w wyobraźni wizerunek umocnień i skwapliwie odbudował zniszczoną iluzję. Noc śpiewała głosami cykad i polujących gdzieś między trawami sów ziemnych. Jak blisko jego kryjówek znajdowali się biali? Na nic zdało się wyęźnianie wzroku. Teren pod Kozim Wzgórzem jawił się jako niejednolita szaroczarna przestrzeń nakryta granatową płachtą rozgwieżdżonego nieba. Gdzieś w tym mroku czaili się wrogowie... a gdzieś po przeciwnej stronie uciekał Koziołek. Róg przełknął ciężko ślinę. Była pewna nadzieja, że mały poradzi sobie z tym krnąbrnym koniskiem i spadnie z niego dopiero wtedy, gdy wystarczająco oddali się z niebezpiecznych okolic. Ale z drugiej strony, jakie okolice można teraz nazwać bezpiecznymi? Jakże przydałby się teraz księżyc! Róg spojrział tęsknie ku południowemu wschodowi, gdzie o tej porze roku wschodził Gigant. „Bogini, daj mi światło. Matko wszelkich stworzeń, daj mi światło - modlił się chłopiec w duchu. - Jeśli przeżyję, oddam ci chętnie krew i najlepszą wełnę”.

Jakby w odpowiedzi na jego modły nad poszarpaną linią odległego zagajnika pojawiło się jasne pasemko. Biały Róg odetchnął pełną piersią, znów kierując wzrok na drugi brzeg rzeki. Nic, żadnego ruchu, cisza.

„Krew i wełna, i miód. Oczywiście, jak przeżyję - uzupełnił w myślach. - Bo jak nie, to nic z tego, więc zważ, co ci się kalkuluje, o Miłościwa”. Właściwie nie miał wielkich nadziei na ujście cało, ale cóż szkodziło trochę się potargować? Pani czasem potrafiła zaskakiwać.

Gdzieś z boku raptem usłyszał ciche metaliczne brzęknięcie. Nastawił uszu. Dźwięk nie powtórzył się. Porzucił poprzednie stanowisko, starając się jak najciszej przeczłogać po kratownicy w nowe miejsce. Księżyc wschodził, a jego srebrnobiałe światło brało w posiadanie siedzibę Dębowego i łąki wokoło. Róg szybko przetarł piekące oczy. Księżycowe cienie mamili wzrok. Czy rzeczywiście jakiś kształt poruszył się w oddaleniu, czy może to jedynie złudzenie?

Strzelanie w tych warunkach to po prostu marnowanie Pocisków. Nie miał nawet pewności, czy dojrzał człowieka, czy może tylko włączące się po nocy zwierzę. Róg mógł już jedynie grać na zwłokę, wykorzystując swe skromne zasoby broni i umiejętności.

*

Tuan dochodził do wniosku, że obleganie tej zapowietrzonych forteczki nie było najlepszym pomysłem. Ale jak już się podskoczyło, to nie da rady nie spaść. Sztuki, jakie wyprawiał księżyc, najlepiej świadczyły o tym, że za palisadą siedzi przynajmniej jeden mag, i czuwa. Księżyc wzeszedł - tym razem wyglądało to naturalnie; jeszcze zanim na dobre oświetlił odkryty teren wokół wzgórza, żołnierze poznajdowali kryjówki za nielicznymi krzewami. Ciche skrzypienie zawiasów zaalarmowało wszystkich, podnosząc włosy na karku i powodując, że zwiadowcy nastawili uszu niczym psy. Tuan wyteżył wzrok w złudnej srebrzystej poświacie. Jakieś niskie, przysadziste sylwetki wysypywały się jedna za drugą spomiędzy skrzydeł uchylonej bramy. Owce? Kucyki? Tuan stwierdził swą omyłkę, gdy jedno ze stworzeń uniosło czarny, kanciasty łeb o spiczastych uszach. Zalśniły zielone ślepia, a do zaczajonych zwiadowców doszło niskie, złowróżbne warczenie, któremu jak echo odpowiedziało chrapanie wystraszonych wierzchowców. Tuan w myśli rzucił kilka słów, których nie wypowiedziałyby głośno nawet w koszarach. Tymczasem psy usiadły w półokręgu przed bramą, niczym karne wojsko. Od czasu do czasu któryś warknął, a potem znów zapadała cisza.

O świcie sytuacja nie zmieniła się ani na jotę. Przed bramą tkwiło dziesięć gigantycznych, czarnych jak smoła brytanów, naprzeciwko mając osiemnastu ludzi, niezbyt wygodnie ukrytych za krzakami głogu i migdałowca. Widok tych potwornych, wielkich jak kuce psów napełniał grozą, i to wcale nie z powodu ich rozmiarów czy morderczych kłów. Nie zachowywały się jak zwierzęta. Siedziały niemalże bez ruchu, w przerażającym wręcz milczeniu. Nie kładły się, nie ziewały... tuan nie zauważył żadnego z typowo psich odruchów, na które powinien pozwolić sobie nawet najbardziej karny pies. To ten, to tamten poruszał łbem lub otwierał na moment pysk, ale to było wszystko. Tkwiły tam jak czarne demony na usługach innego demona - dla odmiany naznaczonego błękitem. Żołnierze woleliby, gdyby te bestie ruszyły na nich, wtedy przynajmniej sytuacja stałaby się klarowniejsza. Poza brytanami przed bramą, magiczna twierdza wyglądała na wymarłą. Żadnego ruchu ponad krawędzią palisady, cisza i martwota; nawet błękitna wstęga, oznajmiająca o obecności czarownika, zwisała ciężko w bezwietrznej pogodzie.

Tym lepiej dał się słyszeć trzepot skrzydeł posłańca, który wylądował na ramieniu Lawara. Zwiadowca zdjął kapsułkę z nogi komrana i nagroził ptaka kawałkiem suszonego mięsa. Dla osoby niewtajemniczonej na skrawku papieru widniało tylko kilka małych, schematycznych rysunków. Tuan potrafił odczytać z nich rozkazy. Wiadomość była krótka: Czekać. Ludzie w drodze.

Psy ruszyły niecałe pół godziny później, jakby pchnięte niesłyszalnym rozkazem. Warcząc i tocząc pianę z pysków, schodziły po stoku wzgórza. Konie chrapały niespokojnie, żołnierze w zaciętym milczeniu szykowali kusze i łuki. Rozkazy rozkazami, a zdrowy rozsądek swoją drogą. Tuan przycisnął policzek do gładkiej kolby, łowiąc na koniec celownika czarne cielsko, i nacisnął spust. W następnej chwili mrugnął, zaskoczony. Z tej odległości nie mógł chybić, nawet jeśli zwierzę było w ruchu. Zdawało się, że bełt przeleciał przez psa, nie robiąc mu widocznej krzywdy. Sądząc z wściekłych przekleństw, sypiących się dokoła, inni łucznicy mieli ten sam

problem. Na ostrokołe zaczęli pojawiać się czarni. Pierwsza strzała ze wzgórza przemknęła między wiotkimi gałązkami migdałowca i ugodziła konia, który z kwikiem wspiął się na tylne kopyta, a potem zwałił ciężko na ziemię, omal nie przygniatając jeźdźca. Kolejna nieomylnie wyłuskała z kryjówki następnę zwierzę. Gdy tylko zaczęło się przejaśniać, zwiadowcy pokładli swoje wierzchowce w wysokiej trawie, lecz nadal przy odrobinie szczęścia dało się je wypatrzeć. Tuan posłał strzałę jednemu z obrońców. I znów bez widocznego skutku, jakby czarnych z Koziego Wzgórza chroniła jakaś tajemnicza, niewidzialna tarcza. Wybicie koni automatycznie odbierało oblegającym niewielką przewagę, a w razie nadejścia posiłków Lengorijenów zwyczajnie skazywało ich na śmierć. Niełatwo przecież skryć się na tych terenach, porośniętych głównie wybujałą trawą, a ucieczka pieszo nie miała szans powodzenia, zwłaszcza gdyby zostali osaczeni przez magów.

Na szczycie palisady ukazała się nowa postać. Mężczyzna bez pancerza, jedynie w ciemnej tunice, na której tle wyraźnie odcinał się jaskrawoniebieski pas. Mag stanął swobodnie, zupełnie się nie kryjąc, widoczny na tle nieba niczym figura na strzelnicy. Przysłoniwszy dłonią oczy przed słońcem, rozglądał się po okolicy. Tuan zacisnął zęby z gniewu, sięgając do kołczana. Nim jednak osadził nowy bełt w łożu kuszy, strzała któregoś z jego podwładnych trafiła bezczelnego maga prosto w pierś. Podświadomie oczekiwał widoku zginającego się wpół ciała i walącego się głową w dół na ziemię. Mag nawet się nie zachwiał. Strzepnął tunikę niedbałym gestem, jakby śmiercionośny pocisk był jedynie grudką błota, a potem wybuchnął szyderczym śmiechem.

*

Niebo szarzało, zapowiadając nieuchronne nadejście świtu. Niemordowane cykady jedna po drugiej przestawały snuć swe monotonne pieśni. Koń stapał niespiesznie, zwiesiwszy łeb ze zmęczenia, a jego nierówny chód nie dawał Koziołkowi żadnej nadziei, że zmęczone, kulejące zwierzę uda się jeszcze przymusić do biegu. Może zresztą lepiej... ślizgał się po szerokim końskim grzbiecie jak kawałek masła po gorącej patelni, a od upadku ustrzegło go tylko kurczowe wczepianie się w grzywę. Miał wrażenie, że całe ciało obito mu kijem, a w oczy sypnięto piachem. Kołysany jednostajnym ruchem konia, obolały, zmęczony chłopczyk pochylał coraz niżej głowę. Niemal zasypiając z otwartymi oczami, patrzył tępo w trawy przesuwające się wzdłuż boku równie zmęczonego wierzchowca. Dwie noce temu Koziołek spał na swoim sienniku w rodzinnym domu, bezpieczny pod opieką ojca i jego pasterzy. Teraz wydawało się to tak odległe, jakby od tamtej pory minęło wiele tygodni, a może nawet miesięcy. Kołysanie ustało, otępiały Koziołek powoli uniósł głowę. Koń stał przed rowem pożarowym - szerokim i dobrze utrzymanym. Za rowem natomiast w obie strony rozciągała się płowa wstęga twardo ubitego traktu z północy na południe, gdzie w oddali widać było jakiś ruch. Koziołek stanowczo uderzył piętami końskie boki, wierzchowiec niechętnie zstąpił na dno rowu, a potem z trudem wspiął się na trakt. Rozpoczęła się druga część zadania: mozolna wędrówka zapyłonym gościńcem na południe, póki nie natknął się na kolumnę królewskiej piechoty.

Ich wojsko nie maszerowało w rytm bębnow. Już z daleka Koziołek słyszał piszczałki i przeciągłe nawoływanie gwizdków sygnałowych. Wiedział, że to były gwizdki, bo zupełnie takich samych używano na Kozim Wzgórzu, by wydawać polecenia psom pasterskim. Kiedy zrównało się z nim czoło kohorty, chłopiec z podziwem oglądał pozłociste pancerze, wyciągnięte w szpic hełmy zdobne w różnobarwne kity z końskiego włosia i włócznie, które wznosiły się nad głowami żołnierzy jak las.

- Precz! Z drogi! - jakiś jeździec przepasany nakrapianą skórą dzikiego kota machnął na Koziołka gniewnie ręką. - Do tyłu, bachorze, chcesz, żebyśmy cię zdeptali?

- Panie, pomocy! - pisnął Koziołek.

- Zgubiłeś się? Do tyłu, mówię! Zaczekaj na tabory, dadzą ci jeść.

- Nie, panie! Mój brat...

Ale oficer nie chciał go słuchać. Chwycił wierzchowca Koziołka krótko przy pysku i zepchnął z drogi maszerującego oddziału, puszczając mimo uszu bezładne tłumaczenia wystraszonego dziecka. Nie lepiej wiodło się Koziołkowi później. Stojąc na skraju drogi, bezskutecznie nawoływał, zalewając się łzami rozpacz. Jego słowa zagłuszało maszerujące wojsko. Niektórzy wojacy oglądali się na niego ze współczuciem, dawali mu znaki i wołali, by jechał na tyły, ku taborom, inni kręcili głowami, zdumieni widokiem samotnego dzieciaka na zmarnowanym koniu.

- Co się tu dzieje? Sam jesteś? - Obcy mężczyzna zdawał się pojawić wprost z powierza. Koziołek przez moment przyglądał się jego wygolonej w równoległe pasy czaszce, tunice z grubego, lśniącego jedwabiu, a potem dostrzegł szeroką błękitną szarfę opasującą Przybysza w talii.

- MOJ BRAT! - wrzasnął, chwytając maga za rękaw. - Mój brat jest sam i walczy z białymi! Musisz mu pomóc, musisz! On jest od Was, też ma taki pasek! Też umie czarować! On jest tam sam!

Zapłakany, brudny dzieciak niemalże w samym środku wojny, twierdzący, że jest bratem maga - było to zjawisko raczej niecodzienne. Spojrzenie Wędrowca stwardniało.

- Wiesz, że za podawanie fałszywego świadectwa karze się gardłem?

- Że co...? - pisnął chłopiec żałośnie. Trząsł się na całym ciele, ale wciąż zaciskał palce na ubraniu maga, jakby bał się, że tamten zaraz znów zniknie, tak jak się pojawił.

- Za kłamstwo będziesz ukarany, i to surowo.

- Ja nie kłamię! Róg został i broni domu od białych!

- Jaki talent ma twój brat?

- Co?

Mag sapnął niecierpliwie.

- Co potrafi wyczarować?

- Robi obrazki... - Oszołomiony Koziołek grzebał w pamięci, szukając oficjalnego tytułu Białego Roga. - Tkacz. Tkacz Iluzji! Został na Kozim Wzgórzu, zabiją go, jak mu nie pomożecie.

Na twarzy maga odbiło się wyraźne zdumienie. Ściągnął chłopca z konia, nie stawiając go jednak na ziemi.

- Zamknij oczy - polecił krótko, ale zanim Koziołek zdążył to zrobić, cały świat nagle skręcił się dokoła, niczym bielizna w rękach praczki-olbrzymki. Żołądek podszedł mu do gardła, chłopiec zakrył twarz rękami, spazmatycznie łapiąc powietrze. Mag postawił go na ziemi.

- Pozdrowienie, panie Brinta - usłyszał głos Wędrowca. - Niespodziewana zmiana planów. Ponoć jeden z naszych utknął gdzieś nad Siostrą. Mały, ilu jest tych żołnierzy z Północy?

Koziołek uniósł głowę, ze zdziwieniem stwierdzając, że stoją obok bojowego rydwanu, z którego przygląda mu się wspaniale odziany wojownik o ostrych rysach i orlim nosie.

- Ilu jest białych? - powtórzył pytanie mag.

Koziołek zastanowił się. Liczenie nie szło mu zbyt dobrze. Przy sześciu owcach radził sobie jeszcze jako tako, ale dziesięć już było dość kłopotliwe. Uniósł obie dłonie, rozczapierzając

palce.

- Tyle i jeszcze trochę.

- A więc kilkunastu. Panie Brinta, myślę, że pięciu ludzi w zupełności starczy.

- O ile ich dam, panie Obryw - odezwał się oficer pogardliwym tonem, patrząc na Koziółka wzrokiem, którym zwykle obrzuca się coś napoczętego przez szczury.

- Pan ich da, panie Brinta. W przeciwnym razie złamię pan ustanowienia cesarskie, dotyczące przywilejów Kręgu. A wtedy pożegna się pan nie tylko z tymi paradnymi blachami, ale i z głową - rzekł zimno mag, a potem znów zwrócił się do Koziółka:

- Kiedy tamci nadeszli?

- Wczoraj o południu - odparł Koziółek. W jego sercu rosła otucha.

- Nie ma nadziei, żeby tam się ktoś uchował żywy - rzucił oficer. - Nie będę marnował czasu na trupy. Kto w porę nie uciekł, sam jest sobie winny.

- Róg im łąga na oczy - zapewnił gorąco Koziółek, patrząc z nadzieją na niespodzianego sprzymierzeńca. - Pokazuje im naszych żołnierzy, myślą, że ich dużo, ale... - Broda zaczęła mu się trząść. - Ale nie wiem, ile on jeszcze da radę.

- Nawet jeśli mam tam martwego Tkacza Iluzji, to mam obowiązek obejrzyć jego trupa, panie Brinta - rzekł twardo mag, zwany Obrywem.

Koziółek pociągnął go za skraj tuniki.

- Biali mają konie - dodał cicho.

- Wezmę pięciu łuczników. - Wędrowiec skłonił sztywno głowę przed niechętnym wojownikiem, po czym oddalił się energicznym krokiem w kierunku posuwającej się wciąż traktem długiej ludzkiej gąsienicy, nie zwracając już uwagi na chłopca. Rad nierad, Koziółek potruchał za nim.

Od tej chwili wszystko zaczęło toczyć się samo, jak jajko po desce. Mag wydawał rozkazy tonem nieznoszącym sprzeciwu. W mgnieniu oka zebrało się wokół niego pięciu ludzi z długimi, wąskimi tarczami, uzbrojonych w łuki i kusze. Na polecenie Wędrowca ustawili się w zwartej grupce na poboczu drogi, za rowem.

- Ja z wami! Ja z wami! - krzyknął Koziółek rozpaczliwie, gramoląc się przez wał ziemny.

- Zmiataj do taborników, powiedz, że cię Obryw Wędrowiec Przysyła. Dadzą ci jeść i na wóz wezmą - warknął na niego mag, ale chłopiec znów złapał go za skraj tuniki. Popatrzał do góry, wprost w srogie oczy maga, i potrząsnął głową.

- Nie, nie... ja muszę do domu! Do Roga muszę, on tam sam jest!

Mag coś musiał dojrzeć w tej zrozpaczonej dziecięcej twarzy, bo raptem złagodniał.

- Mały, toż ty się ledwo na nogach trzymasz.

- Nie, ja jestem silny, bardzo silny... wcalem nie zmęczony - zapewniał Koziółek z zapałem, choć noc spędzona na końskim grzbiecie dawała mu się dotkliwie we znaki.

- To co, za przewodnika nam będziesz? - spytał mag z pobłażliwym uśmiechem.

- Tak, panie! Ja tu urodzony i calušką okolicę aż za Siostrę znam - potwierdził chłopiec, prostując się dumnie, choć z widocznym wysiłkiem.

- I nie głodnyś?

- Nie... - Koziółek przełknął ślinę i powtórzył z uporem: - Ja muszę do domu. Tam. - Wskazał kierunek.

Mag tylko pokręcił głową, po czym wyciągnął z torby mapę i zaczął ją studiować, nie poświęcając chłopcu więcej uwagi. Koziółek odetchnął z ulgą. Nie został odpędzony, więc może zabiorą go ze sobą. Żołnierze przypatrywali się malcowi z malującymi się na twarzach

rozmaitymi odcieniami sympatii i ciekawości.

- Dobrze... - Mag złożył pergamin. - Zamknąć oczy, ugiąć kolana. Żeby mi który nóg nie połamał. Dzieciak w środek. - Popchnął Koziółka lekko, a dwaj żołnierze chwycili go natychmiast za ręce.

- Nie bój się - szepnął któryś.

- Nie boję się - odparł Koziółek. Były straszniejsze rzeczy niż widok świata wykręcającego się na nice, chociażby umierający człowiek, plujący krwią na zryty kopytami piach. Posłusznie zacisnął powieki i niemalże w tej samej chwili stracił grunt pod stopami. Chciał odetchnąć, krzyknąć - nie było powietrza, nie słyszał własnego głosu. Nie czuł nic, prócz rąk żołnierzy, ściskających mocno jego nadgarstki. Otworzył gwałtownie oczy, obraz świata właśnie prostował się wokół nich jak wygładzane żelazkiem płótno.

W sekundę później poczuł silne uderzenie w podeszwy, gdy opadł na ziemię.

- Dobrze... prawie w celu - odezwał się Wędrowiec, osłaniając oczy ręką i patrząc gdzieś przed siebie. W pewnej odległości widać było łagodne wzniesienia dziedziny Dębowego. Budowla na Kozim Wzgórzu z tej odległości wyglądała jak ciemny punkt. Koziółek także osłonił oczy przed słońcem i usiłował dojrzeć, czy nieostra plamka przypomina zbite w gromadkę szopy, czy jednak forteczne umocnienia, co oznaczałoby, że Biały Róg jeszcze żyje i broni się nadal. Ze zdziwieniem zobaczył, jak mag znów sięga do swej torby, wyjmując połyskującą, mosiężną rurę i przykłada do oka.

- Co to jest? - spytał Koziółek głośnym szeptem, odwracając się do najbliższego żołnierza.

- Luneta - odparł mężczyzna z roztargnieniem.

- Ale co to luneta? - indagował Koziółek.

Łucznik mrugnął i zmarszczył brwi, patrząc z góry na chłopca. Chyba nie przywykł do upartych dzieci.

- Przez to lepiej widać. A teraz siedź cicho.

Koziółek nie miał pojęcia, w jaki sposób patrzenie w rurę miałoby komukolwiek poprawić wzrok, ale wśród magów zdarzały się dziwniejsze rzeczy - co najlepiej udowodniał sam Biały Róg.

- Przygotujcie się - rzekł mag, odrywając lunetę od oka. - Dzieciak do tyłu.

Łucznicy bez słowa zaczęli zakładać cięciwy na łączyśka. Kusznicy napinali kusze i osadzali bełty w łożach. Zdejmowali tarcze z pleców, by na ich dolnej krawędzi umocować długie kolce.

- Mały, jak tylko będziemy tam, padasz plackiem na ziemię i żebym nie widział, że choćby głowę podnosisz - odezwał się mag do Koziółka. - Rozum mi się obsunął, zem cię wziął... Pamiętaj... - Pogroził palcem. - Nos w ziemię.

Koziółek w milczeniu pokiwał skwapliwie głową.

- Gotowi? Uwaga, skok - powiedział Wędrowiec, a jeden z żołnierzy znów wziął chłopca za rękę, lecz tym razem Koziółek nie zamknął oczu. Zawisanie w przestrzeni bez czucia i powietrza było jeszcze gorsze, gdy się nic nie widziało. Pchnięty szorstko w trawę, rozpląszczył się na ziemi, tuż przed nosem mając ciężkie żołnierskie bury. Łucznik wbił w grunt kolce, stawiając tarczę pionowo przed sobą. Koziółek uniósł się na łokciach. Nad iluzyjnym fortem powiewała na drągu błękitna szarfa. Usłyszał głośny, drwiący i okrutny śmiech, który podnosił włosy na karku, a potem świst strzał i zatrwożone krzyki w obcym języku. Między pożółkłymi kitami traw dojrzał jeźdźca w oskrzydłonym kasku, który, strącony pociskiem, spadł z grzbietu wierzchowca.

- Himore! Aaaaalk! Aaaaaalk! - krzyczał ktoś głosem zdającym się nie wydobywać z

ludzkiego gardła. Słyszeć było szczekanie i kwik wystraszonych koni. A potem wszystko z wolna ucichło.

*

Mag na szczycie ostrokołu śmiał się drwiąco, szydząc z oblegających. Psy zbiegały ze wzniesienia, grożąc obnażonymi kłami. Tuan zmarnował następny bełt, usiłując zastrzelić psa, który nawet się nie zatrzymał. Pocisk przeleciał przez niego jak przez wodę, a wtedy na strzelca spłynęło zrozumienie. To były kolejne zwidy, tak jak dziwaczne tańce księżycy. I do tego niegroźne, bo jakże może człowieka ugryźć coś, co jest duchem? Taką samą ułudą był pewnie i sam mag, drwiąco szczerzący zęby ze swego wywyższonego posterunku. Za to nie byli złudzeniem łucznicy - następna strzała posłana w zarośla wbiła się w tarczę jednego ze zwiadowców. Gwałtowny ruch na prawo od fortu zwrócił uwagę tuana. Nie dalej jak dwa rzuty włócznią grupka południowców szykowała się do ostrzału. Następnym pięciu... sześciu ludzi. Robiło się gorąco.

Podmuch wiatru uderzył tuana w twarz, sypanął mu w oczy garścią liści i kwiatnych płatków. Z niedowierzaniem spojrzął na krzak, ścięty w połowie niewidzialną kosą.

- Widmo!! - ryknął nieswoim głosem. - Uciekać! Uciekać!!

Nie dbał już o to, że jego ludzie złamią szyk i poddadzą się panice. Zaatakował ich najgorszy, przeklęty przez Boga rodzaj maga: Widmo. Mógł mieć tylko nadzieję, że ktoś zdoła umknąć i ocalić szyję. Przerażeni zwiadowcy podrywali konie z trawy. Porzucali tarcze, by szybciej wspiąć się na siodło i natychmiast puścić konie w cwał. Nadaremno. Na oczach dowódcy niewidzialne ostrze odcięło za jednym zamachem tułów jeźdźca, i koński łeb - człowiek i zwierzę zwałili się na ziemię, bluzgając potokiem krwi. Drugiego bełt trafił w plecy - zawisł w strzemieniu, a koń powłókł go za sobą. Inny koń, spięty już do skoku, zniknął w mgnieniu oka bez śladu. Tuan kluczył między kępami zarośli, nisko ściągając łeb swego wierzchowca i nie po raz pierwszy żałując, że konie nie potrafią się czołgać. Raptem ciało zwierzęcia zwiotczało i upadło z głuchym łoskotem na ziemię. Jeden rzut oka starczył, by stwierdzić, że nie ma górnej części karku i czaszki, a resztkę jego łba trzymała się tylko na luźnym kawałku mięsa i skóry.

Tuan pobiegł, osłaniając plecy tarczą, w którą już po chwili zastukało kilka grotów.

- Poddaj się! - krzyknął ktoś z boku, z obcym, gardłowym akcentem.

Zmienił nagle kierunek, zapadł w trawach z mieczem w ręku. Przeczółgał się kawałek w kierunku rzeki, lecz wyrosła przed nim postać w lśniącej tunice i błękitnej szarfi.

- Poddaj się, a nie zginiesz.

- Może wolę zginąć - warknął, unosząc ostrze.

Cios pod pachę odebrał mu oddech, ból sięgnął serca. „Strzała” - pomyślał mętnie, padając na plecy. Koniec. Czuł ulgę. Nie ma wojny. Trawa pachniała tak miło... śpiewały świerszcze i zapadał zmierzch...

*

Drżący Koziółek gramolił się powoli na nogi. Fort zniknął - na jego miejscu stały znajome zabudowania. Stodoła, stajnia, opuszczony dom mieszkalny... Żołnierze rozchodzili się po stoku, wciąż jeszcze trzymając w pogotowiu łuki i kusze. Zza węgła szopy niedbałym krokiem wyszedł

Wędrowiec, zatknąwszy kciuki za szarfę, z miną człowieka, który właśnie spełnił jakiś niezbyt fatygujący obowiązek.

- Róg! Róóóóg...! - krzyczał Koziółek, wbiegając pędem na Podwórze. Mag chwycił go za ubranie, lecz nie zdołał zatrzymać.

Koziółek poczuł tylko szarpnięcie i usłyszał trzask dartego płótna. Wbiegł w otwarte wrota stajni.

- Róg!!!

Na kracie pod powałą rysował się znajomy kształt ciała, jedno ramię zwisało bezwładnie z otworu. Koziółek wspiął się po drabinie, omal nie zlatując z pośpiechu. Dopadł brata i począł go tarmosić.

- Róg, proszę! Proszę, żyjesz, prawda? Żyjesz? Powiedz coś, Róg... - nawoływał, a każde jego słowo oblewała łza.

Coś trzasnęło, zaskrzypiało obciążone drewno. Wędrowiec, który pojawił się zniemacka obok, podał Koziółkowi oddarty rękaw i z ciekawością przyjrzał się nieruchomemu Białemu Rogowi.

- A więc to jest ten Tkacz Iluzji... - rzekł z namysłem, obrzucając krytycznym spojrzeniem kalekie ciało chłopca. - Ha! Któż by przypuszczał...

Tymczasem Róg uniósł opuchnięte powieki, ukazując przekrwione oczy.

- Nie wyj, Koziółku. Żyję. - Jego głos był chrypliwy, jak zatarty piaskiem. - Przynieś mi wody. Chcę spać...

Koziółek wytarł nos rękawem.

- Dobra, zaraz przyniosę. Zsunął się po drabinie.

- Jak długo czuwałeś? - spytał Wędrowiec. - Jak długo trzymałeś ten miraż?

- Nie wiem - szepnął Tkacz. - Długo. Od wczoraj, całą noc... i dziś...

Zamknął znów oczy, wyczerpany. Mag rozejrzał się. Pusty obtłuczony garnek, w którym pewnie przedtem była woda, niedojedzony kawałek chleba, dwie kusze, trzy ostatnie strzały. Mężczyzna pokręcił głową. Samotny kaleka, który odpierał kilkunastu jeźdźców z Północy. Nie udałoby mu się, gdyby nie pomoc sprowadzona przez malca.

- Zejdźmy na dół. - Wędrowiec wziął chłopaka za rękę.

- Nnie... zmęczony - wymamrotał Tkacz sennie, zakrywając twarz ramieniem.

Mag, mimo słabych protestów Roga, objął go wpół, w duchu dziwiąc się twardym mięśniom, wyczuwalnym pod tuniką.

Rozpaczliwie nieproporcjonalnie zbudowany chłopak z pewnością był bardzo silny. Wędrowiec przemieścił się na dół i położył swoje brzemię na sianie. Do stajni wszedł jeden z żołnierzy, a zaraz za nim malec niosący oburącz garnczek bez ucha. Woda ciekła na polepę strużkami z przepełnionego naczynia.

- Panie, wszędzie czysto. Czy będą nowe rozkazy?

Wędrowiec popatrzył na wyczerpanego chłopca. Tkacz wziął garnuszek z rąk brata, wypił kilka łyków i głowa opadła mu na siano. Wyglądało na to, że zasnął natychmiast. Malec odstawił starannie naczynie, a potem siadł u boku brata.

- Nie wolno budzić Roga - orzekł stanowczo. - On jest zmęczony. On musi się wyspać.

- Słyszysz? - zwrócił się mag do żołnierza kpiącym tonem. - Pan musi odpocząć. Zostaniemy tu z godzinę, potem powrót. Postaw wartę od zachodu i północy.

Dzieciak ziewnął rozdzierająco, potarł oczy, a potem uszczypnął się w ucho, marszcząc się gniewnie.

- Idź spać - rzucił Wędrowiec, sadowiąc się na dolnym szczeblu drabiny.
- Nie, ja będę go pilnował.
- Od pilnowania są tu wojacy. Spać, smarku.

Chłopaczek spojrział na niego nieufnie. Potem dotknął ostrożnie potężnego ramienia brata, jakby chciał się przekonać, że faktycznie tam jest - żywy.

- Kochasz go, co? - spytał cicho Wędrowiec. Malec kiwnął głową.

- Róg jest najlepszy ze wszystkich - odpowiedział równie cicho. - Ja bym wszystko zrobił, co by mi kazał. No, prawie... - dodał po chwili ucziwie. - Bo jak mi kazał uciekać, tom został. Ale co inne to wszystko. Róg zabił dwóch białych nasampierw - ciągnął chłopczyk, znów trąc oko. - A potem obaczyli, że się po sąsiedzku pali i inni jadą. No to on pokazał im wojsko, coby się zlekli, jednego zastrzelił. Ja potem przyniosłem mu kuszę od tego zabitego. - Dzieciak wzdrygnął się nieznacznie. - Ale białych było za dużo, to mnie Róg wysłał do traktu.

- Dlaczego zostaliście tu sami? - spytał mag.

Powoli z nieco chaotycznej opowieści malca dowiadywał się całej historii o ucieczce, upadku z konia i mozolnej wędrówce z powrotem na Kozie Wzgórze, o ataku białych, rzezi na podwórzu i walce Białego Roga. Trudno orzec, który z braci był odważniejszy. Czy ten, który zrobiłby wszystko, by ratować młodszego brata, czy ten dzieciak, co przejechał kawał drogi sam, w nocy, na grzbiecie kulawego konia, aby sprowadzić pomoc dla starszego. Mały zjadł zaoferowany kawałek placka, wypił chciwie resztę wody z garnuszka.

- Śpij, ja go popilnuję - powiedział Wędrowiec całkiem już łagodnie.

Chłopiec przewrócił się na siano, ledwo mag dokończył te słowa Zwinął się w kłębek u boku brata, westchnął głęboko, natychmiast zasypiając. Mag przeniósł się z drabiny na wiązkę słomy. Gryząc źdźbło, wpatrywał się roztargnionym wzrokiem w śpiących, a po głowie chodziły mu rozmaite myśli. Między innymi pytanie: dlaczego Tkacz Iluzji tej klasy przebywał w tej zapadłej dziurze, zamiast święcić tryumfy w rozbudowującej się właśnie siedzibie Kręgu lub nawet na dworze króla? Czy chłopaka sprawdzał ktokolwiek? Ale na odpowiedź musiał zaczekać, aż obiekt tych jego rozważań dojdzie do siebie.

*

- Tak, jestem już po próbie. Tyle że moja szarfa i księga jadą na wozie gdzieś na Południe - odrzekł zapytany Biały Róg.

- Powinni cię ściągnąć od razu do Zamku Magów.

- A ja tam po co? - Róg wzruszył ramionami. - Próżniaczyć się? Zabawiać gapiów obrazkami?

Wędrowiec zaniemówił.

- Ani ja wam potrzebny, ani wy mnie - ciągnął krnąbrny młodzian, wysunąwszy szczękę. - Tu mój dom, tu moja ziemia i tu przynależę.

- No tak, pan dziedzic - mruknął mag ironicznie. - Oczywiście te twoje włości są znacznie bardziej atrakcyjne niż jakiś zakichany zameczek na południu kraju.

Tkacz Iluzji nie zmienił wyrazu twarzy, ale wypłynął na nią rumieniec. Milczał kilka chwil, w końcu rzekł z przymusem:

- Ojciec nie nazaczył jeszcze dziedzica.

Mag powstrzymał się od wygłoszenia kolejnej drwiącej uwagi. Wydawało się dość oczywiste, że ojciec chłopaka nie wyznaczy na dziedzica kogoś, komu brakowało nóg, choćby

ten brak nadrabiał z nawiązką rozumem i odwagą. Ten kawałek ziemi, którego Tkacz bronił z taką zawziętością, dostanie się zapewne młodszemu bratu, który spał jeszcze, zwinięty jak kociak. Kto wie, może to i nie najgorszy wybór. Mały jest odważny, i na głupiego też nie wygląda.

- Teraz i tak zostać tu nie możecie. Biali zjawią się tu za dzień, dwa najpóźniej.

- Spalą nam zabudowania... - wyrwało się chłopakowi.

- Podkładają ogień tam, gdzie zastają opór. To jest walka o ziemię. Lepiej im zająć gotowe gospodarstwo niż budować nowe - uspokoił go Wędrowiec. - Teraz możesz albo jechać za uchodźcami traktem w stronę morza, szukać rodziny, albo dołączyć do jezdnych z Brinta. Co zamierzasz?

- A co dla Koziółka lepsze? - odpowiedział pytaniem na pytanie chłopak.

- No cóż... - Mag udał, że się waha. - Powiadają, że na Południu bezpiecznie, ale ja bym za to ręki uciąć sobie nie dał. W tym bałaganie łatwo się zagubić, a i szakale się mnożą, tacy, co to szukają łupu, najchętniej samotnych wędrowców. W taborach wojskowych małemu i jeść dadzą, i dopilnują, żeby mu się krzywda nie działa. A ty... - Wędrowiec zmrużył oczy, pochylając się do przodu i zniżając konfidencjonalnie głos. - Ty, panie Róg, już dowiodłeś swojej przydatności w tej wojnie. Możemy się wywodzić z chłopów, a nawet niewolnych, ale z magami musi się liczyć i ten, co śpi na złocie. A ktoś, kto wstąpi w szeregi magów wojowników, po wojnie będzie mógł dyktować warunki, nie czekając na czyjąś łaskę.

- Mam okraść brata? - spytał zimno Tkacz. - To mi chcesz rzec, panie?

Wędrowiec uniósł obie ręce w rozdrażnieniu.

- Zaraz tam okraść! Ale na pewno przyda ci się zdobyć nieco poważania, o co na wojnie łatwo.

- Równie łatwo jak stracić głowę - mruknął chłopak.

- Ktoś, kto położył zasługi dla ojczyzny, nie będzie czyimś sługą. Nawet jeśli nie odziedziczysz tych nieszczęsnych pagórków, to i tak łatwiej ułożysz sobie życie.

Biały Róg milczał, obracając w palcach słomkę.

- To jak? Idziesz ze mną? - zapytał Wędrowiec pozornie niedbałym tonem.

Na plecach czuł wędrujące mrówki. Iluzja utrzymywana dwa dni... Ruchoma, szczegółowa, dopracowana iluzja. Matko Świata, to już nie był płomień talentu, lecz całe ognisko! Gdyby zdołał przekonać tego chłopaka, stworzyliby razem bardzo niebezpieczną parę, a wraz z Iskrą i Obserwatorem stanowiliby drużynę nie do pokonania.

- Nie wiem - odrzekł chłopiec.

- Dobrze... - Mag potarł zmęczone oczy. - Zawsze mogę was obu przerzucić na tyły. Kto inny powalczy o granice i będzie bronił tych nieszczęśników z garami, babami i owcą na sznurku.

To był cios poniżej pasa, mag wiedział o tym doskonale.

- Pójdę z tobą - powiedział cicho Tkacz Iluzji. W jego głosie brzmiała gorycz. - Wiem, czego ode mnie chcesz. Żebym zabijał albo pomagał zabijać swoim talentem. Właściwie żadna to już różnica, i tak obaj jesteśmy mordercami.

Ostatnie słowo padło ciężko jak kamień między mężczyzną i chłopcem. Starszy mag otworzył usta, by zaprotestować... i zrezygnował. Pomyślał o tych, których zabił dzisiejszego dnia. Walczył na rozkaz, był najemnikiem, do licha! To była wojna, a na wojnie nie ma miejsca na sentymenty. Jednak gdzieś na dnie duszy pozostawał brudnawy osad wyrzutów sumienia.

- Kiedyś Tkacze będą tylko artystami, a Wędrowcy tylko dostarczycielami przesyłek -

powiedział mag cicho. - Między innymi o to się bijemy. O to, żeby nastał pokój.
- Oby jak najprędzej - odparł Tkacz ponuro.

Sto lat później

Słońce stało w zenicie. Ciemna łata cienia łaśiła się do stóp maga. Usiadł wprost na ziemi, krzyżując nogi. Powietrze stało zgęstniałe w duchocie śródlecia i najmniejsze drgnienie nie poruszało wypłowiałych płacht cyrkowych namiotów. Pora sjeisty jak zwykle wyludniła okolicę. Ucichło nawet przeciągłe nawoływanie roznosicieli wody. Ciszę mącił tylko przygłuszony odgłos gongu, w który uderzano w pobliskiej świątyni, i niemrawe postękiwanie niewidocznych zwierząt. Mag nasunął głębiej na oczy rąbek chusty osłaniającej głowę i ramiona przed skwarem. W milczeniu patrzył na sporą pakę zbitą niedbale z desek, otwartą z jednego boku i wypełnioną wiórami wymieszanymi ze słomą. Tam również panowała cisza.

Talent Mówcy pozwalał na wyławianie ludzkich myśli i zwierzęcych instynktów nawet na znaczne odległości, a także wysyłanie własnych wieści tą samą drogą mentalnego kontaktu. Istota skryta przed jego wzrokiem w stercie brudnej sieczki cierpiała.

„...boli... pić... wody... boję się... boli... niech on odejdzie... boli... boli... wody... pić...”

Mag odbierał powolną, beznadziejną litanie na pół sformułowanych skarg.

Spomiędzy płacht najbliższego namiotu wysunęła się dziewczynka - chuda, prawie naga, odziana wyłącznie w skąpą przepaskę biodrową. Skórę miała ciemnobrązową, spaloną słońcem, za to włosy bardzo jasne. Najwyraźniej wybielone sztucznie, gdyż u nasady pojawiły się już ciemne odrosty. Pod pachą niosła zrolowaną matę, którą rozłożyła w kwadracie cienia pod wypłowiałym, pasiastym baldachimem i zaczęła na niej rozciągać szczupłe członki. Mag obserwował, jak dziewczynka staje na rękach albo wygina się karkołomnie w tył. Być może zachęcona obserwacją, przerwała ćwiczenia i podeszła do mężczyzny, stąpając na palcach po gorącym piachu.

- Mogę zrobić ci dobrze. Zapłacisz? - Głos był matowy, jakby w gardle przesypywał jej się piasek. Mag spojrzał dziewczynce w oczy. Miała spojrzenie dorosłej kobiety, która widziała już niejedno. Sięgnął w zanadrze, rzucił w powietrze drobną monetę. Została złapana chciwie i błyskawicznie schowana w fałdzie przepaski.

- Chodź. Umiem różne rzeczy...

Potrząsnął głową.

- Opowiedz mi o tym dziecku, w tej skrzyni.

Przykucnęła obok. Niewrażliwa na słońce jak mahoniowa statuetka.

- O Zwierzaku? Pewnie zdechnie. Nie wyłazi od wczoraj.

- Zacznij od początku. Mówiono mi, że to chłopiec. Z obojętną miną wzruszyła ramionami.

- Niby między nogami ma to co chłopcy, ale wygląda jak zwierz. Był u nas za wilcze szczenie. Kuraki rozdzierał przy publice, a Byk mu kazał wyc i warczeć.

Mag pokiwał głową. Jak dotąd wszystko zgadzało się z tym, co słyszał wcześniej.

- Ile ma lat ten... Zwierzak?

- Ciotka mówiła, co będzie miał ze sześć. Bo ledwo na czterech łąził, jak go tamta dziewczka Bykowi sprzedała. I tak jest tu do tej pory. Ale pewno niedługo, bo Byk go dobrze poharatał. Szkoda, bo można było jeszcze niezły pieniądz na nim zrobić.

- A Byk? Jaki on był?

Dziewczynka rzuciła magowi kose spojrzenie.

- A po co ci to wiedzieć, panie? Bydlę był i tyle. Na płacy ołgiwał, z łapami lazł, a dać nic nie chciał za to. Inni się bali, bo mocny. Ale na mocniejszego trafił, sam Los Łaskawca go ukarał i tyle.

- Widziałaś to?

Mała pokiwała głową twierdząco, a na jej wąską twarzyczkę wypłynął wyraz zgrozy i fascynacji.

- Pewno. Wszyscy widzieli.

- Opowiedz od początku i dokładnie - polecił Mówca.

- No, to było tak: pozawczoraj z wieczora Byk wrócił uchlany jak świnia. Dziw żaden... co rusz się zalewał, a wtedy lepiej było mu pod rękę nie włożyć. Zwierzaka to zawsze tłukł wtedy. Raptem krzyk się podniósł, jakby kto żywcem kota ze skóry darł. Lecę patrzeć, a Byk małego okłada. I to nie, jak zwyczajnie, batem czy kijem, ale łańcuchem, co na nim go wiązał! Ciotka rzuciła się szczeniaka ratować, bo Byk by go zatłukł na miejscu. Wzięła w łeb, aż nogami się nakryła. A wtedy Zwierzak rozdarł się jeszcze gorzej. Mało płuc nie wypuł. Bykiem o ziemię rzuciło, tarzał się i charczał, a krew z niego sikała jak z podartego bukłaka. Jak chcieli go w końcu podnieść, to połowa flaków na ziemi mu została. Wczoraj go zakopali.

Mag wyciągnął kolejny pieniążek i włożył go w dłoń oczekującego dziecka. W tej chwili nadszedł mężczyzna, który poprzednio przedstawił się magowi jako przewodnik wędrownej menażerii. Równie chudy jak jasnowłosa dziewczynka, muskularny, pokryty od stóp do głów tatuażem przedstawiającym wirujące spirale, które nadawały całej postaci cyrkowca wrażenie doskonałej anonimowości. Wydawał się rozplęwać, jakby stanowił jedynie dodatek do własnego tatuażu.

- Kotka! Nie masz roboty? - fuknął z niezadowoleniem. - Matce idź pomóc!

Mała umknęła błyskawicznie - zwinna jak łasica.

Mag wstał z wysiłkiem, zeszywniały od siedzenia w jednej pozycji.

- Przynieś wody, człowieku - rzekł do przybysza. - Ten mały umiera z pragnienia. Czy wy nie macie żadnej litości?

- Skończyła się nam z zeszłym miesiącu - odparł wytatuowany, ale wszedł na powrót do namiotu, a po paru chwilach wrócił z miską. Postawił ją tuż obok skrzyni i zastukał pięścią w drewno.

- Wyłaż, zarazo! Woda!

Z wnętrza dobiegł zduszony pisk i chlipnięcie. Nic poza tym. Cyrkowiec machnął ręką i westchnął.

- Zakatował biedaka ten drań, żeby w parszywej świnii się odrodził, skurwysyn!

- Chcę zabrać to dziecko - odezwał się mag.

- Po co? Nie dam. Mnie przynależy i tu zdechnie.

- Dość! - syknął mag złowróbnym tonem. - Zapominasz, z kim mówisz! Obraża się tu mnie od chwili przybycia. Moja cierpliwość się skończyła! Ukrywa się tu dziecko z magicznym talentem. Nie zgłosiłeś tego straży. Mały jest prawdopodobnie Stworzycielem, a ja muszę dowiadywać się tego od zawodowego plotkarza! Wyraźnie straciłeś przywiązanie do własnych kciuków. Gwardia Kręgu będzie wiedziała, co z tobą zrobić.

Zanim skończył, człowiek-mozaika już leżał w pyle z czołem pokornie przyciśniętym do ziemi.

„Tak to się zwykle kończy. Pospólstwo uprzejmość bierze za słabość” - pomyślał mag z przykrością. Rzucił dwie srebrne monety na piasek obok głowy cyrkowca.

- Jestem łagodnym człowiekiem, lecz nie należy mnie drażnić. To za chłopca. Teraz idź wyszczotkować mego konia. I dopilnuj, by napełniono bukłak, nim odjadę.

Mag został znów sam i nadal czekał cierpliwie. Woda w glinianej misie odbijała blask słońca, lśniąc jak lustro. Wreszcie słoma zaszeleściła. Mężczyzna ujrzał wyłaniającą się z niej małą, bardzo brudną dłoń. Potem chudziutkie ramię, pokryte czarną, skudloną sierścią Chłopiec, zwany Zwierzakiem, wyczołgiwał się powoli, skuszony bliskością wody. Mówca trwał nieruchomo, jakby istotnie miał do czynienia z dzikim zwierzątkiem. Dziecko rzeczywiście przypominało zwierzę - całe jego ciało pokrywało futro. Mag nie znał się na dzieciach, ale od razu wydało mu się, że to nie wygląda na sześć lat, tak było drobne i wychudzone. Za chłopcem ciągnął się łańcuch, u szyi brutalnie szcepiony zakręconym twardym drutem. Malec położył się na brzuchu i pił chciwie. Mag ze ściśniętym sercem patrzył na jego plecy, poznaczone śladami okrutnych razów. Zaschnięta krew pozlepiła włosy w sztywne kłaki. Nad dzieckiem unosił się rój drobnych muszek przywabionych wonią nieoczyszczonych ran.

„Matko Świata... - pomyślał mężczyzna. - Za to powinno się wieszać głową w dół”.

Mag trudem uwolnił chłopca od łańcucha. Przy okazji odkrył jeszcze jedną ranę - otarcie od żelaza, na szyi. Dziecko krótko stawiało opór, gdy oglądał jego obrażenia i sprawdzał, czy ma całe kości. Po prostu nie miało na nic sił, osłabione i rozgorączkowane. Z łatwością zdołał zawinąć je w płachtę jak pakunek.

*

Droga do domu nie trwała długo, lecz mężczyzna zdążył się zmęczyć upałem i nieustannym cichym skomleniem dziecka torturowanego jednostajnym ruchem stąpającego konia. Siedzibą maga była banalna budowla w pobliskim mieście, wieża kanciasta, przysadzista i nieładna, która służyła jako węzeł szybkiego zbierania i przekazywania wiadomości. Zwano ją tradycyjnie Wieżą Przekazów lub Wieżą Mówcy. Takie budynki stawiano w każdym mieście, które na mapie oznaczone było kropką choć nieco większą niż ślad po musze. Istniała także jeszcze jedna wspólna cecha tych budowli: wszystkie zwyczajowo były ponure i brzydkie.

Z biegiem lat Mówca przestał zauważać tę brzydotę. Zresztą wieża służyła mu tylko za pracownię i bibliotekę. Na tyłach stała niska przybudówka, gdzie miał swoje niewielkie gospodarstwo - kilka pomieszczeń. Sypialnia, spiżarnia, składzik i przede wszystkim kuchnia, gdzie koncentrowało się życie domu i władza Petunia. Od dwunastu lat prowadziła dom maga, od jedenastu byli kochankami, a wciąż Petunia zwracała się do niego: „panie Bukat”, z szacunkiem należnym członkowi Kręgu Magów, bo „porządek w świecie musi być”. Poza tym zachowywała się jak żona i gwardzista cesarski jednocześnie. Jej przewidywana reakcja trochę niepokoiła mężczyznę. Gdybyż jeszcze chłopczyk nie wyglądał tak, jak wygląda. Mimo najszerszych chęci znalazł w nim tylko jeden element, który można było nazwać ładnym. Oczy. Dość szeroko rozstawione i skośne - nie bez racji nazywano taki kształt znamieniem maga - miały wyjątkowo interesujący odcień złotawego bursztynu.

Tak jak przewidywał, Petunia aż klasnęła w ręce, wydziwiając nad niespodzianym nabytkiem gospodarza.

- Panie Bukat, a cóż toto jest?!

- Dziecko, Petunio. Chłopiec.

- Wygląda jak szczur, co zdechł przed tygodniem - oceniła trafnie kobieta.

- Nie marudź, Petunio. Przygotuj coś do jedzenia i wodę do mycia. Ciepłą, nie gorącą. Należy delikatnie się z nim obchodzić.

- Koty i dzieciaki piją mleko, to może i ten też. A wody zaraz nagrzeję. Czy toto choć raz w życiu było myte, panie Bukat?

- Nie przypuszczam. Idź już, Petunio, muszę się skontaktować z wieżą Szklanego. I tak się spóźniłem.

Poszła wreszcie. Złożony na ławie tłumoczek nie dawał znaku życia, ale mag wyczuwał, że chore dziecko jest mimo wszystko przytomne. Skupił się i rozwinął ścieżkę mocy, sięgając do jaźni Szklanego - Mówcy rezydenta w mieście oddalonym o dwa dni drogi. Wewnątrzwidzenie ukazywało mu świetliki ludzkich istnień, zgęstki energii, do których mógł sięgać i poznawać ich najskrytsze sekrety. To jednak przestało go bawić już dawno, jeszcze w głębokim dzieciństwie. Myśli zwykłych ludzi były przeciętne. Zwykle pozbawione namiętności, szare i przyziemne. W tym natłoku ludzkich iskier Szklany płonął jak świeca. Bukat nigdy nie spotkał go twarzą w twarz, lecz mimo to byli bliskimi przyjaciółmi.

„Szklany, tu Bukat”.

„Spóźniłeś się. Jakie wieści?”

„Plotka była prawdziwa. Mam chłopca u siebie. Przekaż wiadomość do Kręgu, że wstępne określenie talentu brzmi: Stworzyciel”.

Bukat wyczuł nagłe podniecenie drugiego Mówcy. Stworzyciele władali materią. Byli najwyższą, najpotężniejszą i najbardziej uprzywilejowaną kastą w Kręgu Magów. Odkrycie samorodnego talentu wśród plebsu było niecodziennym wydarzeniem.

„Jak wysoki poziom talentu?”

„Na tyle, że dzieciak urodził się pokryty sierścią. Czyli może okazać się nawet większy, niż się spodziewamy. Potęga. Orzeł wśród jastrzębi. Przekaż też, że talent objawił się bardzo późno - chłopak ma już około sześciu lat”.

„Okoliczności... ?”

„Rozszarpał człowieka, który mu zagrażał. Jest w złym stanie. Był głodzony i bity. Zdziczałe dziecko”.

„To może być sporym problemem”.

„Na razie chcę go jedynie utrzymać przy życiu, Szklany, a potem będziemy martwić się resztą”. „Ma jakieś imię?”

Bukat zawahał się. „Zwierzak” nie było dobrym imieniem. Określało zbyt dosadnie wygląd dziecka i było wręcz obraźliwe. Jeśli chłopiec miał w przyszłości zostać magiem wysokiej rangi, takie miano było niedopuszczalne.

„Nie. Nie można nazwać tego imieniem. Później wybiorę mu coś odpowiedniego i oficjalnie zarejestruję u Strażnika Słów. Muszę kończyć. O zmroku przekażę ci zwykły zestaw wiadomości od klientów. W końcu za to płacą”.

„Powodzenia, Bukat”.

„I tobie, Szklany”.

*

Wezwany medyk powycinał kosmyki z pleców małego Stworzyciela, by oczyścić jego rany. Zaakceptował też pomysł kąpieli.

- Jest bardzo potłuczony. Rany są rozległe, ale na szczęście nie głębokie, więc powinny zagoić się bez śladu. Z wyjątkiem tego... i tego tutaj - mężczyzna wskazywał odpowiednie miejsca. - Tu są przecięte mięśnie. Przy tym łańcuchu musiało coś być. Kawałek metalu, hak... coś w tym rodzaju. Jeśli nawet będziesz malca kąpać codziennie, pani Petunio, na pewno nie zaszkodzi, a może pomóc. Utrzymujcie go w czystości, zwłaszcza ze względu na to futro. Na zranienia starczy zwykły wywar z szałwi. Zostawię też proszek z mącznika. Nie trzeba zakładać bandaży, tylko posypać tym po wierzchu. Wtedy rany nie będą się sączyć. Na gorączkę napar z wierzbowej kory. A przede wszystkim trzeba go odkarmić. Pięć lekkich posiłków dziennie. Rosół, jarzyny, białe mięso i mleko.

Petunia wymownie spojrzała na maga. „Pan Bukat ma fanaberie, a cała robota spada na biedną kobietę” - można było wyczytać w jej wzroku.

- Mleko - szepnął chłopiec, powtarzając ostatecznie słowo medyka. Cała trójka wlepiła w niego wzrok. Do tej pory wykazywał tyle inwencji co przedmiot. Przełykał wodę i mleko, jeśli wlało mu je łyżką do ust. Pozwalał się przenosić z miejsca na miejsce. Przewracać z boku na bok, oglądać i dotykać. Zrezygnowany i obojętny, jęczał tylko cichutko przez zaciśnięte zęby, jeśli obce ręce sprawiały mu ból.

- Lubisz mleko? - spytał łagodnie Mówca, pochylając się, i popatrzył w oczy dziecka, jednocześnie sięgając do jego przytępionego gorączką umysłu.

„...wszystko inne... inaczej... co się dzieje... co robią... boli... nie biją... boli... spać... czy lubisz mleko... mleko... mleko...” Bursztynowe oczy zamknęły się powoli.

- Rozumie, co się do niego mówi, ale chyba potrwa, nim znów się odezwie - powiedział mag, prostując się. - Jest całkowicie zdezorientowany. Zdaje się, że nigdy nie widział domu od wewnątrz.

- Nadchodzą dla ciebie ciekawe czasy, panie Mówco - rzekł medyk tonem jednocześnie proroczym i kpiącym. - Zdecydowanie ciekawe.

- W życiu czegoś takiego nie widziałam - burknęła Petunia, wyzymając myjkę. - Zapchlony jak kundel śmietnikowy. Litość bierze. Niech go pan wyciągnie. Najchętniej wygotowałabym toto jak ścierkę.

Trzecia woda była jasnoszara z różowym odcieniem, bo odmożyła się większość strupów i zranienia na nowo zaczęły krwawić. Osuszony, opatrzony, napojony nową porcją mleka i wierzbowego naparu chłopczyk zapadł w ciężki sen człowieka wyczerpanego i zszokowanego do ostateczności. Zmęczony mag patrzył na kosmatą głowę złożoną na bieli prześcieradła. Wilgotne kosmyki schły i coraz bardziej jaśniały. Po zmyciu wieloletnich pokładów brudu wyłonił się spod nich naturalny kolor - brązowy, w odcieniu pestek jabłka. Mówca dotknął ostrożnie głowy dziecka. Włosy były miękkie i przyjemne w dotyku.

- No proszę, nie jesteś taki brzydki, mój mały - szepnął Mówca.

*

Pierwsza woda, jaka spłynęła z małego dzikusa, była czarna jak tusz do pisania. Druga - ciemnoszara. Mokry Bukat desperacko walczył z okropnie wystraszoną malcem, który skądś raptem wykrzesał z siebie ukryte siły. Na przedramionach mag miał czerwone kreski po paznokciach i ślady zębów - zapłatę za doświadczenie, w jaki sposób należy trzymać dziecko, które bardzo nie chce być umyte. Najlepszą metodą okazało się skrzyżowanie jego rąk na plecach i utrzymywanie w tej pozycji. Jednocześnie należało uważać, by dzieciak nie zrobił

sobie większej krzywdy, waląc głową w krawędź balii. Magowi cierpła skóra na myśl, że mały w każdej chwili może uznać całą operację za zagrożenie życia i użyć talentu. W pewien sposób przypominało to kąpanie tygrysa w cebrzyku.

- Spokój! - krzyknął wreszcie ostro. - Skórę ci złożę, jak nie przestaniesz!

Wrzask urwał się, jak nożem uciął. Chłopiec zamilkł, przestał się wyrывać. Dygotał tylko jeszcze, szczękając zębami.

Zalecone przez lekarza pięć lekkich posiłków okazało się jedynie piękną teorią. Malec mógł pochłonąć każdą ilość jedzenia w dowolnej porze, łącznie ze środkiem nocy. Gdy tylko spadła mu gorączka, odzyskał apetyt, który przerósł wszelkie oczekiwania Petunii. Biedna kobieta miała wrażenie, że wrzuca jedzenie w studnię. Wreszcie straciła cierpliwość.

- Nie żałuję mu, ale wszystko ma swoje granice, panie Bukat. Nie można tak przekarmiać dzieciaka, jak pan każe. On zjada na zapas, a czego nie może w siebie wepchnąć, to utyka po kątach. Onegdaj znów znalazłam ogryzki pod siennikiem. Wycwanił się i spod rąk mi resztki kradnie, jakbym nie dawała mu dość. Tak nie może być.

- Robi zapasy. Boi się, że ten dobrobyt się kiedyś skończy.

- I skończy się, jak jeszcze raz mi podłogę zabrudzi! - zagroziła zirytowana kobieta.

- Moja droga, to się przecież tylko raz zdarzyło i nigdy więcej! - zawołał mag niecierpliwie. - Nie potrafił sobie wtedy drzwi otworzyć. Teraz umie. Czego ty chcesz od tego dziecka?

- Żeby się zachowywało jak dziecko, a nie jak pies! O, właśnie o tym mówię!

Chłopiec, orientując się w jakiś sposób, że o nim mowa, wysunął się z kąta. Na czworakach, prawie sunąc brzuchem po deskach, w pokornej postawie karconego szczeniaka. Gospodyni załamała ręce.

- Panie Bukat, jak pan chce dzieciaka, to niech się pan ożeni. A jak psa, to na targu szczeniaka kupi. A nie takie coś, nie wiadomo co! Pójdziesz...! - tupnęła i malec dał drapak pod łóżko.

- Petunio, jeszcze raz coś takiego zrobisz, a cię oddalę! - rzekł Mówca z gniewem. - Za parę lat to dziecko dostanie błękitną szarfę i będziesz musiała mu się kłaniać. Przywykaj zawczasu.

- Taka to i wdzięczność, po tylu latach! - podniosła lament, zakrywając oczy fartuchem. Rozgoryczona, skryła się w kuchni i słychać było, jak trzaska tam garnkami. Mag schylił się, wzdychając, i poklepał podłogę.

- Wyjdz. No, chodź... Nic ci nie zrobię. Z braku reakcji zawołał myślą: „Chodź tu!”

Dziecko wysunęło się spod posłania. Wciąż na czworakach, gotowe skryć się na powrót. Nie myśląc, co robi, mag pstryknął palcami. Chłopczyk podniósł się, naśladowując psią pozycję „służyć” i szczeknął dźwięcznie, patrząc w oczy Mówcy. Bukat osłupiał.

- Myślisz, że jesteś psem?... - spytał z niedowierzaniem.

Malec wysunął język i zaczął dyszeć.

- No nie, dość tego - zirytował się mag. - Co ty właściwie sobie wyobrażasz?

Nawiązał kontakt z chłopięcym umysłem. Tym razem myśl dziecka była jasna i konkretna: „Niezadowolony. Dlaczego niezadowolony? Dobrze zaszczekałem. Daje jedzenie - jestem jego psem. Dobry pan. Niezadowolony. Żle. Będzie bić?”

Chłopczyk znów przypadł brzuchem do ziemi, spoglądając na mężczyznę podejrzliwie.

- Nie będę bił. Podejdz - powiedział Bukat. - Nie. Wstań. Na dwóch nogach, prosto. Tak jak człowiek.

Chłopiec posłuchał. Bukat uniósł ostrzegawczo palec. - Powiedz coś. Nie wolno szczekać!

Mały wpatrywał się w palec mężczyzny jak w głowę węża. Kilkakrotnie otwierał usta,

dyszac. Wreszcie wykrztusił:

- Nie wolno! Nie wolno! - zabrzmiało to skrajnie rozpaczliwie.
 - Czego nie wolno?
 - Mówić! Nie wolno mówić! Nie wolno biegać!
 - Dlaczego? - indagował mag z naciskiem.
 - Byk nie pozwala. Nie wolno. Będzie bić! Przyjdzie tu, będzie bić!
- Mag złapał chłopca za ramiona, zanim ten zdążył odskoczyć.
Przysunął twarz do kosmatej buzi.
- Nie ma Byka! - rzekł dobitnie. - Nie przyjdzie. Nigdy... słyszysz? Nigdy już cię nie uderzy.

Lecz w dziecięcych oczach czaiło się niedowierzenie. Nie ma Byka? Dla chłopca jego właściciel i oprawca stanowił uosobienie samego Losu - był wieczny jak okrutny i mściwy bóg. Przekroczył bramę krzyku, strachu, gniewu i cierpienia pomiędzy światem łańcucha, kija i głodu a nowym życiem u Mówcy, ale nie zdawał sobie w pełni sprawy, jakie to właściwie ma znaczenie.

*

Bukat domyślał się, że małemu tak długo wmawiano, iż jest zwierzęciem, aż w to uwierzył. Trudno było go przekonać, że jest inaczej, lecz stanowczy zakaz szczekania zaowocował. Chłopiec znał kilkadziesiąt słów (niestety, po części wulgarnych) i swobodnie nimi operował, składając proste zdania. Przyswajał też nowe wyrażenia w takim tempie, że mag doznał wstrząsu, gdy zdał sobie w pewnej chwili sprawę, iż musi kontrolować własne wypowiedzi. Dziecko nasiąkało wiedzą jak gąbka, nadrabiając stracony czas.

Nastał wieczór. Petunia szyła przy świetle oliwnej lampy, przerabiając kupioną na targu dziecięcą tunikę, nieco za szeroką na chłopca. Poprzednio ukończoną miał już na sobie, przeszkadzała mu i drapał się ciągle, gdyż nie przywykł do noszenia czegokolwiek. Mag czytał. Przewracał kolejne karty pergaminowego rękopisu, kołysany rytmem poematu.

Nie cały umrę. Powstanę na nowo
Wskrzyszony śmiechem dziecka,
Gwiazdą wieczorową.
Słowik na sercu
Gniazdo mi uwije.
W sokach drzewa,
I w ptaku dusza ma ożyje.

Na chwilę oderwał wzrok od książki. Dziecko bawiło się ściągniętym z półki lustrem. To wpatrywało się we własne odbicie, to odwracało wypolerowany kawałek stali na matową stronę, zastanawiając się, dlaczego ta dziwna, przenośna dziura jest tylko po jednej.

- Co tam widzisz? - spytał mag od niechcienia.
 - Ktoś - odparło dziecko.
 - Kto?
- Chłopiec pokręcił głową, pokazał zęby, dotknął nosem zimnego metalu.
- Ja.

Mówca ucieszył się. Dziecko miało świadomość własnego istnienia. Wizerunek w lustrze był nim, a nie obcą osobą. Chłopiec położył płytkę na kolanach, chwycił się za włosy po obu stronach twarzy i ciągnął, aż oczy zrobiły mu się jeszcze węższe.

- Wrrr...ghrrr...wilk, bestia, potwór, krrwiożerrczy zwierzrz...!

Mag i Petunia wymienili posępne spojrzenia.

- Panie Bukat - odezwała się kobieta. - Ja tam nie jestem uczona, ale na mój rozum, to i koń, i pies, i kot winien mieć jakie imię, a co dopiero człowiek.

- Kiedy nic mi nie przychodzi do głowy - westchnął Mówca. - On powinien mieć specjalne imię. Dobrze imię. Nie takie wytrząśnięte z dna kieszeni.

Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem. Imiona to naprawdę ważna sprawa. Imię określało przecież człowieka. Odpowiednie mogło być tarczą przed złym losem albo samospełniającym się życzeniem, a niedobre przynosiło pecha i zwracało uwagę złośliwych duchów.

Chłopiec porzucił lustro i podreptał ku drzwiom.

- Dokąd to?

- Odląć się - odparł grzecznie, walcząc z zasuwką.

- Wysusiać - poprawił Bukat, odwracając stronę.

- Ale to przecież to samo - zdziwiło się dziecko logicznie i znikło za drzwiami.

Minęło parę minut, a za oknem zaczęły wyć psy. Przeciągłe, melancholijne „ooooooooo-ah-ah...” powtarzało się raz za razem. Jeden pies odpowiadał drugiemu, na przemian, prowadząc ten cudaczny, monotony dialog.

- Pełnia? - powiedział Mówca z roztargnieniem.

- Trzecia ćwiartka Giganta - odrzekła Petunia, nasłuchując. - Ale coś blisko te wyjce. Psa nie mamy, a to jakby na podwórzu.

Tknięty nagłą myślą Mówca wyszedł na zewnątrz. Pod ceglany murem stał jego wychowanek. Z odrzuconą w tył głową słał w rozgwieżdżone niebo wilczy zew. Zza muru odpowiadał mu pies sąsiadów.

- Bogini...! - krzyknął Bukat z pasją.

Chłopiec zachłysnął się i przerwał, po czym natychmiast zaczął się tłumaczyć nerwowo:

- Nie wolno szczekać. Ja wiem, nie wolno szczekać. Nie szczekałem. Wcale nie szczekałem.

Mag westchnął ciężko. Wyciągnął rękę.

- Chodź do środka. Co z ciebie za dziecko... Dlaczego wyłeś? To dobre dla psa.

Małec podchodził powolutku. Popatrzył w niebo.

- Gwiazdy. To ładne. Tam... - Wyciągnął rękę do góry. - I tutaj... - Drugą dłoń położył na czole.

Mówca przesunął wzrokiem po czarnej kopule nieba nabijanej świetlistymi ćwiekami. Do złudzenia przypominała przestrzeń jego wewnątrzwidzenia, gdzie gwiazdami były ludzkie istnienia. O takim pięknie poeci układali wiersze. Takie niebo było natchnieniem muzyków i płaszczem kochanków. Ale jak mógł wyrazić swój zachwyt ktoś, kto był tylko małym, bezimiennym chłopcem? Ziarnkiem piasku na brzegu bezmiaru, a jednak przeczuwającym, że w nim samym kryje się podobna potęga.

Mag i chłopiec weszli na powrót do przytulnego, jasnego wnętrza. Bukat podniósł zbiór wierszy, który spadł na podłogę. Jego wzrok sam zaczepił się na znakach tekstu. Machinalnie przeczytał kilka wersów:

Gdzie dzwonekowe biją serca,

Spoczywamy wśród rozwalin

Pni stuletnich. W mchu kobiercach.

Nocni śpiewacy drumle stroją,

Czekając, aż się księżyc wtoczy.

Smokom gorąco cielsk wysmukłych

Krasnym płomieniem barwi oczy.

Przeczytał jeszcze raz. Brwi zbiegły mu się w głębokim namyśle.

- Dziecko, chciałbyś dostać nowe imię?

Zapytany skwapliwie pokiwał głową. Bukat położył mu dłoń na głowie.

- A więc od tej chwili nazywasz się Nocny Śpiewak.

- Jak pies? - spytała Petunia z lekkim zgorszeniem. Bukat roześmiał się.

- To bardzo dobre imię, Petunio. Odpowiednie. I niekoniecznie jak pies. Jak sowa, jak wilk albo cykada - wszyscy nocni wędrownicy, którzy patrzą w gwiazdy i śpiewają dla nich. Podoba ci się, Nocny Śpiewaku?

- Tak - odpowiedział chłopczyk.

Wieczór upływał, odmierzany piaskiem niewzruszenie przesypującym się w czasomierzu, jakby nie zaszło nic znaczącego. Nocny Śpiewak siedział u stóp Bukata, opierając głowę o jego kolana. Mag czytał półgłosem wierszowane dzieje kochanków z Elfięgo Lasu. Chłopiec słuchał milczący i skupiony. W jego głowie rodziły się i gasły wizje, których w większości nie rozumiał. Ale jego myśli stawały się coraz bardziej mgliste i zanim Bukat dotarł do końca, dziecko, którego imię było pochwałą nocy, zasnęło twardo zwinięte w kłębek na podłodze.

*

Na stole stały dwie miseczki - jedna z wodą, druga z kredowym pyłem. Nocny Śpiewak wpatrywał się w powierzchnię wody wzrokiem ponurym i znudzonym. Ziewnął. Nie szło mu. O co właściwie chodziło? Wodę można wypić albo ugotować na niej zupę. Kredę można rozrobić w wodzie i pobielić nią ściany. Ale zmienić jedno w drugie albo w coś zupełnie innego?

Długotrwałe i żmudne ćwiczenia, które miały umożliwić mu korzystanie z talentu, okazały się pasmem porażek. Kazano mu się skupiać, patrzeć w głąb rzeczy. Tylko głowa go od tego bolała. Podobno miał talent, który siedział mu w głowie, i miał go w jakiś sposób zmusić do pracy. A Nocny Śpiewak nie wiedział nawet, jak ten talent wygląda. Ale raczej brzydko, skoro był taki leniwy. Może jak wstrętne licho z ostrymi zębami? Niemilo mieć coś takiego w środku. Talenty innych magów były pracowitsze. Robiły deszcz, zmieniały kamienie w jabłka i różne takie... A jego talent pokazywał mu tylko, co myślą inni ludzie. Pewno, patrzeć nie męczy... Nocny Śpiewak miał same nieprzyjemności, odkąd trafił tutaj, do Zamku Magów, i musiał się uczyć takich nudnych rzeczy. Znow ziewnął. Stworzyciel, który go uczył, był niezadowolony i mówił, że Nocny Śpiewak jest „przytrzaśnięty”, dlatego nie robi postępów. Raz chłopiec przyciął sobie palec drzwiami. Bolało okropnie i paznokieć mu zszedł... ale jak można sobie przytrzasnąć talent?

- Będzie coś z tego wreszcie? - spytał nauczyciel tonem niewykazującym nadziei.

Nocny Śpiewak jednym ruchem wsypał kredę do miski z wodą, aż podniósł się biały obłoczek.

- Wapno! - burknął.

Nauczyciel zacisnęła gniewnie usta.

- Rachunki znow beznadziejnie. Od kiedy to trzydzieści osiem i siedemnaście daje razem czterdzieści? Wpisujesz, nie licząc, na chybił trafił. A historia zdobycia Pierścienia w Górach Zwierciadlanych też nie tak wyglądała. Król Żelazny zdziwiłby się, co też mu się wydarzyło według ciebie.

- Powiedz mu - zaproponował Śpiewak, mając nogami pod stołem.

- Umarł - powiedział mag chłodno.

- To źle - rzekł chłopiec. - Kiedy pogrzeb?

- Odbył się sto lat temu. Nie spodziewaj się dziś deseru.

Nocny Śpiewak spojrział spode łba i wcisnął głowę w złożone na stole ramiona.

- Pieprzyć deser - mruknął cichutko, tak żeby tamten nie słyszał.

„Mam dość - pomyślał mężczyzna. - To nie jest warte tych pieniędzy”. Głośno natomiast rzekł:

- Koniec na dziś. Na jutro zrób jeszcze raz rachunki. I przepisuj stronicę.

Zanim skończył, dziecko już stało przy drzwiach, ciągnąc z wysiłkiem ciężkie skrzydło. Nocny Śpiewak wyszedł na długą galerię i natychmiast dał upust złości, kopiąc w ścianę.

- Głupi muł! - rzucił z pasją najgorsze określenie, jakie mu przyszło do głowy. - Głupi, zasrany muł! Świnia, świnia...!

Wtem jakieś straszne cęgi zacisnęły się na jego uchu.

- Au!

- To już naprawdę szczyt wszystkiego! - rzekł rozgniewany mag. - Przypominam, że ja świetnie słyszę. Także przez grube drzwi.

Przez minutę po korytarzu odbijały się echem krzyki chłopca i świst różgi. W końcu puszczonej wolno Nocny Śpiewak uciekł i zatrzymał się dopiero w bezpiecznej odległości, gdy znikł z oczu nauczyciela. Pociągnął nosem, wygładził ubranie i potargane włosy. Z zafrasowaną miną potarł pośladki. Tym razem zarobił dość mocne lanie, ale nie należało się zbytnio przejmować. Przystawiane do bicia, jakie dostawał od Byka, te cięgi były po prostu śmieszne. Za chwilę przestanie boleć i zajmie się jaśniejszymi stronami życia. To, że obrywał różgą za pyskowanie, stało się już czymś w rodzaju tradycji. I oczywiście należało drzeć się przy tym jak najgłośniej. Nocny Śpiewak zdążył się już przekonać, że zmniejszało to karę średnio o pięć razów.

Poszedł do swej komnatki. Włazł pod wielkie łóżko, które tam stało. Nie lubił tej izby. Wydawała się za duża i za biała. Ściany były pociągnięte wapnem i gołe. A wszystkie sprzęty za wysokie, za długie albo za ciężkie dla niego. Pod łóżem miał rozłożony kawałek starej maty. Mógł się tam wyciągnąć i rozmyślać lub bawić kolorowymi kulkami. Szerokie listwy biegnące pod spodem, mające wzmocnić konstrukcję, służyły jako półki, gdzie Nocny Śpiewak przechowywał podebrane w sadzie owoce, kromki chleba, suszone winogrona, słodczyce i tym podobne zapasy. Tu czuł się bezpieczny i zadomowiony jak lis w swojej norze. Czasem też sypiał pod tym wielkim łóżem, czując się jeszcze bezpieczniej pod spodem. Wyciągnął ze skrytki niewielką książeczkę, którą dostał na pamiątkę od Bukata, i przeglądał ryciny, ssąc kawałek lukrecji. Były na nich ładne kobiety w kolorowych sukniach. Kwiaty i zwierzęta. I walczący wojownicy na koniach. Najbardziej lubił obrazek, na którym przedstawiono las w nocy. Na niebie świeciły żółte gwiazdy. Pod drzewem stał mężczyzna okryty wilczym futrem jak płaszczem i patrzył na wielkiego, czarnego ptaka siedzącego na gałęzi. Obok mężczyzny stała kobieta z bardzo długimi włosami, a u jej stóp leżał lis. Nocny Śpiewak znał wszystkie opowieści z tej książki, a ta opowiadała o Władcy Wilków i jego żonie, która mieszkała na księżycu. Bukat uczył go czytania na tej bajce. Och, Bukat... Chłopiec położył głowę na stronicy. Szkoda, że nie mógł zostać u Mówcy. Długo u niego mieszkał. Ponad rok. Ale potem Bukat zaczął chorować. Kaszlał coraz gorzej, a Petunia coraz bardziej się martwiła. A w końcu Bukat powiedział Nocnemu Śpiewakowi, że musi pojechać do Zamku, bo się tam więcej nauczy.

Wszystkiego, co jest potrzebne, żeby być magiem. W Zamku Magów było ładnie, to prawda, ale poza tym nic mu się nie udawało, chociaż starał się już od wielu miesięcy. Znacznie łatwiej byłoby być psem...

Niespodzianie skrzypnęły otwierane drzwi. Na linii wzroku Nocnego Śpiewaka znalazły się dwie pary stóp. Jedna - bosa - należała najwyraźniej do kobiety; druga - obuta w sandały - męska. Kobieta chichotała cienko. Stuknęło o podłogę postawione wiadro.

- Nie ma tego bachora. Pewnie gdzieś się włóczy. Muszę tu posprzątać.

- Nie musisz się spieszyć.

- Na pewno? Mam jeszcze kupę roboty.

- A kto się poskarży, że się próżniaczysz? Bo ja nie.

Na górze coś szurało. Chłopiec leżał cicho jak żaba w trawie. Dwa ciała przewróciły się na jego posłanie. Tuż przed nosem miał stopy mężczyzny wparte w podłogę i kobiece nogi wiszące w powietrzu.

Szeleściło, mężczyzna oddychał głośno, kobieta pomrukiwała. Nocny Śpiewak skrzywił się okropnie i wywalił język. Nietrudno zgadnąć, co robili. Chłopiec niejedno widział, włócząc się z cyrkiem. Głupie sprawy dorosłych. Na górze wreszcie ucichło.

- Pierwszy raz rznąłem się w legowisku wilkołaka - powiedział mężczyzna i zarechotał. - Czy on ma ogon? Widziałaś?

Nocny Śpiewak zamarł. Mówiono o nim.

- Może ma, ale go chowa. Ta kurwa, jego matka, pewnie zległa z psem.

Znów wybuch szyderczego śmiechu.

- Wypięła tyłek... chodź pieseczku, zrób mi dobrze... to ja, twoja suka...

Nocny Śpiewak nigdy nie przypuszczał, że może go ogarnąć gniew aż tak wielki. Zadławił go w gardle jak zbyt duży kęs. Podniósł włosy na głowie i karku. Chłopiec wbił palce w skraj maty, a w głowie wciąż brzmiał mu okrutny, drwiący śmiech tamtej pary. Bez namysłu rzucił się do przodu i z całej siły wbił zęby w nogę kobiety. Zacisnął szczęki, czując w ustach smak krwi, po czym natychmiast wyprysnął spod łóżka i jak błyskawica pognał do drzwi. Uciekał galerią goniony przeraźliwym, piskliwym wrzaskiem ugryzionej. W piersi waliły mu młoty, przed oczami latały żółte płatki. Pokonał parę zakrętów, wbiegł do ogrodu, między krzewy różane i gęszcze jaśminów. Zasył się w zieleni, pod dachem z gałązek. Przykucnął, drząc i przyciskając obie dłonie do rozpalonych policzków. Dyszał z otwartymi szeroko ustami. Patrzył przed siebie, ale nie widział niczego.

Świnie! Świnie! Parszywe świnie! To na pewno nie była prawda! Nie był wilkołakiem i jego matka nie pieprzyła się z psem! Nieprawda! Kłamstwo, kłamstwo!

Brzuch zaczął go boleć. Drżącymi rękami ściągnął ubranie. Sprawdzał całe swoje ciało kawałek po kawałku, wszędzie. Nawet tam, gdzie nie wolno się było dotykać. Obmacywał uszy i liczył zęby. Uspokajał się powolutku. Dotyk mówił mu, że niczym nie różnił się od innych ludzi, prócz okrywającego go futerka. Ubrał się na powrót, przecisnął między zaroślami, gdzie pod murem zwieńczonym balustradą jednej z galerijek stała kamienna ławeczka. Zasłonięta od strony ogrodowej ścieżki, zapomniana przez większość mieszkańców, stanowiła jeden z licznych azylów chłopca. Położył się na boku, przyciskając ręce do skurzonego żołądka.

To na pewno nieprawda. Kobieta nie może mieć dziecka z psem. Nocny Śpiewak był dość duży, by to wiedzieć. Bukat mówił, że każde stworzenie ma swoją parę. Ogier - klacz, kocur - kocięta, a mężczyzna - kobietę. Dlatego są źrebaki, kocięta i małe dzieci, a nie może być nic

między. A u Śpiewaka wszystkiemu jest winien ten przytrząśnięty talent. To przez niego ma włosy na twarzy i wszędzie. Talent wyrósł za duży, nie zmieścił się na swoim miejscu i zepsuł coś obok. Nagle chłopcu przyszła do głowy przerażająca myśl: na świecie żyły przecież centaury i syreny. Więc jak to jest?

Miał ochotę krzyczeć tak głośno, aż słońce spadłoby z nieba. Zamiast tego rozplakał się. Cicho i rozpaczliwie.

*

Róża przechadzała się ogrodowymi alejkami, podziwiając rzeźby z czerwonego piaskowca i kwiaty posadzone na klombach w pięknych, barwnych kompozycjach. Krzewy karłowatych różyczek o mocnym zapachu. Róże... ileż tu było róż - jej imienniczek. Krwawoczerwone, ciężkie głowy „cesarzowych”; smukłe, ciasno zwinięte pąki, różowe jak dziecięce piąstki; bledziutki, skromne kwiaty niczym dziewice; i te zabawne, rozczochrane, karminowe jak policzki błaznów. Mlecznobiałe, rozważnie odginające płatek po płatku, i słonecznie żółte, pomarszczone niczym zgniecione kulki papieru. Róża miała wrażenie, że chodzi wśród tłumu ludzi obdarzonych indywidualnymi charakterami. Nie spieszyła się. Jej czas pracy rozpoczynał się wieczorem, a kończył zwykle nad ranem. W Zamku Magów przebywała od dwóch tygodni. Dom uciech, w którym pracowała poprzednio, był jednym z najlepszych. Od dziewcząt wymagano nie tylko umiejętności rozkładania nóg. Róża umiała śpiewać, recytować i grać na lutni. Ćwiczyła z uporem taniec składający się w większości z erotycznych przegięć ciała. Walczyła o lepsze miejsce, lepszy los i wygrała, podpierając nieprzeciętną urodę kunsztem wykonywania profesji kurtyzany. Od dwóch tygodni przebywała w miejscu, które tak niedawno wydawało jej się krainą marzeń. Ale nawet dziesięciu dni nie trwało, by wyrobiła sobie odpowiednie spojrzenie na to miejsce i zdobyła kilka doświadczeń. Zamek okazał się, zgodnie z przewidywaniami, miejscem zachwycającym i bogatym. Stanowił samowystarczalne miasto w mieście. Ogromne - łatwo było zabłądzić! Ale sami magowie... różnili się od innych mężczyzn tylko jednym elementem, wytatuowanym nad lewą piersią znakiem swej profesji. Po zdmuchnięciu świecy znikala nawet ta różnica. Niebawem dziewczęta przebywające tu dłużej od Róży, z uciechą powtarzały między sobą „podział Różyczki”: „z wyszynkiem; po małżeńsku; witaj-żegnaj”. Pierwsze oznaczało miły posiłek z czerwonym winem i muzyką, a potem długą, pracowitą noc; drugie coś jakby obowiązek męża wobec żony; a trzecie coś nieznośnego, co stawiało miłość na równi z czyszczeniem zębów.

Dziewczyna szła dalej, uśmiechając się do tych myśli. Zabawne... tak, to było rzeczywiście zabawne. Ach, ci magowie...! Ci mężczyźni...! Przeszła pod bluszczowym łukiem i znalazła się w innej części ogrodu. Wszystko rosło tu jak chciało i sprawiało na pierwszy rzut oka wrażenie dzikości oraz lekkiego zaniedbania. Róże rozkrzewiały się bujne i roztrzepane. Biało nakrapiany jaśmin stroszył gałązki. Wierzby zamiatały swymi zielonymi włosami trawniki pełne sto-krotek i fioletowych „kocich pyszczków”. Ładnie tu było. Gdzieś w zaroślach ptak wygwizdywał uparcie wciąż ten sam motyw, a tuż obok ktoś szlochał.

Kierując się słuchem, rozgarnęła gałęzie. Na małej ławeczce tuż pod murem leżała mała postać wstrząsana łkaniem. Płaczące dziecko. Dziewczyna widziała jego plecy, część głowy i podkurczone nogi. Ubranko nie różniło się od setek innych należących do małych chłopców w całym cesarstwie: krótka tunika związana paskiem z tkaniny, spodenki przed kolana, sandałki ze sznurówką. Ale prócz tego dziecko nosiło coś w rodzaju futrzanych pończoch.

„W takie gorąco? - zdziwiła się Róża. - I czemu tak rozpacza? Biedny dzieciak”.

- Hej... - zaczęła i aż się wzdrygnęła, zaskoczona. Chłopiec wrzasnął z przestachu, omal nie spadając z ławki. Odwrócił się, wlepiając w nią pełne lęku spojrzenie. Róża oniemiała. Skośne, bursztynowożółte oczy dziecka osadzone były w gąszczu brązowych włosów. Widoczne były jedynie te oczy, skrawki nozdrzy i wargi - wygięte w podkówkę. To, co Róża wzięła za pończochy, okazało się integralną częścią ciała. Cały dzieciak porośnięty był sierścią. Ciemne kosmyki zrudziały na końcach od słońca i dziecięca głowa przypominała przywiedły kwiat chmurnika. I może to skojarzenie sprawiło, że Róża natychmiast się uspokoiła. Słyszała już o tym chłopcu. Plotki docierały wszędzie, lecz tak fantastyczne i bezładne, że dziewczyna nie wierzyła nawet w połowę. Nie zaprzętała sobie też tym głowy. Nie widziała dotąd „małego wilka” i po prawdzie sądziła, że trzymają go gdzieś w zamknięciu. Usiadła obok chłopca.

- Dlaczego płakałeś?

Nic nie odpowiedział, wycierając rękami mokre oczy i nos.

- Życie jest ciężkie, co? Przeskrobałeś coś? Dostałeś w skórę? - Tylko taki powód do płaczu przychodził dziewczynie do głowy.

- Yhy... - mruknął niechętnie, nie patrząc na nią. - Ale nie mocno - dodał zaraz. - To nie dlatego.

- No to dlaczego?

- Nie powiem - rzekł ponuro.

- Mam na imię Róża, a ty?

- Skaranie Losu, i skończę na galerach - burknął nieuprzejmie.

- A tak naprawdę?

- Nocny Śpiewak - powiedział, spoglądając na nią ukradkiem. - Bo jestem podobny do wilka. A wilki śpiewają. W nocy.

- Nie tylko wilki - zauważyła od niechcienia. - Koty na przykład też.

- Aha... Dziś w nocy pieprzyły się pod oknem i nie mogłem spać - rzuciło dziecko tonem doskonale niewinnym, a Róża osłupiała. Z trudem zamaskowała wybuch śmiechu krótkim atakiem kaszlu. Co za dziwny dzieciak.

- Ile ty masz lat, mały?

- Osiem.

Malec ożywił się trochę, a Róża przypomniała sobie o zawartości torebki, zawieszanej u paska. Jeśli to stworzenie choć trochę Przypomina zwykłe dziecko, na pewno lubi słodkie.

- Chcesz ciastko?

Złapał je łakomie, szybkim ruchem płochliwego zwierzątka, lecz ku zdumieniu Róży nie pochłonął go natychmiast, lecz rozłamał na dwie części. Jedną pieczołowicie schował do kieszeni, a drugą wpakował do ust w całości.

- Ciaftek ni ma cozenie. Tfeba zaofcendzać - wyjaśnił z pełną buzią.

Przełknął, prawie się dławiąc.

- Masz jeszcze? - spytał z nadzieją. - Bo ja pewnie nie dostanę dziś obiadu.

Pokręciła głową.

- Niestety, nie.

- No to szkoda. Róża. Ładnie się nazywasz - powiedział po krótkiej chwili. - Co ty tu robisz?

- Siedzę na ławce i rozmawiam z tobą - powiedziała przekornie.

- Nie. Co robisz tu, w Zamku. - Zatoczył koło kudłatą łapką. - Bo ja się uczę czytać i liczyć, i

jak być Stworzycielem. A ty?

Róża zawahała się na sekundę.

- Sprzedaję miłość - rzekła prawdomównie. Tego malca chyba to nie zdziwi. Zdumiała się jednak sama, widząc, jak jego twarzyczka rozjaśnia się w słonecznym, zachwyconym uśmiechu, jeszcze bardziej niż dotąd przypominając rozczochrany kwiatek.

- Oochchch... - westchnął z podziwem. - Miłość... W kawałkach? - zapytał natychmiast rzeczowo.

- Na godziny - sprostowała, walcząc z całych sił z atakiem wesołości. - Wybacz, muszę już iść.

Poderwała się z pośpiechem i po prostu uciekła. Prawie całą drogę chichotała.

*

Następny dzień, przynajmniej przed południem, nie odbiegał od normy. Róża obudziła się późno, jak zwykle odsypiając godziny pracy. Umyła się w zimnej wodzie, odpędzając resztki senności. Upięła włosy w koronę dokoła głowy. W króciutkiej tunice, boso, zaczęła ćwiczyć. Tak, jak uczono ją w siedzibie cechu. „Ciało to twe narzędzie - powiedziała jej na początku kobieta starsza dwa razy od niej, a wciąż piękna i zadbana. - Dbaj o nie. Kiepskie narzędzie - to kiepska praca i kiepska płaca”. Zapamiętała to dobrze. Skrupulatnie wykonywała ćwiczenia podpatrzone u zapaśników i szermierzy, wyginała ciało jak akrobatka lub wybijała bosymi stopami wesołe rytmy ludowych tańców.

Przerwała, zmęczona. Wycierając się ręcznikiem, sięgnęła po dzbanek z wodą. Jej ręka nie dotarła jednak do celu.

- Róża...

Rozejrzała się szybko. Na parapecie uchylonego okna, zaczepione o jego brzeg, tkwiły dwie dziecięce, nieco przybrudzone dłonie. Znad deski wystawał wierzch głowy i para skośnych ślepek. Róża obciągnęła swój kusy strój, bezskutecznie usiłując zakryć uda.

- Nocny Śpiewak! Jak mnie tu znalazłeś?

- Gwiazdy mi pokazały. Tutaj - powiedział nedorzecznie, pukając się palcem w głowę. Róża postanowiła nie pytać o szczegóły. Nocny Śpiewak wdrapał się na okno i usiadł okrakiem na parapecie jak na koniu.

- O, ładnie tu - ocenił. - Masz obrazki. I kwiaty. Ale... - zawahał się i dodał niepewnie: - Dlaczego ty tutaj mieszkasz? To jest dom dla dziwek!

Róża oparła ręce na biodrach z miną niewróżącą nic dobrego.

- Jak jeszcze raz nazwiesz mnie dziwką, to obedrę cię z tego futra, ty wstrętny smarkaczu! Dziwki stoją na rogach ulic, a ja pracuję dla Cechu! Mam podpisany kontrakt!

- Aahaaa... - rzekł chłopiec niepewnie. Chyba niewiele zrozumiał. Zeskoczył z okna do wnętrza i podszedł do małego stolika zastawionego armią słoiczków i pudełeczek, zawierających balsamy, perfumy oraz szminki.

- Bo ja... bo ja pomyślałem... - Położył na blacie garść miedziaków. - Starczy?

- Na co? - spytała Róża, czując, że sytuacja zaczyna przerastać.

- Na trochę miłości - powiedział nieśmiało. - Nie mam więcej, ale może troszeczkę? Mówiłaś, że to sprzedajesz.

- Jesteś za mały! - jęknęła Róża. - Czyś ty oszalał? Wynocha!

- Wiedziałem, że będzie drogo - rzekł Nocny Śpiewak z goryczą.

- Nie o to chodzi...!

Przerwał jej:

- Wiem, jestem brzydki, dlatego nie chcesz.

Dziewczyna złapała się za głowę i z rozmachem usiadła na wyścielanym krześle. Jak z tego wybrnąć, nie uciekając się do przemocy? Najłatwiej byłoby wyrzucić chłopca tą samą drogą, jaką przybył. Na Miłosierdzie Losu, co to stworzenie sobie wyobraża?

- Masz osiem lat! Nie możesz iść ze mną do łóżka! Jesteś dzieckiem! - krzyknęła z pasją.

- A po co ja miałbym wchodzić z tobą do łóżka?! - odwrzasnął równie głośno. - Po co ci łóżko, żeby mnie pogłaskać?!

- Pogłaskać...? - spytała Róża ze zdumieniem i znacznie ciszej.

Coś jej zaczęło świtać.

- Pogłaskać... przytulić... - mruknął, zawstydzony. - Czy ty aby na pewno sprzedajesz miłość? - spytał podejrzliwie.

- Ahm... yhm... Prawdę mówiąc, dopiero zaczynam. Nie mam... doświadczenia.

- Powinnaś mnie wziąć za rękę - pouczył ją poważnie. - Możesz mnie nie całować, jeśli nie chcesz - zapewnił szybko. - Potem pogłaszcz mnie po głowie i powiedz „słoneczko”, albo „mój kotku”. I jeszcze „kocham cię, skarbie”.

Róży zachciało się śmiać. Powstrzymała się jednak, przeczuwając, że chłopczyk byłby bardzo urażony.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy?

- No, jak to skąd? - odparł godnie. - Oczywiście mam. Widzi się na mieście, co matki robią ze swoimi dziećmi, no nie?

- Aha, a więc „słoneczko”, „mój kotku”... może być „ptaszyno”?

- Szybko się uczysz.

*

Nie ma co, przyprawił Różę o lekki ból głowy. Czowała się jak przy najbardziej wymagającym i kapryśnym kliencie, a jednocześnie musiała walczyć z chęcią wybuchnięcia śmiechem, gdy rozmawiał z nią poważnie o rzeczach, które dla niej były tak zwyczajne, że przestała je zauważać, a dla niego stanowiły absolutną egzotykę.

Wkrótce zorientowała się, że nigdy nie widział od środka zwyczajnego domu, gdzie żyli obok siebie rodzice, dzieci i dziadkowie. Nie bawił się z innymi dziećmi. Nigdy nikt nie zaprowadził go do świątyni, ominęły go w jakiś sposób coroczne parady ku czci Bogini. Nie wiedział ani gdzie się urodził, ani dokładnie kiedy. Na pytanie o rodziców skrzywił się tylko. W jego pojęciu „miłość” była okazywaniem czułości, do której tęsknił; na sprawy ciała znał parę wulgarnych określeń i były one według niego całkiem oddzielone od uczuć.

Prawie obraził się, gdy chciała mu zwrócić jego drobnaki. Targ jest targiem, porządek musi być!

- Czy mogę jeszcze kiedy przyjść? - spytał na odchodnym.

- Oczywiście - uśmiechnęła się. - Ale następnym razem zamiast pieniędzy przynieś mi coś innego. Na przykład kwiaty.

- To będzie w porządku? - upewnił się.

- Jak najbardziej - uspokoiła go. - Jestem damą, a damom nie płaci się pieniędzmi. Tylko nie obrywaj wszystkich róż z krzaków, bo ogrodnik cię stłucze.

*

Nocny Śpiewak przychodził często, ale nigdy jej nie przeszkadzał. Skądś wiedział, kiedy jest zmęczona, śpi lub jest zajęta i zjawiał się tylko wtedy, gdy miała dla niego czas. Wkrótce dowiedziała się o nim więcej i nawet „gwiazdy w głowie” przestały być dla niej niezrozumiałe. Mały kandydat na maga bawił Różę, a jednocześnie miała dla niego wiele współczucia. Tak bardzo pragnął, by ktoś go zwyczajnie lubił. Tyle wycierpiał. Świat był dla niego tak nieprzychylny. Chłopiec nie zjawiał się nigdy inaczej, jak z pękiem kwiatów i dziewczyna czuła się po części jak adorowana księżniczka, a trochę jak starsza siostra. Inne mieszkanki domu uciech podśmiewały się dobrotliwie, nazywając Różę „Dumą z Pieskiem”. „Zazdrościcie, że kocha się we mnie Stworzyciel - odcinała się z humorem. - A dla mnie tylko to dobre, co najlepsze”.

- Jesteś śliczna - powiedział kiedyś Nocny Śpiewak do swej przyjaciółki. - Śliczna jak... jak... ciasto z konfiturą.

- Dziękuję - odrzekła. - Jeszcze nikt mi nie powiedział czegoś takiego.

W końcu zdobyła się nawet na delikatne wyjaśnienie, dlaczego pracuje późnym wieczorem i co właściwie robi. Wbrew jej obawom Nocny Śpiewak zniósł to nadspodziewanie spokojnie. Rzekł tylko pobłaźliwie:

- Samymi kwiatami nie można się najeść. Jasne, że jakoś musisz dorabiać.

I tak trwała ta dziwna przyjaźń, niezmacona żadnym cieniem. Aż do chwili, kiedy pojawił się ktoś trzeci.

*

Trudno było nie zauważyć Zamku Magów. Wiatr Na Szczycie wędrował ulicami miasta, kierując się widokiem pięciu ogromnych wieżyc, które celowały w niebo, jak pięć palców dłoni olbrzyma. Cieszyły jego oczy po długiej podróży przez kraj płaski jak placek wyciągnięty spod czyjegogo tyłka. Wieże te w pewien sposób przypominały mu górskie szczyty, gdzie narodził się i żył aż dotąd. I których, po prawdzie, wcale nie chciał opuszczać. Ale układ to układ.

- Krąg jest potęgą - rzekł Wiatrowi szaman, któremu wiek nie przyciemnił umysłu, lecz wyostrzył go jak igłę. - Odpowiedz na wezwanie z Południa. Hajgowie potrzebują stali na broń i narzędzia. Soli, która wzmocni naszą krew; i ziarna, jeśli zbiory będą niepomyślne. Magowie mogą dać nam pszenicę, co wszędzie nawet na kamieniu. A ty jesteś przecież magiem.

- Przed tym jestem wojownikiem, Wilkiem Wajetów - odparł.

- Pani Lawin wie lepiej i dlatego wstrzymała wiadomość, aż nastał czas sprzyjający. Chłopiec, którego uczyłeś, został już mężczyzną. Skończyłeś jedną pracę, nastał czas drugiej. Idź.

W taki sposób Wiatr znalazł się wreszcie w miejscu podległym Kręgowi Magów. Tłok i gwar miejski drażnił go. Pogardzał tym tłumem. Ludzie, którzy kręcą się to tu, to tam, bez widocznej przyczyny, a jazgocą przy tym jak wściekłe norniki, muszą być niespełna rozumu. Zwracał na siebie powszechną uwagę, lecz ustępowano mu skwapliwie z drogi. Wiatr Na Szczycie był mężczyzną dużym i muskularnym. A że dodatkowo niósł miecz przytroczony na plecach i okuty żelazem kij w rękę, jego widok zniechęcał do zaczepek. Raz i drugi usłyszał za plecami obraźliwe słowo, lecz puścił je mimo uszu. Nie lubiono tu Hajgów. No i dobrze,

nawzajem!

Przy wielkiej bramie, prowadzącej do samego Zamku, zatrzymali go strażnicy, krzyżując mu włócznie tuż przed nosem.

- Tu nie wolno wchodzić obcym - usłyszał.

- Mnie wolno. Jestem magiem - odparł.

Miny strażników wyrażały niepewność. Nie uwierzyli. Trudno byłoby uwierzyć, mając przed sobą kogoś w stroju hajgońskiego górala, z klanowymi tatuażami na twarzy, zwyczajowo przyciętymi uszami i na dodatek z bronią.

- Okaż więc znak Kręgu, panie - zażądał gwardzista, na wszelki wypadek tonem jednak znacznie uprzejmiejszym.

Wiatr Na Szczycie zafrasował się lekko. Tatuaż profesji miał otrzymać dopiero tutaj, a pergamin z wypisanym wezwaniem beztrąsko wyrzucił jeszcze w górach. Na co mu to, skoro i tak nie umiał czytać? Poradziłby sobie dość łatwo z tymi dwoma, ale czy warto wszczynać bójkę pod bramą? Nie, znacznie lepiej...

Obok Wiatru Na Szczycie pojawił się drugi, a potem trzeci - identyczny z pierwowzorem.

- To Tkacz Iluzji! - zawołał żołnierz z ulgą.

- Panie, mamy obowiązek meldować, kto tu wchodzi - rzekł drugi, całkiem już pokornie. - Czy możesz nam podać swoje imię i rangę?

- Wiatr Na Szczycie... błękitny - Hajg w samą porę przypomniał sobie określenia rozgraniczenia mocy talentów na czarne, czyli słabsze, i błękitne - mistrzowskie. Przeszedł pomiędzy strażą odprowadzany zdumionym wzrokiem gwardzistów. Będą mieli co opowiadać przy wieczornym kuflu piwa.

Niebawem pożałował, że nie spytał przy bramie o drogę. „Zgłosić się do mistrza Stworzycieli Mosiądzia w Wieży Wschodniej”. Ech...! Ogarniało go coraz większe niezadowolenie. Wieża Wschodnia tkwiła przed jego oczami jak gwóźdź w desce, za to w żaden sposób mógł do niej trafić. Czuł się jak ostatni dureń. Przemierzał dziedzińce, plątał się po warzywnikach, trafiał do pomieszczeń dla służby i rzemieślników. Wybierał coraz to inne drogi, które zwykle kończyły się ślepym murem między ścianami budynków lub sprowadzały go na manowce. Skręcił wreszcie w jakiś zaułek, rozejrzał się, czy nie ma niepożądanych świadków i dał ulgę pęcherzowi.

Szelest za plecami sprawił, że błyskawicznie się obejrzał. W ścianie domu umieszczone było malutkie okienko należące prawdopodobnie do składziku lub spiżarki i właśnie między prętami przeciskało się stworzenie podobne jakby nieco do rosomaka. Wiatr Na Szczycie bez namysłu złapał je za kark i wywłókł na zewnątrz. Trzymał bez wysiłku swą zdobycz na wysokości ramienia i zastanawiał się, co robić dalej. Gdyby nie sierść, byłby pewien, że złapał małego złodziejaska, a gdyby nie ubranie, zaliczyłby toto do zwierząt. Stworzenie zwisało bezwolnie z jego garści i z lękiem wlepiało w niego wąskie ślepka.

*

Nocny Śpiewak miał serce w gardle. Dał się złapać w sposób naprawdę głupi. Powinien najpierw sprawdzić, czy ktoś nie stoi w zaułku, zanim zaczął przełazić przez kratę. Zresztą tamten nie wyglądał zbyt groźnie, gdy stał tyłem i sikał. A niech to zaraza! Z przodu wyglądał po prostu strasznie. Jak... jak Byk! Taka sama zwalista postać, masywny kark, ramiona jak pnie. W chłopcu aż wszystko się zatrzęsło. Musiał być okropnie silny, bo trzymał Nocnego Śpiewaka

w powietrzu, zupełnie jakby nic nie ważył. Och, Matko Świata, niech ten straszny człowiek go puści! Przyzna się rządcy do wszystkiego, do wybitej szyby, i że kowalowi zabrał nóż. Dostanie należne baty, prześpi tydzień na brzuchu, tylko chce z powrotem na ziemię!

- Lis czy co? - odezwał się mężczyzna, oglądając badawczo chłopca. Głos miał gruby, ale niespodziewanie miły i spokojny. Nocny Śpiewak ostrożnie sięgnął do jego umysłu. „Gwiazda myśli” tamtego nie zawierała złości, raczej znużenie i głód. Nocny Śpiewak doszedł do wniosku, że dyndanie w powietrzu może i nie boli, ale jest po prostu nudne. Nie wyglądało na to, by tamtemu ręka się kiedykolwiek zmęczyła. Należało zacząć działać. Chłopiec sięgnął za pazuchę, wydobyl ukradzioną kielbasę i podsunął mężczyźnie pod nos, ostrożnym gestem, jakim podaje się kęs głodnemu tygrysowi.

Dziesięć minut później obaj siedzieli w ogrodzie, bezpiecznie ukryci pod zwisającymi gałęziami wierzby, i sprawiedliwie dzielili się łupem.

- Dobrze uwędzona - mruknął Wiatr. - Szkoda, że nie świsnąłeś więcej.

- Nie można brać za dużo naraz - pouczył go Śpiewak. - Jak weźmiesz jedną, to można zwalić winę na kota. A jak więcej, to już się raz-dwa domyślą, że człowiek.

- Wiesz, jak stąd dojść do tej parszywej Wieży Wschodniej?

- Pewnie. Stąd przez furtkę, potem w lewo, potem po klamrach na gzyms, z gzymsu na drugą stronę muru i przez dziurę rynsztoka... eee, chyba się nie zmieścisz - zakończył Nocny Śpiewak z rozczarowaniem. - Pójdziemy dookoła.

- A znasz Mosiądza Stworzyciela?

- Nie. Ale pójdziemy do Róży, bo ona ich wszystkich zna. I do niej jest bliżej.

*

Nocny Śpiewak był strasznie zły. To było po prostu zwyczajne świństwo! Podzielił się z Wiatrem Na Szczycie własną kielbasą, był dla niego miły, pomógł mu, a spotkał się w zamian z czarną niewdzięcznością. Posadzony gołym tyłkiem na jeżu, ot co! A Róża, jego Róża, jak ona mogła! Nie miał nic przeciwko temu, żeby sypiała z dużymi magami, skoro dawali jej za to pieniądze. Pieniądze są najlepszą rzeczą na świecie, oprócz jedzenia. Nie gniewałby się, gdyby zrobiła to z tym Hajgiem - taki sam chłop jak inni. Ale to...! Nocny Śpiewak aż zgrzytnął zębami. Ze zmartwienia znowu bolał go brzuch. Zamknął oczy i zwinął się na swojej macie pod łóżkiem. Pod powiekami pojawił mu się tamten obraz: roześmiana Róża patrząca w oczy wielkiego górala. Dał jej kwiatek! Trzymała go za rękę! Gdyby Nocny Śpiewak wiedział sześć dni temu, co się może zdarzyć, zatłukłby tego nowego maga bez mrugnięcia okiem. Nawet gdyby trzeba było do tego wyciągnąć sobie ze łba ten przytraśnięty talent i wytraskać go po pysku! Kto wie, co jeszcze razem robiła ta podejrzana parka? Może Róża trzymała na kolanach głowę tego bydlaka i mówiła do niego „słoneczko?! Nocny Śpiewak jęknął i kopnął z pasją w deski nad sobą, aż zadudniło.

- Obłudnica... wstręciucha! Wia...wiaro-łomnica! Wyczołgał się spod mebla. Musi porozmawiać z Różą. Już on jej powie, co o tym myśli! Niech nie wyobraża sobie ta żmija, że on tak po prostu pogodzi się z jej zdradą! Tamtemu też powie!

*

Zbliżał się wieczór, Róża siedziała przed lustrem i nakładała szminkę na twarz. Miała już na

sobie „roboczą” sukienkę, która więcej odsłaniała, niż zasłaniała. Spieszyło jej się i ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było wysłuchiwanie wyrzutów małoletniego adoratora.

- Śpiewak, przestań! Tobie się całkiem rozum obsunął!

- Spałaś z nim?! - rzucił oskarżycielsko.

Siedział na brzegu fotela, skurczony i nastroszony, jak rozgniewane zwierzątko.

- Spałam! Litości, wiesz, jak zarabiam na życie!

- Przyniósł ci kwiatek? Przyniósł. Powiedział „róża dla Róży”? Powiedział!

- Wolno mu zrywać róże i wolno mu mówić! Miałam go zakneblować?!

- Tak!!

- Słuchaj, ty futrzasty...!

Niespodzianie Nocny Śpiewak zgiął się wół i gwałtownie zwymiotował na dywan.

- Ja nie chciałem...! Nie chciałem! - jęczał, gdy dziewczyna wycierała mu buzię rogiem zamoczonego ręcznika.

- Jasne. Nie gniewam się. Zaraz powiem pokojowej, żeby tu posprzątała. Śpiewak, rozповідаją, że kradniesz resztki, jakbyś był bezpańskim kundlem. Widzisz, jak to się kończy! Wstyd! Wracaj do siebie i połóż się. A służąca niech ci zaparzy rumianku.

Odprowadziła zgnębionego chłopca w pobliże jego kwatery. Rozstali się na rozwidleniu korytarzy. Róża spieszyła się. W planach na dzisiaj miała sporo zajęć. Trzy „małżeństwa”, kilka nieznośnych witaj-żegnaj”; pospieszne mycie, poprawianie makijażu w biegu, a na koniec młody Obserwator i białe wino w jej pokoju, wśród miękkich poduszek i bibelotów. Miała nadzieję, że pokojowa porządnie wyczyści dywan i skropi go perfumami.

Gdy wreszcie z przyklepionym do warg zawodowym uśmiechem odprowadziła ostatniego klienta i z ulgą zamknęła za nim drzwi, oba księżycy - Gigant i Jabłko - zdążyły przewędrować kawał nieba. Przypomniała sobie o Nocnym Śpiewaku. Zastanawiała się nad całym zajściem. Mały zazdrośnik, złośnik i nerwus! Och, jeszcze wiele krwi jej napsuje, zanim zmądrzeje. Ale zaraz potem nadeszła fala współczucia. Biedak, źle się czuł. Wiadomo, że chore dzieci są marudne. Dziewczyna zmyła z twarzy szminkę i puder, przetarła policzki mokrym ręcznikiem. Przebrała się w zwykłą, codzienną suknię. Jeszcze nie była senna. Zajrzy do Nocnego Śpiewaka. Mały pewnie już śpi, więc spojrz tylko, czy wszystko w porządku.

Róża przebiegła dwie galerie i wilgotny od rosy ogród. Krótka rzuciła ciętą odpowiedź na grubego żarta nocnego patrolu. Przesunęła gałkę znajomych drzwi i cichutko wsunęła się do środka. Właściwie nigdy nie była wewnątrz, zawsze odprowadzała małego tylko do tych drzwi. Nikłe światło świeczki palącej się na stole słabo rozjaśniało pomieszczenie.

- Kto tam? - odezwał się zalekniony głosik Śpiewaka.

- To tylko ja - odrzekła cicho. - Jeszcze nie śpisz, o tej porze?

Zapaliła od świecy trzy inne, tkwiące w lichtarzu. Pojaśniało.

Więc tak mieszka ten dzieciak? Gołe ściany, zbieranina ciężkich sprzętów z ciemnego drewna. Naga podłoga z desek. Trochę półek, a na nich jakieś pergaminy... Właściwie żadnych zabawek. Istna cela więzienna.

Chłopiec leżał na brzegu wielkiego, podwójnego łóżka, zawinięty w pled. I może to ogrom mebla sprawiał, że wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości. Na stołeczku, w zasięgu jego ręki, stał kubek, na podłodze miednica.

- Znowu rzygałem - przyznał się żałośnie. - I ciągle mi zimno.

- Coś cię boli?

- Brzuch.

Róża położyła mu rękę na głowie.

- Przecież ty jesteś cały mokry!

- Spociłem się - wyszeptał. - Nie wiem czemu, bo cały się trzęsę.

- Gdzie pokojowa tej galerii?

- Nie wiem, wieczorem dała mi herbaty i poszła sobie.

Był środek nocy. Róża zagryzła wargi, obiecując sobie, że z rana zrobi służącej taką awanturę, jakiej jeszcze tu nie słyszano.

- Ja chyba zachorowałem - odezwał się Śpiewak. - Ale to nieprawda, że od śmietnikowego żarcia. Ja tego nie jem, Różo. Wierzysz mi, prawda? Nie jestem psem... nie wolno szczekać... nie wolno szczekać... - mruczał coraz bardziej bezładnie.

Róża zorientowała się, że musi mieć potężną gorączkę.

- Zaczekaj tu, słoneczko - powiedziała łagodnie. - Ja pójde po pomoc.

*

Jeśli w środku nocy młodego mężczyznę obudzi walenie do drzwi, a po otwarciu ich ujrzy na progu piękną, młodą kobietę, może pomyśleć o dwóch rzeczach. Albo: „jaki ładny sen”, albo: „szykuje się interesująca noc”. Imbir Stworzyciel był tak zaspany, że skłonił się ku pierwszej wersji. Z ostatnich oparów snu otrząsnął go jednak ostry ton przybyłej:

- Zawołaj pana Jastrzębia!

Imbir zdał sobie sprawę, że otworzył, mając na sobie to, w czym sypiał, czyli nic. W panice usiłował zatrzaskać drzwi, ale przeszkodziła mu stopa wsunięta szybko między skrzydło a futrynę.

- Szukam Jastrzębia Stworzyciela!

- Nie ma go! - kwiknął Imbir, kryjąc się za drzwiami.

- Wiem, że tu mieszka. Nie kłam, łotrze, bo oberwę ci klejnoty! - zagroziło kobiecie zjawisko.

- Jastrząb wyjechał trzy dni temu do rodziny, bo córka jego siostry wychodzi za mąż. Tylko ja tu jestem. Mam praktyki u Jastrzębia! - wytrajkotał Imbir szybko.

- Praktykant Jastrzębia? To znaczy Stworzyciel?

- Stworzyciel. - Imbir wychylił zza drzwi górną część tułowia, by korytarzowa latarnia oświetliła znak Kręgu i Płomienia: emblemat jego kasty.

- I medyk? - upewniła się kobieta.

- I medyk. Prawie już kończę naukę - dodał uczciwie.

- Znaczy, że umiesz dość, by nie zabić chorego. Nadasz się - zdecydowała tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Zbieraj manatki. Masz robotę.

*

- Wymiotuje i ma gorączkę. Prawdopodobnie czymś się zatrzał - powiedziała Róża do młodego maga.

Imbir, nie wierząc własnym oczom, patrzył na pacjenta. Zrobił niezdecydowany ruch rękami, po czym dotknął nosa chorego.

- To nie jest pies! - syknęła dziewczyna z wściekłością. Imbir podskoczył.

- Najmocniej przepraszam... - wymamrotał, speszony. Wsunął palce w spocone włosy na czole dziecka.

- Spora, dużo powyżej normy. Około dwudziestu ośmiu w skali - zmartwił się. - Wymiotował? Mogę to zobaczyć?

Róża zafrasowała się.

- Przed wyjściem wypłukałam miszkę.

- Nie szkodzi. - Imbir ukrył ulgę, że nie będzie musiał robić przykrewnej analizy resztek. - Jeśli to ostra niedyspozycja żołądka, powinna starczyć ścisła dieta, kleik, lekarstwa ziołowe i środek zbijający gorączkę. Ale sprawdzę mu jeszcze wnętrzności.

Położył rękę na brzuchu dziecka.

- Boli cię? Gdzie? Tu nisko?

Palec Stworzyciela lekko nacisnął wgłębienie przy miednicy.

- M-m... - chłopiec zaprzeczył mruknięciem.

- Wyżej? - Yhm...

Dłoń medyka przesunęła się wyżej. Imbir użył talentu, badając tkanki. Zamknął oczy. W przestrzeni jego wewnątrzwidzenia przesuwały się dziesiątki układów plam, smug i punkcików. Dalej dalej...

- To nie jest zwykłe zatrucie, ma też opuchniętą wątrobę.

- To groźne? - zaniepokoiła się Róża.

- Raczej tak. Ale jeszcze nie wiem, co to za choroba.

Stworzyciel dalej przeczesywał talentem ciało dziecka, znajdując rzeczy niepokojące. Blizny, zgrubienie na jednym z żeber po zarośniętym złamaniu, pęknięty i niedbale nastawiony obojczyk który zrósł się krzywo. Ślady po dawnych wypadkach. Poza tym powiększone węzły chłonne - w pachwinach, pod pachami, przyszczękowe... praktycznie w każdym możliwym miejscu.

- Trochę tu za ciemno - mruknął, usiłując obejrzeć oczy Śpiewaka.

Róża skwapliwie przysunęła lichtarz.

- Oczy szkliste, źrenice w normie, przekrwienie wnętrza powieki... - mamrotał młodzieniec w skupieniu, jakby miał za plecami wymagającego nauczyciela. - Podejrzenie choroby zakaźnej. Dziąsła... w normie. Język... obłożony. Odczyn krwi... muszę cię ukłuć, mały.

Stworzyciel wybrał spośród swych narzędzi cienką igłę.

- Nie bój się. Nie będzie bardzo bolało.

- Nie boję się - szepnął chłopiec. - Ty jesteś Stworzycielem?

- Tak, jestem Stworzycielem. - Imbir nakłuł opuszkę palca Śpiewaka i wycisnął czerwoną kropelkę.

- To ty też masz gwiazdy...

- Jakie gwiazdy? - spytał Imbir z roztargnieniem.

Dzieciakowi chyba znów rosła gorączka.

- Gwiazdy w głowie - wyjaśnił Śpiewak cicho. - Czasem mówią, a czasem tańczą...

Imbir spojrzał pytająco na Różę.

- Ma taki sam talent jak ty - rzekła poważnie. - To zobowiązuje, prawda?

- Oczywiście - pokiwał głową.

Następna niespodzianka. Co jeszcze spotka go tej nocy? Roztarł próbkę krwi między palcami i skupił się. Po chwili wytarł je w chustkę. Przykrył dziecko na powrót kocem. Po raz pierwszy spojrzał Róży prosto w oczy. Bardzo poważnie.

- To bagnica - szepnął.

Róża pobladała. Bagnicę nazywano chorobą „brudnej wody”, zapadali na nią dokerzy lub ludzie żyjący w pobliżu podmokłych drenów. Z tego, co wiedziała, można było zachorować,

pijąc wodę z rzeki lub jedząc małże czy niedogotowane ryby. Mówiono, że chorzy na bagnicę mają robaki we krwi, co już samo w sobie wydawało się wystarczająco wstrętne, pomijając fakt, że ponad połowa zwykle umierała. Nocnym Śpiewakiem niewiele się przejmowano. Mało kto wiedział, gdzie chodzi i czy nie jada jakichś niezdrowych rzeczy.

Imbir dał niezrozumiały znak Róży, a po chwili nawiązał myślowy kontakt.

„Nic nie mów, po prostu myśl do mnie. Nie chcę straszyć dzieciaka, a musimy porozmawiać. Jest bardzo źle. To bagnica i zapowiada się bardzo ciężki przebieg, sądząc z początków. Obawiam się, że mały rokuje słabe nadzieje”.

„Więc Śpiewak może umrzeć?!”

„Przejrzę lekarstwa Jastrzębia, zrobię wszystko, co będę mógł... Przede wszystkim musimy zbić mu temperaturę bliżej normalnego stanu. Reszta w rękę Bogini Matki”.

*

Jastrząb Stworzyciel wrócił po dalszych dwóch dniach. Wysłuchał relacji przemęczonego, niewyspanego Imbira.

- Nie, nie zrobiłeś żadnych błędów - uspokoił swego ucznia. - Prawidłowe rozpoznanie, odpowiednia terapia. Nie ma potrzeby sprawdzać.

- Terapia nie działa - jęknął Imbir. - Trudno temu dziecku podać jakieś leki, ciągle wymiotuje.

- Doodbytniczo - odpowiedział Jastrząb.

- Chyba trzeba będzie. Najgorzej, że temperatura utrzymuje się ciągle dużo powyżej normy Mały majaczy... a służba nie chce przy nim czuwać. Boją się - dokończył młody Stworzyciel ponuro. - I wcale się im nie dziwię. Meble przesuwają się same, przedmioty lewitują albo zmieniają się w coś innego... On nad tym nie panuje. Nawet ja się obawiam, czy wyjdę stamtąd cały i zdrowy. Popatrz tylko.

Wyciągnął z kieszeni jakiś metalowy przedmiot przypominający łyżkę. Jednak uchwyt wyginał się łukowato, a czerpaczek zmienił kształt na podobieństwo liścia jakiejś dziwacznej rośliny. Wrażenie potęgowały smugi metalu o różnych barwach.

- Przedtem była mosiężna - rzekł markotnie Imbir. - Teraz jest to srebro pomieszane z czymś, czego jak żyję, nie widziałem. Jakiś nowy metal.

Zaintrygowany Jastrząb zabrał mu przetransformowaną łyżeczkę.

- Podsunę to komuś do analizy. Ale masz rację, że to może być niebezpieczne. Spróbuj zamoczyć chłopca w zimnej wodzie. Sposób drastyczny i daje krótkotrwały efekt, ale obniży mu gorączkę na pewno. Powodzenia.

Jastrząb odprowadzał ucznia wzrokiem, z którego przezierало współczucie. Dowiedział się o niespodziewanym pacjencie Imbira niemal natychmiast po przekroczeniu bramy. Zarządca Wieży Zachodniej wyraził niezadowolone z samowolnego podjęcia decyzji przez młodzieńca, a Jastrzębiowi dał wyraźnie do zrozumienia, że lepiej by było dla wszystkich, gdyby Pani Strzał przywołała Nocnego Śpiewaka do siebie. „Dokuczliwe dziecko, tępe i pozbawione zdolności. Ma trwale zablokowany talent przetwarzania materii i nie widzę sensu trzymania go tutaj - usłyszał Jastrząb. - Najlepiej, gdyby sprawa rozwiązała się sama”. Oczywiście nie powtórzył Imbirowi tych sugestii. Chłopak był pełen zapału i ideałów. Wystarczająco źle się stało, że trafił mu się pacjent w tak ciężkim stanie. Śmierć dziecka będzie szokiem dla młodego medyka.

Zamyślony Jastrząb obrócił w palcach metalową formę.

- Trwale zablokowany talent? - mruknął ironicznie. - Ktoś tu powinien zmienić poglądy.

*

Zanurzenie skręcającego się dziecka w balii z lodowatą wodą podejrzenie przypominało torturę. Róża jednak z ulgą spostrzegła że Nocny Śpiewak po chwili przestał się wyrывać, a wkrótce zaczął patrzeć przytomniej.

- Ja jestem strasznie chory, no nie? - jęknął cicho. - Jak jestem chory, to mnie zawsze moczą.

- Tak, kotku, jesteś bardzo chory, ale będzie lepiej. Nie zimno ci?

- Nie, było mi za gorąco. Tak lepiej. Wszędzie jest dużo gwiazd, Różyczko... wszędzie - mówił Nocny Śpiewak monotonna. - Masz włosy z gwiazd, i ta woda jest z gwiazd... Wszędzie są gwiazdy.

- On znów bredzi - powiedziała Róża z niepokojem.

- Nie, wiem, o co mu chodzi - rzekł Imbir, po czym pochylił się nad chłopcem. - Na razie zostaw te gwiazdy w spokoju, mały. Jak będziesz zdrowy, pokażę ci, co można z nimi zrobić.

Po kąpeli Nocny Śpiewak zasnął. Imbir i Róża usiedli przy stole i rozmawiali przyciszonymi głosami.

- To nie jest odpowiednie miejsce dla dziecka - mówiła dziewczyna. - O niego w ogóle nikt nie dba. Dzieciak włóczy się, gdzie chce, robi, co mu się podoba, bez żadnej kontroli. Nikomu nie chce się sprawdzić, gdzie chodzi, co jada i czy zjadł cokolwiek. O psa dba się lepiej! Chcieli sobie wyhodować Stworzyciela, a jak małemu nie szła nauka, to odstawili go do kąta. Spójrz, jak tu wygląda! To ma być izba dla dziecka? Skład starych mebli i tyle.

Imbir potakiwał, kiwając głową.

- Nie ma zabawek. To mnie zdziwiło pierwsze. Jak to jest, żeby mały chłopiec nie miał piłki albo drewnianych żołnierzyków?

- Nie umie się bawić - szepnęła smutno Róża. - Nie zależy mu na takich drobiazgach. Mały starszerek. Puszczka kaczki nad rzeką. Lepi zwierzaki z gliny, ale nie widziałam, żeby się nimi bawił. Robi je, a potem gdzieś chowa. To takie dziwne dziecko.

- Mam ochotę temu zaradzić. Poczekamy tylko parę dni, aż dojdzie do siebie.

*

Skośne promienie słońca wpadały przez uchyloną okiennicę i rysowały złote pasma na prześcieradle. Nocny Śpiewak w pół siedział w łóżku, oparty na stercie poduszki, i przyglądał się drobinkom kurzu, wirującym w słonecznej smudze. Ich ruch - pozornie bezładny, zachowujący jednak pewne pozory porządku - fascynował go. Zastanawiał się, czy te pyłki nie są przypadkiem żywe, przynajmniej odrobinę, i czy mogą go widzieć, tak jak on je. Wszedł Imbir.

- Jak tam dzisiaj? Gdzie Trawka? Znów cię zostawiła samego?

- Zwolniłem ją - odpowiedział Śpiewak poważnie. - Powiedziałem, że nie będę rzygał, i że nie musi tu siedzieć. Dopiero co poszła.

- Aha, i nic nie potrzebujesz?

- Pić... i siku. Ale nie chciałem, żeby mnie ta baba dotykała - przyznał się mały, trochę zawstydzony. Był tak osłabiony, że nie mógł wstać samodzielnie i czuł się upokorzony, gdy nadęta służąca pomagała mu we wstydlwych czynnościach.

- Rozumiem. To może najpierw siusiu. A potem pokażę ci, co przyniosłem - Imbir potrząsnął

drewnianą skrzyneczką, która zagrzehotała przy ruchu.

W pudełku znajdowały się klocki, zrobione z wypolerowanego kamienia. Pomieszane ze sobą tworzyły kolorowy, wesoły melanz. Czerwony i biały granit, czarne szkło wulkaniczne, brązowożółte „tygrysie oczy”, zielony nefryt, różowy marmur i wiele innych. Gdyby Nocny Śpiewak uczył się geometrii, rozpoznałby i nazwał kształty sześciątów, graniastosłupów, stożków i walców, w ogromnym wyborze i różnorodności. Dla niego były to jednak „kostki”, „kolumienki”, „daszki”, „deseczki” i tym podobne rzeczy.

- Jakie to ładne! - osądził ze szczerym zachwytem, gdy Imbir wysypał mu całe to bogactwo na podolek. - Co się z tym robi?

- Różności - powiedział mag. - Można na przykład popatrzeć na gwiazdy w kropli wody, a potem ułożyć z tego taki sam wzór.

Imbir szybko wybrał ze stosu jeden duży, czerwony sześciąt i dwa małe, czarne walce. Położył je tak, że się dotykały.

- Zgadza się, Śpiewak?

- Nieeee... - zaprzeczył chłopiec. - To jest inaczej. Patrzyłem w wodę i tam tak nie jest.

Zaczął wybierać klocki i ustawiać je po swojemu. Trochę drżały mu ręce z osłabienia.

Pracował w skupieniu, a zdumiony Imbir milczał, patrząc, jak na blacie stołu dosuniętego do łóżka powstaje odwzorowanie bardziej skomplikowanego modelu cząsteczki wody. Wreszcie chłopiec skończył.

- Ładny wzorek - osądził. - Dobry na dywanik.

- Hm... - mruknął młody Stworzyciel, nieco stropiony. - Prawdę mówiąc, z tego można też budować domki.

Wkrótce na stole wyrosła do połowy spora wieża z przybudówkami u podnóża. Nocny Śpiewak zmęczył się i odpoczywał, roziskrzonym wzrokiem patrząc na swe dzieło.

- Podobna do tego, co mam za oknem. Ale tutaj brakuje kawałka. Nic nie pasuje. - Pokazał palcem przerwę w konstrukcji.

Imbir wziął ze skrzynki małą kamienną kostkę i na oczach zachwyconego dziecka błyskawicznie przekształcił ją odpowiednio, po czym wstawił w puste miejsce.

- Twój talent umie takie rzeczy?!

- Twój też.

- Mój jest leniwy. Dopiero teraz zaczął pokazywać różności. Pewnie przestraszył się, że umrę i będzie się musiał wynieść z mojej głowy gdzie indziej.

- Powinieneś trochę go popędzić.

Nocny Śpiewak wziął z blatu malachitową płytkę i wpatrzył się w nią z natężeniem. Rozległ się cichy trzask i na dłoni chłopca pozostała szczypta zielonkawego proszku.

- O, zaraza...

- Nie szkodzi, zrobię drugą - pocieszył go Imbir. - Mnie też na początku wszystko się rozsypywało.

Wzrok Nocnego Śpiewaka powrócił do budowli.

- Gdybym miał dużo, dużo takich kawałków, mógłbym zbudować cały zamek, a potem całe miasto dookoła. Jak ten... jak się nazywa taki, co buduje domy?

- Murarz albo budowniczy. A ten, co wymyśla, jak mają wyglądać, to architekt.

Nocny Śpiewak zamyślił się nad czymś głęboko.

- Architekt... - powtórzył, wciąż patrząc na klocki. - Nie wolno szczeakać...

Imbir nie miał pojęcia, co miały znaczyć te ostatnie słowa, ale postanowił nie pytać. Róża

miała rację, to bardzo dziwne dziecko.

*

Nocny Śpiewak siedział na ławeczce pod oknem i symulował głuchotę. Przychodziło mu to z coraz większym trudem. Okno otwarte na całą szerokość i dokładnie słyszał każde słowo, jakie padło w izbie. Rozejrzał się jeszcze raz po otoczeniu. Podobało mu się tutaj. Wiejskie podwórze ktoś zamiótł starannie. Polana przy drwalni poukładane. Na płocie suszyły się do góry dnem garnki malowane w kolorowe wzory. Na trawie rosnącej pod płotem pasła się pstrokata koza, a na dachu siedziało kilka gołębi. Sam dom też był ładny. Dach miał z jasnej trzciny, ściany świeżo pobielone wapnem, czyściutkie. Przez otwarte drzwi do sieni dostrzegł słomianą matę na podłodze. A za domem widać było wysokie korony jabłoni, obwieszonych owocami. Zupełnie inaczej tu niż w Zamku, jednak też ładnie i bardzo spokojnie. I może nawet Nocny Śpiewak zostałyby w tym miejscu chętnie, gdyby nie to, że wtedy nie mógłby widywać Róży. Ale pewnie i tak ta baba, co tak głośno mówi w środku, kłóci się z Imbirem i Wiatrem Na Szczęście, nie zechce go wziąć. Więc wszystko zostanie jak do tej pory. Hajg nie będzie miał Róży tylko dla siebie. Ale z drugiej strony to smutne, że go tutaj nie chcą. Nocny Śpiewak oparł łokcie na kolanach, a brodę podparł rękami. Nic dziwnego, przecież wszędzie woli się ładne dzieci, bez sierści. Ale to i tak smutne...

- Nie, powtarzam jeszcze raz! - dobiegło ze środka.

- Chłopiec ciężko chorował. Potrzebuje troskliwej opieki, świeżego powietrza, mleka...

- Niech mi pan tu mlekiem oczów nie zalewa! Nie macie mleka w mieście, czy co?

- Domagam się szacunku!

- Szacunku! Dwadzieścia lat z górą wycieram nosy i tyłki makowskim dzieciakom. I każdy jeden na człowieka wyszedł! Ja wiem, co to sierota bez ojca i matki, bo innych tu nie ma, ale nie wezmę tego szkraba.

- Krąg płaci...

- Jakby mi płacił to, co warta ta mordęga, tobym jak królowa żyła! - przerwała pyskata kobieta. - Trzech mam teraz na głowie, a czwarty w pieluchach! Trzy chłopaczyska, każdy z talentem - rozum można stracić! Jeden myszom pogrzeby urządza, drugi onegdaj w obrusie dziurę wypalił, a trzeci, nie dalej jak wczoraj, wszystkie jajka kurom na złote pozamieniał. Skaranie Losu! Prędzej krowom skrzydła porosną, niż jeszcze jednego łobuza na kark sobie sprowadzę!

Zza węgła domu wyszedł mały chłopiec, dźwigający dużego, tłustego kota. Zwierzę poddawało się temu z rezygnacją. Łapy zwisały mu bezwładnie, jak luźno przyszyte. Dziecko podeszło do ganeczku i opuściło swój ciężar na podłogę. Kot natychmiast usiadł i zaczął się myć. Nocny Śpiewak i przybysz w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Chłopczyk był na oko nieco młodszy od małego Stworzyciela. Miał podobnie skośne oczy, trójkątną twarzyczkę ze stanowczym podbródkiem i nastroszone, czarne włosy Pierwszy nie wytrzymał Nocny Śpiewak.

- Co się tak gapisz? - warknął.

- Masz świetne futerko - powiedział chłopiec grzecznie. - Podoba mi się. Zostaniesz tu?

Nocny Śpiewak poczuł się zbity z tropu. Komuś podobał się jego wygląd?

- Chyba nie - odpowiedział po chwili. - Ona mnie nie chce. Mały spojrzął w okno.

- E tam, ona zawsze tak wrzeszczy, a potem się zgadza. Nas tu jest już czterech. Iskra, Stworzyciel i Mówca Zwierząt - tu chłopiec puknął się w pierś. - Płatek to jeszcze dziecko i nie

wiadomo, jaki ma talent. A ty?

- Stworzyciel.

- To chodź pogadać z naszym Piaskiem. My tam pomagamy zbierać siano - chłopiec machnął głową gdzieś w kierunku drwalni.

- Siano? Po co?

- No, jak to po co? Dla krów i kozy. Jak w chłody rzeka wylewa i woda aż na łąki wchodzi, to mamy jedzenie dla bydła. Siana jest po sam dach w stodole. Można na nim spać. Ładnie pachnie. I skaczemy na dół z belki, w to siano.

Nocny Śpiewak słuchał jak urzeczony. To było bardzo interesujące. Może iść? Propozycja zabawy w sianie kusila. Wahał się przez chwilę, po czym zrezygnował. Imbir nie pozwolił mu się oddalać (wyjątkowo postanowił być posłuszny), a poza tym raczej należało zostać na miejscu, gdy ważyły się jego losy. Baba w izbie nadal gderała, przywołując cały komplet bóstw na świadków swojej krzywdy i niedocenianej pracy.

- To ja już pójde - powiedział czarnowłosy chłopczyk. - Jak ci pozwolą, to przyjdź na łąkę.

Odszedł, a Śpiewak natychmiast pożałował, że nie poszedł z nim. Pokręcił się na ławce, ziewając nerwowo i machając nogami. Kłótnia dorosłych stawała się coraz bardziej niemiła, zwłaszcza że Wiatr Na Szczybie zaczął wtrącać kąśliwe uwagi. Nocny Śpiewak nudził się i czuł coraz głupiej. Sam już nie wiedział: chce czy nie chce tu być?

Zdecydował. Niech dorośli w środku żrą się dalej, a on pójdzie do tamtego chłopaka. Zsunął się z ławki i ruszył w stronę, gdzie zniknął mu z oczu mały Mówca Zwierząt. Za drwalnią kryło się jeszcze jedno podwórze i zabudowania gospodarskie. Tu również panował wzorowy porządek, najwyraźniej kłótnia gospodyni wszystko trzymała żelazną ręką. Stadko kur tłoczyło się przy korytku z ziarnem. W klatce pod ścianą ruszały nosami króliki. Dwóch wyrostków piłowało wzdłuż deskę ułożoną na koziołkach, a trzeci siedział na pieńku i oskubywał z pierza martwą kurę. Na widok chłopca wszyscy parsknęli śmiechem. Zanim Nocny Śpiewak zdążył się obejrzeć, został otoczony.

- A cóż to takiego?

- Pies? A może wydra...?

- Idę na łąkę! - Nocny Śpiewak starał się, by to zabrzmiało stanowczo, ale nie bardzo mu się udało.

- Nie tak prędko, kudłaty!

- Gdzie masz ogon?

Usiłował przemknąć między rękami parobków. Zatrzymywali go z łatwością. Popychali, ciągnęli za ubranie. Śmiali się urągliwie, rzucali przezwiska.

- Powiem Imbirowi! Puśćcie mnie!

- Powie! On powie! Słyszeliście? Toto umie mówić! Wilcze szczenię gada! - parsknął któryś z wyrostków.

- Wilcze szczenię! Wilcze szczenię! - podjęli z obłąkańczą radością pozostali.

- Wil-czy szcze-niak, wil-czy szcze-niak, wil-czy szcze-niak... - skandowali, zupełnie jakby ogarnęło ich jakieś szaleństwo. Jeden z prześladowców złapał za łapy do połowy oskubaną kurę z obciętym łbem i wymachiwał nią przed dzieckiem. Nocny Śpiewak usiłował wyrwać się z tego kręgu, lecz wszędzie zatrzymywały go złe ręce. Popychały, szarpały...

Chłopcu latały przed oczami ciemne plamki, w uszach dudniło jednostajnie: wil-czy-szcze-niak-wil-czy-szcze-niak-wil-czy-szcze-niak... Kurzy zewłok uderzył go w głowę. Poczł mldący zapach piór i krwi. Wil-czy-szcze-niak... „Szczekaj!”

„Dalej, ty cholerny szczeniaku, szczekaj! Zatłukę cię, ty gówniarzu!". Krew... Kurczak... Gorący piasek areny... Byk! Tu był Byk! Byk ze swoim batem, ciężką pięścią, kijem i łańcuchem! Byk go zabije! Następne uderzenie, kurza krew na twarzy... Śmiech i wycie publiki. Byk!

Nocny Śpiewak wrzasnął. Przed jego oczami rozlała się ciemna plama, na której natychmiast pojawiły się niezliczone roje świetlistych punkcików. Zwinęły się błyskawicznie w oślepiającą blaskiem galaktykę, która wydeła się i wybuchła mu prosto w twarz. Gwiazdy przepłynęły przez niego jak zimne igły, a potem wróciły i skupiły się w jeden kulisty punkt. Pchnął tę kulę, rzucił nią, wkładając w to całą wolę. Upadł, coś go uderzyło. Słyszał krzyk i zawodzenie. Obok niego jakiś człowiek krzyczał, brocząc krwią. Nocny Śpiewak skulił się i zasłonił głowę rękami. Nie chciał już nic widzieć, nie chciał już nic słyszeć.

*

Uparta niewiasta dała się prawie przekonać. Imbir czuł się jak po całym dniu ciężkiej pracy. Gdyby nie wspierający go Hajg, wątpił, czy znalazłby w sobie tyle siły, by stawić czoło wygadanej gospodyni. Pomyśleć, że wyobrażał sobie tę sprawę jako miłą wycieczkę na wieś, gdzie wystarczyło pokazać dokument z pieczęcią i zostawić dziecko pod czułą opieką doświadczonej wychowawczynie! Przypomniał sobie o Nocnym Śpiewaku. Biedny dzieciak, siedzi na ganku, pewnie jest już potężnie znudzony i głodny. Imbir wyszedł na zewnątrz. Jego podopiecznego nie było widać. Po chwili w pobliżu wybuchnął harmider, z którego wybijał się straszliwy krzyk, jakby kogoś obdzierano żywcem ze skóry. Imbir zbladł i rzucił się w tamtą stronę. Tuż za nim pobiegł Wiatr Na Szczycie i przerażona właścicielka gospodarstwa. Wiatr Na Szczycie biegał szybciej i pierwszy dotarł na miejsce.

- Tutaj! - Imbir usłyszał głos Hajga.

Na ziemi leżał młody człowiek zalany krwią, jakby ktoś chlusnął na niego z cebra. Żył jeszcze, gdyż jęczał przeraźliwie. Imbir w szaleńczym pośpiechu tamował krew swym talentem. Łatał poszarpane arterie i mięśnie. Ranny miał zmiżdżony bark i całe ramię. Z piersi i brzucha zwisały mu płaty oderwanej skóry. Stworzyciel pracował, zmuszając talent do coraz większego wysiłku. Wiedział, że od szybkości zależało życie. Gdy skończył wreszcie, z wyczerpania zrobiło mu się ciemno przed oczami.

- Co... tu się stało...? - wykrztusił.

Jakiś młody chłopak, bladej jak kreda, wskazał drżącym palcem na nieruchomy tłumoczek, leżący o dwa kroki dalej.

- To... to... - nic więcej nie był w stanie powiedzieć.

*

- Może się nie rozejdzie - rzekł Wiatr Na Szczycie. Imbir pokręcił głową.

- Zapomnij. Ta baba tak patrzyła, jakby chciała nas wszystkich spalić na stosie. Jeszcze pożałujemy tej wyprawy.

- I to dlatego, że durnym parobkom zachciało się dokuczać dzieciakowi.

Wiatr Na Szczycie popatrzył na Nocnego Śpiewaka, którego trzymał przed sobą w siodło. Dziecko leżało cicho i nie poruszało się.

- Musiał się śmiertelnie przerazić - powiedział Stworzyciel - i użył talentu do obrony,

instynktownie. Teraz jest w szoku. Tamten widocznie nastraszył małego prawie do nieprzytomności - głupi gówniarz znęcający się nad słabszymi. Sam jest sobie winien.

- Wyglądał, jakby go niedźwiedź poharatał. Wyżyje?

- Wyżyje, ale ktoś musi jeszcze nad nim popracować. Wykonałem straszną łataninę, jak najgorszy partacz. Trzeba wypełnić ubytki, zlikwidować blizny i poprawić to i owo. Ale i tak chłopak pewnie nie odzyska pełnej władzy w rękę.

- Za to zmądrzeje i już nigdy nie uderzy dziecka, zwłaszcza jeśli ono będzie magiem - zauważył Wiatr Na Szczycie. - Słaniasz się w siodle, Imbir. Musimy gdzieś odpocząć, bo zemrzesz po drodze.

Nocny Śpiewak poruszył się i zaczął cichutko płakać.

- Tam był Byk! Walnął mnie, było dużo ludzi... nie było jak uciekać - poskarżył się.

Obaj magowie wymienili spojrzenia.

- Wcale nie było żadnego tłumu i nie było żadnego Byka - rzekł stanowczo Imbir. - Wydawało ci się.

- Nie, tam był Byk! - upierał się Nocny Śpiewak. - Coś się stało, pełno krwi... To ja, Imbir? To ja...?

- Hmm... niestety. Źle się stało - mruknął Stworzyciel niechętnie.

Nocny Śpiewak znów zaczął szlochać.

- Pewno dostanę baty.

- Nie rycz, mężczyźnie nie wypada - powiedział Hajg.

- Ja jestem jeszcze mały! Wolno mi, odwal się!

- Jak ty się wyrażasz?! - oburzył się Imbir wychowawczo.

- Odwal się, proszę.

- Dochodzi do siebie - podsumował Wiatr Na Szczycie.

*

Nocny Śpiewak nie miał wątpliwości, że zrobił coś okropnego, chociaż wcale nie chciał, i że kara go nie ominie. Mijał już Jednak drugi dzień i nic się nie działo. Bał się więc tym bardziej, Wyobrażając sobie, iż odwleczona kara okaże się tym straszniejsza.

I wezwano go wreszcie, nogi się pod nim trzęsły ze strachu, ale prócz lęku czuł sporą ulgę, że wreszcie skończy się męczarnia wyczekiwania. Przyprowadzono go do komnaty, gdzie jeszcze nigdy nie był. Rozejrzał się niepewnie. Przy stole siedziało czterech magów i przyglądało mu się uważnie. Kazano mu usiąść. Wdrapał się na wysokie krzesło. Wysoki, postawny mężczyzna wyszedł zza stołu i stanął przed Nocnym Śpiewakiem.

- Czy możesz dokładnie opowiedzieć, co się stało tamtego dnia, na wsi?

- Ja... dokładnie nie... pamiętam - wyjąkał chłopiec.

- Czy pamiętasz, że ktoś został ranny?

- Tak - potwierdził Śpiewak cichutko.

- Czy możesz powiedzieć, kto zranił tamtego człowieka?

- Chyba... ja.

- Rozumiem. Chciał cię skrzywdzić, a ty się broniłeś?

Nocny Śpiewak pokiwał głową.

- I jak to zrobiłeś, miałeś jakieś narzędzie? Może nóż albo kamień?

- Nie. To... talent - Nocny Śpiewak bezwiednie dotknął głowy. - Mój talent go ugryzł.

Mag pochylił się tak, że jego oczy znalazły się na poziomie oczu dziecka.

- Rozumiesz, że to jest bardzo ważne. Taki talent nie jest dobry. Rani i zabija ludzi. Przez niego masz kłopoty.

Nocny Śpiewak słuchał uważnie. Tamten miał rację. Taki talent - raz leniwy jak świnia w błocie, a za drugim razem wściekły jak pies - to nic przyjemnego.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś go nie miał? - zapytał mężczyzna

- Ale ja mam go w głowie, w środku - wyjaśnił chłopiec. - Jego nie da się wyciągnąć.

- My to potrafimy - zapewnił mag. - I to nawet nie boli. Po prostu byś zasnął.

Nocnemu Śpiewakowi coś się nie podobało w głosie tamtego. Słuchając, miał wrażenie, jakby coś śliskiego przesuwano mu się przez uszy i środek głowy. Postanowił na to nie zważać.

- Czy mogę dostać nowy talent zamiast starego? - spytał.

- Nie, to niemożliwe.

- A czy jak wyciągniecie mi z głowy ten zepsuty talent, to pozbędę się tego? - Nocny Śpiewak pociągnął się za kosmyk sierści na twarzy.

- Oczywiście - rzekł mag słodkim głosem, a na chłopca nagle spłynęło olśnienie. Oszustwo! Niebezpiecznie!

- Kłamiesz!!! - wrzasnął. - Kłamiesz!

Mężczyzna zrobił ruch, jakby chciał go chwycić za ramiona. Przez sekundę przed oczami Nocnego Śpiewaka znów zawirowały gwiazdy. Stłamsił je z wysiłkiem. Mężczyzna chwycił się za pierś i gardło, przechylił do tyłu i upadł na plecy. Nocny Śpiewak pognął do drzwi, szarpnął je, omal nie urywając klamki, i uciekł.

Magowie stłoczyli się nad leżącym.

- Na Miłosierdzie, żyjesz?

- Żyję - stęknął. -

Jak się czujesz?

- Jak przesiany przez sito. Myślałem, że tego nie przeżyję. Mózg mi się obsunął do butów.

Podniósł się do pozycji siedzącej.

- No i mieliście popis mocy dzikiego talentu. Dzieciak zdołał go zablokować w ostatniej chwili. Dostałem tylko echem. Inaczej zeszkrobywalibyście mnie ze ściany

- Zrobiłeś błąd godny nowicjusza. Usiłowałeś go oszukać. Można się było spodziewać, że to wyczuje.

- Usiłowałem go przygotować. Usuwanie talentu to praktycznie kastracja mózgu.

- Chciałeś to zrobić zniechcąco i przestraszyć go jeszcze bardziej? Gwarantowałbym parę stosów pogrzebowych.

- Dziki talent, objawiający się tylko w chwilach zagrożenia, i to w sposób destrukcyjny. Niestaly, rozchwiany, nie do wykorzystania użytkowo. Jeden trup, jeden człowiek walczący ze śmiercią, jeden atak na błękitnego. To chyba przesądza sprawę?

*

- Widziałem się z Imbirem - powiedział Wiatr Na Szczycie do Róży. - Złe wieści. Chcą pozbawić magii Nocnego Śpiewaka. To jak wyrwać psu zęby. Dziewczyno, jakby do mnie który z czymś takim wyszedł, tobym go rozwalił na miejscu.

Róża jęknęła.

- Przecież to straszne! A już robił dobre początki. Imbir go uczył, jak pracować talentem, i

mówił, że jest zdolny.

- Wytrzebią go jak wołu, a potem powiedzą, że jak nie mag, to nie ma dla niego tu miejsca. Stawiam na to cały żołąd. Dzieciak skończy na ulicy albo w przytułku.

- Albo tam, gdzie zaczynał. W klatce, na łańcuchu jak zwierzę... zagryzając kurczaki dla zabawy gapiów... - chlipnęła Róża.

Hajg stał palcem łzę, która potoczyła się po policzku dziewczyny.

- Nie martw się, kwiatuszku. Prędzej zdechnę, niż na to pozwolę. Chłopak jest zmyślny. Dobry myśliwy by z niego był. Nie tu, to w górach znajdzie się dom dla niego. Nie płacz. Imbir postara się ochronić małego. Ma obrońców Śpiewak - ty, ja, Imbir... pewno jeszcze zbierze się paru dobrych ludzi.

- Niewiele znaczymy... - powiedziała Róża drżącym z płaczu głosem. - Prawie nas nie ma. Nie szanują cię, chociaż jesteś błękitny. Imbir jest jeszcze taki młody, a ja... co ja tu znaczę? Dziewka na godziny. Co my możemy?

*

- Co my możemy? - powiedział do Imbira jego ojciec, zaskoczony, lecz jednocześnie ucieszony nagłą wizytą syna w domu. - Synu, niewiele możemy, zaskoczyłeś mnie kompletnie. Jestem prawnikiem, ale nie cudotwórcą. Mamy bardzo mało czasu.

- Ojczu, na pewno coś znajdziesz. Kodeks Kręgu i prawa cesarskie pokrywają się w ogromnej części. Publiczną tajemnicą jest, że cesarz biega do magów z każdym zamierzonym edyktem jak uczeń z wypracowaniem. Chcą trwale okaleczyć dziecko! Nocny Śpiewak ma większy talent od mojego. Zostałby mistrzem bez wątpienia, gdyby dać mu szansę, więcej czasu... Jesteś najlepszym prawnikiem w okręgu, wymyśl coś!

- No cóż, skoro tak mówisz, to pewnie tak jest - mruknął starszy mężczyzna mile połączony pochwałą. - Zobaczą, co da się zrobić. Co prawda, prowadzę akurat sprawę o spadek, ale rzucę tym kundlom jakiś ochłap do rozszarpania. To ich zajmie, a ja pojedę z tobą. Przygotowałeś mi jakieś materiały? Muszę wiedzieć jak najwięcej o tym chłopcu.

Ucieszony Imbir podał mu gęsto zapisany zwój.

*

Wiadomość o oskarżeniu starszyny Kręgu przez zwyczajnego, niezamożnego Mówcę rezydenta gdzieś z zapadłego kąta cesarstwa Lengorchii niemalże równała się zstąpieniu Bogini Matki z niebios, a już na pewno piorunowi z bezchmurnego nieba. Ze zrozumiałych względów argumentom oskarżyciela miał przysłuchiwać się niezależny sąd przysięgłych, złożony z co znaczniejszych wolnych obywateli Podzamcza. I choć na salę rozprawy wyznaczono największą komnatę w całym Zamku Magów, zgromadziło się w niej tylu ludzi, że stali jeden obok drugiego, stłoczeni niczym wykałaczkami w kubku. Ale sensacja była warta tych niewygód. Część sali odgrodzono drewnianymi poręczami, wydzielając wolną przestrzeń kształtu prostokąta. Wzdłuż dłuższego boku stało dziesięć krzeseł o rzeźbionych w emblematy oparciach, po jednym dla każdego przedstawiciela wiodących kast. Naprzeciw umieszczono siedziska dla sześciu sędziów. Krótszy bok i krzesło ze znakiem „usta” zarezerwowano dla oskarżającego. Naprzeciwko stało następne - znacznie mniej ozdobne - dla świadków. Mistrzowie, którzy zajęli miejsca, mieli na sobie eleganckie tuniki z symbolami kast na ramionach, przewiązane

błękitnymi szarfami, jak nakazywała powaga sytuacji, ale ich miny świadczyły o irytacji i zniecierpliwieniu. Wyraźnie uważali, że marnuje się ich czas. Bukat Mówca sprawiał natomiast wrażenie całkiem spokojnego. Ubrał się skromnie, w czarne ubranie, od którego odcinała się ostro jego błękitna szarfa, jakby chciał w ten dyskretny sposób przypomnieć, kim jest i jakie mu prawa przysługują. Przy kolorowych jak pawie przeciwnikach roztaczał aurę rzetelności i zdecydowania. Naprzeciw siebie stanęli oponenty - obaj w czarno-białych szatach prawników, z tradycyjnie wygolonymi czaszkami, na których wytatuowano uproszczone symbole szal.

- Bukat Mówca przeciwko Kręgowi, o naruszenie jego praw osobistych - powiedział Filar, ojciec Imbira.

- Krąg przyjmuje - odrzekł jego przeciwnik.

- Mówca zgłasza protest przeciw zamierzonemu okaleczeniu chłopca imieniem Nocny Śpiewak, powierzonego przez niego Kręgowi przed dziesięcioma miesiącami.

- Krąg oponuje przeciwko określeniu „okaleczenie”.

Zaczęło się. Obaj rzecznicy mieli chwycić się teraz wzajemnie za słowa i usiłować zbić z tropu.

- Podtrzymuję to określenie jako kluczowe dla sprawy. Talent jest integralną częścią ciała, a pozbawienie ciała jego integralnej części jest okaleczeniem.

- Częścią ciała są również włosy i paznokcie. Czy strzyżenie także jest okaleczeniem?

- Zwracam uwagę, że talent nie odrasta - rąbnął Filar brutalnie.

Rzecznik Kręgu nie znalazł przeciwnego argumentu. Zwrócił się do Bukata:

- Panie Mówco, czy chłopiec jest członkiem rodziny, synem, wnukiem lub twoim krewnym innego rodzaju?

- Nie - odpowiedział Bukat.

- Dlaczego więc tak bardzo uraziła cię decyzja starszyny Kręgu, aż postanowiłeś wytoczyć jej sprawę sądową o naruszenie praw osobistych?

Pytanie było oczekiwane, a odpowiedź na nie przygotowana od dawna.

- Chłopiec należy do mnie - rzekł Mówca. - Kupiłem go i jest moim niewolnikiem.

W sali zawrzało. A więc o to chodziło?! Sprawa okazała się bezprecedensowa. Większe wrażenie Bukat zrobiłby chyba tylko, zionąc ogniem. Dziesiątka mistrzów wlepiła w niego zaokrąglone ze zdumienia oczy. Przedstawiciela interesów Kręgu zatkało na moment. Rzucił Filarowi spojrzenie pełne urazy, po czym wrócił do zadawania pytań.

- Jak doszło do... do transakcji?

- Odkupiłem dziecko od wędrownego zespołu cyrkowego.

- Czy można wiedzieć, za jaką sumę? - Prawnik coś chyba szykował.

- Można. Dwa srebrniki - odpowiedział Mówca szczerze.

- Nie da się tego nazwać odpowiednią ceną. Raczej wymuszeniem.

- Raczej nie - odparował Bukat. - Chłopiec był w takim stanie, że rokował doprawdy nikłe nadzieje na przeżycie do dnia następnego, poza tym wyłożyłem znacznie większe sumy na jego wyleczenie i utrzymanie.

I tak ciągnęło się to dalej. Bukat opowiadał o swych staraniach, przedstawiając je jako inwestycje na przyszłość. Mówił o tymczasowej rezygnacji ze sprawowania kontroli nad chłopcem ze względu na pogarszający się stan zdrowia i podjęciu decyzji przysłania go do siedziby Kręgu, gdzie mógłby otrzymać odpowiednie wykształcenie, zgodnie z wolą właściciela. Był przy tym absolutnie zrównoważony. Patrzył prosto w twarz pytającego, dając do zrozumienia obecnym: „Niczego się nie boję, jestem pewien swych racji”. Imbir, który patrzył na

niego ze swego miejsca, czuł podziw. Jako syn prawnika jeszcze jako chłopiec spędził na sali sądowej niejedną godzinę. Doceniał postawę Mówcy jako subtelny argument w grze.

- Wszystko to jednak rozbija się o jeden szczegół - wypalił rzecznik Kręgu, robiąc nonszalancki gest dłonią. - Mag nie może być niewolnikiem! Argument naruszenia praw własności automatycznie upada.

- Protest! - sprzeciwił się natychmiast Filar. - Podtrzymuję argument, gdyż chłopiec nie jest, powtarzam, nie jest magiem!

- Rozpoznanie talentu natychmiast...

Filar przerwał mu.

- Rozpoznanie talentu nie stanowi o natychmiastowym przyznaniu statusu maga i członka Kręgu. Powszechnie wiadomo, że ostateczna kwalifikacja może się odbyć najwcześniej w wieku czternastu lat, ze względu na możliwość występującego niekiedy zaniku zdolności przy wkroczeniu w wiek dojrzewania. Nocny Śpiewak ma lat osiem.

Rzecznik Kręgu zacisnął zęby. Jego przeciwnik przygotował się aż za dobrze. Kto wie, jakie jeszcze ostrze wyciągnie z rękawa?

- Chciałbym wezwać Mistrza Klingę Stworzyciela jako świadka. Dla wyjaśnienia motywów starszyzny.

Wysoki mag wstał ze swego miejsca i przeszedł na krzesło świadków.

- Wstępne rozpoznanie talentu dziecka określiło je jako Stworzyciela o dużej mocy - zaczął. - Kierowaliśmy się wynikami rutynowych testów oraz raportem obecnego tu Bukata Mówcy. Jednak po dłuższej obserwacji okazało się, że talent chłopca jest trwale zablokowany, prawdopodobnie pod wpływem silnego urazu psychicznego. Ujawniał się jedynie w wypadkach zagrożenia i to w sposób destrukcyjny. Dziecko nie panowało nad nim w żadnym stopniu. Podjęliśmy tę bolesną decyzję, kierując się dobrem chłopca i dla bezpieczeństwa jego otoczenia.

Filar gestem poprosił o pozwolenie zadawania pytań.

- Szerszemu gronu znane są dwa przypadki takich, nazwijmy to: niekontrolowanych wybuchów talentu. Ale w rzeczywistości było ich trzy. Co możesz, Mistrzu, powiedzieć na temat trzeciego?

- Zostałem... hm... uderzony.

- Mocą?

- Tak - odpowiedział mag krótko, przeklinając w duchu źródła przecieku, bez względu na sposób, w jaki do niego doszło.

W obecności tylu zgromadzonych na sali Obserwatorów i innych magów czytających w myślach nie mógł mijać się z prawdą.

- Czy ucierpiałeś w jakiś sposób, Mistrzu?

- Wrażenie było bardzo nieprzyjemne...

- Czy pozostały na tobie trwałe ślady użycia talentu? Blizny, obrażenia wewnętrzne, czy choćby sińce?

- Nie.

- Czy można uznać, że chłopiec skierował na ciebie jedynie niewielką część energii lub zwyczajnie chciał cię tylko przestraszyć?

- Nie wiem.

- Czy można uznać, że brak obrażeń jest wynikiem kontroli sprawowanej nad talentem?

- Uważam, że można - rzekł mag z wysiłkiem i kwaśną miną.

Oskarżyciel na razie wygrywał.

- Dziękuję - powiedział Filar, kłaniając się uprzejmie. - To wszystko. Jak widać, talent chłopca jest jednak w jakiś sposób pod kontrolą. Proszę jako świadka oskarżenia Imbira Stworzyciela.

Imbir podniósł się z niemiłym uciskiem w dołku. Był przygotowany na to wezwanie. Spodziewał się go, lecz mimo wszystko denerwował się. Jego drobiazgowo opracowane zeznania miały dać najsolidniejszą podstawę do wykazania złej woli i zaniedbań góry Kręgu Magów. Zajął miejsce zwolnione przez Mistrza.

- Kiedy po raz pierwszy zetknąłeś się z Nocnym Śpiewakiem?

- Półtora miesiąca temu. Leczyłem to dziecko na bagnicę.

- Co możesz powiedzieć o przebiegu choroby?

- Ciężki i zagrażający życiu.

- Czy w samym Zamku często występuje ta choroba?

Młody medyk potrząsnął głową.

- Tu, w delcie, bagnica jest chorobą doków i dzielnic biedoty. Zapadają na nią ludzie, którzy mają utrudniony dostęp do dobrych studni i czerpią wodę z samej rzeki.

- Dlaczego więc chłopiec zachorował?

- Myślę, że włączył się gdzieś samopas. Mógł napić się brudnej wody z rzeki albo z fontanny. Mógł zjeść coś nieswieżego. Sądzę, że nie pilnowano go dostatecznie.

- A więc leczyłeś chłopca... Czy odwiedzałeś go również później, w okresie dochodzenia do zdrowia?

- Tak, przychodziłem do niego, gdy tylko pozwalał mi czas wolny. Przynosiłem mu zabawki. Rozmawialiśmy.

- Jakimi słowami możesz opisać to dziecko?

Rzecznik Kręgu patrzył na Imbira niezycliwie, lecz nie przerywał. Imbir był niewygodnym świadkiem. Jego młodość, jego uczciwa twarz zjednywała mu sympatię sędziów. Filar grał na uczuciach publiczności bez żadnych skrupułów.

- Nieufny, spłoszony, niepewny, uparty, ciekawy, inteligentny, myślący, ale także dziwaczny - wyliczał młody Stworzyciel.

- Czy możesz dodać do tego słowo „agresywny”? - spytał oskarżyciel.

- Nie! - rzekł Imbir z całą stanowczością, na jaką było go stać.

Rzecznik poprosił o turę głosu.

- Nauczyciel tego chłopca ma o tym inne zdanie. Spotykał się z lekceważeniem i obraźliwymi słowami. Ocenia Nocnego Śpiewaka jako dziecko leniwe i mało zdolne. Jest wielu, którzy się z tym zgadzają. Nie poproszę nikogo na świadka, gdyż wyliczenie wszystkich występków trwałoby zbyt długo i poważnie nadszarpnęłoby cierpliwość obecnych. W każdym razie ugryzienie służącej jest czynem wysoce agresywnym. Faworyt pana Bukata ma wyjątkowo brzydki charakter. Był też wielokrotnie karany za drobne kradzieże.

Filar skłonił głowę przed oponentem, jakby tamten sprawił mu nadzwyczajną przyjemność swoim wystąpieniem.

- Bardzo dziękuję. Istotnie chciałem poruszyć ten temat i powrócimy do niego, gdy przyjdzie kolej wezwania samego chłopca. Teraz jednak chciałbym kontynuować składanie zeznań przez Imbira Stworzyciela.

- Jak oceniasz wykorzystanie talentu przez chłopca?

- Jest silny, lecz jeszcze niewprawny. Do ćwiczeń potrzebuje absolutnego spokoju. Łatwo się rozprasza. Uczyłem go typowych technik medytacyjnych na poziomie stosownym do jego

wieku. Wyniki mnie zadowalały.

Przez salę przeszła fala podnieconego mamrotania. Imbir był pewien, że gdyby zagłębił się w przestrzeń mentalną, znalazłby się w wirze wściekłego myślowego hałasu. Ze swego miejsca poderwał się Klinga, protestując ze złością.

- Bajdy! Jakiś praktykant uzyskuje to, co nie udało się błękitnym?! Kłamstwa, brednie! Szczeniak nie umie nic...

- Uspokój się! - syknął sąsiad maga i pociągnął go w dół.

- Przypominam, Mistrzu, że nie udzielono ci głosu jako świadkowi - rzekł zimno Filar. - A także to, iż są tu obecni magowie zdolni sprawdzić prawdomówność składającego zeznania.

Na nowo zwrócił się do syna:

- Z całą pewnością możesz powiedzieć, że chłopiec używał przy tobie talentu w sposób kontrolowany?

- Tak, z całą pewnością i z pełną świadomością wagi tego, co mówię.

- Czy mógłbyś przedstawić konkretne dowody?

Imbir wstał i zaczął opróżniać wypchane kieszenie, mówiąc jednocześnie:

- To są przedmioty, które zebrałem w jego pokoju. Próby, wyniki sprawdzania możliwości. Niektóre są bardzo osobliwe. Czasem nie całkiem udane, bo on się jednak dopiero uczy...

Rozdawał wytwory dziecięcej wyobraźni oficjalnym przedstawicielom Kręgu, sędziom i najbliższym stojącym widzom. Oglądali kawałki ołowiu częściowo błyszczące złotym kruszcem, poprzekształcane przedmioty, odcisk małych palców w płaskim kamieniu, nadgryzione jabłko zatopione w kawale kwarcu i inne, równie zdumiewające rzeczy.

W obliczu namacalnych dowodów argumenty góry odeszły w niebyt. Filar jednak chciał doprowadzić rzecz do końca. Należało potwierdzić prawa Bukata do chłopca i przykrócić apetyty Kręgu na władzę.

- Czas na podsumowanie. Proszę wprowadzić chłopca.

Imbir śledził Nocnego Śpiewaka wzrokiem. W przeddzień przyszli tutaj wszyscy, by przygotować się do rozprawy, oswoić dziecko z otoczeniem i układem mebli. Lecz dzisiaj tłoczyło się tu mnóstwo ludzi. Imbir obawiał się, że chłopiec straci pewność siebie. Czy będzie w stanie mówić? Było się tylko nie przestraszył i nie zechciał uciec. Imbir zdążył poznać go bliżej i zorientować się, że pozorna krnąbrność pokrywa kruchą równowagę psychiki. To dziecko łatwo było przerazić.

Chłopczyk przemaszerował między strażą. O jego zdenerwowaniu świadczyły mocno zacisnięte pięści. Imbir wiedział, że w jednej kryje się mały, szklany przycisk. Dał go Śpiewakowi w ostatniej chwili. Filar zawsze powtarzał, że lepiej, by nerwowy świadek miał coś w ręku. Czuje się wtedy pewniejszy. Poza tym zaciskanie palców, skubanie paznokci i tym podobne niekontrolowane ruchy robiły złe wrażenie, jakby przepytywany miał coś na sumieniu.

Chłopiec wdrapał się na wskazane miejsce. Imbir z trudem ukrył uśmiech satysfakcji. Ojciec był jednak geniuszem. Dzisiejszego ranka wymienili poprzednie siedzisko na inne, o wyższych nogach. Nocny Śpiewak, by wejść na nie, musiał podskoczyć. W ten sposób, z nogami dyndającymi nad posadzką, wydawał się sędziom mniejszy i bardziej bezradny.

- Odpowiadaj na pytania zgodnie z prawdą. Jeśli czegoś nie wiesz lub nie jesteś pewien, powiedz to. Zrozumiałeś?

Nocny Śpiewak pokiwał głową.

- Tak.

Imbir z ulgą usłyszał, że chłopiec mówi cicho, lecz wyraźnie.

- Powiedz, czy jesteś magiem?
- Nie - zaprzeczył chłopiec. - Mag ma szarfę i obrazek na skórze.
Imbir odetchnął z wielką ulgą. Nocny Śpiewak nie uważał się za maga i mówił szczerze.
- Czy wiesz, czemu tutaj jesteś?
- Chcą mi zabrać talent.
- Dlaczego?
- Za karę.
- Co zrobiłeś?
- Pogryzłem talentem tamtego człowieka.
- Czy potrafisz zrobić coś podobnego teraz, w tej chwili?
- Nie wiem. Wtedy bardzo... się bałem - głos dziecka załamał się.
Filar odczekał chwilę.
- Twój nauczyciel nie jest z ciebie zadowolony. Skarży się na ciebie. Mówi, że jesteś nieposłuszny. Mówił też, że kradniesz. Czy to prawda?
- Taaaak - bąknął Nocny Śpiewak, spuszcżając oczy.
- Jakie rzeczy zabierałeś?
- Mięso, chleb i jabłka... i nóż... i papier do pisania... - Nocny Śpiewak posłusznie odgrzebywał w pamięci swoje przewinienia - ...cukierki...
- Pieniądze? - przerwał mu Filar.
- Nie. Tego nie wolno - odparł Śpiewak kategorycznie.
- A więc bywałeś niegrzeczny. Czy karano cię za to cieleśnie?
- Co...? - spytał chłopiec niepewnie.
- Czy dostawałeś bicie, jeśli na to zasłużyłeś?
- Taaaak - potwierdził malec, spuszcżając oczy. Zaciskał ręce, aż zbiełały mu kostki. Nie było tego widać pod sierścią, ale musiał być czerwony ze wstydu.
- Dobrze. Może wyjaśnisz dokładnie, na czym to polegało.
- Różgą... - jęknął chłopiec zgnębiony - ...albo rzemieniem. W tyłek. A czasem w plecy, przy ścianie.
- O tym opowiedz dokładniej.
Bukat zaciskał wargi i wybijał palcami nerwowy rytm na podłokietniku.
- Musiałem zdejmować koszulę. Oprzeć się rękami o ścianę, schylić się i rządca mnie bił w plecy.
- Wystarczy. Czy mój oponent ma jakieś pytania? - Filar zwrócił się do stojącego obok mężczyzny. Ten pokazał znak, że rezygnuje z tury głosu na rzecz przeciwnika. Wiedział już, do czego doprowadził prawnik Bukata, i czuł zniechęcenie.
Zwolniony Nocny Śpiewak, prawie biegnąc, zniknął za drzwiami.
- Dziękuję - rzekł ojciec Imbira. - Pozwolę sobie dla przypomnienia odczytać fragment cesarskiego edyktu dotyczącego niewolnictwa. Otóż: „W niewolę może być oddany jedynie człowiek mający długi pieniężne, których nie może spłacić. Może być oddany jako niewolnik tylko swemu wierzycielowi lub jego spadkobiercom. Tak samo niewolnikiem może zostać syn lub córka dłużnika. A w niewoli mogą oni pozostać jedynie tak długo, aż pracą wyrównają dług. Posiadacz niewolnika może uczynić z nim, co zechce, jak ze swoją własnością, z wyjątkiem odebrania życia lub trwałego skaleczenia, gdyż niewolny człowiek może na powrót zostać wolnym obywatelem. Póki jednak pozostaje w niewoli, właściciel powinien mieć nad nim pieczę i odpowiedzialność”.

Kontynuował:

- Dziecko nie uważa się za maga - to pierwsze. Drugie - zostało kupione w sposób legalny i nigdy nikomu innemu nie było odsprzedane. Przedstawiciele Kręgu twierdzą, że nie wiadomo tu o tej zależności między Bukatem Mówcą a chłopcem. Lecz mimo to karano go niewolniczą chłostą.

Prawnik Kręgu machał wściekle ręką, domagając się głosu.

- Od kiedy słońce świeci na niebie, zawsze karano nieposłuszne dzieci, i to zwykle za pomocą różgi! Nie ma w tym nic nadzwyczajnego! Na tej sali nie ma mężczyzny, który by jako dziecko nie dostał choć raz w skórę! To nedorzeczne, by wysuwać ten argument.

- Pan ma kłopoty ze słuchem lub uważa sędziów za bezrozumnych - przerwał mu Filar bezwzględnie. - Nocny Śpiewak opisał typową niewolniczą pozycję pokory. Nie słyszałem jeszcze, by jakiś rodzic karał swe dziecko przy ścianie. „Ściana” jest karą uwłaczającą godności i ma na celu podkreślenie wyższej pozycji karzącego. Powszechnie stosuje się ją wobec niewolnych. Wszystko więc wskazuje, że to dziecko mimo wszystko jest niewolnikiem i tak też je traktowano. W takim wypadku obejmuje je edykt cesarski, zabraniający trwałego okaleczenia. A że dziecko jednak kontroluje swoją siłę, nie może być mowy o zastosowaniu środków nadzwyczajnych. Dziękuję. Oddaję głos.

Imbir, zadowolony i dumny, postanowił opuścić salę. Opłaciła się nieprzespana noc spędzona wraz z Różą na szczegółowym spisywaniu wszystkiego, co wiedzieli o Nocnym Śpiewaku. Na tych notatkach ojciec Imbira wyostrzył nóż swej wymowy i pokroił sprawę, jak tylko chciał. Teraz oczywiście oponent jeszcze nieco poprotestuje, by zachować twarz. Potem sędziowie pójdą się naradzić, choć wiadomo z góry, jaki wyrok wydadzą. Argumenty Filara były nie do podważenia. Aby je obalić, trzeba by odszukać matkę Nocnego Śpiewaka i udowodnić, że sprzedała syna dla chęci zysku. A to po upływie ośmiu lat było niewykonalne.

Imbir postanowił odnaleźć Śpiewaka. Spodziewał się, że mały pewnie zaszył się w jednej ze swych licznych kryjówek. Z pewnością boi się i potrzebuje pociechy.

Jednak gdy mag z trudem wy dostał się z przepełnionej sali, zobaczył Nocnego Śpiewaka czekającego na galerii. Chłopczyk siedział okrakiem na balustradzie, opierając się plecami o kolumnę, i obracał w dłoniach szklany przycisk.

- Wszystko w porządku - powiedział Imbir.

- Wiem. Podśuchiwałem. Czy teraz Bukat zabierze mnie z powrotem?

Imbir usiadł obok chłopca.

- Myślę, że nie. Bukat jest Mówcą, a ciebie powinien uczyć Stworzyciel. Za to ani zarządca, ani nauczyciel, ani nikt inny nie będzie cię już mógł skrzywdzić. Sędziowie uznają, że należysz do Bukata.

Nocny Śpiewak ożywił się.

- To znaczy, że już nigdy nie dostanę różgą?

- Nie miałbym takiej nadziei. Musisz się po prostu bardziej starać. Nie podkradać niczego, nie przeklinać i lepiej się uczyć. Bukat powie ci to samo. Jemu bardzo na tym zależy, żebyś został magiem - Talentem można zrobić tyle pięknych i pożytecznych rzeczy...

Nocny Śpiewak milczał i bawił się nadal kawałkiem szkła.

- Mogę to sobie wziąć? - spytał wreszcie i pokazał małą półsfere.

- Oczywiście, zrobię sobie drugi. Co tam jest?

Mag wyjął przedmiot z ręki chłopca. W szkłe była wygrawerowana róża - trochę niezgrabna, ale Imbir nie miał wątpliwości co do gatunku kwiatu. Szkło wybrano od spodu w ten sposób, że

rysunek wydawał się wypukły. U dołu, przy łodyżce, umieszczono trzy nieforemne znaki. Imbir w pierwszej chwili nie mógł ich odczytać, potem olśniło go i odwrócił przycisk płaską stroną do góry. Napis był omyłkowo odwrócony. Róża dla Róży.

- Sam to zrobiłeś?!

Nocny Śpiewak kiwnął głową.

- Ciągle czekałem i czekałem. I martwiłem się, i martwiłem. I tak zacząłem dłubać. Staralem się, bo to dla Różyczki. Wiatr Na Szczycie nie umie takich rzeczy! - Malec uśmiechnął się z satysfakcją. - Myślisz, że jak dam jej to i powiem, że ją kocham, to odstawi tego tłumoka? - dodał nieśmiało.

- Nie wiem, ale możesz spróbować. Róża jest na sali. Trochę potrwa, zanim się wydostanie z tego tłumy.

Nocny Śpiewak zeskoczył z poręczy.

- Poczekam na nią w jej pokoju.

Imbir patrzył, jak malec oddala się wzdłuż galerii. Jego brązowa głowa lśniła w słońcu. Czy nie było znamienne, że pierwszy w pełni świadomie i starannie wykonany twór tego chłopca był podarunkiem miłości? Imbir miał nadzieję, że to się już nie zmieni.

Osiem lat później

Lustro olejowej lampy zmatowiało i nie odbijało już odpowiednio światła. Płowemu przeszło przez myśl, że najwyższy czas je wypolerować. Odsunął sprzed oczu szkła mikroskopu i potarł palcami powieki, po czym na nowo pochylił się nad badanym preparatem. Robił właśnie sekcję dużej jaszczurki piaskowej - odsłaniał nerwy zwierzęcia, badając ich delikatne ścieżki. Praca była żmudna, lecz miała pchnąć do przodu jego studium o leczeniu dziecięcego paralizu. Jeżeli będzie wystarczająco dobre, starszyzna Kręgu skieruje je do kopiarni. Płowy zyska nieco prestiżu, a i pieniądze, których spodziewał się za swoją pracę, były nie do pogardzenia.

Za oknem chaty meczała koza. Płowy uśmiechnął się. Naukowe badania i koza! Jakże ironiczne zestawienie. Cóż... był magiem Obserwatorem zaledwie czarnej kategorii. Niewiele więcej mógł wymagać od życia niż ten domek, kilka kóz oraz praca wiejskiego lekarza. Magiem się nie zostaje. Magiem się rodzisz i w tej materii nie zdobywa się więcej niż to, co zostało człowiekowi przeznaczone Przy narodzinach. Chociaż... może właśnie Kamyk...? Obserwator Potrząsnął głową, nie kończąc myśli.

Od reszty pomieszczenia odgradzała go tylko kotara, więc doskonale słyszał, jak jego wychowanek wchodzi do środka. Wpierw kopniak w drzwi, potem głucho łomotnięcie stawianej na stole stągiewki z mlekiem. Zgrzyt pokrywki o brzeg garnka... łoskot czegoś, co potoczyło się po podłodze, najwyraźniej strącone nieostrożnym ruchem. Niewiarygodne, ileż hałasu potrafi narobić ten chłopak choć nie zdaje sobie z tego sprawy.

Szurnęła zasłona, w polu widzenia mężczyzny pojawiła się dłoń trzymająca spore, rumiane jabłko. Mag wziął podarek z ręki wychowanka. Kamyk uśmiechał się szeroko, prezentując kolekcję białych zębów. Płowy ugryzł jabłko i w tym samym momencie zrozumiał... Owoc miał właściwy ciężar i zapach. Skórka stawiała opór zębom, a wewnątrz było soczyste i słodko-kwaskowe. Brakowało jednego, jedyne go elementu.

Płowy pokazał palcami znak „dobrze”, po czym odłożył jabłko na stół. Uśmiech chłopca zniknął błyskawicznie jak wytarty ścierką. Owoc rozpułynał się bez śladu.

„Co znów zrobiłem źle? O czym zapomniałem, zgnilizna/choroba...?” - Brwi Kamyka zbiegły się, a ręce zatańczyły w powietrzu, kreśląc zawiłe wzory.

Mag westchnął. Nigdy nie uczył Kamyka przekleństw, a ten i tak szukał sposobów na wyrażenie własnej frustracji.

„Wszystko dobrze, prócz jednego. Nic nie słyszałem”. - Jego dłonie poruszyły się płynnie.

„To te brudne/źle/robaczywe jabłka też mówią...?!” - Chłopak uderzył się kłykciami w wysuniętą agresywnie szczękę, podkreślając gwałtowność przekazu.

„Niestety, tak”.

Chłopak odszedł, garbiąc się i szurając podeszwami. Jabłka nie mówiły, ale jak głuchoniemy dzieciak ma pojąć, że przy ugryzieniu słysząc chrupnięcie?

Płowy powrócił do pracy, ale jego myśli nadal krążyły wokół chłopca. Czyżby to już naprawdę minęło aż dziesięć lat? Tak szybko? Dziesięć lat temu przypadek zaprowadził Płowego do wsi Strzelce. To była całkiem zwyczajna, niewielka wioska tonąca w jabłoniach.

Mieszkańcy spokojnie przeżywali swój czas na ziemi, uprawiając ziemię i wyrabiając łuki. Pory roku odmieniały się zgodnie ze swą naturą. Rytm życia wyznaczały siewy, zbiory i przyjazdy kupców. Nic nie wskazywało na to, że którykolwiek z tych niewielkich ludzi osiągnie coś więcej niż jego rodzice, dziadkowie i pradziadkowie.

Usługi maga przyjęto chętnie w Strzelcach. Płowy leczył kołowaciznę u owiec, nastawiał zwichnięte kończyny, szczepił dzieci przeciw bagnicy i wrywał zęby. Dach nad głową zapewnił mu Chmura - rymarz, który nie dorobił się jeszcze licznej rodziny. Składała się tylko z cichej, uśmiechniętej żony imieniem Stokrotka oraz równie cichego dziecka, które nie wyglądało na więcej niż trzy lata. Płowy, zajęty pracą, nie zwracał szczególnej uwagi ani na gospodynię, ani tym bardziej na malca. Widywał chłopczyka grzebiącego w piasku na podwórzu albo w warsztacie ojca, gdzie bawił się drewnianymi i kawałkami skóry.

Tak działo się aż do dnia, kiedy zastał dzieciaka na zabawie znacznie bardziej zajmującej niż usypywanie kopczyków z piasku. Na pierwszy rzut oka malec męczył kilka żuków. Dwa przywiązał nitką do pudełeczka z kory. Dwa inne kręciły się w zagrodzie z patyków. Nagle zamieniły się na chwilę w dwie malutkie krowy. Mag mimowolnie zacisnął powieki i potrząsnął głową. Gdy otworzył je znowu, krówek już nie było, a za to owady przy korowym pudełku stały się małymi końmi, a samo pudełeczko wozem. Chłopczyk, posapując z przejęcia, umieścił w piaszczystym dołku największego żuka. Ten rósł, zmieniając wciąż barwy, aż w końcu przekształcił się w tłustego gołębia, który rozłożył skrzydła i groził dziobem miniaturowemu zaprzęgowi. Małeńkie konie uciekały przed zagrożeniem, ciągnąc za sobą wyładowany tobołkami wózek. Dziecko zachichotało, machając ramionkami nad głową.

- Hej! Skąd ty to umiesz?! Kto ci takie rzeczy pokazał?! - wykrzyknął zdumiony mag, nawet nieco zbyt głośno, ale dziecko nie przestraszyło się. Jakby w ogóle nie zauważyło dorosłego, który stał tuż za nim. Dopiero gdy Płowy puknął chłopczyka palcem w głowę, ten westchnął raptownie, zadarł do góry buzię z rozszerzonymi lękami oczami barwy kasztanów i wlepił je w maga. Kolorowe cudenka znikły bez śladu - dwa zmęczone owady znalazły drogę na wolność i umknęły z zagródki w chwasty pod płótem. Żukowy zaprzęg kręcił się niemrawo w kółko, kreśląc na piasku zawiłe ornamenty.

- Nie bój się, nic ci nie zrobię... Jakie śliczne rzeczy robisz... - mag odruchowo modulował głos w pieszczotliwe tony, jakimi zwykle dorośli odnoszą się do maluchów. Chciał pogłaskać dziecko po kręconej czuprynce, ale chłopczyk nieufnie uchylił się przed dotknięciem.

W drzwiach warsztatu pojawił się Chmura. Wziął synka na ręce a ten natychmiast objął go za szyję.

- Mały ma talent Tkacza, czy zgło... - zaczął Płowy, ale Chmura przerwał mu szorstko.

- Głuchy jest. Głuchy się urodził i nic wam do niego. Nie będzie z niego maga. W domu ostanie i po mnie fach weźmie.

Płowy nie wracał już do tego, ale zaczął uważniej obserwować małego Kamyka. Istniały rozmaite rodzaje magicznych talentów. Płowy był Obserwatorem, czytał w ludzkich głowach jak w otwartych księgach, choć przyznawał, że najczęściej nic ciekawego zobaczyć się w nich nie dało. Magowie z kasty Mówców odbierali cudze myśli i wysyłali odpowiedzi, nawet na bardzo duże odległości. Wędrowcy znikali z jednego miejsca, a pojawiali się w innym. Strażnicy Słów potrafili całymi godzinami bez zmęczenia recytować z pamięci ciągi liczb, daty wydarzeń z historii albo mądrości spisane w księgach przez uczonych. Synek Chmury natomiast miał oznaki talentu tyleż rzadkiego, co zachwycającego - Tkacza Iluzji, który władał mirażami i potrafił pustkę zapęłnić wspaniałymi tworem własnej wyobraźni. Gdyby był zdrowy, magiczny talent

otworzyłyby mu drogę do lepszego życia niż ciężka praca na roli lub wyrabianie upręży. Nie miało znaczenia, czy mag urodził się w wiejskiej chacie, czy w domu bogacza, magia równała wszystkich, a przynajmniej tak utrzymywano oficjalnie. Ale głuchonieme dziecko z magicznym talentem - cóż za straszna drwina losu. Nikt nie podejmie się nauczania chłopca rokującego tak marne nadzieje.

Jakiś czas później mag opuścił Strzelce, by na polecenie zwierzchności objąć posadę gdzie indziej, ale wspomnienie o cichym dziecku pozostało w jego umyśle jak cierni.

Rok później dotarła do niego wiadomość z Kręgu Magów: na wyżynie Lenn szalała epidemia i każdy mag miał obowiązek pomóc w jej opanowaniu. W ten sposób los znów zaprowadził Płowego do Strzelców.

Zaraza była potworniejsza niż cokolwiek, co widział do tej pory. Ludzi dziesiątkowała złośliwa odmiana płucnej zamartwicy. Choroba wybuchała nagle. W ciągu kilku dni chory umierał, dusząc się i wymiotując skrzepami. Gwardia cesarska zawracała uciekinierów, którzy gnani strachem usiłowali wydostać się z otoczonych wojskiem rejonów, ale najczęściej śmierć już czaiła się w nich samych.

Płowy wspominał te dni jako pasmo ciągłego koszmaru. Skóra na rękach pękała mu i krwawiła od ciągłego mycia w ługu. Wszystko śmierdziało krwią, ropą, odchodami i octem, który miał zapobiegać roznoszeniu się choroby. Dwóch innych lekarzy zaraziło się i zmarło. Na skraju wsi wciąż płonęły stosy pogrzebowe. Mieszkańcy Strzelców gromadzili drewno, płacząc, modląc się i przeklinając, niepewni, czy nie robią tych zapasów dla siebie. Zmarło wiele dzieci. Niektóre ocalały, tracąc oboje rodziców. Trafiały się i takie, które matki wypędzały z domu, widząc u siebie pierwsze oznaki zarazy i drżąc o życie ukochanych. Płowy sam ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, kiedy poszedł do szopy, gdzie zgromadzono całą tę zapłakaną, bezradną, zasmarkaną biedę. Dzieci spały na słomie, przytulone do siebie jak samotne psiaki. Najmłodsze płakały i wzywały rodziców, nie rozumiejąc, że już nigdy ich nie zobaczą. Większość była niedożywiona, pogryziona przez pchły. Połowa z gorączką. Zakazane zadrapania, sińce, zaropiałe oczy, bóle brzucha... Lekarz smarował maścią skaleczenia, zaglądał w oczy, w uszy, wmuszał w dzieciarnię gorzki wyciąg przeciw bieguncce. Mechanicznie powtarzał: „Mama przyjdzie później”.

Jedno z dzieci siedziało daleko w kącie, odwrócone do wszystkich tyłem. Kiwało się monotonnie, uderzając głową o ścianę. Dopiero kiedy Płowy wyciągnął malca z kąta, zajrzał w udręczoną buzię, rozpoznał skośne brązowe oczy i brunatne loki synka Chmury.

Zaraza wygasła, ocaleni odetchnęli, zaczynając budować swój niewielki świat od nowa. Dla maga również zaczynał się nowy rozdział. Opuszczał Strzelce, prowadząc za rączkę chudego czterolatka, który uparcie wbijał wzrok w ziemię. Przeczuwał, że czeka go wiele, wiele zmian. Zaczął od stawiania mniejszych kroków.

*

Od tamtej chwili minęło sporo lat. Kamyk zaczynał wyrastać już na młodzieńca. Płowy przyznawał uczciwie, że nieraz przeklinał podjętą wtedy decyzję. Niejednokrotnie ogarniało go zmęczenie i zniechęcenie. Kamyk miał niełatwy charakter. Zwłaszcza pierwsze tygodnie były koszmarne, gdy porozumienie w błahych nawet sprawach wydawało się zupełnie niemożliwe. Jednak wśród zwątpienia, błędów oraz dziecięcych łez samotny mężczyzna i osierocony chłopiec zaczęli się powolutku dopasowywać, aż w końcu wyrosła między nimi więź nie do zerwania.

Kamyk był bystry. Nauczył się szybko czytania i pisania. Tryumfował też na polu magii - potrafił nadawać najbardziej fantastyczne kształty najmniejszemu źdźbłu trawy. W końcu zaczął kształtować nawet powietrze, które poddawało się jego woli jak glina palcom garncarza. Jednak to nie wystarczało, by stał się pełnoprawnym członkiem Kręgu. Brakowało mu jednej, jedynej rzeczy. Drzewa, które stwarzał, nie szumiały. Zwierzęta były nieme. Fantastyczne bestie bezgłośnie otwierały paszcze.

Niestety, nigdy nie nauczył się mówić. Może Płowy był niewprawnym nauczycielem, a może chłopiec nie potrafił zrozumieć jego nauk i zdać sobie sprawy z istnienia świata dźwięków. „Mowa”, „hałas” były dla niego pustymi pojęciami. Dlatego nigdy nie starał się cicho zamykać drzwi albo stawiać delikatnie misek. Na próżno mag układał mu usta, pokazywał, jak wydychać powietrze i kładł ręce dziecka na swojej krtani. Kamyk był wyczulony na ruch jak źdźbło trawy na podmuchy wiatru, ale mowa stanowiła dla niego tylko drganie gardła, zupełnie niezrozumiałe.

Obserwator czytał umysł swego podopiecznego i widział oczami chłopca otoczenie jako przedziwną krainę koloru, kształtu i zapachu. Świat bez nazw. Dla Kamyka woda była mokra i błyszcząca, ale nigdy nie pluskała. Burza oznaczała światła na niebie, ale chłopiec nie domyślał się nawet istnienia gromów przetaczających się po niebiosach jak ciężkie kamienie młyńskie. Zgadywał jednak, że czegoś mu brakuje, że nie został przez kaprys losu dopuszczony do tajemnicy, którą prócz niego zgłębili wszyscy inni. Może dlatego z wiekiem czuł się coraz bardziej skrzywdzony i stawał się coraz bardziej buntowniczy. Przypominało to powolne napinanie struny, która w końcu musiała kiedyś pęknąć.

*

W dwa dni po wydarzeniu z jabłkiem ta struna wreszcie pękła. Było późne popołudnie. Płowy i Kamyk siedzieli przy stole. Mag przepisywał luźne spostrzeżenia z łupkowych tabliczek na pergaminową kartę. Chłopiec bazgrał niedbale na swojej tabliczce. Minę miał ponurą. Jego rysik skrzypiał potwornie. Na prośbę, by sprawdził, czy w końcówce nie tkwi jakiś ostry okruch, rzucił go w kąt. Płowy zmarszczył się. Chłopak wyraźnie miał jeden z tych niedobrych dni, które ostatnio zdarzały mu się częściej i częściej.

Kamyk zaczął zabawiać się stwarzaniem iluzyjnych ptaków, które spacerowały po stole w różnych kierunkach.

„Ptaki odnajdują się w gąszczu, chociaż są takie małe. A u niektórych samce i samice wyglądają zupełnie jednakowo. Ciekawe czy czasem się mylą”.

Pióro maga na moment zawisło nad kartą.

„Nie” - pokazał krótki gest palcem.

„Nigdy?”

„Nigdy”.

„Dlaczego?”

„Nigdy się nie mylą, bo każdy ptak inaczej śpiewa. Słyszą się nawzajem i...”

Obserwator zrozumiał, że popełnił błąd, zanim jeszcze skończył składać ręce do ostatniego znaku. „Śpiew” i „muzyka” były dwiema rzeczami, które niezmiennie doprowadzały Kamyka do pasji, gdyż w żaden sposób nie potrafił pojąć, czym w istocie są. A teraz jeszcze okazywało się, że nawet zwykłe ptaszki mają dostęp do tego, czego chłopiec nigdy nie miał poznać. Kamyk wybuchnął. Walnął Pięściami w stół, aż wszystko na nim podskoczyło, a potem jego dłonie zaczęły poruszać się tak szybko i nieskładnie, że Płowy ledwo nadążał je śledzić. Twarz chłopca

wyrażała wręcz furję.

„Śpiewanie... muzyka... co to jest muzyka - znowu coś, gdzie trzeba mieć uszy! Nienawidzę! Nienawidzę! Nic nie umiem! Nie umiem, nie uczę się nowego! Nie będę magiem! Głupie! Złe! Lepiej umrzeć! Nic nie mam! Nie być, nie robić i nie boleć!”

Mag złapał go za rękę, przytrzymał, zanim w gniewie i rozpaczycy wyrzuci z siebie coś gorszego, co obraziłoby jakieś bóstwo i ściągnęło nieszczęście. Wreszcie twarz Kamyka straciła dziki wyraz. Nad stołem w powietrzu pojawiły się iluzyjne znaki pisma: pieśń, grom, krzyk.

Następnie pojawiło się pytanie:

Czy naprawdę nigdy nie dowiem się, co one znaczą? Czy jakiś Stworzyciel umiałby mnie wyleczyć?

Płowy westchnął ciężko. Sam nieraz o tym myślał. Nawet potężni Stworzyciele mieli własne ograniczenia. Gdybyż ułomność Kamyka dotyczyła jedynie uszu! Płowy podejrzewał jednak, że przyczyny leżą znacznie głębiej i są bardziej skomplikowane. Któż w tych czasach potrafiłby odtworzyć zniszczone nerwy słuchowe? Tak potężnymi zdolnościami dysponował jeden Buron, legenda i bożyszcze wszystkich magów z kasty Stworzycieli. Tyle że Buron nie żył już od bardzo dawna. Nikt już nie ryzykował transformacji „żywego w żywe” na człowieku. Skutki były najczęściej oplakane.

Chłopiec skrupulatnie wytarł tabliczkę, odłożył ją na półkę razem z podniesionym rysikiem. Wyszedł przed chatę, usiadł na progu i długo patrzył na zachodzące słońce, póki pomarańczowa kula nie skryła się niemal całkowicie za wzgórzami. Widać było, że nad czymś głęboko rozmyśla. Zatraskany Płowy wyglądał kilka razy i z wysiłkiem powstrzymywał się od sondowania umysłu wychowanka.

*

Rankiem Kamyk stanął przed nim z płaszczem i torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Minę miał zaciętą. Płowego zakłuło w sercu i nagle ujrzał Kamyka już nie jako dziecko, lecz niemal mężczyznę, który miał po raz pierwszy stawić czoło światu.

„Wybacz, proszę. Ja naprawdę muszę iść. Do Stworzyciela”.

„Do Kręgu?! To straszny kawał drogi!” „Jakiś musi być bliżej. Choćby w stolicy”. „A jeśli go nie znajdziesz?”

„Znajdę go i wtedy wrócę”. - Kamyk zmarszczył brwi. Usta zacisnął w wąską kreskę. No, tak. Jednym z najbardziej widocznych rysów jego charakteru był upór. Kiedy sobie coś postanowił, koniecznie musiał to zdobyć. Dlatego właśnie nie mógł się pogodzić z ułomnością, która sprawiła, że utknął w jednym miejscu i nie mógł osiągnąć niczego więcej.

Płowy dał mu na drogę trochę pieniędzy. Uściskali się krótko, po męsku. Poszedł. Wyglądało to na oschłe pożegnanie, lecz mag wiedział, że Kamyk w rzeczywistości o wiele silniej to przeżył, niż zechciał okazać. Nie wypadało wahać się i ronić łez, skoro podejmowało się decyzje godne dorosłego mężczyzny.

Obserwatorowi nie pozostało nic innego, jak wrócić do domu. Do pracy, do badań i czekania. Dni mijały, jeden po drugim. Niepostrzeżenie soczysta zieloność wiosenna ustąpiła miejsca ugrom wyschniętej trawy. Przybywało zapisanych kart w księdze i coraz grubszy stawał się stosik pergaminów gromadzący wiedzę o preparatach biostymulacyjnych.

Płowy zapisał w dzienniku swe obawy:

Brakuje mi Kamyka bardziej, niż mógłbym przypuszczać. Dopiero teraz widzę, jak wypełniał

moje życie. Ludzie przychodzą do mnie tylko wtedy, gdy są chorzy, resztę czasu spędzam w samotności. Szacunek, jaki żywią dla „uczonego pana”, obraca się przeciw mnie. Codziennie wyglądam na trakt prowadzący ku Pagórkom i co dzień przeżywam to samo rozczarowanie. Co się dzieje z moim chłopcem? Dlaczego nie wraca tak długo?

*

Tymczasem Kamyk...

Okazało się, że znalezienie Stworzyciela nie było rzeczą łatwą. Przede wszystkim miał dość mgliste pojęcie, gdzie go szukać. Najwięcej ich oczywiście żyło w samym Zamku Magów, ale w aż tak daleką drogę się nie wybierał. Na mapie, którą wziął z domu, wszystkie odległości wydawały się niewielkie, lecz Kamyk słusznie podejrzewał, że nie ukończyłyby podróży na dalekie południe przed jesienią, zwłaszcza że wędrował pieszo. Magowie rozmaitych kast żyli rozsiani po całym cesarstwie Lengorchii. Najłatwiej było spotkać pospolitych Obserwatorów lub Strażników Słów, pracujących na urzędniczych stanowiskach. Potężni Stworzyciele trzymali się miast, więc chłopiec liczył na to, że z pewnością znajdzie medyka w stolicy państwa, Lenenji.

Długo wędrował zapyłonymi gościńcami. Omijały go złe przygody. W ciągu ostatniego roku mocno wyciągnął się w górę, więc wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. Żadnemu opryszkowi nie przyszłoby też do głowy, że ma przy sobie coś więcej niż kilka miedziaków - świadomie starał nie rzucać się w oczy. Wieśniacy nie żalowali jedzenia po obejrzeniu kilku magicznych sztuczek. Pokazywał tańczące zwierzątka, rozmnażał drobne przedmioty, odmieniał ludzkie twarze. To były prościutkie ćwiczenia, które robił już jako kilkulatek. Nie chciał odsłaniać swoich prawdziwych umiejętności. Zawstydziała go ich niepełność. A jednak pewnego razu skusiło go, by się pochwalić.

Była to jedna z tych obszernych, wygodnych wiejskich rezydencji, do jakich bogaci mieszczenie przenosili się na czas letnich upałów. Na zewnątrz prezentowała gładkie białe mury, lecz po przekroczeniu bramy wewnątrz onieśmielało przepychem kolumn, rzeźb i kolorowych fresków. Niemal równie zasobnie prezentowały się pomieszczenia dla służby, dokąd zaprowadził Kamyka nos, wiedziony smakowitymi zapachami z kuchni. Niestety, nie zdążył się najeść. Ledwie pokazał kilka iluzyjnych sztuczek, kiedy nagle mu przerwano. Dziewczynka, mniejsza i dużo młodsza od niego, ale za to bardzo strojnie odziana i niezwykle pewna siebie, złapała go za rękaw i pociągnęła za sobą. Poprowadziła chłopca długimi korytarzami zastawionymi kosztownymi meblami i ozdobami. Wreszcie dotarli do przestronnej komnaty, której ściany pokryte były kolorowymi malowidłami. Dokoła stały ozdobne, drogie sprzęty, a podłogę zasłano wzorzystymi dywanami, jakie do tej pory wiejski chłopczek mógł oglądać jedynie w warsztacie tkackim - przeznaczone na sprzedaż. Dopiero po chwili nienawykłe oko wyławiało z tego natłoku dobrobytu brodatego mężczyznę w jedwabnej tunice i kobietę w bardzo pięknej, ale chyba niewygodnej sukni. Za nią wisało duże lustro. Odbijał się w nim fragment oparcia krzesła oraz kunsztownego uczesania owej damy, ale przede wszystkim bardzo wysoki, chudy i straszliwie zakurzony młodzieniec o nieco dzikim wyrazie twarzy. Kamyk poczuł, jak na policzki wypełza mu zdradliwy rumieniec. W tym otoczeniu wyglądał jak drobny złodziejasek lub żebrak.

Dziewczynka ukloniła się mężczyźnie, potem coś tłumaczyła. Kiwał głową, mierząc przybysza ostrym spojrzeniem, jakby chciał zedrzeć nim ubranie razem ze skórą. Obok stała służąca. Pan domu, nie odwracając wzroku, wyciągnął pucharek w jej stronę, a ona natychmiast

dolała mu wina. Brodacz kiwnął palcem na Kamyka. Zmieszany i rozzłoszczony chłopak zaczerpnął głęboko powietrza. Już on im pokaże! Lustro spłynęło nagle ze ściany, zmieniając się w strumień, a nad wodą pochylały głowy spragnione sarny. Kobieta otworzyła usta, szarpnęła naszyjnik, którym dotąd bawiła się od niechcienia. Perły z niego posypały się gradem między mirażami kwiatów, które wzrosły z dywanu. Zleciało się do perełek stado najpiękniejszych, najbardziej kolorowych ptaków, jakie tylko Kamyk potrafił sobie wyobrazić. Dziobały klejnoty, jakby były zwykłym prosem. Olśniona dziewczynka w podnieceniu biegała po komnacie zamienionej magicznie w łąkę. Chwytała motyle latające pomiędzy ścianami, dotykała ufnych zwierząt. Kamyk starannie zadbał o szorstkość ich sierści. Brodacz z niedowierzaniem zanurzył dłoń w wodzie, a potem otrząsał mokre palce. W wizji sielskiej łąki pojawiały się nowe elementy. Przez trawę przekicał królik. Wiatr ochłodził twarz i rozwiał lekki szal pani domu. Pachniały wilgotne rośliny, na których zebrała się rosa. Na jedno mgnienie pojawił się biały jednorożec, zatańczył niespokojnie na cienkich nogach, po czym zniknął w chmurze kwiatnych płatków.

Lecz sprawca wszystkich tych cudów nie mógł ich pokazywać w nieskończoność. Tkanie iluzji wymagało sporego wysiłku oraz napiętej uwagi, a on był zmęczony podróżą i głodny. Podstępnie chwycił go w kleszcze zawrót głowy, który w jednej chwili przerodził się w osłepiający ból, promieniujący aż do karku. Wizerunki zniekształciły się, po czym rozplynęły bez śladu. Chłopiec szukał ręką na osłep zbawczej ściany, pewien, że za chwilę padnie na ten zbyt kowny dywan i zostawi na nim część podróżnego pyłu. Przytomność przywrócił mu twardy chwyt za ramiona. Ktoś go podtrzymał - brodacz. Troskliwie posadził niezwykłego gościa na wolnym siedzisku.

Komnata wyglądała jak przedtem, ale Kamykowi nie wydawała się już tak wspaniała jak poprzednio. Służka, z oczami okrągłymi ze zdumienia, ukłoniła się pospiesznie przed swym panem, po czym wybiegła, potykając się w progu. Dziewczynka kucała na podłodze, zbierając w garść rozsypane perły. Szło jej powoli, bo co rusz odwracała się, by spojrzeć na młodziutkiego maga. Twarzyczka jej pałała rumieńcem i uśmiechała się nieustannie, wciąż jeszcze pod wrażeniem pokazu. Chłopiec bezwiednie odwzajemnił uśmiech. Miłe były te dowody uznania.

Niebawem wróciła służąca z tacą zastawioną naczyniami. Zapachniało tak smakowicie, że pusty żołądek, o którym Kamyk usiłował zapomnieć od poprzedniego dnia, zamienił się w oszalałe zwierzę. W pierwszej kolejności jednak sięgnął po miskę z wodą. Pod taksującym wzrokiem eleganckiej damy i jej małżonka umył ręce. Skłonił grzecznie głowę przed gospodarzami i dopiero wtedy zaczął jeść... z dużym wysiłkiem nakazując sobie powściągliwość. Może i wyglądał jak włóczęga, ale nie miał zamiaru się tak zachowywać. Większość potraw widział pierwszy raz w życiu, lecz nie miało to dla niego znaczenia, skoro wszystko było doskonałe.

Pan domu usiłował go zagadnąć, więc chłopiec zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i na tle białego obrusa przywołał starannie nakreślone iluzyjne symbole: ja, słyszeć oraz znak przeczenia. Był pewien, że brodacz umie czytać. Ktoś, kto miał tyle pieniędzy, z pewnością był także starannie wykształcony.

Umiał. Kamyk uśmiechnął się ukradkiem, widząc, jak służąca podaje swemu panu łupkową tabliczkę oprawną w drewno, niemal identyczną z tymi, jakich obaj magowie używali w domu. Pewne rzeczy pozostawały niezmiennie.

To piękny pokaz, Tkaczu Iluzji - wyskrobał mężczyzna na miękkim kamieniu. - Jak ci na imię?

Kamyk. - Symbol imienia, wywołany wprost z powietrza, przekształcił się płynnie w obraz granitowego otoczaka. Dziewczynka z wrażenia rozsypała część pereł, które już zebrała, za co została skarcona przez matkę.

Brodacz skrobał i skrobał. Wypytywał o mnóstwo rzeczy. Skąd Kamyk pochodzi? Czy stawał już przed starszyzną Kręgu? Dokąd i w jakim celu wędruje tak młody człowiek obdarzony talentem? Chłopiec odpowiadał zdawkowo, nie przerywając jedzenia. Nie podobała mu się natarczywość mężczyzny. Dlaczego miałby zwierzać się komuś obcemu ze swojego nieszczęścia?

Mieszkańcy posiadłości chętnie zatrzymaliby młodego Tkacza Iluzji znacznie dłużej, by zabawiał ich mirażami, ale Kamyk nie miał ochoty zostawać. Nie przyjął też propozycji noclegu w komnatach gościnnych. Czuł się coraz bardziej nieswojo w tym luksusowym otoczeniu. Nie pasował do niego po prostu. Zadowolili się siennikiem w służbówce, co i tak było lepsze niż dotychczasowe noclegi na ziemi.

Rankiem hojna kucharka wypchała mu torbę chlebem i serem. Ku swemu zdziwieniu, mimo wczesnej pory spotkał w drodze do bramy córkę gospodarzy. Przywołał wizerunek szarej, puszystej wiewiórki, która wdrapała się małej na ramię i kręciła się tam, to skubiąc zachwyconą dziewczynkę za włosy, to znów myjąc sobie energicznie pyszczek. Przy bramie dziewczuszka coś wcisnęła mu do ręki.

Dopiero po drodze obejrzał podarunek. Trzymał w ręku złotą monetę. Kwadratową, z dziurką w jednym rogu, by można ją było dla ochrony przed złodziejem nosić na szyi jak wisiołek. Z jednej strony wybito wyobrażenie wojownika w spiczastym kasku i symbole pisma głoszące: „Światłość kraju władca Ogniu”; na rewersie widniał skromniejszy wzór - obręcz oraz napis „Magia i miecz”. Te dwie rzeczy właśnie stanowiły o potędze państwa. Chłopiec z ciekawością oglądał monetę. Najwartościowszym nominałem, jaki widział do tej pory, był srebrny smok. Płowemu za leczenie płacono zwykle miedzianymi gołąbkami, a najczęściej po prostu towarem. Złoty talent mógł wystarczyć Kamykowi na całą podróż. Pierwsza zapłata za magię! Uśmiechnął się szeroko, po czym ruszył w dalszą drogę, ściskając pieniądź w ręku i ciesząc się jego kształtem i faktem posiadania.

Czy łąkowa iluzja była aż tyle warta? Sam przed sobą przyznał że nie. Brodacz okazał się aż nazbyt hojny, ale chłopiec nie odczuł tego jako jałmużny. W skrzyni właściciela tego pięknego domu niewątpliwie kryło się jeszcze bardzo dużo takich drobiazgów. Zapewne nie odczuje najmniejszego uszczerbku. Po prostu dał adeptowi magii to, co posiadał i mógł zaoferować. Z kolei w zamian otrzymał coś, co było dla niego nieosiągalne. Najróżniejsze dary otrzymuje się w chwili przejścia przez Bramę Istnień. I zwykle nie są rozdzielane równo.

*

Podczas wędrówki w wielu osadach Kamyk spotykał magów. Ich siedziby zawsze oznaczano niebieską wstążką lub chustką zawieszoną nad drzwiami. Przeważnie byli to Obserwatorzy. Raz napotkał Strażnika Słów, ale jego kroniki nie przydały mu się na nic. Każdy wzruszał ramionami, czytając pytanie o Stworzyciela Większość członków tej kasty to samotnicy. Czy to kto wie, gdzie się taki obraca? Tu, w północnej części Lengorchii, najmowali się do jakichś prac w bogatszych majątkach, po czym odchodzili natychmiast po ich ukończeniu. Radzono chłopcu, by próbował szczęścia w mieście. Z pewnością przebywał w takim miejscu co najmniej jeden Stworzyciel - lekarz, a jeśli nie, to bez wątpienia znajdzie Mówcę, który mógłby pomóc

takowego znaleźć.

W ten sposób dotarł aż do samej stolicy. Okolica była zasobna. Splendor siedziby cesarza już z daleka zapowiadały obszerne zajazdy, stacje pocztowe oraz podmiejskie wille otoczone ogrodami. Jednak samo miasto Kamyka rozczarowało. Jakim cudem aż tylu ludzi mogło pomieścić się w jednym miejscu? Wszyscy gdzieś się spieszą, potrącają nawzajem. To zaczepiali go przekupnie, to znowu obdarci żebracy Jaskrawe kolory ścian domów i ubrań męczyły wzrok. Wiele dni wędrował sam, ale dopiero tu, w miejskim tłumie, poczuł się ogromnie samotny. Zateęsknił do spokojnych, trawiastych wzgórz i gajów, gdzie godzinami obserwował drobne zwierzątka zaprzątnięte swoimi małymi sprawami. Miasto było za wielkie, za ruchliwe. Natłok wszystkiego, co usiłował dostrzec, zrozumieć i zapamiętać, przyprawiał go o ból głowy. Poza tym miasto śmierdziało. Wstrętny odór rynsztoków walczył z mieszaniną zapachów tysiąca kuchni, a wszystko to zaprawione wszechobecnym odorem spoconych ciał i pachnideł. Przedzierał się przez tłok głównych ulic, kurczowo ściskając pod pachą podróżną torbę. Na Miłosierdzie Losu! Czy takie szaleństwo trwało tu zawsze?

Gromadka wyjątkowo dziwnie i kolorowo odzianych kobiet rozsiała się na ganku jednego z domów. Przed palącym słońcem osłaniał je płócienny baldachim wymalowany w nieco już wyblakłe kwiaty. Nader wydekoltowane suknie odsłaniały ramiona i część piersi. Całość dopełniały niezwykle fryzury - włosy upięte w wysokie wieże upstrzone świecidełkami. Dziewczyny uśmiechały się, kusząco wydymały wargi i machały wachlarzykami do przechodniów. Każda miała na policzku wymalowany niewielki kwiat. Kamyk nie mógł oczu oderwać od tak egzotycznego widoku. Jedna z dziewcząt nagle chwyciła go za ubranie i zanim zdążył zareagować... polizała go w ucho. Wyrwał się, odskoczył jak oparzony i wpadł tyłem na lektykę. Dziewczyny parsknęły śmiechem. Skonfundowany, wściekły, oddalił się czym prędzej, masując stłuczony łokieć. Nie, miejskie obyczaje były stanowczo nie do zniesienia!

Chłopiec rozglądał się w poszukiwaniu charakterystycznych błękitnych szarf, lecz, ku swemu zdumieniu, nie zobaczył nikogo, kto by taką nosił. Wydawało się, że w tym mieście nie ma ani jednego maga, co oczywiście było niemożliwe!

Wreszcie fasady domów, dotąd zdobne w jaskrawe freski, ustąpiły miejsca jasnym murom z piaskowca. Znad krawędzi szorstkich ścian wyłaniały się jedynie dachy i fragmenty tarasów. Ta część miasta pachniała inaczej. Było tu też czyściej. Zapewne właśnie za tymi murami żyli zamożni obywatele ze swymi pięknymi, obwieszonymi perłami żonami, ślicznymi dziećmi i workami złotych monet.

Ruch malał. Słońce stało w zenicie, nastała pora sjesty, więc ulice się wyludniły. Kamyk szedł dalej i dalej wśród rozprężonych murów. Kilkakrotnie zmieniał kierunek marszu, ale właściwie nic to nie dawało. Stolica była naprawdę ogromna. A może to złudzenie? Może po prostu kręcił się w kółko? Dotąd całkiem niezłe orientował się w stronach świata i umiał korzystać z mapy, ale tu kompletnie stracił poczucie kierunku. W końcu sam przed sobą przyznał, że się zgubił. Takie chodzenie na chybił trafił nie miało sensu i nie przynosiło niczego prócz zmęczenia. Żadnej błękitnej szarfy! Jak to możliwe?

Z całą pewnością w tym mieście musiała znajdować się niejedna siedziba Mówcy, przekazującego i odbierającego najpilniejsze wieści. To, że Kamyk żadnej nie widział, nie znaczyło, że ich nie ma. Możliwe, że zwyczajnie którąś przeoczył. Ale jak dostrzec cokolwiek w tym labiryncie wysokich ścian?

Chłopak stanął pod bramą gęsto poprzecinaną żelaznymi listwami i odpoczywał. Obojętnie patrzył na kołatkę wyobrażającą łeb psa szczerzącego zęby. Zdaje się, że mieszkańcy tej

rezydencji nie przepadali za gośćmi. Południowe słońce błyszczało oślepiająco na wypukłościach kołatki, więc dopiero po chwili dostrzegł swoją pomyłkę. To nie był pies. Zwierzę przypominało go z kształtu głowy i spiczastych uszu, lecz szerokie chrapy i duże wypukłe ślepie przekreślone pionowymi żrenicami należały do stworzenia o wiele groźniejszego. Do bramy przymocowano mosiężny wizerunek smoczej głowy. Kamyk pogłaskał rozgrzany metal. Pasjonował się smokami, odkąd sięgał pamięcią. Ze sto razy przeczytał o nich wszystko, co tylko zawierała nieduża biblioteka Płowego. Smoki miały sporo wspólnego z magami, choć uznawano je za istoty stojące mały co wyżej od zwykłych zwierząt. Każdy był jednocześnie Obserwatorem, Mówcą, Stworzycielem i Strażnikiem Słów, przechowującym wiedzę całych pokoleń. Te potężne, fascynujące stworzenia zamieszkiwały Smoczy Archipelag oraz południowe wybrzeża Lengorchii, ale Kamyk widział kiedyś smoka przelatującego nad Żmijowymi Pagórkami. Co prawda z tak wielkiej odległości, że mógł to być także ogromny ptak, ale chłopiec nigdy dotąd nie widział ptaka, który poruszałby się w podobny sposób, więc przechowywał ten obraz w pamięci jako wspomnienie cudu.

A teraz, całkiem jakby widok smoczej głowy zmobilizował go do działania, podjął się najprostszego sposobu wydostania się z plątaniny miejskich ulic. Używając żelastwa na bramie jako oparcia dla stóp i palców, zaczął piąć się w górę. Chociaż był zwinny, w każdy ruch wkładał sporo wysiłku. Nie przypominało to jednak wspinaczki na drzewa. Na co mieszkańcom potrzebna tak wysoka brama? Nosili przez nią drabiny na sztorc? Wyprostował się na szczycie muru i zaczął się rozglądać, osłaniając dłońmi oczy przed słońcem. Widział stąd podwórce, płaskie dachy zamienione w tarasy ocienione baldachimami oraz roślinami kipiącymi z kamiennych mis. Fontanny tryskające rozrzutnie strumyczkami migotliwej wody oraz sadzawki porośnięte bladymi kwiatami. Na każdej ścianie widniały płaskorzeźby i kolorowe malowidła wyobrażające kwiaty, zwierzęta lub skąpo odziane kobiety. Wnętrza tych miniaturowych twierdz dla wielmożów ociekały ostentacyjnie bogactwem, choć nie afiszowano się z tym dostatkem na zewnątrz. Jednego Kamyk był pewien - w takim miejscu raczej nie mógł mieszkać Mówca.

*

Upał wręcz obezwładniał, lecz nie do tego stopnia, by ochrona domu wielmożnego Doh'ena zapomniała o swych obowiązkach. Pan Doh'en płacił zbyt dobrze, by jego straż narażała się na wydalenie z powodu tak niskiej przywary jak lenistwo. Dlatego też intruz został zauważony niemal natychmiast.

- Popatrz no, kota mamy na murku - mruknął jeden ze strażników. - Coraz bezczelniejsze się robią. Toż dzień biały.

- Mówiłem, coby kolce na wierzch dać! - odburknął drugi.

- Ej, ty! Won stąd, ale już! - ryknął w stronę nieproszonego gościa, ale ten nawet nie spojrzał. Rozzłoszczony mężczyzna wyszedł wprost w kleiste gorąco, tym bardziej zły, że musiał opuścić cienistą wartownię. Obserwator na szczycie muru stał w swobodnej pozie właściciela połowy świata, odwrócony plecami do podwórca, i udawał, że nie słyszy złorzeczeń. Strażnik chwycił kamień z obramowania rabaty, po czym cisnął celnie, trafiając tamtego w plecy.

Widział, jak intruz z krótkim okrzykiem bólu chwieje się na tle rozpalonego nieba. Przez moment Los decydował, gdzie go pchnąć. Po czym obcy spadł na wypieczoną rabatę ziołową wewnątrz posiadłości. Wartownik dopadł go, zanim tamten zdążył pozbierać się z ziemi.

To był po prostu dzieciak. Długi, ale za to chudy jak drąg do wędzenia ryb. Jeżeli

praktykował w złodziejskim fachu, to nie nadawał się do tej roboty zupełnie - nie dość, że za duży wyrósł, to jeszcze miał chyba jakieś braki na rozumie, by jawnie włączyć w obręb domostwa jednego z najbogatszych kupców Lenenji. Za to umiał się bić. Nim mężczyzna go unieruchomił, wykręcając ramię, zdążył oberwać kilka bolesnych ciosów.

- Ożeż... to kundel dopiero! Szpicak, weźmijmy go ano do piwniczki, a gwardię się potem zawezwie.

Drugi strażnik był jednak w nastroju bardziej pobłażliwym.

- A tam... Ukradł ci co? Będiesz nicponia sadzał ze szcurami do lochu, bo po wyżkach łązi? Przylepi się mu co na pamiętkę, niech drugą razą nie kręci się, gdzie nie potraza - podniósł wymownie trzymany w ręku bat.

Chłopak miotał się rozpaczliwie, ryzykując wywichnięcie ramienia. Nagle w powietrzu bezgłośnie wybuchła wielka kula ognia, liżąc zabójczym gorącym twarze wartowników. Obaj zaklęli, odskakując natychmiast na kilka kroków w tył.

- Ożeż zaraza... to Iskra!

- Kurewstwo! Magowie nie mogą swoich bachorów pilnować?!

- Dobrze, żeś mu nie zdążył przylać, boby ci ten durny pysk usmażył. Chłopak rzucił się ku zaryglowanej bramie. Z wysiłkiem odsunął zasuwę, oglądając się nerwowo za siebie.

- Już ty się nie bój - odezwał się strażnik ponuro i splunął pogardliwie. - Nikt cię nie ruszy.

Chłopak wśliznął się w szparę między skrzydłami bramy i już go nie było.

- Co za czasy - burknął jeden z mężczyzn, patrząc na wygniecione rośliny pod murem. - Przylezie, naszkodzi, a poskarżyć się ani próbuj. We łbach się poprzewracało tej błękitnej hołocie.

- Zważaj, co gadasz - warknął drugi. - Ściany uszy mają.

*

Kamyk opuścił niegościnnie progi szybciej niż strzała wypuszczona z łuku i zatrzymał się dopiero za zakrętem. Skrył się w niszy następnej bramy, gdzie dyszał ciężko, zbierając rozproszone myśli. Bolała go wykręcona ręka, ale na szczęście nie odniósł poważniejszych obrażeń. To było nader nieprzyjemne doświadczenie. Palił go wstyd, że tak bezmyślnie wpłatał się w kłopoty. Mógł się domyślić, że ktoś, kto umieszcza na bramie szczerzącego kły smoka, nie okaże się gościnnie. Lecz przed ciężkim pobiciem uchroniła go nie tylko ogniowa iluzja i to, że ludzie bali się magów z kasty Iskier. Coś o wiele większego i prostszego zarazem - ogromny, niewyobrażalny wręcz prestiż Kręgu Magów obejmujący swym wpływem nawet tak nedorobionego adepta. W momencie rozpoznania maga strażnicy nie mieli prawa tknąć go choćby palcem. Mogli co najwyżej poskarżyć się urzędnikowi Kręgu, gdyż zwykłe sądy nie miały władzy nad ludźmi obdarzonymi mocą.

Mimo wszystko jednak łażenie po feralnym murze przyniosło pożytek. Przez króciutką chwilę chłopiec widział z niego niebieskie pasemko widoczne na tle rozpalonego nieba. Idąc w tym kierunku, wreszcie ujrzał dość ponurą budowlę z czarnego kamienia wpasowaną między eleganckie i czyste rezydencje. Przypominała bryłę węgla wrzuconą do koszyka orchidei. Na skos nad drzwiami osadzono drąg, na którym wisił pas niebieskiej tkaniny. W zamierzeniu może miał powiewać, ale wisił smętnie, gdyż powietrze w tym mieście stało, nabierając z wolna konsystencji galarety. Na drzwiach, ku swej ogromnej uldze, Kamyk ujrzał namalowany błękitny prostokąt (odrobinę już popękany), a na nim symbol „usta”, będący emblematem magów z kasty

Mówców.

*

Człowiek, który bez mrugnięcia okiem przyjmuje pod swój dach brudnego, wymiętoszonego włóczęgę, musi być albo świętym, albo magiem pewnym swej nietykalności. Gdy Mówca ujrzał, jak w powietrzu przed nim rozwija się wstęga iluzyjnego pisma, natychmiast rozpoznał w sponiewieranym przybyszu Tkacza Iluzji. Skoro na jego progu znalazł się inny mag, sprawą drugorzędną stało się, czy przybysz będzie klientem, poprosi o pożyczkę, czy też może okaże się nieślubnym dzieckiem brata dalekiej kuzynki.

Na wieczny Krąg! Jak cudownymi rzeczami są ciepła woda i gotowane jedzenie, doceni tylko ten, kto był ich pozbawiony przez dłuższy czas.

Mówca, krzepki staruszek o zupełnie już białych włosach i brodzie, miał niebieskie oczy, co wzbudziło zaciekawienie Kamyka, gdyż wśród mieszkańców Lengorchii przeważały oczy barwy brązowej lub czarnej. Porozumienie okazało się niezwykle łatwe. Mówca błyskawicznie zorientował się, że chłopiec myśli wyłącznie obrazami, więc w mentalnym przekazie używał tylko zrozumiałych dla niego symboli i znaków pisma. Z sympatią oraz niejakim zdziwieniem przypatrywał się przybyszowi, który wycierał mokre po myciu włosy. Niecałe piętnaście lat? Ze Żmijowych Pagórków w Lenn? Taki kawał drogi i to samotnie! Cud i opieka Matki Świata, że aż tu dotarł.

„A więc szukasz Stworzyciela... i to nie byle jakiego. Potrzebny ci błękitny medyk”.

„Czy Stworzyciel może sprawić, że będę słyszał i mówił?”

„Nie wiem. Może tak, może nie”.

„Przecież Stworzyciele są najwięksi, najpotężniejsi z nas”.

„Nie są wszechmocni. Każdy głupiec umie zaleczyć siniec albo spoić pękniętą kość. Tu chodzi o odtwarzanie zniszczonych nerwów, a tego trudno dokazać”.

„Stworzyciele są najpotężniejsi w Kręgu” - upierał się chłopak.

„Są potężni, ale wobec siły natury tak skromni jak twoje imię, Kamyku”.

„Potrać kamyk na szczycie góry, a na dół zleci lawina”.

Mówca uśmiechnął się, nalewając zupy do miski.

„Jak na głuchoniemego jesteś strasznie pyskаты. Jedz, potem się zastanowimy, co robić dalej”.

„W mieście nie widziałem ani jednego maga. Nikogo z błękitną szarfą”.

„Ostatnio zapanowała tu moda, by nosić je tylko podczas służby. Magowie, zwłaszcza młodszy, zaczęli sobie cenić prywatność. Nic dziwnego zatem, że nie rozpoznałeś żadnego. Najbliższego i najbardziej wpływowego Stworzyciela znalazłbyś w cesarskim pałacu, lecz nie przypuszczam, by wpuszczono cię choćby krok za bramę. A w samym mieście jest ruch, magowie przyjeżdżają i odjeżdżają. Stworzyciele włóczą się po całym cesarstwie”.

Na jednej ze ścian wisiała wielka mapa Lengorchii. Prawie cała pokryta była szpilkami o niebieskich główkach. W centrum poupinane były gęściej, ku brzegom coraz rzadziej, a na jednej z wysp Smoczego Archipelagu tkwiła samotnie tylko jedna. Widząc, że budzą one niemałe zaciekawienie gościa, Mówca wyjaśnił:

„To wszystko moi współpracownicy - Mówcy ze stacji przekazów. Zbierają wieści ze swych rewirów, przekazują najbliższemu sąsiadowi, a on podaje je dalej, dołączając własne. W ten sposób wiadomości nawet z najdalszych zakątków kraju wędrują tylko kilka godzin”.

„A ten na wyspach?”

„To Słony. Zbiera materiały do pracy o smokach”.

„Nie boi się?” - Oczy Kamyka zabłyśły. Praca nad smokami - to było coś! „Smoki nie są złe”. „Są dobre?”

„Neutralne, a to znaczy, że można się z nimi ułożyć”.

Mówca zdjął z półki ciężkie, drewniane oprawy ściskające razem gruby plik luźnych kart. Przeglądał je, jedną po drugiej. Kamyk rozejrzał się tymczasem dyskretnie. Pracownia Mówcy różniła się od wnętrza jego własnego domu tym, że w jej urządzenie zainwestowano nieco więcej pieniędzy. Ale poza tym, tak samo jak w domu, wszędzie leżały książki, walcowate pudełka na rękopisy, pióra, kawałki pumeksu do czyszczenia pergaminów, ołówki, słoiczki z farbą, miarki i cyrkle. Pod sufitem natomiast wisiała duża, kolczasta ryba o nieprzyjemnym spojrzeniu szklanych oczu.

Mag podał chłopcu kartę, na której nakreślono dość niedbale kilka linijek symboli. Kamyk przebiegł je wzrokiem.

Pływak Stworzyciel? W osadzie Grobla? Czy to daleko?

„Niezbyt daleko - uspokoił go Mówca. - Właściwie jest to też jedyny medyk Stworzyciel, jakiego mogę ci teraz znaleźć i polecić. Pracował nad nerwami, ale co osiągnął - nie wiem”.

„Ale tu jest napisane, że ma zaledwie czarną rangę!”

„Będzie więc tańszy” - stwierdził chłodno mag. Chłopak zmarkotniał. Finansowa strona tej wyprawy była dość istotna.

„Pływak ma niską rangę, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Jest dobry w swym fachu. Ale za to dziwak z niego straszny - ciągnął Mówca. - Niedługo pora łączności. Będę wiedział już niebawem, czy nie wyniósł się z Grobli”.

Gdy nadeszła pora łączenia umysłów, mag usadowił się przy dużym pulpicie, na którym leżała schludna kupka kartek, przybory do pisania, woskowa tabliczka i liczydło. Zamknął oczy, opuścił głowę na piersi i zdawało się przez chwilę, że zasnął. Potem jego ręka sięgnęła po pierwszą kartę. W skupieniu czytał, potem sporządzał krótką notkę na tym samym świstku papieru, odznaczał coś na tabliczce i przekładał żeton w liczydło do innej przegródki. Kamyk obserwował Mówcę przy pracy, ale niemal natychmiast doszedł do wniosku, że jest ona wyjątkowo nudna. Czas mijał, zegar wodny spokojnie przeciekał na półce - krople spadały jedna za drugą, a Mówca wykonywał wciąż te same mechaniczne czynności. W sferze myśli oczywiście trwała ożywiona rozmowa i wymiana wieści, ale na zewnątrz wyglądało to straszliwie monotennie.

Chłopiec zdjął z najbliższego regału opasłe tomisko, które okazało się bogato opatrzonym rycinami opracowaniem na temat centaurów. Lektura pochłonęła go całkowicie, a w głowie snuły mu się wstępne projekty nowej, ciekawej iluzji.

„Głód wiedzy jest dobry dla młodego maga”.

Kamyk drgnął. Nie zauważył, kiedy Mówca skończył swój seans. Mag jedną ręką masował ścierpięty kark, drugą przecierał oczy.

„Ucz się, czytaj, obserwuj jak najwięcej. Ludzie chcą oglądać dobre, mądre i ciekawe wizerunki. Jesteś żywą księgą, a to spora odpowiedzialność, chłopcze”.

To było zastanawiające. Jakoś do tej pory Kamyk nie patrzył na swój dar od tej strony. Traktował go jak - owszem, dobry i nawet opłacalny - sposób dostarczania rozrywki.

„Dostałem wiadomość, że Pływak jeszcze się nigdzie nie wyniósł, ale znając jego charakter, może to zrobić w każdej chwili, i to zostawiając po sobie niedojedzony obiad. Jak już

wspominałem, jest dziwadłem. Chodź, pokażę ci na mapie, jak dojść do Grobli".

Mówca nie chciał przyjąć pieniędzy za swoje usługi. Z oburzeniem stwierdził, że nie ma zamiaru nikogo rozliczać z talerza zupy. Nie jest, do licha, karczmarzem i stać go jeszcze na zwykłą, ludzką bezinteresowność. A w ogóle to mag nie powinien żądać zapłaty od maga. Objął Kamykowi dokładnie drogę do osady. Chciał go też zatrzymać na dłuższy nieco odpoczynek, ale podniecony chłopiec wolał wyruszyć natychmiast, choć cel podróży osiągnąłby dopiero następnego dnia i czekała go nie całkiem bezpieczna wędrówka nocą.

Mówca w zadumie patrzył za chłopcem malejącym w perspektywie długiej ulicy. Zapalczywy dzieciak i oryginał dorównujący chyba Pływakowi Stworzycielowi. Nie zdradził mu, że Pływak miał kiedyś wyższą rangę, lecz został zdegradowany. Smutne sprawy... Czasy nie sprzyjały niepokornym i wyróżniającym się nadmiernie. Niech mały zachowa jeszcze nieco młodzieńczej naiwności. Polubią się z Pływakiem... chyba że się przedtem pozabiją...

Łatwo było trafić do Grobli. Od miejskiej bramy prowadził do niej gościniec prosty jak strzała. I choć zgodnie z przewidywaniami noc zastała Kamyka w drodze, jednak oba księżyce stały wysoko. „Biała noc” letnia wysrebrzała wszystko widmowym światłem, tak jasnym, że można było przy nim szpilki liczyć.

Do Grobli dotarł o świcie. Duża, kwitnąca osada rozłożyła się po obu stronach wąskiego jeziora, na wzgórzach schodzących ku wodzie niby wielkie schody. Domki najbliższe rzece stały na palach, zabezpieczone przed jesiennymi i wiosennymi wylewami. Większość zabudowy stanowiły dość charakterystyczne murowane domy w kształcie podkowy, z podcieniami i wypielegnowanymi ogrodami z przodu oraz niewielkimi, jakby wstydliwie ukrytymi gospodarstwami z tyłu. Kamyk widywał takie domostwa w podróży i zdążył wywnioskować, że zamieszkują je zwykle wzbogaceni właściciele manufaktur wytwarzających drogie towary dla jeszcze bogatszych od siebie. Nic dziwnego, że Stworzyciel postanowił tu Zamieszkać - też był kimś w rodzaju rzemieślnika.

Nauczony poprzednimi doświadczeniami Kamyk wypatrywał niebieskiej wstęgi nad dachami. Dom Stworzyciela na pierwszy rzut oka robił zwyczajne wrażenie. Aż nazbyt zwyczajne. Wzniesiony z drewnianych bali, kryty trzciniową strzechą, trochę zaniedbany - wyróżniał się pośród eleganckiego sąsiedztwa. Przy bliższym badaniu okazywał się jednak budynkiem raczej niezwykłym; przy budowie nie użyto chyba ani jednego gwoźdźdź, kołka czy jakiegokolwiek wzmocnienia. Belki wyglądały tak, jakby zrosły się ze sobą, zmuszone do tego nadzwyczajnego wyczynu wolą właściciela. Na zagraconym podwórku nie było nikogo. Kamyk zajrzał do ogrodu ponad wyplecionym z chrustu płotkiem. Chwasty pieniały się bujnie po kątach, ale na grządkach pośrodku rosły równiutkie i zadbane rzędkie ziół. Wychowanek lekarza z łatwością rozpoznał kilka leczniczych gatunków i kilka śmiertelnie trujących. Stworzyciel musiał być interesującą postacią. To wrażenie potwierdziło kolejne odkrycie. Nad drzwiami chaty wisiały: wypchany wyleniały nietoperz, ususzona żmija, poźółkła ludzka czaszka brutalnie przybita do belki wielgachnym gwoździem oraz dyndająca ozdoba z drobnych kości palców i żeber. Chłopcu nieco opadła szczęka. Zrozumiał, co miał na myśli życzliwy Mówca, określając Stworzyciela jako „dziwadło”. Kamyk zapukał kilkakrotnie, lecz drzwi pozostały zawarte. Zniecierpliwiony użył pięści, a wtedy nagle jakieś twarde przedmioty posypały mu się na głowę! Spłoszony, zasłonił się rękami, podczas gdy dokoła turlały się drewniane kule. Zerknął niepewnie do góry, obawiając się kolejnej przykrej niespodzianki... nad nim kołysała się jeszcze deseczka sprytnie skonstruowanej pułapki. No nie! Tego już za wiele!

„Może i jesteś wielkim Stworzycielem, ale ja jestem Tkaczem Iluzji i nie pozwolę się traktować w ten sposób” - pomyślał ze złością, po czym pomaszerował do najbliższego okna.

Pływak chyba bardzo cenił sobie samotność, bo okna prezentowały się równie odstręczająco. Tym razem chłopiec dostrzegł przymocowane przy nich czaszki kóz, z których oczodołów sterczały żelazne kolce. Kości czymś pomalowano. Poskrobał paznokciami cienką warstwę farby i zbliżył palce do nosa. Pachniały fosforem. Chłopak uśmiechnął się krzywo. W nocy musiało tu być naprawdę niesamowicie. Stworzyciel miał dość szokujące poczucie humoru.

Kamyk przycisnął czoło do szyby. Osłaniając oczy dłońmi, zajrzał ciekawie do środka. Mag siedział przodem do okna, przy wielkim stole zawalonym rozmaitymi szpargałami. Trzymał w ręku pióro, podpierał policzek dłonią i dumiał głęboko. Był rozczochrany, a twarz pokrywał mu kilkuniedniowy zarost. Przy jego łokciu stała płonąca świeca. Knot już niemal tonął w jeziorku rozplwającego się wosku. Wyglądało na to, że mag pracował całą noc i nawet nie zauważył nadejścia świtu.

„Uważaj, nadchodzi” - pomyślał Kamyk, uśmiechając się psotnie.

Przed Stworzycielem na pokreślonej karcie pojawiła się wielka, rozdęta ropucha, pokryta setkami brodawek. Brwi maga podjechały aż do połowy czoła. Dotknął ropuchy piórem, nie wierząc własnym oczom. Podskoczyła. Niestety, nic więcej Kamyk nie zdążył wymyślić, gdyż nagle jego spojrzenie spotkało się z przekrwionymi, wściekłymi oczami Stworzyciela, a w następnej chwili kolana ugięły się pod nim. To było potworne, jakby ktoś potraktował jego umysł niczym wypełnione różnościami pudełko. Najpierw potrząsnął nim energicznie, aż wszystkie myśli zmieszały się ze sobą bezładnie, a potem przewrócił do góry dnem, niedbale wysypując wszystko na stos. To właściwie nie bolało, ale pozostawiło po sobie uczucie kompletnego zamętu, zagubienia i bezwładu. Kamyk walnął brodą w parapet, upadł w tył jak worek, nawet nie próbując złagodzić uderzenia. Świat wirował, z żółdka unosiło się paskudne uczucie mdłości.

Stworzyciel wychylił się z okna, patrząc z obrzydzeniem na intruza. Wykrzywił jedną stronę ust. Robił wszystko, by nie wyglądać miło. Kamykowi udało się skupić rozmyty wzrok. Wytrzymał zmęczone spojrzenie maga długą chwilę. Pływak westchnął ciężko, po czym rozejrzał się z niejakim zdziwieniem, że już jest dzień.

Kamyk widział poruszające się wargi maga, więc znów uciekł się do iluzyjnego pisma, które stanowiło całkiem wygodny sposób porozumiewania się.

Oczekiwałem odrobinę miłszego powitania. - Podniósł się i pomacał stłuczoną potylicę. - Lepiej myśl do mnie tak, jakbyś pisał. Inaczej nie Rozumiem.

„WYNOCHA! Teraz dotarło?!”

Chłopiec skrzywił się. Symbole przekazane w mentalnym kontakcie wręcz wybuchły mu wewnątrz głowy.

Tak. Rozumiem, ale nigdzie nie pójdę. Jestem chory, potrzebuję lekarza od uszu i nie ruszę się stad, póki mnie nie przyjmiesz.

Stworzyciel chyba pojął, że nie pozbędzie się natręta. Machnął bezradnie rękami.

„Tkacz Iluzji... tobie potrzebny jest lekarz od głowy, wstrętny bachorze. Daj mi teraz spokój, muszę się przespać. Przyjdź później”. - Mag zatrzęsął okiennice z rozmachem, od którego przekrzywiły się obie kozie czaszki.

Kamyk poczuł nagle, że i jemu przydałby się odpoczynek. Ziewnął spazmatycznie.

Woda w studziennym wiadrze była ciepława, ale czysta. Chłopiec napił się, umył twarz. Rozłożył płaszcz na trawie w cieniu drwalki i ledwo dotknął policzkiem sukna, zapadł w sen jak

w otchłań.

*

Kiedy się ocknął, słońce przebyło na niebie większą część swej drogi. Z wiadra przy studni piły ptaki, a rozsypanymi kulami przed progiem bawił się mały kot. A za nim dojrzał szparę w zachęcająco uchylonych drzwiach. Chłopiec, nauczony doświadczeniem, pchnął je ostrożnie, zerkając do środka, niepewny, czy znów coś nie spadnie mu na głowę.

Wewnątrz panował nieopisany nieład. Dom Pływaka Stworzyciela przypominał graciarnię. Pod ścianami ciągnęły się długie blaty zastawione setkami butelek, dziwnymi modelami z gliny i patyków, sprzętem do chemicznych doświadczeń i najróżniejszymi narzędziami niewiadomego przeznaczenia. Wszędzie leżało pełno książek i papierów. Na półkach stały słoje, w których marynowały się obrzydliwe fragmenty ludzkiej i zwierzęcej anatomii. Tu i tam poniewierały się ubrania oraz brudne naczynia. Na wyeksponowanym miejscu stała wypchana mała sporych rozmiarów, z błękitną szarfą maga zawiązaną wokół szyi na kokardę. Kamyk aż się wstrząsnął, widząc ów szacowny przedmiot traktowany tak lekceważąco.

„Zamknij usta, bo ci mucha wleci”.

Stworzyciel stał tyłem do chłopca przed wielkim lustrem w fantazyjnych ramach i kończył się golić. „Jadłeś już coś?”

Kamyk pokręcił głową przecząco. Mag zapraszająco machnął brzytwą w stronę zagraconego stołu.

„Gdzieś tam jest pasztet. I ser. Chyba że szczur go zjadł”.

Sera rzeczywiście nie było, ale za to znalazł się pasztet, i to dość świeży. Chleb nadawał się do wbijania gwoździ, lecz mocne szczęki młodzieńcze dają sobie radę z gorszymi rzeczami. Kamyk był głodny, więc skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Zajęty posiłkiem, dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że je ze złotego talerza. Większość przedmiotów w tym domu, choć porzucanych niedbale jak śmieci, wykonano bardzo starannie z drogich materiałów. Złote i srebrne talerze oraz miski. Czerpak zawieszony na brzegu cebrzyka zrobiono z jednej bryły bursztynu. Narzuta na łóżku była z jedwabiu przetykanego złotą nitką.

Mag skończył się golić. Siadł do stołu naprzeciwko chłopca, nałożył sobie na talerz solidną porcję pasztetu. Zajrzał do dzbanka i skrzywił się.

„Pusty. Myślałem, że jest jeszcze wino. Zresztą ty jesteś za mały na wino. Zrobię mleko”.

Kamyk rzucił mu mordercze spojrzenie, ale Stworzyciel nie zwrócił na to uwagi. Nabrał wody z ceberka. Przez chwilę wpatrywał się w skupieniu we wnętrze czerpaka, po czym przechylił go nad kubkiem. Poleciała biała, pianista struga, zapachniało ciepłym mlekiem.

„Pij. Nie jest może prawdziwe, ale na pewno się nie otrujesz, obiecuję. Chciałem kozie, ale znów mi wyszło krowie. Pech”.

Kamyk nieufnie spróbował białego płynu, widząc, że Stworzyciel pije własny wyrób z czerpaka. To było faktycznie mleko i nawet bardzo smaczne. Z namysłem przyjrzał się kawałkowi pasztetu, odzianemu na czubek noża.

„A czym TO przedtem było?”

„O ile wiem, to wołem. Zresztą, nie pytaj. Czasem lepiej nie wiedzieć. Pasztetnicy zadziwiają swoją sztuką nawet nas – Stworzycieli”.

Pływak skończył jeść, po czym zamienił swój złoty talerz w proszek i zmiotł go na podłogę rękawem. Kamyk zakrztusił się z wrażenia, obiecując sobie w duchu, że nic, absolutnie nic go

już nie zdziwi w tym domu.

„Zdziwiony? - spytał mag niefrasobliwie. - Nie lubię zmywać, a posługaczka znów uciekła. Mogę mieć, co tylko zechcę, na tym polega mój talent. Złoto, srebro, drogie kamienie... a klienci jeszcze płacą, i to sporo. Nie uwierzylbyś, ilu wielmożów przywozi do mnie swoje brzydkie córki, by poprawić im nos, zlikwidować zęza albo wyprostować plecy. Podoba ci się coś z tych rzeczy? Weź sobie, co chcesz”.

„Nie po to tu przyszedłem. W ogóle wołałbym, żebyś przestał traktować mnie protekcjonalnie tylko dlatego, że jestem młodszy” - odparł chłopiec.

Pływak zmrużył oczy filuternie. Kiedy odpoczął, okazał się kpiarzem i Kamyk czuł, że z pewnością by go polubił, ale wszystko mu przesłaniała ta wielka życiowa sprawa, która go tu przywiodła.

„Urodziłem się głuchy. Nie mogę się nauczyć iluzji głosu. Czy potrafisz coś z tym zrobić?”

„A masz pieniądze?”

„Przed chwilą twierdziłeś, że nie zależy ci na pieniądzach. A poza tym, od kiedy to magowie płacą magom?” - odpisał chłopak przytomnie.

Kąciki ust Pływaka zadrgały. Obaj czuli nawiązującą się między nimi cieniutką nitkę porozumienia. Nagle Kamyk zdał sobie sprawę, że Stworzyciel jest jeszcze młody, nie miał chyba nawet trzydziestu lat. Mógłby być jego starszym bratem.

„Czy warto na ciebie marnować energię? Żabę potrafi zrobić każdy”.

Kamyk skupił się. Przed Stworzycielem pojawiła się pomarańcza Miała odpowiedni kształt, kolor, zapach, fakturę i ciężar. Pływak sprawdził to wszystko, kiwnął głową, ale minę miał pobłażliwą Tkacz Iluzji nakazał pomarańczy unieść się w powietrze i obrał ją ze skórki, która spłynęła na stół cieniutką spiralą. Owoc rozdzielił się na cząstki. Stworzyciel włożył jedną do ust, po czym skrzywił się okropnie i czym prędzej wypluł na dłoń... kamyk. Zwyczajny, wygładzony kamyczek, jaki można znaleźć na dnie każdej rzeczki. W następnej chwili kamień przekształcił się w znak odlany z ołowiu, pytający: „Zdziwiony?”

Stworzyciel ryknął śmiechem i długo nie mógł się uspokoić. Łzy stanęły mu w oczach.

- Demon... - wysapał wreszcie. - Dzieciak z piekła rodem.

„Wygrałeś. Zbadam cię, a skoro można coś z tym zrobić, spróbuję, nawet jeśli mnie to wykończy. Obiecuję”.

Znów parsknął śmiechem, widząc, jak ponura i spięta twarz jego młodego gościa rozjaśnia się w wyrazie ulgi i wdzięczności.

„Tylko nie myśl, że to będzie łatwe. Czeka cię ciężka robota”.

*

Po dwóch godzinach Kamyk doszedł do smutnego wniosku, że wołałby chyba egzamin w Kręgu niż to, przez co bezlitośnie przepuszczał go Stworzyciel. Pływak kazał mu tworzyć iluzje. Zaczęło się od łatwych, ale następne stawały się coraz trudniejsze. Musiał przywoływać przedmioty, rośliny i zwierzęta. Mag dokładnie sprawdzał ich właściwości. Nakazywał surowo chłopcu utrzymywać kilkanaście wizji naraz w pełnym wymiarze. Animować wszystkie i dodawać nowe w trakcie. Kamyk musiał tworzyć idealnie symetryczne bliźniaki, pozorne przekroje, sztuczne źródła światła i fałszywe światłocienie. Stworzyciel jadł iluzyjne owoce, bezwzględnie analizując ich smak. A jednocześnie żądał zajmowania się czterema pająkami plotącymi swe nieprawdziwe sieci, każdą o innym wzorze. Kamyk musiał tkąć iluzje za swymi

plecami, patrząc w lustro i z zamkniętymi oczami... a nawet wtedy, gdy Pływak jakby na złość oślepił go światłem odbitym od lusterka.

Prawie cały czas Stworzyciel trzymał dłoń na głowie chłopca, a minę, wraz z upływem czasu, miał coraz poważniejszą.

Kamyk pokornie znosił te tortury, ale w końcu dostał krwotoku z nosa - i zbuntował się. Ból głowy to było nic. Miał wrażenie, że jego głowa wywedrowała w dalekie kraje, a zamiast niej nosi na karku rozpalony do białości kamień. Padł z jękiem na ławę, opierając czoło o blat stołu. Mag troskliwie przyłożył mu do nosa mokry ręcznik, po czym przycisnął obie ręce do skroni. Po chwili ból zelżał.

„Zrobiliśmy dobry początek” - oznajmił Stworzyciel.

„Początek...? O Matko Świata...! I po co to wszystko?”

„Chciałem poznać pułap twoich możliwości. Przyznaję, że jest bardzo wysoki. Mam już niemal całkowitą pewność, że właśnie dlatego nie słyszysz”.

„Co ma talent do tego, czy słyszę, czy nie?”

„Kto był największym Tkaczem Iluzji?” - spytał Stworzyciel jakby bez związku.

„Biały Róg ze Wzgórz Iluzyjnych, to chyba wszyscy wiedzą”.

„Biały Róg urodził się z bezwładnymi nogami, o czym już niewiele pamięta. Legenda niechętnie obarcza bohaterów kalectwem. A za wielkie talenty płaci się wielkie ceny. Nie jest wykluczone, że ty też właśnie płacisz za swoją magię”.

Stworzyciel popatrywał spod oka na swego gościa, udając obojętność, choć z trudem opanowywał drżenie rąk. Czy ten dzieciak zdaje sobie sprawę, jaką potęgą dysponuje, choć jego talent jest niepełny? Siedzi zamyślony, z twarzą zanurzoną w zmiętym płótnie. Niby nic, ale można sobie wyobrazić, jak pod tymi rozwichrzonymi kędziorami myśli galopują po swych ścieżkach. Rozważa coś... kalkuluje...

„Czy myślisz, że mój talent może być zbliżony do zdolności Białego Rogą?”

Pismo pojawiała się powoli, jakby jego autor przewycięzał nieśmiałość.

Tym razem to Stworzyciel zastanawiał się długo. Zaplatał ręce na karku i tarł szczękę nawykowym gestem. W końcu odpowiedział: „Równy lub nawet większy”.

Widać było, jak chłopiec sztywnieje z zaskoczenia. „Większy? Jak to większy? Przecież Biały Róg był legendą. W kronikach Kręgu podobno opisana została cała historia, jak Biały Róg jeszcze jako młody chłopak utrzymywał przez trzy dni bez przerwy iluzję miasta, które oblegali zwiedzeni mirażem żołnierze z północy, gdy tymczasem nadeszły siły ówczesnego króla Lengorchii i rozbiły wroga w puch. Nawet Wzgórza Iluzyjne nosiły taką, a nie inną nazwę dlatego, że Biały Róg właśnie tam się urodził. Jak można mieć jeszcze większy talent niż najwybitniejszy Tkacz Iluzji wszech czasów?”

Szok trwał nader krótko. Kamyk ostrożnie siąknął nosem i ostatni raz przetarł go rogiem ręcznika. Krew przestała już kapać.

„A nawet jeśli tak jest, to co mi z tego? Jeśli nie nauczę się tworzyć dźwięku, cały mój wielki talent będzie tyle wart, co kurz na wietrze. Mam pół talentu! Jestem połową maga! Pewnie powinienem dostać też pół szarfy!”

Cięnięty w gniewie ręcznik z plaśnięciem wylądował na ścianie, po czym chłopiec znów siedział spokojnie, z nieruchomą twarzą - pozornie wyciszony i zimnokrwisty jak ryba. Stworzyciel westchnął, wzruszając ramionami.

„Zobaczę, co się da zrobić. Jeżeli to zwyrodnienie nerwów, to spróbuję znaleźć inną ścieżkę przewodzenia”.

Mag przyniósł napełniony wodą pucharek, cały zestaw szklanych buteleczek i dzbanuszek miodu. Zmierzył krytycznym spojrzeniem szczupłą figurę chłopca.

„Ile ważysz?”

„Nie wiem. Chyba około dwudziestu pięciu szekali”.

Stworzyciel odmierzał po dwie, trzy krople każdej mikstury i wpuszczał je do wody za pomocą nawoskowanych pałeczek. Na koniec dołał miodu.

„Jest wstrętne w smaku. Ale musisz to wypić”.

„I co wtedy?”

„Zaśniesz”.

Kamyk posłusznie upił drobny łyżeczek, po czym wykrzywił się okropnie. Nie, miód niewiele pomógł. „To jest ohydne!”

„Do dna, mały” - przykazał surowo Pływak, więc chłopak musiał wychylić wszystko, choć gardło samo mu się zaciskało ze wstrętu, a żołądek usiłował wywrócić na nice. W oczekiwaniu, aż paskudna mieszanka zacznie działać, postanowił rozejrzeć się nieco po Pracowni Stworzyciela.

„Siedź. Nienawykłych to ścina z nóg błyskawicznie” - ostrzegł go Stworzyciel.

„Kiedy mnie się nie chce...” - reszta napisu rozpląnęła się w niezrozumiałe bazgroły. Mag w ostatniej chwili zdążył pochwycić tracącego świadomość chłopca i zaniósł go na własne posłanie.

- A nie mówiłem? - mruknął.

Podniósł palcem powiekę śpiącego. Żrenica reagowała na światło. Puls był mocny i regularny. Mag zdjął koszulę, po czym sięgnął po kubek wypełniony cieniutkimi, srebrnymi igłami.

Chłopak spał głębokim snem narkotycznym, choć oczy miał otwarte do połowy. Pływak wykrzywił się do swego odbicia w lustrze.

- Czy wiesz, co robisz? Wiesz..? Ty głupcze... - mamrotał sam do siebie, przygotowując się do pracy. - Wiesz, co ryzykujesz? Wiesz, co może się stać? Przekleństwo... Raz już dostałeś baty i nic cię to nie nauczyło.

Z rzeźbionej kasetki wyjął maleńką szklaną fiolkę, w której mieściło się zaledwie kilkanaście kropel mętnego płynu.

- Tym razem więcej pokory, człowieku... - szepnął Pływak, oglądając fiolkę pod światło.

Tylko jedna kropla wpuszczona ostrożnie pod język. Podszedł do odurzonego pacjenta. Był gotów.

*

Czy obnażony do pasa mężczyzna, z którego ciała sterczały lśniące igły, należał do świata snu czy jawy? Czy Kamykowi wydawało się tylko, że całe jego ciało pulsuje, jakby było ogromnym sercem? Jeden oddech trwał całe godziny. Powietrze zdawało się gęste jak woda i może dlatego pływały w nim przedziwne zjawy - wilk z ludzką głową, zielonooka kobieta z wężami we włosach, ptaki o skrzydłach, w których każde pióro było ostrzem noża... Niespodzianie bestie rozpierzchły się, a ich miejsce zajęła bezkresna, ciemna przestrzeń wypełniona setkami światełek. Chłopiec unosił się w tej pustce, nieważki i bezcielesny. Jak miał na imię? Nie mógł sobie przypomnieć. Jak się tu znalazł? Gdzie chciał iść? Tego także nie wiedział. Czuł tylko cudowny spokój. Ktoś unosił się obok, lecz była to obecność niewidzialna,

nienatrętna i nieprzeszkadzająca. Światła zwinęły się w jeden wirujący powoli lej, kuszący delikatnym perłowym lśnieniem jak przedziwna, niebiańska muszla. Gdyby tak wejść do jej wnętrza i zostać już na zawsze, w tym cudownym poczuciu spokoju i bezpieczeństwa...

Niespodzianie zachwycający blask rozprysnął się znowu na tysiące migotliwych iskier, jakby rozbity jakąś potworną, złą mocą, która jednocześnie pochwyciła chłopca w swe nienawistne szpony. Jasność nikła, rozbijana kolejnymi wstrząsami, aż pozostały z niej tylko dwie iskiereki... które lśniły w ciemnych oczach jakiegoś człowieka.

Oszołomiony Kamyk stwierdził, że widzi świat z dziwnej, odwróconej perspektywy. Ktoś bezceremonialnie klepał go po policzkach i było to dość nieprzyjemne.

„Ocknij się, mały. Wracaj, proszę. Nie rób mi tego”.

Dotarło do niego, że leży na wznak w poprzek jakiegoś mebla - prawdopodobnie łóżka - a głowa zwisa mu na dół i dlatego widzi twarz maga odwróconą, podobnie jak resztę izby.

„Przestań. Co ty wyprawiasz? Co się stało?”

Pływak pomógł mu usiąść. Stworzyciel nadal był nagi do pasa, a na jego ciele gdzieniegdzie zasychały małe kropelki krwi.

„Co się stało? Zaczęłeś odchodzić i ledwo cię zawróciłem”.

„....”

„Było ci za dobrze po tamtej stronie i przestałeś oddychać” - wyjaśnił zdenerwowany mag.

„Skąd ta krew?”

„Stymulacja nerwów za pomocą igieł” - rzucił z roztargnieniem.

Kamyk bezwiednie przeczesał włosy palcami. Nie bardzo potrafił wyrazić tę myśl, ale gdyby zabiegi Stworzyciela odniosły jakikolwiek skutek, zapewne już by odczuwał jakąś zmianę.

„Nie udało się?”

Pływak zmarszczył się i potrząsnął głową.

„Bardzo dokładnie obejrzałem cię od środka - głównie mózg. Tak jak przypuszczałem, tam gdzie powinieneś mieć ośrodek słuchu, masz to, co nazywają Magiczną Perłą. Choć po prawdzie to wcale jak perła nie wygląda. Po prostu guz - dodał Pływak zgryźliwie - kawałek mięsa, który daje nam zdolności do robienia tych cudactw. U ciebie ma wielkość mandarynki”.

»Mój talent zjadł mi uszy?”

„To dość dobre określenie”.

„Nie możesz nic zrobić?! Jesteś Stworzycielem!”

Mag ze złością kopnął stołek.

„Mogę, ależ oczywiście, że mogę. Mogę grzebać ci w mózgu i przy okazji cię zabić albo zmienić w roślinę. Spędziłbyś resztę życia, śliniąc się i robiąc pod siebie. Zdaje się, że teraz jednak jesteś w lepszej sytuacji. Wybacz, ale nie zaryzykuję. To byłoby za trudne nawet dla kogoś silniejszego ode mnie”.

„Spróbuję u kogo innego. Pójdę aż do Zamku”.

„Nie ma nikogo innego. Jak myślisz, dlaczego Pochmurny skierował cię właśnie tu? Bo nikt inny nie zajmuje się badaniami źródeł talentów. Cała reszta woli uważać, że dostajemy te zdolności od Bogini i samo dociekanie jest grzechem. Banda przesądnych kołtunów”.

Chłopiec wstał i nieco chwiejnym krokiem skierował się ku drzwiom.

„Dokąd to?”

„Muszę się przejść. Bardzo tego potrzebuję”.

Miał ochotę walić głową o ścianę. W pewien przewrotny sposób przyniosłoby mu to ulgę. Zamiast tego poszedł nad jezioro. Wiał leciutki wietrzyk, marszczący jego powierzchnię.

Pracowały nawadniacze, przenoszące wodę do wyżej położonych ogrodów. Zieleń u brzegów była świeża i soczysta, a nad czubkami trzciny uwijały się ważki. W oddaleniu kilka praczek płukało bieliznę na pomoście. Ten sielski obrazek powinien nastrajać do błęgiego leniuchowania i miłych myśli, lecz przygnębienie Kamyka rosło.

Podobno przez kilka chwil był bliski śmierci. To uczucie, o dziwo, było nawet przyjemne. Szkoda, że jednak nie umarł. Szkoda, że nie można utopić się od jednego zamachu, unikając cierpienia i niewygód.

Tyle trudu, tyle starań i niczego nie osiągnął. Porażka wypełniała mu usta złudzeniem goryczy. Przyjrzał się niebieskawym żyłom na nadgarstku. Jedno cięcie, byle dostatecznie głębokie, a życie wyciekłoby z niego jak woda z pękniętego dzbana. Nóż miał w kieszeni... Przekreślił jednak rękę i naciął skórę na wierzchu ramienia. Niewielki ból, gruba kropla krwi urosła i stoczyła się na ziemię.

„Ty, która dajesz i odbierasz... odbierz mi smutek, a daj siłę i nadzieję.”

Była to skromna ofiara i najkrótsza z możliwych modlitwa, lecz niczego więcej nie umiał z siebie wykrzesać.

Płowy kiedyś wyraził sąd, że samobójstwo jest tchórzliwą ucieczką od życia. Trudno się z tym nie zgodzić. Kamyk pomyślał z ironiczną goryczą, że będzie musiał stawić czoło trywialnym kłopotom codzienności. Jeśli niedana mu kariera maga, zawsze może zostać pastuchem, woźnicą albo kopistą, skoro już się nauczył pisać.

Ze zwieszoną głową powlókł się z powrotem do dziwacznej siedziby Stworzyciela.

*

Kamyk prędko opuścił dom maga, choć Pływak przy bliższym poznaniu okazał się całkiem przyjemnym człowiekiem. Jego niechęć do obcych była czysto pokazowa - nie znosił wizyt głupców, zabierających mu czas dla zaspokojenia płytkiej ciekawości lub żądających rozwiązania problemów, z którymi należało iść do urzędnika, a nie do maga.

Chłopiec nie miał ochoty wracać do domu. Czekająca go tam ta sama co poprzednio monotonia, obowiązki, nauka, praca, w której sens przestał wierzyć. Jaki sens w dalszym kształceniu, skoro nigdy nie osiągnie celu, jakim jest błękitna szarfa i certyfikat maga? Niemożność tworzenia iluzji dźwięku stanowiła mur, przegradzający drogę do doskonałości. Przestało mu się spieszyć do czegokolwiek. Płowy, choć starał się tego nie okazywać, wiązał duże nadzieje ze swym wychowankiem. Kamyk wyobrażał sobie, jak bardzo rozczaruje się jego opiekun. Lato dobiegało końca i właściwie powinien wracać, by zdążyć przed porą ulew i powodzi. Zamiast tego włóczył się to tu, to tam bez konkretnego celu.

Ktoś o poetycznym usposobieniu rzekłby, że duszę zatrzał mu smutek. Kamyk szczególnie poetyczny nie był. Zwyczajnie skonstatował, że ogólnie jest bardzo przygnębiony, i że na nic nie ma ochoty, nawet na jedzenie. Zawsze szczuły, teraz schudł jeszcze bardziej i zmizerniał. Uczony, taki jak Pływak, znalazłby na stan chłopca właściwe określenie: depresja.

Podczas włóczęgi Kamyk trafił do opuszczonych kamieniołomów. Idąc dnem kamiennego wąwozu, czuł się bardzo mały i nieważny. Podziurawione starymi wyrobiskami niebotycznie wysokie ściany miały w sobie coś tajemniczego oraz pełnego godności. Owe skały stały tu, nim się narodził, i pozostaną długo po jego śmierci. Życie ludzkie wydawało się chwilą w porównaniu z trwaniem kamienia, który pamiętał czasy, nim jeszcze pierwszy człowiek postawił stopę na ziemi.

Chłopiec usiadł na głazie w gigantycznym kamiennym jarze i ciskał kamyczkami w głąz leżący kilkanaście kroków dalej. Wiatr wiejący wśród skalnych ścian dmuchał mu w tył głowy. Wybierał kamyki, rzucał, starając się trafić w cel. Zamyślony, dopiero po paru minutach zorientował się, że powiewy zrobiły się dziwnie ciepłe.

Nie spodziewając się niczego szczególnego, obejrzał się... i zmartwił. Ciepły wiatr okazał się oddechem monstrialnego stworzenia czającego się tuż za nim! Pierwsze, co rzucało się w oczy, to był wielki łeb ze ślepiami niczym dwie krwawe plamy i potworną ilością spiczastych kłów. Za łbem znajdowała się jeszcze potężniejsza masa mięśni, łap i pazurów!

Instynkt zmusił ludzkie ciało do działania, zanim jeszcze obraz w pełni dotarł do jego mózgu. Chłopak rzucił się do panicznej ucieczki pokrytym gruzem dnem kamieniołomu. Potknął się i przewrócił, ale poderwał natychmiast, absolutnie pewien, że bestia go goni. Strach przygłuszył ból porozbijanych kolan. Zdawało mu się, że wciąż czuje na plecach oddech potwora. Kamieniołom skończył się ślepym zaułkiem. Wciśnięty weń chłopiec spojrział w oczy śmierci. Smok zbliżał się leniwym krokiem, jakby wiedząc, że jego ofiara nie ma już żadnej drogi ucieczki. Stąpał z gracją kota, podchodzącego do sparaliżowanej lękiem myszy. Kamyk zamknął oczy i modlił się do Matki Świata - tak szczerze i gorąco jak nigdy dotąd - o szybką śmierć, aby bestia nie poniewierała go okrutnym kocim sposobem.

Wtedy stał się cud. Smocze „ja” bez żadnych ceregieli wpakowało się do umysłu przerażonego chłopca. Nie był to sposób kontaktu Mówców czy Stworzycieli, jakiego Kamyk do tej pory doświadczył. Dwie jaźnie - smocza oraz ludzka - splotły się tak, że z trudem odróżniał emocje własne od cudzych. Bo przecież nie do niego należało owo uczucie ekscytacji, psotne podniecenie i ciekawość.

Czym prędzej otworzył oczy. Smok siedział tak blisko, że mógłby go dotknąć wyciągniętą ręką. Nie wyglądał już tak przerażająco mimo swych rozmiarów. Przekreślił łeb, przypatrując się człowiekowi z zainteresowaniem. Jedno ucho sterczało mu pionowo w górę, drugim strzygł bezustannie. Ziajał i z uchylonej paszczy zwisał mu wielki, różowy jęzor. Gdyby nie rozłożone lekko błoniaste skrzydła oraz czerwone ślepia, wyglądałby jak gigantyczny biały pies strojący głupie miny.

Po niematerialnym moście między dwoma umysłami płynęły uspokajające komunikaty: „żart - śmieszne - nie bać się - nie ugryzie - zabawa...”.

Kamyka ogarnęło uczucie ulgi tak wielkie, aż osłabł i musiał usiąść. A więc całe to nieszczęsne wydarzenie miało być żartem? Według niego bardzo głupim i do tego nieudanym. Dla postronnego widza wyglądałoby to tak: skłonne do psot smoczysko miało zamiar podkraść się do zadumanego człowieka i przestraszyć go. Tymczasem nawet najokropniejsze ryki nie sprawiły, by ofiara choćby drgnęła.

Porozumiewali się coraz łatwiej. Smok nie tylko panoszył się w umyśle chłopca, niepojętym sposobem zdołał go także zaprosić do własnego. W błyskawicznym tempie znajdowali nowe sposoby przekazywania treści za pomocą jednej idei, uczucia, wyobrazonego obrazu czy symbolu. Zafascynowany Kamyk pomyślał, że właśnie tak muszą wyglądać niedostępne obszary osobowości oglądane wewnętrznym wzrokiem za pośrednictwem talentu Mówcy lub Obserwatora.

„Nastraszyłem cię!” - myśl smoka zabarwiona była satysfakcją.

„To niewielka sztuka. Jesteś ode mnie dużo większy i silniejszy”.

Po raz pierwszy Kamyk widział prawdziwego, żywego smoka z tak bliska. Nie mogło się to równać w żaden sposób z obserwowaniem dalekiego kształtu na tle nieba, a tym bardziej z

rycinami w książkach, choćby i najlepszymi. Miał takie rozmiary, że zdawało się wręcz niemożliwe, by potrafił unieść się w powietrze. A jednak latał - para skrzydeł zwinięta na grzbiecie była tego świadectwem. Gdy smok je rozkładał na chwilę, jakby od niechcenia, wydawały się wielkie jak okrętowe żagle.

Chłopak wąpił, czy zdołałby dosięgnąć jego barków, nawet gdyby stanął na palcach.

„Nadal rosę - pochwalił się smok. - Włóczę się, bo w domu nudno, a ja lubię podrażnić ludzi. Jesteście tacy zabawni, gdy uciekacie na łeb, na szyję”.

A więc takich rozrywek zażywał ten smoczy niedorostek...

A gdyby tak odplącić mu pięknym za nadobne? Czuł nieodpartą pokusę. Tuż nad kudłatym dowcipnisiem pojawiła się wielka kula lodowatej wody, która w następnej chwili efektownym wodospadem chlusnęła prosto na niego. Wyprysnął w górę, jakby miał sprężyny we wszystkich czterech łapach, a następnie klapnął ciężko brzuchem na ziemię niczym żaba. Po mentalnym moście pędziły wrażenia najwyższego zaskoczenia, obrzydzenia i odrazy. Smok otrząsnął się z rozmachem, rozsiewając wokoło mokre bryzgi. W tej chwili tak bardzo przypominał przemoczzonego psa, że Kamyk parsknął śmiechem. Zdjął iluzję. Smok raptem stwierdził, że znów jest suchy. Obejrzał się podejrzliwie i jeszcze raz otrząsnął. Fala przeszła przez białe futro od głowy aż do koniuszka ogona jak tchnienie wiatru przez łąn zboża. Kichnął kilka razy z najwyższym wstrętem. Potem czerwone oko spoczęło na chłopcu, któremu nagle zrzęda mina, a po plecach przebiegło stado mrówek o zimnych nóżkach.

Wargi smoka uniosły się w złowróżbnym grymasie, uszy przyłgnęły płasko do łba, a źrenice zwężyły się w cienkie kreski.

Groźne spotkanie zmieniło się w beztroską pogawędkę i Kamyk zapomniał, że to jednak smok - stworzenie silne, niebezpieczne oraz nieobliczalne. Zwyczajny kaprys mógł sprawić, że duży niefrasobliwy szczeniak w jednej sekundzie stałby się śmiertelnie niebezpieczną bestią.

Wtem smok podskoczył, kichnął i znów wywalił jęzor w wyrazie niemej radości.

„Bardzo śmieszny żart! Bardzo, bardzo zabawne! To ty zrobiłeś!”.

Uszy znów sterczały mu do góry.

„Już wiem - ty jesteś magiem. Starsi opowiadali mi o magach. Ale myślałem, że magowie są dużo więksi”.

Doprawdy, on chyba rzeczywiście był jeszcze dzieckiem.

„Co jeszcze umiesz zrobić?” - dopytywał się smok z zaciekawieniem.

Kamyk stworzył miraż gołębia, a wtedy wielka paszcza błyskawicznie wyprysnęła do przodu. Szczęki jednym, ledwo dostrzegalnym ruchem zwały się na iluzyjnym ptaku. Atak trwał zaledwie mgnienie oka.

Biały smok zrobił zęza, poruszył nosem i rozwarł pysk. „Nie ma go. Nie zjadłem, a zniknął”.

Wstrząśnięty chłopiec potrzebował dłuższej chwili, by dojść do siebie. Nie zdawał sobie sprawy, jak szybki może być smok. Dopiero teraz dotarło do niego w pełni, że gdyby to stworzenie rzeczywiście chciało mu zrobić krzywdę, nie zdążyłby zrobić nawet kroku.

Odetchnął bardzo głęboko.

„Jesteś niemądry. To tylko obraz. Nie można go zjeść”.

Młody smok był bardzo zainteresowany Kamykowym talentem. Z niekłamanym zachwytem przyjmował następne iluzje, które chłopiec stwarzał dla niespodziewanego i niezwykłego widza. Ogromne - na smoczą miarę - kolorowe motyle, węże, jelenie o rogach rozłożystych niczym konary drzew... na koniec pojawił się nawet bliźniaczy smok, dokładnie powtarzający każdy ruch pierwowzoru.

Smoczy szczeniak bawił się znakomicie, ale nagle porzucił te igraszki. Usiadł, prosto składając skrzydła, i spytał bez żadnych delikatnych wstępów:

„Dlaczego ty nie słyszysz? Zauważyłem od razu. To bardzo dziwne”.

To był przykry temat, którego człowiek taktowny wcale by nie poruszył, ale Kamyk nie miał do czynienia z kimś subtelnym... a nawet nie z człowiekiem! Nie mógł, niestety, wyrzucić z głowy cudzej obecności, która rozpychała się tam nachalnie.

„To dla ciebie duży kłopot, prawda?”

„Duży”.

„Bardzo duży czy tylko trochę?”

*

W ten sposób smok, po kawałku, wyciągnął z niego całą historię. Siedząc tak spokojnie, z łapami owiniętymi ogonem, z długą szyją wygiętą we wdzięczny łuk i zadając inteligentne pytania, wydał się Kamykowi jednak starszy, poważniejszy, niemal zupełnie dorosły.

Smok zadumał się nad czymś głęboko, liżąc od niechcienia łapę. Mentalny kontakt rozluźnił się. Widocznie smoczy szczeniak znudził się już ludzkim towarzystwem. Kamyk wstał, gotów do odejścia. Z przykrością stwierdził, że ubranie przyszło do skaleczeń.

„Zaczekaj! - polecenie padło tak gwałtownie, że niemal poczuł fizyczne szarpnięcie. - Lubię cię. Chcę coś dla ciebie zrobić, coś ci dać”.

Kiedyś, jeszcze jako mały chłopczyk, Kamyk zapadł się w muł na brzegu rzeki prawie po pas. Kiedy wyciągano go z tej pułapki, miał przez moment wrażenie, że rozciąga się jak mokry rzemień. Głowa i nogi tkwiące w zdradliwej mazi oddalały się od siebie w dziwny, niebezpieczny sposób. Teraz ogarnęło go to samo uczucie. Wrażenie, że część jego osobowości jest gdzieś niemiłosiernie ciągnięta. Z umysłem napiętym jak struna między ciałem a jakimś nieokreślonym punktem, czuł, że jeśli potrwa to chwilę dłużej, z pewnością zwariuje. Uczucie „rozciągnięcia” ustąpiło wrażeniu „rozdwojenia”. Osunął się na ziemię, oparł o zimny kamień i czuł dokładnie wszystkie jego nierówności, a jednocześnie był... gdzie? Widział sam siebie, skądś z wysoka. Własną pobladłą twarz i kurczowo zaciśnięte pięści.

„Jesteś we mnie - dotknęła go myśl smoka. - Widzisz moimi oczami. A teraz uważaj”.

Choć później wielokrotnie Kamyk próbował spisać to, co zaszło, zawsze dochodził do wniosku, że są to opisy blade, płaskie i zupełnie nieoddające jego uczuć. Czy można przekazać ideę morza komuś, kto wodę widuje tylko w kubku? Jak wytłumaczyć ślepemu barwę nieba?

Ludzki język nie miał słów, które były chłopcu potrzebne. Nie inaczej czułby się ślepiec, który po raz pierwszy w życiu w otaczających ciemnościach ujrzał światło - również nie wiedziałby, czym jest i co oznacza.

Jedynym porównaniem, jakie wydało mu się najodpowiedniejsze, było nurkowanie, kiedy człowiek schodzi do obcego świata, gdzie panują całkiem odmienne prawa. Wtedy, w kamieniołomie, również został wciągnięty do całkiem odmiennej krainy i poznał smak nieosiągalnego.

„Co to jest?”

„Słyszysz wiatr. Podmuchy obijają się o skalne nawisy”. Słyszał wiatr... Więc to jest wiatr, który dotąd był tylko dotykiem powietrza?

„A to?!”

„Jastrząb. Jest gdzieś wysoko. Nie widać go, ale słyszać”.

Słyszał uszami smoka! Smok zaprosił człowieka do swego wnętrza, w jakiś niepojęty sposób, nieznanym nawet Stworzycielom. Trudno o wspanialszy podarunek. Smocze uszy łowiły coraz to nowe odgłosy, a on objaśniał:

„To mysz”.

„Tam kamień osunął się ze zbocza”. „Gołąb przeleciał”.

„A teraz zaryczę” - uprzedził, choć oczywiście chłopiec nie miał pojęcia, co to może oznaczać. Potężny, przeciągły dźwięk był jak uderzenie na odlew. Ledwo przemiął, usłyszał własny krzyk - słaby, ale równie przejmujący. Zupełnie jakby narodził się powtórnie. Dźwięki napływały falami - wszystko zupełnie nowe, niczego nie potrafił zrozumieć ani nazwać.

Nagle znowu miał tylko jedno ciało. Leżał zwinięty w kłębek, rozdygotany, kryjąc głowę w ramionach. Otaczała go znajoma cisza.

Smok siedział spokojnie na ogonie i mył sobie ucho łapą, jakby zupełnie nic nie zaszło.

„Za bardzo się miotałeś, więc przerwałem. Podobało ci się?”

„Wspaniale...”

Jak każda cudowna rzecz zadziwiało, rwało nerwy na strzępy, a jednocześnie trwało zbyt krótko. Chłopiec wciąż miał w głowie odgłos ptasich skrzydeł. Podniósł się, ciągle na miękkich nogach z wrażenia, i uformował gołębia, każąc mu pofrunąć.

„Całkiem dobrze” - pochwalił smok, odprowadzając iluzyjnego ptaka wzrokiem.

„Udało się?”

„Nieźle, ale to był chyba bardzo chory gołąb. A więc umiesz to robić na pamięć?”

„Widocznie tak...”

A wtedy smok rzucił lekko:

„W takim razie zostanę z tobą jakiś czas, żebyś mógł nauczyć się wszystkiego, co ci jest potrzebne. Ale tylko rok, bo jak zabawię tu dłużej, to moi rodzice zaczną się martwić”.

Po raz pierwszy w życiu Kamyk przekonał się, że powiedzenie „usiąść z wrażenia” bywa całkowicie uzasadnione. Nogi się pod nim ugięły. W ciągu niewiarygodnie krótkiego czasu jego życie przenicowało się, i to kilkakrotnie. Nie tylko spotkał smoka (i przeżył to spotkanie), ale w dodatku stworzenie zaproponowało coś, o czym kaleki Tkacz Iluzji nie śmiał nawet pomarzyć. I zostało to rzucone lekko, bez namysłu, ot po prostu. Jakby nie chodziło o nic więcej, tylko o zwykłą uprzejmość!

Rok! Chłopiec nie wierzył własnemu szczęściu. Rok wydawał mu się niezmiernym oceanem czasu, kiedy to można uczynić niewiarygodne rzeczy. Przez rok można było wykonać gigantyczną pracę!

Pozostał tylko jeden niewielki... a właściwie wielki problem. Jak podróżować z takim ogromnym stworzeniem? I co powiedzą mieszkańcy Żmijowych Pagórków, kiedy w ich okolicy osiedli się smok? Sama jego obecność wywoła panikę nie do opanowania, a jeżeli jeszcze zechce się żywić kosztem ich stad...?

Smok przechwycił tę myśl i natychmiast znalazł radę.

„Mogę przemienić się w coś mniejszego. W jelenia, orła... krowę...”

Kamyk jakoś nie umiał wyobrazić sobie mięsożernej krowy, natomiast wygląd smoka kojarzył mu się z całkiem innym zwierzęciem.

„Pies. Czy umiesz przemienić się w psa?”

„Oczywiście”.

Tak więc smok poszedł zamienić się w psa, surowo przykazując przedtem, by Kamyk nie podglądał, gdyż przemiana tego rodzaju zawsze była brudna, krępująca i nie zawsze bezpieczna

dla otoczenia.

Chłopiec czekał cierpliwie na jego powrót. Czuł, że właśnie stoi na zakręcie drogi życia.. Cokolwiek go czekało - dobre czy złe - z pewnością zapowiadało się nadzwyczajnie.

*

Był późny wieczór, gdy drzwi chaty Obserwatora Płowego otworzyły się ze skrzypnięciem. Ktoś wszedł, nie czekając na zaproszenie. Mag wyjrzał zza zasłony oddzielającej jego pracownię od reszty izby. Zmarszczył brwi gniewnie.

- Co to za zwyczaj? Nie jesteś u siebie, mój panie! Mógłbyś przynajmniej zapukać!

W zwodniczym świetle źle wyregulowanej lampy mag dostrzegł tylko, że przybysz jest wysoki i szczupły. Ociekał deszczem, gdyż na zewnątrz trwała pierwsza jesienna słońca. Przy jego nodze kulił się biały pies, równie żałośnie przemoczony.

- On jest u siebie, a ja nie mam czym pukać... chyba że nosem - ozwał się nieco ochrypły bas i mag z niebotycznym zdumieniem zorientował się, że owe zgryźliwe słowa wydobywają się z psiego pyska.

Gość odrzucił z głowy mokry kaptur płaszcza i otworzył ramiona do uścisku. -KAMYK!!!

*

Płowy z pośpiechem bazgrał ołówkiem po karcie do notatek, póki jeszcze miał świeżo w pamięci zadziwiająca relację z podróży Kamyka. Radość ze szczęśliwego powrotu wychowanka mieszała się z niedowierzaniem. Ale przecież sam rozmawiał z psem... to znaczy ze smokiem... jak właściwie to określić?

Popatrzył w stronę Kamykowego posłania. Chłopiec spał głęboko zmęczony długą podróżą i opowiadaniem o swoich przygodach. Coś mu się pewnie śniło, bo nad nim pojawiały się strzępy niewyraźnych miraży. Pies drzemał wyciągnięty na koziej skórze przed paleniskiem.

Płowy powrócił do pisania.

Jeżeli coś jest dziwne, cudowne i niezrozumiałe - nie oznacza jeszcze, że jest niemożliwe. Oto smok wszedł między ludzi, o czym nikt chyba jeszcze nie słyszał. Jego imię jest bardzo zawile. Przełożone z warkliwej smoczej mowy na lengorchiański brzmi mniej więcej w ten sposób: „Dobry Biały Fruwacz Unoszący się Wysoko i Zjadający Obłoki Takiej Barwy Jak Ort Sam ”. Kamyk słusznie skrócił je do Pożeracza Chmur. Kiedyś marzyłem o tym, by mój chłopiec stanął do egzaminu w Kręgu i został jego pełnoprawnym członkiem. Śniłem o igłach Mistrza Tatuazu, które nakreśliłyby symbol Kręgu i znaku „dłoń” na jego piersi. Jeszcze wczorajszego dnia nie wierzyłem, że te marzenia mogą się spełnić. Teraz jestem pełen nadziei. Wspomagany przez swego niezwykłego towarzysza mój Tkacz Iluzji nauczy się wszystkiego, czego brakło mu do tej pory. Jestem o tym przekonany. Będę pisał do Kręgu, w którym stanie Kamyk za rok lub dwa, by poddać się surowej ocenie starszyny. Oczekuję niecierpliwie na moment, kiedy nowy Mistrz wejdzie do Kręgu Magii i świat krzyknie z podziwu głośniej, niż będzie w stanie wytrzymać jego gardło.

Kropla wody spadła na stół z mokrym pląsnięciem. Kamyk czym prędzej podstawił kubek w zagrożonym miejscu, po czym spojrział do góry z zatroskaniem. Na suficie pośrodku mokrej

plamy wybrzuszała się i rosła następna. No tak, wiadro postawione na strychu pod przeciekającym dachem już się wypełniło. Trzeba je opróżnić, a gdy się trochę przejaśni, wejść na dach i załatać dziurę. Trzciniowa strzecha miała już swoje lata. Była chyba starsza od samego chłopca, nic więc dziwnego, że zaczęła prowadzić z mieszkańcami wojnę podjazdową, cieknąc w coraz to nowych miejscach.

Świeca kładła żółtą plamę światła na stole zarzuconym kartkami, zużytymi piórami, rysikami i miseczkami z tuszem. Kamyk odsunął kronikę od niebezpiecznych rejonów, gdzie groziło jej zachłapanie wodą lub farbą.

Przeciągnął się, rozmasował zmęczoną pisaniem rękę. Ślady szarpanych ran ciągnęły się nierównymi krechami zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz prawej dłoni. Poznaczona bliznami skóra nadal pozostawała nieco ściągnięta, ale najważniejsze, że Płowy zrobił dobrą robotę, ratując chłopcu ścięgna. Pisanie nie szło Kamykowi już tak sprawnie jak kiedyś, medyk jednak twierdził, że to przejdzie. Kiedy prawie rok temu zarobił tę niefortunną pamiątkę, był taki sam wieczór jak obecny, wilgotny, zadeszczony i śmiertelnie nudny.

*

Z początku Pożeracz Chmur ochoczo wywiązywał się z danej Kamykowi obietnicy. Po drodze do Żmijowych Pagórków niemal cały czas mieli złączone umysły i chłopiec mógł poznawać niedostępny dotąd świat dźwięków. Napawał się nowymi doznaniem, starał się zapamiętywać wszystko. Głosy ptaków i zwierząt, szum traw, płynącej wody... Nawet piasek pod stopami szeleścił lub chrzęścił, co było dla Kamyka niemałym zaskoczeniem. Świat, który do tej pory był kolorem, dotykiem i zapachem, otworzył się szerzej. Wydawał się teraz miejscem tak bogatym i żywym...

Tylko w jednym Kamyk poniósł porażkę. Głuchy od urodzenia, uczył się do tej pory jedynie mowy rąk i oto lengorchiański - jego ojczysty język - okazał się dla niego niezrozumiałym bełkotem.

Wszystko układało się dobrze, dopóki dopisywała pogoda. Potem nadeszły jesienne deszcze i okolica tonęła w wilgoci. Gdy miało się wybór: taplać się w błocie lub siedzieć pod dachem, łaskawiej przyjmowało się to drugie. Okazało się jednak, że Pożeracz Chmur nie znosi zamknięcia na równi z szarugami. Przyzwyczajony do włóczędzy i częstych zmian miejsca, smok nudził się śmiertelnie w czterech ścianach niewielkiej chatki Płowego. Iluzje stwarzane przez Kamyka były rozrywką chwilową. Smok z nudów przedsięwziął wyprawę do wsi, gdzie gryzł się z miejscowymi kundlami, a że zawsze wygrywał, dotkliwie raniąc przeciwników, za nim zwykle przybiegali rozżłoszczeni wieśniacy, żądając ukatrupienia „tego piekielnego psiska”. Oczywiście za każdym razem wracał z takiej eskapady koszmarnie ubłocony oraz pokryty krwią cudzą i własną, więc musiał poddawać się procedurze kąpieli przy studni, co dodatkowo psuło mu już i tak fatalny humor. Zrzędził tak okropnie, że czasem wprost nie szło z nim wytrzymać. Osiemdziesięcioletni człowiek byłby wielce szacownym nestorem rodu, ale smok przyznający się do takiego samego wieku to jeszcze szczeniak, który ma pstro w głowie. Nie musiało minąć wiele czasu, by obaj magowie przekonali się, że młody smok szybko się do czegoś zapala, a następnie szybko nuży. Kamyk może i zwolniłby Pożeracza Chmur ze słowa danego tak pochopnie, lecz zbyt wiele znaczyły dla niego lekcje odbywane ze smokiem. Oto otrzymał od losu niezwykle szansę, więc miał zamiar z niej korzystać, jak długo się da.

*

Tego dnia nic nie zapowiadało katastrofy. Pora deszczowa trwała w najlepsze, czas płynął leniwie. Płowy postanowił sporządzić większą ilość maści na reumatyzm. Ucierał więc w misce rozmaite ostro pachnące zioła wraz z łojem oraz dodatkiem żmijowego jadu. Kamyk poustawiał na stole rozmaite naczynia i stukał w nie - to zgiętym palcem, to znów drewnianym trzonkiem noża albo stalowym ostrzem. Ćwiczył mozolnie rozpoznawanie najprostszych dźwięków, na których istnienie nikt nigdy nie zwraca uwagi, choć są częścią codziennego życia. Pożeracz Chmur jak zwykle używał mu swoich uszu. Dla obu straciło to już dawno posmak nowości. Udało się im nawet pozbyć uczucia przebywania w dwóch miejscach jednocześnie. Zajmowanie się stołową zastawą było może ekscytujące dla Tkacza Iluzji, ale smok nudził się potwornie.

„Skończ już”.

Jeszcze nie”.

„Zrób coś ciekawszego”.

„Później”.

„Skończ już...”

„Zaraz. Uczę się, to ważne”.

„Głupi jesteś i nudny”.

Później Płowy miał zapisać w swej kronice:

Rozdrażniony Pożeracz Chmur wskoczył jednym susem na stół i kłapnął zębami Kamykowi tuż przed twarzą. Nie wydaje mi się, aby smok zamierzał go ugryźć, raczej tylko chciał zwrócić na siebie uwagę. Przestraszyłem się jednakowoż, a mój chłopiec jeszcze bardziej. Machnął ręką, trafiając Pożeracza w nos. Teraz już właściwie sami nie wiemy, czy odruchowo się bronił, czy też chciał się tylko zasłonić. Trudno opisać, co się działo dalej. Krew lała się strumieniem. Stołu to chyba nigdy już nie doszoruję. Jakoś udało mi się zatamować krwotok, ale wyglądało to wyjątkowo paskudnie. W dodatku Kamykowi co chwila robiło się słabo. Usiłowałem się skupić na szyciu, a miałem wrażenie, że on umiera. To dlatego chirurdzy tak niechętnie operują swoich bliskich. Smok miał brudne zęby. Rana się teraz Paskudzi i Kamyk dostał gorączki. Kiedy ratowałem mu rękę, Pożeracz wlał pod ławę, całkiem jak pies, który zasłużył na baty, i ciągle powtarzał:

„Ja nie chciałem... ja nie chciałem...”.

Może i nie chciał, ale nie zamierzałem go dłużej trzymać. Jak tylko ze wszystkim skończyłem, to otwarłem drzwi i powiedziałem: „Wynocha. Wracaj do domu, na Smoczy Archipelag czy gdzie tam chcesz, byłem cię więcej nie oglądał”. Wiem, że w ten sposób zabrałem Kamykowi coś bardzo ważnego, ale życie pod jednym dachem z rozwydrzonym smokiem zrobiło się nie tylko nieznośne, ale wręcz niebezpieczne. Myślę, że przyzna mi rację, kiedy tylko dojdzie do siebie.

*

Aż do wiosny Kamyk ćwiczył z uporem to, co zdołał opanować z pomocą smoka. Płowy miał już powyżej uszu ciągłego oceniania i korygowania pracy, którą chłopiec wykonywał na ślepo, a raczej „na głucho”. W cichości ducha zaczął rozumieć męczarnie Pożeracza Chmur, który był zmuszony uczestniczyć w tych ćwiczeniach. Jednak postępy, jakie poczynił młodzieutki Tkacz Iluzji, okazały się na tyle znaczące, że mag w tajemnicy przed swym wychowankiem wysłał list do siedziby Kręgu.

Dzień, w którym cofające się wody odsłaniały nareszcie właściwy znacznik na palu u brzegu rzeki Mławki, zawsze obchodzono w Pagórkach jako rozpoczęcie wiosny. Wszyscy mieszkańcy wioski przystrajali domy zielenią, a na stołach pojawiały się tradycyjne potrawy. Pikantne ciastka z imbirem, ryba pieczona w soli i brązowy ryż zapiekany w połówkach melona.

I jakby dla dodatkowego uczczenia owego święta właśnie tamtego poranka nadeszła odpowiedź z dalekiego Południa. Kamyk siedział przy stole, tnąc nożykiem giętkie gałązki wiśniowe oblepione pękami drobnych kwiatków. Płowy spletał z nich niewielkie wianki. Kiedy skończył, chłopiec (jako że przerosł już Obserwatora) wieszał je na belkach pod powałą i na świeżo wybielonych ścianach. Ostatni gwoździek wbity był krzywo, więc próbował go wyprostować. Drgnięcie podłogi odwróciło uwagę Kamyka od kawałka opornego żelaza. To Płowy tupnął - jak zawsze, chcąc go przywołać.

„Wiśnie kwitną. To już Święto Wiosny. Kończysz piętnaście lat”.

Kamyk uśmiechnął się, potrząsając głową.

„Niedługo, ale jeszcze nie teraz”

„Ale skoro twoje urodziny się zbliżają, chciałem dać ci podarunek”.

Mag wyjął ukryty dotąd w książce dokument i podał go Kamykowi. List był krótki, ale jego treść sprawiła, że chłopak zbladł.

Do Płowego,

syna Trawy i Stanowczego, maga Obserwatora w Lenn, Żmijowe Pagórki.

Rozpatrzone prośbę o dopuszczenie Kamyka, syna Stokrotki i Chmury, z domu Obserwatora Płowego, do próby talentu. Rada oczekuje przybycia kandydata najpóźniej w dniu ostatnim miesiąca Królika.

Nad tym krótkim, ale jakże ważnym tekstem umieszczony był symbol Kręgu - koło splecione z zawitych ornamentów, a poniżej widniał starannie wykaligrafowany podpis urzędnika i „zółw”, znak, który był emblematem kasty Strażników Słów.

„Widzę, że niezbyt jesteś ucieszony”.

Kamyk podniósł na Płowego oczy, w których czał się lęk.

„Ja przecież nic nie umiem!”

„Wystarczy - odparł mag. - W obrazach jesteś znakomity. Stałbyś do egzaminu już dwa lata temu, gdyby nie...” Kamyk odłożył dokument na stół.

„Gdyby nie to, że jestem głuchy! - dokończył, wzburzony. - Pożeracz Chmur odszedł za szybko! Nie zdążyłem się nauczyć wszystkiego! To się nie uda, Płowy, to się nie uda!”

Gwałtowność przekazu podkreślał uderzeniami palców w brodę. Obserwator doskonale wyczuwał jego zdenerwowanie. Uśmiechnął się i pogroził chłopcu żartobliwie.

„Egzamin w Kręgu to tylko pewien etap, nic więcej. Myślisz, że od razu będą wymagać od ciebie mistrzowskich umiejętności? Włazenie na drabinę zaczyna się od dolnych szczebli!”

Kamyk zmarszczył się.

„Ale moja »drabina« uciekła...”

„Na pewno sobie poradzisz”.

*

Rzeka Enite wiązała niebieskim sznurem większą część lengorchiańskich prowincji. Początek swój biorąc jako skromny potoczek w Górach Miedzianych, potem zagarniała po drodze taką ilość pokrewnych rzek, rzeczek i strumieni, że u kresu drogi szeroko toczyła wody z

leniwą powagą statecznej matrony. Nad Zatoką Cesarską rozkładała swe szmaragdowobłękitne suknie w wielce dekoracyjne wzory rozgałęzionej delty. I właśnie na największej z wysp u ujścia Enite pobudowano drugi co do ważności, po Pałacu Tysiąca Komnat w Lenenji (niektórzy twierdzili, że pierwszy), cud architektury, zwany Zamkiem Dłoni lub najczęściej po prostu Zamkiem Magów.

Najprostszym, choć powolnym sposobem podróży na Południe był spływ z prądem barką. Płowy doceniał wygodę tej jazdy, a Kamyk kontemplował widoki przesuwane przed jego oczami. Na brzegach Enite rozlokowało się mnóstwo mniejszych i większych osad, których mieszkańcy czerpali zyski z uprawy ziemi szczerze nawożonej mułem z corocznych wylewów, a także z samej rzeki. Od czasu do czasu barka przybijała do kei nadrzecznych miasteczek, by pozbyć się części ładunku oraz wziąć nowy.

Wreszcie, po niemal dwóch tygodniach takiej żółtawej podróży, dotarli na miejsce. Z pewnej odległości siedziba Kręgu Magów zdawała się niezbyt imponująca. Wyglądała... ot jak płytkie pudło do formowania sera, z którego wystawało pięć klocków, nakrytych stożkami do gaszenia świec. Byli jednak jeszcze dość daleko i Kamyk z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że budowla w rzeczywistości jest ogromna. Okazało się, że dominuje nad pobliskim miastem jak kolos nad mrówczą kolonią. Zamek opasano wysokim murem, zaginającym się łagodnie w perspektywie. Wielka brama magicznej warowni była gościnnie otwarta, a kratownica podniesiona. Po drewnianym, szerokim moście przerzuconym nad kanałem w obie strony podążali ludzie i toczyły się wozy. Kilku wartowników skrupulatnie sprawdzało dokumenty wchodzących, ale innej ochrony nie dostrzegli.

Płowy z ukrywanym rozbawieniem obserwował Kamyka. Chłopak omal nie ukręcił sobie karku, usiłując obejrzeć wszystko naraz. Mur momentalnie wzbudził jego zainteresowanie. Gładka powierzchnia wydawała się całkowicie pozbawiona spoin i została pokryta czymś w rodzaju szklistej glazury. Obaj magowie stanęli przy poręczy mostu, przyglądając się imponującej konstrukcji, płowy objaśniał:

„Przy wznoszeniu muru pracowali nie tylko zwykli robotnicy, ale także magowie. Wędrowcy dostarczali budulec, Stworzyciele go obrabiali, a kiedy ściana była gotowa, Iskry wytwarzały takie gorąco, że powierzchnia skały topiła się i zmieniała w szkło. Podobnie dzieje się w wulkanach”.

Słusznie magowie z kasty Iskier nosili na piersiach „słońce”.

Znad krawędzi muru wystawały symetrycznie ustawione wieże z jasnego kamienia. Wzmocnienia ich dachów ukształtowano w zwierzęce pyski. Kamyk obliczył z grubszą, że każda z tych kamiennych przypór miała rozmiar człowieka, choć z dala wydawały się niewielkie.

Do przejścia przez bramę starczył widok błękitnej szarfy Płowego. Wartownicy pozdrowili go grzecznie, choć bez żadnych emocji. Mag odpowiedział na pozdrowienie i dodał:

- Chłopak jest ze mną.

Gwardzista tylko skinął głową potakująco.

- Proszę się zgłosić do kancelarii. - Wskazał kciukiem kierunek.

Kiedy Płowy oddalił się kilka kroków, dobiegły go poprzez gwar miejski mimochodem rzucone słowa:

- Świeże mięso... to już czwarty dzisiaj.

Uśmiechnął się kwaśno. „Mięsem” nazwano Kamyka. No cóż... może to mięso za parę lat zadamowi się tu na stałe.

W kancelarii rezydował Strażnik Słów, który rzucił okiem na list okazany przez

Obserwatora, a potem szybko wpisał przybycie obu gości do księgi. Powiadomił przy okazji Płowego, że większość zgłoszonych w tym roku kandydatów już przybyła i próby mają się rozpocząć nazajutrz.

- Na razie chłopcy jeszcze się bawią i bardzo hałasują - dodał ze śmiechem. - Życzę powodzenia.

Na koniec przywołał drobnego chłopczka w szarej tunice służebnej, który miał zaprowadzić przybyłych do komnat przygotowanych na okazję egzaminów. Przechodzili przez tyle dziedzińców, korytarzy, galerii i ogrodów, że Kamyk miał wrażenie, jakby Zamek rozciągał się na jakiejś niezmierzonej przestrzeni. Z zakłopotaniem zastanawiał się, czy trafiłby z powrotem do bramy bez przewodnika.

Wreszcie dobrnęli do miejsca przeznaczenia - niedużej komnatki, bardzo ascetycznie urządzonej, ale za to czystej. Nie było tu nic więcej poza dwoma wąskimi łózkami, dwoma stołkami i kołkami do zawieszenia płaszczy. Za stół miał najwyraźniej służyć szeroki parapet okienny, gdzie stała mała figurka Bogini, lichtarzyk i leżało kilka świec.

Rozpakowanie niewielkiego bagażu nie trwało długo. Płowcy postanowił rozejrzeć się po okolicy. Od jego ostatniej bytności w Zamku minęły całe lata. Ciekawiły go zmiany i zastanawiał się, czy odnajdzie znajomków, z którymi kiedyś wymieniał listy. Kamyk natomiast nie miał ochoty na spacer z Płowym. Z pewnością Obserwator będzie się doskonale bawił w towarzystwie podobnych sobie wiekiem i rangą. Co miałyby tam robić piętnastolatek, prócz tego, że nudziłby się jak lis w dole? Lepiej zostać, poćwiczyć przed jutrzejszym sprawdzianem - to przecież rzecz wielce znacząca w życiu chłopca i lepiej być przygotowanym na wszelkie wypadki.

Jednak osamotnionemu Kamykowi prędko przeszła ochota do pracy. Ziewał nerwowo, czując przykry ucisk w brzuchu, i sam już nie wiedział, czy jest znudzony tą pustą izbą, czy wytrącony z równowagi czekającą go próbą. A co jeśli mu się nie uda? Może starsi magowie uznają go za bezużytecznego, mimo iż Pływak wysoko ocenił jego talent?

Wreszcie zdecydował się wyjść na zewnątrz, gdzie z pewnością było ciekawiej niż w czterech gołych ścianach. Obejrzy kawałek Zamku i to zajmie go przynajmniej na tyle, by przepędzić ponure myśli. Szereg komnat gościnnych ciągnął się wzdłuż jednej z kilku galerii otaczających sześciokątną studnię prześliczny ogród różany. W Lenn róże chyba dopiero nieśmiało rozwijały pąki, a tutaj krzewy kipiały już kwiatami. Pędy roślin, nie mieszcząc się w wyznaczonych im przez ogrodników miejscach, dźwigały się ku słońcu, oplatały balustrady, wspinały na słupy galerii. Sięgały wyższych pięter zielenią, różem, karminem i ciężką, krwawą purpurą. W centrum rozarium umieszczono fontannę. Pod wodnym baldachimem smukła brązowa figurka chłopczyka otaczającego ramieniem długą szyję gęsi. Ptak rozpościerał skrzydła, pulchne dziecko zastygło w dziwnej pozie, odchylone w tył. Nie wiadomo, czy artysta się pomylił, czy też efekt był zamierzony, lecz scenka wydawała się raczej walką niż zabawą. A po alejkach między rozbuchanym kwiatowym bogactwem kręciło się co najmniej kilkunastu chłopców. Niewątpliwie byli to inni kandydaci do błękitnej szarfy - zbliżeni do siebie wiekiem, ale poza tym stanowili nader urozmaiconą kolekcję przedstawicieli wszystkich warstw społecznych cesarstwa. Kamyk przypatrywał się im z wysokości piętra. Jedni odziani w zwyczajne sukno, inni w jedwabiach. Dominował kolor niebieski. Rodziny przyszłych magów zapewne chciały podkreślić doniosłość wydarzenia, jakie stanowił egzamin w samym sercu Kręgu. Mieszały się tu krótko ostrzyżone czupryny synów ziemian i rzemieślników ze starannie ułożonymi fryzurami dzieci krwi szlachetniejszej. Jakiś chłopak z długimi włosami, splecionymi

w wypłowiwały warkocz, prezentował tatuaże na nagich ramionach, a jego ubranie uszyto w całości z miękkiej skóry. Najwyraźniej pochodził z regionu bardzo odległego od bogatego i uładowanego Południa. Kamyk dostrzegł też całkiem małe dziecko, które bawiło się w ogrodzie pod opieką guwenera. Był to dzieciak na oko sześćioletni, odziany dostatnio i chyba znudzony. Turlał zagiętym drążkiem kolorowe piłki po ścieżce, ale co chwila popatrywał tęsknie na starszych chłopców, buszujących tuż obok w różach. Trwała zabawa w chowanego, tym pyszniejsza, że wspierana magicznymi zdolnościami. Czytający w myślach bezbłędnie odnajdywali kryjących się w zieleni, a sami z kolei sprytnie unikali tropiących. W jednym z uczestników Kamyk rozpoznał Wędrowca. Chłopiec w mgnieniu oka zniknął tuż przed nosa goniącego, kiedy ten już-już miał go schwytać. Wyglądało to tak wesoło i zachęcająco, że Kamyk postanowił zejść na dół, by zaznajomić się z resztą adeptów. W Żmijowych Pagórkach zawsze trzymał się na uboczu, lecz przecież tu nie miał do czynienia z bandą zazdrosnych, dokuczliwych wiejskich dzieciaków. Wszyscy tutaj byli równi...

*

- Pochodzę z rodu Brin-ta-ena i jestem Iskrą - oznajmił wyniośle chłopiec. Pieczołowicie ufryzowane czarne loki opadały mu na ramiona okryte szafirowym kaftanem. Jedwab utkano w drobny deseń - to matowy, to znów lśniący w słońcu. Tkanina musiała kosztować majątek. Jego dwaj rozmówcy mierzyli go wzrokiem, oceniając zarówno strój, jak i wielkopańską postawę. Obaj podobni do siebie, odziani w identyczne tuniki dobrego gatunku, ale daleko było im do bogactwa stroju młodego władcy płomieni. W ornamenty na ich ramionach ręka hafciarki wplotła dyskretnie symbole, „węzeł” dla jednego oraz „księżyc” dla drugiego.

- Nasza rodzina żyje w samej Lenenji - zaliczył jeden z braci, dumnie unosząc podbródek.

- Na dworze cesarskim? - spytał obojętnie Iskra.

- Bywaliśmy w pałacu - odparł oględnie Wędrowiec, a jego brat, Przewodnik Snów, widocznie pragnąc zmienić niewygodny temat rozmowy, zawołał:

- O, nowy idzie!

„Nowy” nie wyróżniał się niczym szczególnym poza wzrostem. Chłopcy ocenili, że jest wyższy o dobre pół głowy od każdego z obecnych. Nie było też co liczyć na nowinki z arystokratycznych kręgów - przybysz miał na sobie wełnianą bluzę z samodziału, spodnie pieczołowicie obszyte na szwach skórą i solidne buty za kostkę. Całość aż krzyczała o jego pochodzeniu z Północy, i to tej niezamożnej.

- Pozdrowienie - odezwał się Wędrowiec. - Skąd jesteś? Chłopak nie odpowiedział. Przyglądał się temu nieznośnemu smarkaczowi, który, korzystając z nieuwagi dozorczy, zamoczył się w fontannie, próbując złapać jedną z pływających tam rybek.

Niestety, tak już to jest, że ponosząc porażkę na jednym polu, słaba natura ludzka natychmiast szuka rekompensaty i zwykle odbywa się to kosztem słabszych.

- O, jaki hardy! Nie jesteśmy godni, aby szanowny pan się do nas odezwał? - burknął chłopiec z Lenenji. - Do ciebie mówię, wieśniaku!

Wysoki chłopak nawet nie obrócił głowy. Przeniósł uwagę z chlapiącego się w fontannie dziecka na gonitwę, która trwała nadal, wśród wybuchów żywiołowego śmiechu.

- On jest pewno Stworzycielem, więc nie pospolituje się z takimi marnymi talencikami jak wasze - zadrwił Iskra. Podniósł z alejki porzuconą piłeczkę i cisnął nią celnie prosto w głowę przybysza. Dopiero wtedy chłopiec wzdrygnął się z zaskoczenia, okręcił na pięcie, ukazując komicznie przestraszoną minę. Towarzysz Iskry, chichocząc, już podawał mu następną twardą kulkę. Zapłonęła w połowie drogi. Napadnięty uskoczył, ale kolejna trafiła go w ramię.

- Dajcie spokój. Opętało was coś? - odezwał się Przewodnik Snów, ale nikt go nie słuchał. Kolejne pociski osiągnęły cel. Zakłopotanie na twarzy nieznanego ustąpiło rumieńcowi gniewu. Kiedy Iskra zamierzał się do kolejnego rzutu, znienacka jego rękę z głośnym fuknięciem objęty płomieniem. W jednej chwili oba ramiona chłopca zmieniły się w pochodnie. Zawył z przerażenia i bólu, usiłując zdusić ogień. Jak echo zawtórowały mu wrzaski równie przestraszonych świadków. Trwało to zaledwie kilka chwil, ogień zniknął równie nagle jak się pojawił. Iskra dyszał ciężko, blade jak papier. Wyciągał przed siebie obie ręce z rozłożonymi

palcami. Rękawy jego wykwintnego kubraczka były nietknięte spalenizną, za to skóra w błyskawicznym tempie pokrywała się wielkimi pęcherzami. Chłopak zmiękł w kolanach, oczy uciekły mu w głąb czaszki i zemdłał.

*

Kamyk niejedną raz wracał pamięcią do tego nieszczęsnego wypadku. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało. Chciał tylko nastraszyć tego dokuczliwego chłopaka, a ten został poparzony ogniem, który... właściwie nie istniał. Talent Tkacza Iluzji zgodnie z nazwą stwarzał iluzje, miraż... Oszukiwał zmysły. Jak mogło skaleczyć coś, co zostało utkane z samej wyobraźni?

Kiedy Iskra upadł nieprzytomny, Kamyk stracił zupełnie opanowanie i uciekł. W głowie kłębiły mu się chaotyczne myśli: Co się stało? Co teraz będzie? Gdzie jest Płowy?! A natychmiast potem przyszło potworne skojarzenie i chłopca aż zemdliło z przerażenia.

Kodeks Kręgu!! Zaraz na pierwszej stronie widniało pierwsze, pod-stawowe i najważniejsze prawo:

Nie użyjesz swego talentu na szkodę człowieka. Nie odbierzesz życia ani nie zranisz nikogo. Nie udzielisz pomocy mordercy ani temu, co gwałt zadaje. Inaczej talent będzie ci odjęty mocą prawa.

Potem następowała koszmarna historia Wędrowca, który owo prawo przekroczył, a chirurg otworzył mu czaszkę i przeciął delikatne ścieżki rozumu. Pozostawiono biedaka przy życiu tylko po to, by sam je sobie odebrał.

Co prawda Płowy zapewniał go, że ta opowiadka jest jedynie wierutną bzdurą, zapisaną w kodeksie dla czystego efektu grozy, wszakże chłopiec zawsze traktował słowo pisane bardzo poważnie. A jeżeli jednak była prawdziwa? Jeżeli faktycznie najwyższą karą za tego rodzaju przestępstwo jest wyrwanie kawałka mózgu? Wtedy ani opieka Płowego, ani żadne zapewnienia, że to jedynie nieszczęśliwy wypadek, nie ochroni go przed straszliwym losem.

Dużo później Kamyk bardzo się wstydził tego wybuchu dziecinnej paniki. Przyznawał sam przed sobą, że powinien wtedy zaufać Płowemu i magicznej starszyźnie. Zajście z Iskrą różniło się od zwykłej bójki dwóch smarkaczy jedynie użytymi środkami. Jednak wówczas podsmażenie złośliwego paniczyka zdawało mu się zbrodnią, a przewidywana kara okropnymi torturami. Nie chodziło już o to, czy otrzyma certyfikat, w grę wchodził największy skarb każdego maga - jego talent.

*

- Dziedzic Brin-ta-ena to obrzydliwy szczeniak i sam miałem ochotę natrzeć mu tych arystokratycznych uszu - rzekł Mówca, nalewając podenerwowanemu Płowemu wina. - Napij się i uspokój. Nic mu się nie stało, poza tym, że przygryzł sobie ten jadowny ozór i przez jakiś czas nie będzie w stanie sam zapinać guzików. Zresztą od tego i tak ma służbę.

- Ale Kamyka nigdzie nie ma! - jęknął Obserwator, bębniąc nerwowo palcami po stole.

- Zostawił swoje rzeczy, więc nie odszedł nigdzie daleko.

- A ja powtarzam, że znam tego chłopaka od jedenastu lat. Jest narwany jak zajac w szaleju. Znajdźcie go wreszcie, na Miłosierdzie Losu!

- Prędeż czy później wygarniemy go z jakiego kąta. Warty przy obu bramach są

powiadomione. Chłopak nie wyjdzie z Zamku, chyba że ma skrzydła.

Płowy odstawił pucharek z takim impetem, że wino chlapnęło na obrus.

- Warty...! Niech panowie przyjmą nareszcie do wiadomości, że macie do czynienia z Tkaczem Iluzji. On stąd wyjdzie, jak i kiedy zechce. Pod byle jaką postacią, a nawet jako niewidzialny. Umie wystarczająco wiele, by wodzić was za nos całe tygodnie.

Miny obecnych wydłużyły się. Tego aspektu sprawy jakoś nikt nie wziął pod uwagę. Od fatalnego zajścia minęły dobre trzy godziny i jeśli pesymistyczne przewidywania Obserwatora były słuszne, niesforny Tkacz Iluzji mógł być już całkiem daleko.

*

Iluzja niewidzialności zawsze wprawiała Tkaczy w zakłopotanie, gdyż pytania o jej mechanizm równały się mniej więcej wypytywaniu ptaka o latanie. Każdy pierzasty specjalista rzekłby, że lata się, machając skrzydłami, ale ludziom na ogół proste wyjaśnienia nie wystarczały. Kamyk znajdował się dokładnie w sytuacji ptaka. Machał... to znaczy w jakiś sposób robił tak, że nie było go widać. Umiejętność tę opanował niezbyt dawno, a okazywała się szczególnie przydatna podczas nielegalnych wypraw do cudzych sadów. Zawodziła zaś, gdy w domu chciał wykręcić się od jakiejś uprzykrzonej pracy. Płowy bez trudu tropił jego myśli. Natomiast Pożeracz Chmur widział Kamyka zawsze, nawet pod osłoną niewidzialności. Twierdził, że wtedy chłopiec wygląda jak dziura w krajobrazie. Najbliższe określenie cech owej „dziury” smok nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Przy zamkowej bramie ani na moście nie było jednak żadnych bystrookich smoków. Niewidzialny uciekinier bez przeszkód dostał się do przystani, a następnie na pokład łodzi, która niebawem odbiła od brzegu, kierując się w stronę morza. W ten sposób Kamyk ruszył znowu w świat, nie mając pojęcia, dokąd go Los zaprowadzi.

Sypiał ukryty między pakami na pokładzie, a pod osłoną iluzji podkradał jedzenie załodze, uciszając sumienie odwiecznym „cel usprawiedliwia środki”. Podróż skończyła się dwa dni później, w niedużym porcie nad samym brzegiem Zatoki Cesarskiej. Załoga przerzuciła kładki na nabrzeże. Zaczęto rozładowywać ciężkie skrzynie, worki oraz bele bawełny, które liczył i opisywał urzędnik. Kamyk wymknął się i ruszył w miasto. Po raz pierwszy w życiu znalazł się tak daleko od domu i ciekawość zagłuszyła nawet przygnębienie z powodu beznadziejnej sytuacji, w jaką się wpakował.

Po wielkim Zamku Magów i rojnym Podzamczu to miasteczko wydawało się nieduże oraz nieco zaniedbane. Każdy port jest jednak zwykle miejscem ruchliwym i materialistycznym. Tu się nie żyło dla niejasnych idei, ale po to, by pracować i ubijać interesy. Prym wiedli żeglarze, kupcy, rzemieślnicy... i całe stada kotów łowiące myszy w nadbrzeżnych składach. Port cuchnął rybą i rybakami (co stanowi doprawdy niewielką różnicę). Kręte uliczki zapchane były małymi sklepikami i straganami oferującymi rozmaite towary - głównie świeże ryby (lub nieświeże), ale także gotowane, pieczone, wędzone, ryby suszone, a nawet kiszone, których zapach mógł przebić się przez mur.

Kamyk miał dotąd nieco inne wyobrażenie o portach wyniesione z lektur. Niejasno spodziewał się widoku smukłych galer o czerwonych żaglach, ogorzałych od słonego wiatru marynarzy o muskularnych ramionach tatuowanych w smoki i symbole szczęścia. Na targu nie widział kolorowych ptaków oraz dziwaczych stworów w klatkach, a statki nie były ani w połowie tak duże, jak to sobie dotąd przedstawiał. Mimo wszystko to miejsce uznał za

interesujące, choć przesiąknięte rybim odorem, który, o dziwo, nikomu zdawał się nie zawadzać. Przypadkiem chłopak trafił na uliczkę opanowaną przez cech rzeźników i to go dobiło. Mięso, co dawało się wyczuć nosem, też musiało mieć coś wspólnego z rybą. Poza tym z niewiadomych powodów wszyscy masarze patrzyli na Kamyka wrogo. I już po chwili wszczęło się wśród nich poruszenie. Mężczyźni zakasywali rękawy, łapali co im wpadło w ręce - kij, pałkę do głuszenia bydła czy nawet solidny gnat i zaskoczony chłopiec zorientował się, że jeżeli natychmiast nie salwuje się ucieczką, zostanie sromotnie obity. Ulotnił się więc czym prędzej z niegościnniej okolicy, nieco przestraszony, a przede wszystkim bezbrzeżnie zdumiony.

Opuścił zapowietrzone miasteczko, nie kupiwszy niczego do jedzenia, choć na sznurku pod bluzą miał nawleczone dwie sztuki srebra, a w kieszeni pobrzękiwało trochę miedziaków. Wszechobecny zapach ryb skutecznie odebrał mu apetyt. Za miastem rozciągała się równina porośnięta ostrą trawą wydmową oraz rozległymi kępami gęstych zarośli. Tu i ówdzie niebieszczyły się wąskie jak wstążki zagony kwitnącego lnu, a w zalanych wodą poletkach ryżowych odbijało się niebo. Kołysały się głaskane wiatrem zielone jeszcze i niskie łąny zboża. Na gorącym Południu wszystko wzrastało szybciej. Okolice pocięto licznymi rowami nawadniającymi.

Kamyk zatrzymał się nad brzegiem jednego z nich. Struga wartko płynęła wąskim korytem. Pora deszczów skończyła się niedawno i woda nadal była nieco mętna. Chłopiec usiadł na ziemnym wale i rozważał, jak napić się, nie zamulając sobie żołądka. Starał się nie myśleć o niczym innym. Ani o tym, gdzie się prześpi tej nocy, ani o długim cieniu Kręgu, sięgającym naprawdę bardzo daleko, ani tym bardziej o domu. Tak jak podczas długiej, żmudnej pracy nie myśli się o jej zakończeniu, tylko o następnym ruchu, a potem o następnym. Nie miał żadnej przyszłości, tylko tę obecną chwilę, a świat zawęził się do odrobiny wody w zagłębieniu dłoni, słonecznych plam tańczących na powierzchni strumienia i liści poruszających się w lekkich podmuchach wiatru.

I właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie, do głowy wpakował mu się nieproszony gość.

„KAMYK!? A co ty tutaj robisz?!“

Przekaz mentalny był tak znajomy, że chłopak nie miał żadnych wątpliwości, od kogo pochodzi.

„POŻERACZ CHMUR?!“

Chłopiec rozejrzał się gwałtownie, odruchowo szukając wzrokiem białego psa lub okazałej smoczej postaci. Nic jednak nie dostrzegł. Zarośla po drugiej stronie rowu zatrzęsły się, ale zamiast znajomej białej psiej mordy spomiędzy zieleni wynurzyła się najpierw para rąk, a potem bardzo rozczochrana głowa młodego chłopaka.

Kamyk z osłupieniem gapił się na to zjawisko, mając dziwne uczucie, że patrzy w lustro. Chłopak z naprzeciwka uśmiechnął się kpiarsko, jednym kącikiem ust. Miał szczupłą twarz o wysokich kościach policzkowych, szerokie, stanowcze brwi, a pod nimi oczy wąskie jak wierzbowe liście.

Pożeracz Chmur we własnej, smoczej postaci składał się głównie z mięśni, kłów, pazurów i skrzydeł (oraz dużej ilości białego futra). Nie był to jednak jedyny kształt, jaki potrafił przybrać. Kamyk aż się zatrzęsł ze złości. Po tym wszystkim, co nabroił, po tym, jak omal nie odgryzł mu połowy dłoni, ten wstrętny smoczy młokos paradował w jego skórze po świecie, zadowolony z życia!

Chłopiec jednym susem przeskoczył strumyk i na powitanie rąbnął Pożeracza Chmur w jego krzywy uśmiezek.

Pożeracz Chmur nie umiał się bić. Po babsku drapał, darł za włosy i kłapał zębami, podczas gdy nie na żarty rozeźlony Kamyk tłukł go po twarzy i żebrach. Chłopiec zdążył zdrowo przetrzepać smokowi skórę, nim ten zmienił taktykę. Złapał po prostu przeciwnika za ramiona i odepchnął go mocno. Był tego samego wzrostu co Kamyk, ale wiele od niego silniejszy. Mag w ostatniej chwili zdążył capnąć przeciwnika za włosy i razem runęli do rowu wypełnionego wodą. Pożeracz Chmur, jako typowy przedstawiciel swej rasy, nie znosił moczenia. Z okropnym skowytym wyskoczył ze strumienia jak pchnięty sprężyną. Kamyk jednak zdążył chwycić go za skraj wystrzępionej tuniki i pociągnął z powrotem.

„Jesteś podły! Podły! Co ja ci zrobiłem?! Ty zdechły krabie! Ty świniu ryjąca!” - pełen pretensji jazgot mentalny zdawał się wręcz gęstnieć.

Smok siedział na dnie, zanurzony prawie po pierś, unosząc łokcie gestem pełnym obrzydzenia, jak człowiek pławiony w pomyjach.

„Jesteś bezczelny!” - odparł Kamyk.

Pierwsza wściekłość z niego opadła, ale nadal był zły. Chlapnął na Pożeracza Chmur, a ten uchylił się, jakby pryśnięto w niego wrzącym olejem.

„Co ty mi zrobiłeś? Popatrz sobie! - Chłopiec zademonstrował pobliznioną dłoń. - A w ogóle to łazisz w mojej postaci bez pozwolenia! To jest złodziejstwo!”

Kamyk zdążył się dowiedzieć podczas krótkiego pobytu Pożeracza w Pagórkach, że aby skopiować dokładnie czyjeś ciało, smok potrzebował próbki oryginału. Wszystkie stworzenia, w jakie potrafił się zmienić, istniały realnie. Nawet ów biały pies - smok musiał go kiedyś ugryźć lub wręcz zjeść.

Pożeracz wygramolił się na brzeg, a za nim Kamyk. Chłopiec z ponurą miną ściągał części ubrania, by wykręcić je z wody. Smok natomiast, choć w postaci ludzkiej, otrząsał się z rozmachem jak mokre psisko. Co prawda, na sobie miał niewiele, wyłącznie bardzo uszarganą, brudną i dziurawą tunikę.

„Jak cię wtedy ugryzłem... to niechcący łyknąłem trochę krwi. Naprawdę niechcący. I tak jakoś pomyślałem, że może rozpracuję sobie wzorzec na pamiątkę - tłumaczył, nieco skonfundowany. - Nie wiedziałem, że cię tu spotkam. W psy tutaj rzucają kamieniami... no i tak jakoś wyszło”.

Kamyk machnął na niego ręką i zaczął wylewać wodę z butów. Czy to wśród ludzi, czy pośród smoków, okazuje się zawsze, że wykroczenie zaczyna być wykroczeniem dopiero wtedy, gdy zostanie odkryte.

Wtem Pożeracz Chmur wskazał coś na drugim brzegu.

„Patrz!”

Kątem oka Kamyk dojrzał nagły ruch i postać ludzką kilkanaście kroków dalej, na wolnej od zarośli przestrzeni. Jak gdyby znikąd pojawił się na niej mężczyzna w białej tunice, przepasanej charakterystyczną błękitną szarfą. Rozglądał się, jakby czegoś szukając. Chłopiec błyskawicznie wpełznął Pożeracza Chmur w krzaki. Zerwał z gałęzi rozwieszoną do suszenia bluzę. W mgnieniu oka zasłonił ich obu mirażem zbitej masy zieleni.

„Co jest..?” - zdumiał się smok.

Kamyk dla pewności zamknął mu usta ręką. Pożeracz Chmur rozszerzył kontakt, a wtedy świat dźwięków zalał chłopca. Woda pluskała, gdzieś w zaroślach darł się rozdrażniony ptak, rechotały żaby, a całkiem niedaleko chrzęściła sztywna trawa pod czyimiś stopami.

„Kto to jest?” - dopytywał się ciekawie Pożeracz Chmur.

„Wędrowiec” - odparł Kamyk, śledząc nieufnie przybysza.

Istotnie, mężczyzną w jasnym, zupełnie niezdatnym do podróży stroju mógł być tylko Wędrowiec, dla którego każda odległość to jedynie krok przez niewidzialne drzwi. Więc jednak Kamyka poszukiwano! Tak jak przypuszczał, któryś z Mistrzów Kręgu zadał sobie niemały trud, by z morza ludzkich umysłów wyłowić ten jeden, należący do zbiegłego Tkacza Iluzji. Wysłanie w określone miejsce maga z kasty Wędrowców to już zupełna błahostka. Jednakże mag po dotarciu na brzeg nie znalazł nikogo. Rozległ się dźwięk podobny do stłumionego fuknięcia i Wędrowiec zniecka pojawił się na drugim brzegu rowu, tuż obok kryjówki chłopca i smoka. Zastygły w dość niewygodnej pozycji, bojąc się poruszyć nawet głową, Kamyk miał w zasięgu wzroku nogi przybysza, obute w miękkie pantofle. Nogi podreptały niezdecydowanie trochę w jedną i drugą stronę. Słysząc było, jak mężczyzna wzdycha z wyraźnym niezadowoleniem. Miał tu kogoś znaleźć, ale widział jedynie krzaki, wodę i stare, połamane gałęzie. Nareszcie zrezygnował i jego nogi zniknęły z widoku. Znow towarzyszył temu zjawisku osobliwy odgłos. Ktoś bardziej doświadczony od Kamyka pewnie przyrównałby go do kichnięcia wewnątrz glinianego garnka.

„Widziałem, jak zniknął. Zostawił po sobie dziurę i wszystkie cząsteczki powietrza nagle w nią wpadły!” - emocjonował się Pożeracz Chmur.

Kamyk rzucił Pożeraczowi Chmur pogardliwe spojrzenie. Co za kłamczuch! Przecież nie można widzieć powietrza.

„A ty masz chyba jakieś kłopoty? - zapytał smok. - Przed kim uciekasz?”

Chłopiec spuścił głowę.

„Wygląda na to, że przed całym Kręgiem. Nie będę magiem, Pożeracz... a może nawet być gorzej...”

„Magiem to ty już jesteś - wtrącił smok. - Jak kto robi magiczne rzeczy, to jest magiem, a co... ogrodnikiem może?”

No tak, było w tym sporo racji.

„LEGALNYM magiem nie będę!”

„Też coś! A ja to może jestem nielegalnym smokiem?”

„Na razie to jesteś nielegalnym człowiekiem, ty szczurze wyliniały. Co tu robisz? Miałeś do domu wracać, na wyspy”.

Pożeracz skrzywił się, jakby rozgryzł śmierzącego żuka.

„Wróciłem. A tam wszystko na głowie postawione. Rodzice znowu przenieśli się na inny teren. Ojciec gdera, a mama nic, tylko pilnuje nowego jajka. Mam mieć rodzeństwo! Za sąsiadów mamy same stare pnie. Nudno tak, że nic tylko ogon sobie obgryzać po kawałku. No i nie wytrzymałem, poleciałem z naszej wyspy z powrotem na kontynent. Jakby ten malec się wylągl, to może by była z tego jakaś zabawa, ale póki jest na etapie jajka, nie ma z niego żadnego pożytku”.

„Więc polujesz tutaj?”

„Trudno polować z takimi małymi zębami - wyjaśnił Pożeracz Chmur - ale na szczęście znalazłem miejsce, gdzie leży mnóstwo mięsa”.

Kamyka olśniło. Rzeźnicza ulica! Pożeracz Chmur musiał tam sobie całkiem śmiało poczynać. Nic dziwnego, że rzeźnicy rzucili się na niego wściekli i Kamyk mało co a oberwałby za cudze złodziejstwo. Pożeracz Chmur się nudził, za to Kamyk miał wrażeń aż nadto. Chętnie by się ze smokiem zamienił. Podzielił się tą myślą i opowiedział o wydarzeniach, które rzuciły go aż tutaj, na sam kraniec cesarstwa.

„...a teraz nie mogę wrócić do domu” - dokończył żałośnie.

Pożeracz Chmur objął go ramieniem, zupełnie ludzkim, współczującym gestem.

„Nie płacz”.

„Ja nie płacę” - odparł chłopiec ponuro i otarł nos rękawem.

„Ale się narobiło. Przecież tyle razy rozpałałeś ten nieprawdziwy ogień i nic się nie działo”.

Pożeracz Chmur drapał się nerwowo za uchem, myśląc intensywnie.

„Podpal coś” - zażądał.

Tkacz Iluzji podniósł zeschniętą gałązkę i kazał jej zapłonąć. Wszystko wyglądało zwyczajnie. Ogień pochłaniał z apetytem drewno Cienka kora zwijała się w żarze i czerniała, a gorzki dym drapał w gardle i szczypał w oczy, ale gdy tylko zdjął miraż, znów ukazała się nienaruszona gałązka.

„To było martwe. A coś żywego?”

Kamyk nie miał zamiaru eksperymentować ani na sobie, ani na Pożeraczu Chmur. Smok znalazł dużą żabę w chwastach nad wodą, więc Tkacz rozpałił mały ogieniek na grzbiecie zwierzątka. Obserwował ją niespokojnie, gotów zgasić płomień przy pierwszej oznace bólu. Ale żaba zaszyła się w kępie trawy i siedziała tam całkiem spokojnie. Pożeracz Chmur gapił się na nią w skupieniu. Kamyk powoli zwiększał płomień, aż w końcu cała żaba była otoczona kulą ognia, co jednak nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. Zasłoniła tylko bursztynowe ślepką błoną i ruszała gardłem.

„Wcale się nie oparzyła. Nawet się nie przestraszyła. Może jest na to za głupia” - skomentował smok.

*

Pomysł Pożeracza Chmur, by dalej powędrowali razem, Kamyk przyjął z umiarkowanym zapałem. To prawda, że smok dysponował niebagatelными zaletami. Widział w ciemnościach, węch miał fenomenalny, czytał w myślach, a smocze mięśnie miały wytrzymałość stali. Z drugiej strony oglądanie dzień w dzień swego bliźniaka, gdy ma on w dodatku całkiem zwierzęce odruchy - takie jak lizanie czy kłapanie zębami, nie należało do przyjemności. Pożeracz Chmur jednak nalegał i obiecał, że odmieni wygląd, skoro to Kamykowi tak bardzo przeszkadza.

Było to zjawisko naprawdę niezwykle. Pożeracz potrząsnął głową. Jego włosy rozprostowały się, opadając na czoło i kark gęstą grzywą. Następnie poruszała wszystkimi mięśniami twarzy po kolei, jakby zastanawiając się nad ich budową.

„Tu się niewiele da zrobić” - stwierdził, lecz Kamyk zobaczył, jak skośne oczy, tak podobne do jego własnych, nieznacznie zmieniają kształt i ciemnieją aż do atramentowej czerni. To, że cała osobowość mieszka w oczach, jeszcze raz okazało się prawdą. Wystarczyła zmiana dwóch zaledwie szczegółów, a wygląd Pożeracza Chmur zyskał indywidualność. Nadal wyglądał jak krewny Kamyka, ale już nie jak lustrzane odbicie.

*

Wbrew wcześniejszym obawom, Pożeracz Chmur zachowywał się całkiem przyzwoicie, jeśli nie liczyć drobnych jego wad - takich jak wstręt do mycia lub zjadanie ślimaków na surowo. Nie można przecież wymagać nienagannych manier od kogoś, kto większość życia spędził na czterech łapach. Nauczony doświadczeniem Kamyk starał się nie patrzeć, co i w jaki sposób

smok spożywa. Prawdopodobnie do końca życia zachowa w pamięci polowanie, jakiego był biernym świadkiem. Obaj podkradli się do stadka dzikiego drobiu i w czasie gdy chłopiec obmyślał zastawienie sideł, Pożeracz Chmur po prostu spadł jak piorun w sam środek stada i przegryzł kark największej, najtłuszczej sztuce. Rozszarpał nieszczęsnego ptaka i pożarł na surowo, plując pierzem. Kamyk odmówił przyjęcia życzliwie oferowanej kurzej nogi - na pewien czas zupełnie stracił apetyt. Chłopiec w głębi duszy przyznawał jednak, że bez Pożeracza radziłby sobie dużo gorzej. Smok polował i dzielił się z nim mięsem. Ku swej radości Kamyk znalazł krzemień. Udało mu się za pomocą okucia składanego noża skrzesać iskrę i rozpaścić ogień, więc mógł piec smocze zdobycze. Pożeracz Chmur wpierv wydziwiał nad ludzkimi obyczajami, lecz potem sam polubił pieczone. Zawsze znajdował dobre miejsca do spania, a w nocy grzał jak piec. Dni mijały, lecz chłopiec odsuwał od siebie myśli, że sytuacja taka nie może trwać wiecznie. Wąłając się ze swym niezwykłym przyjacielem po lasach, polach i trzcinowiskach, niezauważalnie dziczał. Przełamawszy się raz, nie miał już wyrzutów sumienia, kradnąc owoce i jarzyny z cudzych ogrodów. A gdy jego towarzysz z dumą przynosił nielegalnie zdobytą gęś, nie unosił się bynajmniej honorem i nie odmawiał jedzenia. Pusty brzuch zawsze potrafi zagłuszyć najgłośniejszy nawet głos cnoty. Wychowanek maga, uzdolniony Tkacz Iluzji z ogromnymi aspiracjami, staczał się powolutku na dno moralne. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby los nie zaniósł Kamyka i Pożeracza Chmur na sam brzeg morza, między diuny z ich niepowtarzalnym zapachem nadmorskiej trawy, piasku i soli.

Dzień był skwarny, jak to na początku lata, lecz od morza wiał lekki, przyjemny wietrzyk niosący ochłodę. Obaj włóczykije oddawali się swemu ulubionemu zajęciu, czyli słodkiemu nieróbstwu, leżąc na wydmie. Tej ostatniej, która łagodnym stokiem schodzi ku wodzie, po drodze zmieniając się w plażę. Morskie fale rozbijały się na niej, robiąc z dużych, kanciastych kamieni małe i okrągłe. Pożeracz Chmur miał doskonały humor, głównie z tego powodu, że pozostawał poza zasięgiem całej tej ogromnej wody. Użyczył Kamykowi swych uszu i razem słuchali, jak fale przyboju wypiętrzają się z hukiem, by potem oblizywać piasek z przeciągłym syczeniem. Ich myśli i uczucia przeplatały się nawzajem. Kamyk zabawiał się oglądaniem pierzastych obłoczków i nadawaniem im ciekawych kształtów. Smok z aprobatą obserwował te małe popisy. Momentami jednak jego myśli odrywały się od przyziemnych spraw i wędrowały w jakieś nieznane, osobliwe rejony, w których być może zorientowałyby się Stworzyciel, manipulujący materią, albo Wędrowiec zaginający przestrzeń. Wtedy, jakby na nowo, Kamyk uświadamiał sobie, że u swego boku nie ma rówieśnika, lecz pokretną smoczą osobowość obleczoną w piętnastoletnie ludzkie ciało.

Między odgłosy fal i krzyki morskiego ptactwa wdarły się nagle inne dźwięki. Czułe smocze ucho z łatwością wychwyciło chrzęst piasku pod stopami biegnącego człowieka, jego przyspieszony oddech i oddalone tupotanie, jak gdyby pogoni. Zaciekawiony smok uniosł głowę. Kamyk poszedł za jego przykładem.

Uciekinier przebiegł tuż przed nimi. Długie czerwone włosy, rozwiane wiatrem, frunęły za nim jak rozpalony ogon komety. Ścigającymi było dwóch nędznie odzianych mężczyzn. Dopadli go w chwilę potem. Rudowłosy padł po brutalnym ciosie pięścią. - Jeden z napastników kopnął go. W powietrze frunęły białe kartki papieru. Nie czekając już na nic, Kamyk i Pożeracz Chmur ruszyli na pomoc. Kilka ciosów wydatnie ostudziło zapał prześladowców. Pożeracz walczył niezdarnie, ale za to każde jego uderzenie miało impet młota. W mgnieniu oka opryskli zorientowały się, że nic tu po nich, po czym obaj dali nogę. Sponiewierany rudzielec, uniesiony słusznym gniewem, zdążył jeszcze przyłożyć jednemu z nich kantem drewnianej kasetki.

Splunął różową od krwi śliną.

- MOJE SZKICE! - wrzasnął rozpaczliwie i rzucił się chwycić arkusze, które, gnane bryzą, fruwały wesolutko dookoła. Kilka kartek zawędrowało aż na wierzchołek wydmy i najwyraźniej wybierało się jeszcze dalej. Kamyk wdrapał się na nią, by połapać niesforne papiery.

Tymczasem u stóp pagórka ryży młodzieniec pieczołowicie składał swoje szkice w płaskiej tece wyplecionej ze sztywnej słomki. Pożeracz Chmur przyglądał mu się z zaciekawieniem. A było na co popatrzeć. Młodzian odznaczał się wyglądem niepospolitym. Pomijając włosy czerwone jak ogień, twarz i ramiona pokryte miał drobnymi cętkami, które przebijały nawet przez świeżą opaleniznę. Spod jasnych brwi spoglądały oczy modre jak chabry. Z całą pewnością nie mieli przed sobą czystej krwi Lengorchianina.

- Dziękuję za pomoc. Mam na imię Fonon, ale wszyscy nazywają mnie Moneta. Bo się świecę. A ty?

Roześmiał się, przegarniając włosy palcami.

- Po... - Pożeracz Chmur w ostatniej chwili ugryzł się w język. Z pewnością żadna ludzka matka przy zdrowych zmysłach nie nazwałaby dziecka jego imieniem.

- Pochmurny - dokończył. - A to jest Kamyk.

Moneta spojrział na szczyt wydmy, osłaniając oczy przed słońcem.

- O, chyba właśnie cieszy swe oczy gallo naente diro. Bo ja, przyjacielu, jestem sługą kapryśnej pani, zwanej Sztuką. Zapraszam na dół! - krzyknął w stronę chłopca, który przyglądał się schwytej karcie.

- Nie usłyszysz. Jest głuchy - wyjaśnił Pożeracz.

Moneta uniósł miedziane brwi w zdumieniu.

- Oooo... nader ciekawy przypadek. Z pewnością Los nas tu zetknął. I co jak co, ale za uratowanie mej nieważnej skóry i bardzo cennej twórczości macie zapewniony suty obiad!

- A ta Sztuka dobrze gotuje? - spytał nieufnie smok, który z całej kwiecistej przemowy zrozumiał tylko fragment o obiedzie.

Arkusze pokrywały kolorowe, porozlewane nieco barwne kleksy, jakby pozostawiło je dziecko, bawiące się farbami. Kamyk ze zdziwieniem przypatrywał się tej mazaninie. Nie przypominało to zupełnie niczego, nawet wzoru na dywanik. Oddalił kartę na wyciągnięcie ramienia, potem obrócił do góry nogami. A wtedy przed jego oczami rozegrał się jeden z tych cudów, które wspomina się po latach z ogromnym wzruszeniem. Tak jakby był dotknięty swoistą ślepotą, a potem nagle przejrzał - kolorowe plamy ułożyły się w piękną całość. Obrazek przedstawiał brzeg morza, namalowany delikatnymi plamami ugru i zieleni. Pasma błękitnawej bieli przedstawiały fale przyboju. Siwy pasek horyzontu majaczył, zaznaczony zaledwie muśnięciem. Parę smużek dziwnej, nieostrej zieleni symbolizowało trawę wydmową. W całym swym życiu chłopiec nigdy jeszcze nie widział takiego obrazu. Ryciny w książkach zawsze były drukowane wyraźną, czarną kreską. Natomiast kolorowe iluminacje miały równie ostre kontury. Tymczasem tutaj barwa przechodziła w barwę bez określonej granicy - swobodna i lekka jak mgła. W tym sposobie ukazywania świata było coś z magii.

Puknięcie w łokieć wyrwało Kamyka z zadumy. Rudzielec uśmiechnął się do niego przyjaźnie, choć nieco krzywo, gdyż warga mu spuchła. A potem spytał, układając zupełnie swobodnie palce w mowie rąk:

„Podoba ci się?”

Niezwykły malarz był sporo starszy od Kamyka, który ocenił go na dziewiętnaście, a może nawet na dwadzieścia lat. Ku zaskoczeniu chłopca okazało się, że całkowitym przypadkiem

zawędrowali w okolice osiedla, zamieszkanego w dużej części przez ludzi podobnych jemu samemu - żyjących za ścianą ciszy. Moneta mieszkał tam już ładne parę lat i zdążył przez ten czas całkiem poprawnie opanować ten sposób porozumiewania. Był nie tylko malarzem, lecz pełnił też funkcję nauczyciela.

Wiatromistrz Nimal, zwany Miedzianym, mył się akurat przed domem, gdy ujrzał swego syna nadchodzącego w towarzystwie jakiejś podejrzonej parki. Przybysze wyglądali tak, jakby od dłuższego czasu nie widzieli mydła ani grzebienia. Moneta natomiast ukazywał światu świeży siniec pod okiem i rozciętą wargę. Jednak już po chwili okazało się, że owe przybrudzone niejednakowe „bliźnięta” są w rzeczywistości wybawcami młodego artysty.

- Niestety, ojczyste... Wyjątkowo mało w tych czasach ludzi doceniających nowatorstwo w malarstwie. Za to szczególnie dużo jest takich, którzy chętnie dadzą człowiekowi w zęby tylko za to, że się różni od nich kolorem - podsumował młodzieniec z niesmakiem swą opowieść.

Miedziany z zainteresowaniem przyjrzał się gościom. Zabawna kompania, nie ma co... Pochmurny szczerzy zęby w dziarskim uśmiechu, tryskając wręcz energią. Jego imię to kompletna pomyłka, bardziej pasowałoby bratu, który czai się za jego plecami, rzucając nieufne i trwożliwe spojrzenia. Kamyk... Przy takim wzroście również to miano wydaje się absurdalnie skromne. Chłopak wystaje z niego jak spod zbyt krótkiej derki.

- Coś mi się wydaje, że ostatnio nie za dobrze się wam wiedzie - odezwał się mężczyzna.

- Ależ skąd... - zaprzeczył dziarsko „bliźniak” z grzywką, a „bliźniak” kędzierzawy łypnął ponuro zza jego ramienia. - Jest całkiem nieźle. Ciepło i na głowę nie pada. A i ślimaki tego roku obrodziły.

Miedziany parsknął śmiechem.

- Zanim jednak znowu udacie się na ślimacze łowy, chętnie damy wam jeść. A jeżeli chcecie pracy, to tu zawsze jest coś do roboty. Co umiecie?

- Ja umiem łąpać kury, a on umie czytać. I pisać. I stukać w garnki.

Ten dzieciak był stanowczo osobliwy, ale Miedzianemu zaczynał się podobać.

- Macie jakąś rodzinę?

- Są daleko. Bardzo daleko.

Nie dopytywał się więcej. Na to przyjdzie jeszcze czas. Teraz należało przede wszystkim nakarmić tych chłopców i namówić do pozostania. Z pewnych oznak dało się wywnioskować, że coś się zawaliło w ich życiu. Jeżeli nadal nie przestaną się włóczyć, skończą marnie.

*

Kamyk miał ochotę zniknąć. Zagrzebać się pod ziemię jak kret albo odfrunąć. Cokolwiek, byle tylko zejść z oczu temu rudemu mężczyźnie. Gdy nadeszli, ojciec Monety akurat mył się w balii ustawionej przed progiem, obnażony do pasa. To, co chłopiec wziął w pierwszej chwili za obcisłą koszulę w zawile wzory, okazało się rozległym i niezwykle skomplikowanym tatuażem pokrywającym cały tors oraz szerokie ramiona właściciela. Zafascynowany tym widokiem Kamyk podziwiał piękne, precyzyjne rysunki. Z lewego barku ku piersiom wyciągała błękitnoczarne macki ośmiornica. Na brzuchu płynęła czarna galera z purpurowym żaglem, a dokoła niej stado delfinów wyskakiwało ponad fale. Ramiona oplatały węże morskie łapiące się wzajemnie za ogony. Bez wątplenia chłopiec miał przed sobą byłego żeglarza, który osiadł na suchym lądzie. Dlaczego Northlandczyk wybrał Lengorchię zamiast rodzinnych stron, pozostawało tajemnicą.

Tym większym szokiem było odkrycie, do kogo Los - to złośliwe bydlę - go zawiódł. Kiedy Miedziany podszedł bliżej, Kamyk dostrzegł coś, co przedtem umknęło jego uwadze. Ktoś usunął barwnik z jednej macki ośmiornicy i w dyskretny sposób dodał do kompozycji obcy element - czarne kóleczo, nie większe niż odcisk małego kubka, z umieszczonym pośrodku znakiem - „okrętem”. Choć dzień był gorący, Kamyka przeszedł dreszcz od czubka głowy aż do pięt. Przez króciutki moment miał wrażenie, że jest kompletnie przezroczysty i widać w nim każdą kość, każdą myśl, uczucie i każdy występki. Z ogromnym trudem zwalczył w sobie chęć natychmiastowej ucieczki. „Może to tylko sen” - pomyślał beznadziejnie, zamykając oczy. Niestety, gdy podniósł powieki, nadal miał przed sobą maga. W dodatku nielengorchiańskiego maga! Na szczęście Wiatromistrzowie nie należeli do rodzaju magów czytających w myślach i istniała pewna nadzieja, że tożsamość Kamyka nie zostanie natychmiast odkryta.

Osiedle otoczone rzadkim sosnowym lasiem wyglądało nietypowo. Trudno nazywać wsią te paręnaście chatki tonących w kwiatkach i rozrzuconych na ograniczonej przestrzeni. Studnia, kilka warzywników, jedna zagroda z drobiem, druga z królikami... i to wszystko. Było w tym coś dziwnego, choć na pierwszy rzut oka trudno było zorientować się co. Nie wyglądało to miejsce ani na letnią rezydencję jakiegoś bogacza, ani na zabudowania gospodarskie. Nie widać ani uprawnych pól, ani zagród dla bydła, ani żadnych większych warsztatów. Zastanawiający był też całkowity brak jakichkolwiek ogrodzeń, bo nie można było traktować poważnie darniowego wału otaczającego posiadłość. Sięgał zaledwie nieco wyżej kolan i nie zatrzymałby nawet królika, a co dopiero jakiegoś złoczyńcy.

Moneta poprowadził swych gości między zabudowaniami. Mijali dorosłych zajętych różnymi pracami i bawiące się dzieci. Jedno z nich siedziało na trawie przed domem, przewiązane w tali sznurem, którego koniec przymocowano do słupka ganku. Kamyk obejrzał z niedowierzaniem tę scenkę. Był to stary sposób zabezpieczania niesfornych malców przez zapracowane matki, ale ten chłopczyk miał już co najmniej siedem lat i dziwne, że jeszcze traktowano go jak psiaka.

Moneta dostrzegł widać zdumienie Kamyka, gdyż objaśnił:

„On nie widzi. Jest tu nowy i na razie potrzebuje zabezpieczenia”.

Nie był to jednak koniec dziwów tego dnia. Dawno minęło południe, a pora wieczery miała dopiero nadejść, więc w kuchni zastali tylko samotną dziewczynę pracującą przy długim stole. Powitała uśmiechem Monetę, ciekawie zerknęła na przybyszów. Dmuchiwała w ciemną grzywkę, która wchodziła jej do oczu, a gdy nie pomogło, odgarnęła kosmyki ramieniem...

A wtedy w nagłym przeblasku nadeszło wspomnienie identycznego gestu, który Kamyk widział siedem, a może osiem lat temu.

Jedno z jego pierwszych wyraźnych wspomnień dzieciństwa wiązało się z pewnym wietrznym dniem, kiedy wielce obrażony i rozgoryczony siedział pod płótnem na skraju drogi. Wiejska dzieciarnia po raz kolejny nie dopuściła go do zabawy. Znowu został wyśmiany i przepędzony, więc życzył szczerze prześladowcom, żeby im się ropuchy załęgły w brzuchach. Rozpamiętywał swą krzywdę strasznie żałując siebie samego. Wtedy zobaczył tamtą dwójkę. Nadeszli gościncem od południa. Wizerunek starca zatarł się przez lata w Kamykowej pamięci. Dziecku zdawał się szalenie wysoki. Podróżny płaszcz, targany wiatrem, unosił się na jego ramionach niczym wielkie skrzydło. Mężczyzna podpierał się długim kijem. Połowę jego twarzy - od czoła do czubka nosa - skrywała ciemna opaska. Trzymał rękę na ramieniu dziecka, które go prowadziło. Miało krótkie włosy, więc trudno powiedzieć, czy był to chłopiec, czy dziewczynka. Mały Kamyk jednak sądził, że dziewczynka. Żaden chłopiec nie zawiesiłby sobie na szyi wianka

splecionego z polnych kwiatów. Gdy wędrowcy przechodzili obok, mała zerknęła na niego ciekawie i uniosła rękę, by odgarnąć z oczu czarne kosmyki. A wtedy zobaczył, że przedramię tego dziecka kończy się mniej więcej w połowie, a dłoń została zastąpiona drewnianymi widełkami. Wiatr zadał silniej, unióśł tuman kurzu i piasku, który zasypał Kamykowi oczy. Kiedy je przetaił, nie ujrzał już ani starca, ani dziewczynki. Znikli gdzieś między chatami. Kamyk pamiętał tamto dziecko przez długie lata, gdyż było kimś, z kim los obszedł się równie bezwzględnie. Przestał się uważać nad sobą, ale też nie szukał już kontaktów z rówieśnikami. Zamiast tego ciężko pracował, co zarazem cieszyło i martwiło nieco Płowego.

Ręka młodzianki kucharki również nie miała dłoni. Spod szerokiej, metalowej obręczy obejmującej przedramię wystawał ostry haczyk. Oczy chłopca same powędrowały ku drugiej ręce dziewczyny. Identyczna bransoleta kończyła się ostrzem noża. Prawdopodobnie dostał coś do jedzenia. Prawdopodobnie to zjadł. Nie zapamiętał z tej wizyty niczego prócz dziewczęcej postaci kręcącej się wśród kuchennych sprzętów i zręcznie operującej swymi niezwykłymi narzędziami. Haczykiem wyławiała z kosza jarzyny. Nożem je skrobała, czyściła i kroїła. Na stole w jednym miejscu zgromadzone były rozmaite przybory, a dziewczyna zmieniała je całkiem swobodnie, zręcznie wtykając między bransolety a ciało. To mieszała łyżką w garnku, to znów wyjmowała łopatką bułki z piekarnika. A wszystko tak zręcznie, że ktoś inny z parą rąk nie umiałby lepiej. Kamyk zachodził w głowę, czy może jakimś przedziwnym przypadkiem spotkał kalekę dziewczynkę, którą widział dawno temu ze ślepym żebrakiem.

Dopiero po jakimś czasie odważył się spytać o to Monetę. Dziewczyna miała na imię Nocny Motyl i była córką sklepikarza, w dzieciństwie wóz zmiażdżył jej rękę. Nie miała szans na zamążpójście, a nie chciała być ciężarem dla rodziny. Ktoś poradził jej, by szukała pracy właśnie tutaj i rzeczywiście, nie tylko świetnie sobie radziła, ale też czuła się doskonale w tym miejscu.

Co mogło stać się z tamtym dzieckiem? Może dziewczynka już nie żyła, a może nadal wędrowała od wsi do wsi, wyprasząc datki. Wiele dzieci traci kończyny w rozmaitych wypadkach, ale bardzo niewiele otrzymuje szansę, jaką dostała od Losu Nocny Motyl.

*

W krótkim czasie Kamyk przekonał się, że trafił w miejsce jedyne w swoim rodzaju. Ściany domów na wysokości łokcia pokrywały pasy wypukłych wzorów, inne dla każdego budynku, gdyż w ciemnościach łatwo je rozpoznać dotykiem. Na całym, wyjątkowo schludnym terenie osiedla nie można było dostrzec ani jednego dołka, wystającej kępy trawy czy też porozrzucanych rzeczy. Od domu do domu wiodły ścieżki ułożone z równych, płaskich, kamiennych płyt. Wszystko zostało podporządkowane jednej zasadzie: bezpieczeństwo i wygoda dla niewidomych. Z tego też powodu brakowało tu parkanów - pousuwano wszelkie przeszkody, na które można wpaść. Jednak nie tylko ociemniali żyli w tej zadziwiającej osadzie. Przebywała tu też grupka głuchoniemych, w wieku od kilku do kilkunastu lat. Najmłodszy mozolnie poznawali znaki mowy rąk i podstawy pisania, starsi uczyli się rzemiosła. Wszyscy byli sierotami lub z rozmaitych powodów zostali porzuceni przez rodziny. Zapewne niejednokrotnie o ich losie przesądzało właśnie kalectwo.

Dziwne jednak wydawało się Kamykowi, że zarządcą tego miejsca jest mag, a nie kapłan. To kapłani ze Świątyni Miłosierdzia tradycyjnie zajmowali się dobroczynnością. Tymczasem wyglądało na to, że to Krąg łoży na utrzymanie najmłodszych mieszkańców kształci ich i daje zatrudnienie. Dopiero natrętne indagacje pozwoliły wyciągnąć z Monety resztę sekretu.

„Nie chciałem tego opowiadać od razu. Wielu ludzi czuje się źle przy jednym magu, a jak jest ich więcej, to już kompletna katastrofa. A chciałem, żebyście zostali”.

Kamyk kiwnął głową, choć nie do końca rozumiał.

„Niejeden ma tutaj magiczne talenty, chociaż one są zwykle bardzo słabe. Takie jakby niedokończone. Prawie magowie” - wyjaśnił Moneta.

Prawie magowie. Kamyk doskonale wiedział, że nadmiernie wybujały talent może okaleczyć ciało. Jego samego to przecież dotknęło. Ale widać zdarzały się i inne wypadki, gdy magiczne talenty ledwie kiełkowały. Ale nawet niewielka ich część potrafiła zmienić ludzkie życie. To dlatego tej osadzie nad morzem patronował Krąg. Znalazły tu opiekę niewidome dzieci, rozpoznające kolory palcami; Obserwatorzy, których zdolności zawodziły, przychodząc i odchodząc kapryśnie; Iskry, nie panujące nad swymi groźnymi właściwościami, albo ociemniali Przewodnicy Snów oglądający świat tylko w swych wizjach.

„Ty i twój brat nie jesteście obdarzeni, więc myślałem, że może to was drażnić i niepokoić” - dokończył Moneta z zakłopotaniem.

Kamyk z trudem ukrył rozbawienie. Biedny Moneta! Gdyby tylko wiedział, jak bardzo „obdarzeni” są jego goście!

*

Kamyk okazał się niespodzianym darem boskim dla Miedzianego. Strażnik Słów, prowadzący do tej pory kronikę i rachunki, wyjechał, a nie przysłało jeszcze nikogo na jego miejsce. Wiatromistrz jakoś radził sobie z rachunkami, ale pisanie skomplikowanych symboli pisma lengore przekraczało jego możliwości. Chłopak - umyty nareszcie i ubrany w czystą tunikę pożyczoną od Monety - prezentował się znacznie korzystniej niż pierwszego dnia. Skryty był jednak aż do przesady i nie dawał się wyciągać na żadne pogawędki, chociaż Northlandczyk wysiłał całą swą znajomość „palcowej mowy”. Chłopiec przychodził co rano, by przepisywać z niechlujnych świstków notatki Miedzianego i doprowadzać do ładu gospodarskie rachunki. Pod dyktando Wiatromistrz zapełniał schludnym pismem kronikę. Czasem zadawał jakieś pytanie dotyczące pracy, lecz nigdy nie podejmował luźniejszych tematów oraz ignorował pytania osobiste, które mag chytrze usiłował przemycić.

Pochmurny za to miał charakter zupełnie odmienny. Paplał za siebie i za brata, okraszając zwykle co trzecie zdanie beztróskim śmiechem i nie zawsze zrozumiałymi żarcikami. Miedziany jednak bardzo szybko doszedł do wniosku, że cała ta gadanina jest jedną wielką bzdurą, gdzie prawda została wymieszana z kłamstwem, niczym mak z popiołem, i nikt nie potrafiłby odróżnić jednego od drugiego. Mimo to nie sposób było nie lubić tego wesołego łotrzyka.

*

Pracownia Monety zauroczyła zarówno Kamyka, jak i Pożeracza Chmur. Młody malarz już pierwszego dnia z pewnym odcieniem dumy zaprezentował im swoją siedzibę. Całe wnętrze jego chatki zajmowało jedno duże pomieszczenie, bardzo zagracone przedmiotami niezbędnymi młodemu artyście do istnienia. Stały tam dwa duże stoły zarzucone papierami i narzędziami; zastawione dziesiątkami glinianych naczyń, naczynek oraz szklanych słoików z tajemniczą zawartością. Sztalugi, lekko pochyły pulpit z kłamrami, prasa i półki uginające się pod zbiorowiskiem rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydawały się śmieciami. Kamykowi bardzo to

przypominało zabałaganioną pracownię Pływaka Stworzyciela, choć tu jednak nie było widać ani porozrzucanej odzieży, ani pleśniejących skórek od chleba. Okazało się, że naczynia wypełniają sproszkowane minerały, suszone zielska i rafinowany olej, gdyż Moneta sam sobie sporządzał farby, a także pędzle i rysiki. Próbował nawet samodzielnie robić papier, co wprawiło Kamyka w niemały podziw.

Calutkie ściany od góry do dołu pokryte były pejzażami, malowanymi w znamienity dla Monety sposób. Znajdowały się tu także obrazy wykonane tradycyjnie, ale malarz widać nie cenił ich zbyt, gdyż upychał je po kątach. Na tych przedstawione były scenki rodzajowe, słodkie dziewczynki z gołąbkami i innymi rodzajami domowej zwierzyny, sceny z mitologii oraz Bogini wyobrażana w kilku podstawowych koncepcjach religijnych. Najwyraźniej po prostu towar czekający na klienta.

Płomiennowłosey artysta iluminował także luksusowe księgi, pojedyncze karty walały się porozrzucane na pulpitych i półkach w niebezpiecznym towarzystwie palet oraz tuszu. Widać było na nich miniatury i ornamenty w rozmaitych stadiach wykończenia.

Sam Moneta ledwo się mieścił w tej rupieciarni. Dla zaoszczędzenia miejsca sypiał na żeglarskiej koi podwieszanej pod belkami stropu, a dostawał się do niej po drabinie, co bardzo rozśmieszało jego gości.

Ni stąd, ni zowąd Pożeracz Chmur, którego Kamyk nigdy nie podejrzewałby o podobne ciągoty, zapragnął iść w ślady Monety i uczyć się rysunku. Było to coś, co przekraczało możliwości nawet bujnej imaginacji Tkacza Iluzji. Wizja zębatego stwora, pogromcy okolicznych królików, zajmującego się tak subtelną dziedziną jak SZTUKA, w żaden sposób nie chciała zmieścić się w Kamykowych koncepcjach. Jednakże kiedy pokpiwający Moneta pokazał swemu nowemu uczniowi, co się robi z grafitowym rysikiem, i obejrzał pierwsze próby, osądził, że może Pochmurny nie będzie geniuszem oraz prawdziwym sługą gallo tefa Pani Sztuki, ale na pewno ma szansę zostać wyjątkowo dobrym kopistą. Od tej pory wszyscy wiedzieli, że gadatliwszego z „bliźniaków” trzeba szukać każdego popołudnia w pracowni Monety, gdzie z zapalem zabazgrywał kolejne arkusze. Wygadany, inteligentny i dowcipny, wkrótce stał się ulubieńcem mieszkańców. Posiadał ów rodzaj łobuzerskiego wdzięku, jakiego brakowało zamkniętemu w sobie Kamykowi.

*

Innym zaskakującym odkryciem było to, że Moneta nie jest jedynym artystą w nadmorskiej osadzie. Kamyk skończył pracę rachunkową i postanowił zajrzeć do pracowni malarskiej. Spodziewał się zastać tam Monetę oraz Pożeracza Chmur w znakomitej komitywie zużywających farby. Tym razem jednak nie byli sami. Przy stole zawałonym setką niezbędnych drobiazgów siedział jeszcze jeden człowiek, z wyglądu dwudziestoparoletni, o szklistym, nieruchomym spojrzeniu ślepego. Moneta, widząc Kamyka, przykrył usta palcem, prosząc o spokój. Pożeracz Chmur nawet nie spojrzał, całą uwagę skupiając na tamtym mężczyźnie. Tkacz Iluzji zbliżył się ostrożnie. Ociemniały? Nie, przed mężczyzną leżała kartka papieru. Nad białą płaszczyzną kołysała się ręka, trzymająca rysik. Nagle opuściła się niżej i kawałek węgla precyzyjnie nakreślił półkole. Chwila wahania, a do linii dołączyła druga i następna... Rysownik pracował coraz śmieiej. Z galimatiasu kresek, kropek i plam z wolna wyłaniał się wizerunek zwierzęcia. Zafascynowany Kamyk patrzył, jak pod palcami artysty wykwiata głowa drapieżnego ptaka z uchylonym dziobem i rozpostarte skrzydła. Lecz czy to aby na pewno był ptak? Ani

puszyste łapska, jakby pożyczone od pantery, ani długi, biczowaty ogon nie mogły należeć do orła czy jastrzębia.

Ręka rysującego znieruchomiała. Skończył. Siedział jeszcze chwilę, wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w przeciwległą ścianę, następnie wstał nagle, sztywno, jak marionetka podciągnięta na sznurku, i po prostu wyszedł. Kamyk poczuł, że boli go zeszywniały kark, gdyż do tej pory bał się choćby poruszyć.

Moneta delikatnie zdmuchnął z rysunku drobinki węgla.

„Kto to był?” - spytał Kamyk.

„To Liść. Czasem przychodzi rysować”.

„Dziwny. Co to za zwierzę narysował?”

Moneta nie mógł znaleźć odpowiednich znaków ani w mowie, ani wśród znanych sobie symboli pisma. Nareszcie wpadł na pomysł i po dłuższej chwili zażartego grzebania wśród stert rysunków wyciągnął szkic przedstawiający potężne, czworonożne stworzenie obdarzone dodatkowo parą rozłożystych skrzydeł.

„Gryf??? Ale gryfy są inne...”

Kamyk gotów byłby klócić się aż do omdlenia rąk, że gryfy nie wyglądają tak, jak na Liściowym rysunku, lecz Moneta uśmiechnął się pobłaźliwie.

„A skąd wiesz? Widziałeś kiedy coś takiego żywe?”

Starannie dobierając kolejne gesty, opowiedział całą historię niezwykłego rysownika.

Liść zakwalifikowany został już dawno temu jako Obserwator, choć nigdy nie stanął i nie stanie w Kręgu Mistrzów. Miał ogromny talent, niemieszczący się wręcz w rozsądnych granicach, i przez to okazał się przekleństwem. Ceną, jaką zapłacił Liść, było odcięcie od świata. Trzeba było opiekować się nim jak dzieckiem, gdyż nie jadł samodzielnie, nie ubierał się, nie mył... Żył jak we śnie - niemy i głuchy na cudze słowa. Przeciętny Obserwator śledzi myśli ludzkie i zwierzęce instynkty na ograniczonym poziomie. Mistrz wychwytuje je na bardzo duże odległości, klarowne oraz obdarzone indywidualnymi „charakterami”. Natomiast Liść odbierał cudze doznania z niewyobrażalnych dali. A jedynym dla niego sposobem na kontakt z otoczeniem było przelewanie na papier swych wizji. Jak daleko sięgał swym potężnym talentem, nikt nie potrafił określić, lecz były to zapewne odległości niedostępne dla nikogo więcej.

Na innych rysunkach Liścia, starannie przechowywanych przez Monetę, tłoczyły się zdumiewające zwierzęta, budowle o obcej architekturze, ludzkie twarze odmiennych ras. Przedmioty niewiadomego przeznaczenia lub fragmenty większych całości - dłoń, stopa, kawałek czyjejś głowy lub niekompletny krajobraz, jakby źródło przekazu zagubiło się nagle.

Tak więc gryf z rysunku Liścia musiał być prawdziwy. Nie stwór rodem z mitologii - ciężki, źle wyważony, dobry może do przedstawiania na freskach i płaskorzeźbach, ale na pewno niezdolny do wzniesienia się w powietrze, o czym kąśliwie zapewniał także Pożeracz Chmur - lecz żywe zwierzę. Lekki kotoptak żył sobie gdzieś daleko, może aż na Zachodnich Kontynentach, a może w krajach leżących za nieprzebytymi puszciami na wschodzie.

Dziwaczne zachowanie ułomnego maga również stało się zrozumiałe. Realni ludzie byli dla niego tylko zjawami wśród innych zjaw. Gdy dziesiątki, a może i setki ust mówią naraz, kiedy tyle obrazów jednocześnie pcha się do głowy, jak można zachować zdrowe zmysły? I jak odróżnić rzeczywistość od snu? Cała moc tragedii Obserwatora dotarła do Kamyka z opóźnieniem, lecz wstrząsnęła nim tym bardziej. Talent odebrał chłopcu słuch. Jak bardzo zbliżył się do tej granicy, poza którą przeznaczenie pchnęło Liścia?

Usiłowania Kamyka, by trzymać się na uboczu i jak najmniej (dla własnego bezpieczeństwa)

rzucać w oczy, spełzały na niczym. Mieszkańcy magicznej osady okazali się zbyt interesujący. Już sam Miedziany był żywą księgą o barwnym życiorysie. Owdowiawszy, nie chciał zostawić syna na łasce obcych ludzi, więc zabierał go ze sobą w rejsy. W Lengorchii zaś uziemiła go na dobre złamana niebezpiecznie noga, która nigdy już nie powróciła do całkowitego zdrowia. Przedtem jednak widział kawał świata i zagadywany przez Pożeracza Chmur chętnie opowiadał o swych przygodach z okresu, gdy jeszcze stał przy okrętowym sterze i przepowiadał pogodę żeglarzom, nie zdając sobie nawet sprawy, czym są w istocie jego zdolności. Nie miał przy tym pojęcia, że zafascynowany słuchacz w osobie Pożeracza Chmur - Pochmurnego na bieżąco przekazuje wszystko swemu pozornie zajętemu czym innym towarzyszowi, który musiał z wielkim trudem udawać obojętność.

Kamyk, niezauważalnie dla siebie samego, wpasował się w osadę, jakby żył tam już od dawna. Wpierw ze zdziwieniem, a potem z przyjemnością stwierdził, że jego kalectwo jest traktowane jak coś absolutnie normalnego. Co mogło być nadzwyczajnego w jeszcze jednym głuchoniemym, skoro mieszkało ich w tym miejscu już dziesięć? Powój Iskra - łobuziak, który straszył ludzi nieszkodliwymi na szczęście ognikami. Wierny - ten może doczeka się tatuażu z „żółwem” Strażników Słów. Mały Koral miewał prorocze sny, choć było to za mało, by uzyskać błękitną szarfę Przewodnika Snów. A byli też inni...

Kamyk prędko doszedł do wniosku, że ociemniałe hafciarki, Pokrywające płótno pięknymi deseniami, polegając wyłącznie na dotyku, chyba zasługiwały na uwagę i podziw bardziej niż zdegradowany Tkacz Iluzji. Choć może osiągnięcia Nocnego Motyla, która potrafiła szyć, trzymając igłę palcami stóp, były jeszcze większe. Co dziwne, wszyscy ci ludzie, skrzywdzeni przez Los lub złośliwy wypadek, mający tak dużo powodów do narzekania, byli zwykle uśmiechnięci i nigdy się nie skarżyli.

Największe jednak wrażenie i zamęt w życiu chłopca poczyniła dziewczyna imieniem Mgła oraz jej paskudne makatki.

Mgła i Kamyk należeli do odmiennych światów. Dla niej życie było stąpaniem w ciemnościach wypełnionych dźwiękiem, zapachem i dotykiem. Dla Kamyka przede wszystkim światłem, kolorem i kształtem. On nie słyszał, ona nie mogła widzieć ruchów dłoni. Wydawałoby się, że próby stworzenia jakiejś więzi z góry skazane są na niepowodzenie. A jednak... spróbowali przerzucić przez tę przepaść wąły mostek porozumienia.

*

- Duży chłopak! - zdumiała się przyjemnie Mgła, szukając po omacku ramienia chłopca.

Moneta, który przyprowadził Kamyka do młodziutkiej szwaczki, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ano duży, Mgiełko. Sporo płótna na niego zejdzie. Uszyj dwie koszule i dwie tuniki. Dla jego brata też. Nie mogą ciągle chodzić w moich rzeczach.

- Brat do miary nie przyjdzie?

- Ten świszczypała na miejscu pół minuty nie usiedzi, musiałabyś za nim biegać. Pochmurny wygląda identycznie, więc starczy, że tego tutaj wymierzysz.

Mgła z uśmiechem słuchała paplaniny Monety, licząc jednocześnie węzłki na sznurkowej miarce. Szukała palcami przegródek w drewnianym liczydło i wkładała tam ziarna. Długość tuniki - dwadzieścia - dwa ziarna fasoli. Szerokość - piętnaście - fasola i krągłe ziarno grochu.

Kamyk był tu po raz pierwszy, więc rozglądał się ciekawie po izbie. W kącie stał warsztat

tkacki, z którego spływał pas szarego płótna, częściowo nawinięty na wałek. Kilka ukończonych już sztuk leżało na półce, poskładanych w kostkę. Zapewne czekały na bielenie i farbowanie. Motki przędzy zostały równo porozwieszane na kołeczkach, igły i szpilki wbite w twardą poduszczkę. Drobne przedmioty powkładane do pudełek i glinianych miseczek. Wszędzie panował nieskazitelny porządek. Nie było rzeczy, która nie miałaby swojego określonego miejsca. Mgła poruszała się swobodnie, znając dokładnie położenie każdego kawałka sukna, szpulki nici i każdego narzędzia.

Nie była piękną, lecz posiadała sporo tego, co określa się mianem niewymuszonego wdzięku. Jej okrągła twarz z krótkim, zabawnym noskiem miała miły wyraz. Pełne wargi dziewczyny często się uśmiechały, a wtedy w policzkach robiły się jej dołki. Przyjemnie zaokrąglona w interesujących miejscach, przyciągała też wzrok Monety, który patrzył na nią z tym szczególnym wyrazem twarzy, jaki pojawia się często u zauroczonych mężczyzn.

Koszula miała być gotowa do przymiarki następnego dnia, więc Kamyk zjawił się znowu u Mgły, tym razem bez towarzystwa.

Zastał ją przy warsztacie. Jej zręczne palce biegały wzdłuż osnowy, sprawdzając, czy któraś z nitok nie jest zerwana. Wprawiane w ruch szarpaniem za sznurek wrzeczono turlało się w jedną i w drugą stronę, ciągnąc za sobą nić, a płótno pojawiało się jakby znikąd w zawrotnym tempie.

Słyszała, że ktoś wchodzi, choć warsztat tkacki stukał i skrzypiał niemiłosiernie. - Moneta? Gałązka...? Brak odpowiedzi.

Nieśmiałe dotknięcie na ramieniu oraz bliski zapach atramentu i mężczyzny Mgła powiodła palcami wzdłuż ręki przybysza, a gdy dotarła do barku, już wiedziała, kto stoi obok - owa wysoka, szczupła „rybka”, jak bez złej woli nazywano tu głuchoniemych. Wczorajszy gość, na którego dzisiaj miała dopasować skrojone ubranie.

Mgła lubiła oglądać świat, choć mogła to robić jedynie rękami. Poznawanie ładnych ciał było tak samo przyjemne jak dotykanie nagranych gładkich kamieni na plaży, rozważanie szorstkiej faktury tkanin lub owo niepowtarzalne uczucie, kiedy wiatr prześlizgiwał się między kosmykami włosów i opływał palce.

Chłopak miał ładną skórę. „Widziała” to, kiedy badała, jak bardzo wyciąć koszulę przy szyi, zbierała fałdki na ramionach i zaznaczała, jak daleko ma sięgać rękaw. Ciekawe, ile ma lat? Gadatliwy nie był, jak wszystkie „ryby”, lecz mimowolnie zaczął ją interesować. Pachniał młodością. Słyszała wyraźnie jego przyspieszony oddech. Napinał bezwiednie mięśnie, gdy czuł jej ręce na ciele. Przez moment zatrzymała dłoń na jego piersi. Serce waliło mu jak młot. Mgła nie mogła powstrzymać uśmiechu. O łaskawa Bogini! Niewinność w tych ciężkich czasach? To zbyt piękne.

*

Kamyk spotykał Mgłę już wcześniej, choć wtedy niewiele go obchodziła - ot, jeszcze jedna mieszkanka wioski. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że jest ociemniała. Później dopiero przypomniał sobie drobne oznaki ślepoty, na które nie zwrócił wcześniej uwagi: ostrożne wysunięcie bosej stopy wymacującej krawędź ganku lub próg, ukradkowe dotykanie przedmiotów dokoła, nieco sztywny sposób trzymania głowy. Chodząc po ścieżkach osady, poruszała się szybko i sprawnie. Jakby ułomność wcale jej nie dotknęła.

Teraz Kamyk zaczął szukać towarzystwa dziewczyny. Przychodził do jej domu, siadał z boku i przypatrywał się, jak Mgła pracuje. Lubił patrzeć, jak jej ręce wyczarowują wypukłe

wzory na grubych wełnianych tkaninach lub kierują cienkie nitki tak, by układały się w gładkie powierzchnie płócien bieliźnianych. Dziewczyna na pewno słyszała jego kroki, ale nigdy nie dała tego po sobie poznać. Traktowała go jak mebel, co może było i łatwiejsze. Czuł się niezręcznie, jak intruz, ale co innego mógłby zrobić? Nie widziała go. Nie mógł dać jej żadnego znaku, nie było sensu słać jej miłych uśmiechów ani porozumiewawczych spojrzeń. A nie mógł zdobyć się na odwagę, by jej dotknąć.

Mgła siedziała wygodnie na szerokiej desce parapetu i podstawiła twarz pod ciepłe promienie słoneczne. Wyplatała w niewielkiej ramce makatkę, słuchając jednocześnie, co dzieje się w osadzie. Skrzypiał kołowrót u studni. Nocny Motyl i Kromka śpiewały w kuchni na dwa głosy. Rozchodził się zapach pieczonego właśnie chleba. Ktoś szedł po zeschniętej trawie. Boso. Znajome, długie kroki. Szelest ubrania i cichutkie skrzypnięcie drewna, kiedy gość siadał na ławeczce pod oknem. Kamyk znów pachniał tuszem, pewnie dopiero co skończył pisanie dla Miedzianego. „Masz słuch jak kot, a węch jak rekin, dziewczyno” - mawiał Wiatromistrz w żartach.

Mgła wyobraziła sobie w myślach pozycję chłopca, po czym chwyciła go za włosy. Czuła, jak drgnął z zaskoczenia. Usłyszała ciche westchnienie, ale nie wyrwał się.

*

Zrobiła to tak nagle i nieomylnie, że aż się przestraszył. Wyglądało na to, że dziewczyna w końcu zniecierpliwiła się jego wizytami i chce wydrzeć mu garść uwłosienia, a może zbić za nachalność. Tym większym zaskoczeniem był delikatny, wręcz czuły dotyk jej ręki na policzku.

Obawiała się trochę, że to znów jedna z tych szerokich, nieciekawych twarzy bez wyrazu. Lecz pod palcami Mgły wyłaniał się z nicości wizerunek fizjonomii całkiem odmiennej. Wysokie czoło, świadczące ponoć o inteligencji. Szczupła, nieco kanciasta twarz o wrażliwych ustach, ale brwiach za to mocnych i upartych. Policzek wciąż gładki - och, czyżby był aż tak młody? Ale chyba nie ZBYT młody?

*

Obmacywany Kamyk za pierwszym razem czuł się bardzo nieswojo. Jednak szybko przywykł do tego, że Mgła „widzi” palcami, choć jakaś część jego umysłu podejrzewała, że wiele z tych dotknięć nie jest do końca niewinnych. Ale nic innego ich nie łączyło, prócz zmysłu dotyku właśnie.

Wspólne przechadzki - najpierw w pobliżu granic osady, potem coraz dalsze - szybko stały się wyprawami w zmysłowy świat, gdzie wzrok nie był koniecznością. Mgła stała się przewodniczką Kamyka po wyrazistym wszechświecie smaku i węchu. Uczyła młodego towarzysza, jak rozpoznawać ścieżki bosymi stopami. Odnajdywała wyczulonym węchem kępy jagód ukryte w zaroślach i pachnącą trawę, której ledwo uchwytną woń Kamyk czuł dopiero z całkiem bliska. Razem zlizywali wieczorną rosę z włochatych liści. Chłonęli przyjemny, żywiczny zapach sosnowych pni i igliwia. Mgła bez najmniejszego śladu wstrętu brała w ręce łapanie przez chłopca jaszczurki i owady. On za jej przykładem zjadł mrówkę, by z

niebotycznym zdumieniem przekonać się, że jest przeraźliwie kwaśna.

Mgła zbierała wiązki twardej trawy, kostropate patyczki, korę i szyszki. Kłujące nasionka oraz ptasie pióra. Kamyk zachodził w głowę, co też może znaczyć ta śmieszna mania, póki Mgła nie pokazała mu tego, nad czym pracowała z poświęceniem i pasją.

*

Pierwszą makatkę Mgły Kamyk ujrzał niedokończoną, rozpiętą na ramie. Nie sposób było zgadnąć, co miała przedstawiać. Kilka innych dziewczyna powiesiła na ścianie. Wszystkie łączyła jedna cecha - wyglądały ohydnie. Rzadko która miała tradycyjny kształt kwadratu, a każda składała się z nieregularnych łat. Co do użytych surowców, było w nich chyba wszystko. Mgła beztrąsko łączyła kolorowe resztki włóczki, rzemienie i miękkie kawałki futra, skrawki Jedwabiu, patyczki i włochate trzcinowe kitki... Tu i ówdzie poprzyszywała do tkaniny paciorki ze szkła albo gliniane skorupki. Wyglądało to na owoc pracy kompletnego szaleńca. Zakłopotany Kamyk nie wiedział, co o tym sądzić, a Moneta nie umiał mu tego objaśnić. Możliwe też, że nie chciał. Zapytany, wrzucił tylko ramionami, tocząc melancholijnym spojrzeniem po swych obrazach. Kamyk odniósł nieco irytujące wrażenie, że zarówno rudowłosego artysta, jak i Mgła mają całkiem inny rodzaj wrażliwości, że został mu pokazany skrawek jakiegoś dziwnego sekretu, którego być może nigdy nie zdoła odkryć. Intrygowały go Mgłowe makatki mimo całej ich szpetoty. Lecz nigdy nie wpadłby na trop rozwiązania zagadki, gdyby sama tkaczka mu tego nie ułatwiła.

Gdy pewnego dnia chłopiec jak zwykle zaszedł do jej pracowni, okazało się, że cała podłoga niewielkiej izby zasłana jest kilimkami, jak wielkim, pstrokatym dywanem. Kamyk nie przypuszczał nawet, że Mgła zrobiła ich aż tyle. Stała boso wprost na swoich tkaninach, więc i on zdjął sandały w progu. Chodzenie boso po tych dziwacznych gobelinach przypominało stąpanie po leśnym poszyciu.

Każdy czegoś się boi. U jednych lęk wzbudzają pająki, inni tak bardzo obawiają się wysokości, że nawet wejście na drabinę jest dla nich problemem. Trzeba przyznać, że Kamyk nie był wyjątkiem od reguły. Jego zmorem stanowiła ciemność, może dlatego, że bardzo polegał na wzroku, a pozbawiony go, byłby całkowicie bezradny. Tymczasem Mgła zawiązała mu oczy chustką i dotykiem sprawdziła, czy aby na pewno nie została jakaś szparka do podglądania. To nie było nic przyjemnego. Oczywiście nie był już małym dzieciakiem, który wpadał w panikę po zamknięciu w ciemnej komórce. Wiedział, że jedynym zagrożeniem jest nabicie sobie siniaka na goleni o jakiś stołek. Jednocześnie jednak w głębi duszy narastało Kamykowi paskudne uczucie, że dokoła rozciąga się niezmierna pustka i mógłby iść całą wieczność, a i tak nie dotrze do żadnej ze ścian. Nie zdążył odsłonić oczu, gdyż Mgła pociągnęła go w dół, zmusiła do ukłęknięcia. Kierowała jego dłońmi tak, by sunęły po makatkach niby poprzez zdumiewającą mapę obcych krain. Chłopiec czuł pod palcami strukturę śmiesznej tkaniny, ale mógł tylko zgadywać, czego dotyka. Miękkie, śliskie fragmenty mogły być jedwabiem. Szorstkie, o grubej fakturze, zapewne rzemiennej plecionką. Natrafiał na cienkie włókienka, które zaczepiały o nierówne skórki przy paznokciach. Gdzieś tam natykał się na coś twardego i wypukłego - koraliki?... pestki? Kostropate kawałki... kora?

Wzrok przestał się liczyć. Nie tymi zmysłami należało poznawać dzieła Mgły. Chłopiec zrozumiał to teraz i zdumiał się, że rzecz jest aż tak prosta. Wygląd się nie liczył, deseń obojętny... ważna była konstrukcja. Mogły tam być nici chirurgiczne, mogła być przędza do

wyszywania lub końskie włosie. Nieistotne.

Mgła tkła samo życie. Tak, jak je „widziała”. Miękkie pióra wszyte w makatkę, sztywne kołeczki... ptak? Sowa? Kruk o twardych pazurach? Sucha trawa, trzcina, chłodne kawałki... szkła? Wypolerowane kamienie... coś chropowatego... morze! Brzeg morza ujęty w ramkę, uwieczniony na makatce - obrazie do oglądania rękoma. Przy odrobinie wyobraźni dało się tam znaleźć wszystko. Upał lata i deszcz zimy, kamieniste gościńce i pachnące słomą rzyska. Skaleczenie nożem. Zioła suszące się w pęczkach na sznurku. Aksamitna skóra dojrzewających brzoskwiń... Dłonie już przestały wystarczać. Przejęty chłopak sunął po tkaninach twarzą, wdychając ich zapach. Zerwał z siebie koszulę, padł na tkackie arcydzieła, chcąc doświadczać więcej... całym ciałem.

Przemknęło mu przez głowę, że musi wyglądać niewiarygodnie śmiesznie, tarzając się po podłodze, lecz przecież nikt go nie widział... prócz Mgły, której ciepła dłoń raptem legła na jego plecach.

Palce dziewczyny wolniutko przesunęły się wzdłuż krzyża, budząc dreszcze. Poczuł jej policzek na swoim. Dziwna rzecz, usta jakoś prędko się odszukały w mroku, a dłonie znalazły ciekawsze zajęcie niż oglądanie szmatek.

*

- Gdybyś ty wiedział, jaki jesteś piękny... - westchnęła Mgła, wodząc palcami po wypukłościach chłopięcej muskulatury. - I cały mój...

Przy każdym rodzaju łowów najważniejsza jest przynęta. Zabawne, że pewne gatunki „ryb” można złapać na... makatkę.

*

Czas mijał nieubłaganie wypełniony jednostajnymi zajęciami. Kamyk nadal prowadził wszystkie rachunki dla Miedzianego z coraz mniejszą ochotą, gdyż była to praca nudna i nużąca. Wykonywał powszednie prace gospodarskie. Nawet spotkania z Mgłą, choć dostarczały wrażeń i przyjemności szczególnego rodzaju, stały się w pewien sposób monotonne. Kamykowi przyszła wręcz do głowy bluźniercza myśl, że wolałby raz jeden zwyczajnie porozmawiać z dziewczyną, zamiast uczyć się od niej, do czego jeszcze zdolne jest ludzkie ciało.

Tęsknił za domem, i to nawet bardziej, niż chciał się przyznać sam przed sobą. Brakowało mu porzuconych ćwiczeń w tworzeniu miraży. Zaczął zastanawiać się, czy aby faktycznie o ucieczce zdecydowała obawa przed gniewem starszyny Kręgu. Może to tylko pretekst do uniknięcia tej ostatecznej próby? Nie był przecież wtedy pewien, czy mu się powiedzie. Może nieświadomie chciał uchronić się przed porażką i wstydem? Zamiast tego wpakował się w jeszcze gorsze kłopoty.

W dodatku niezauważalnie zaczęli się z Pożeraczem Chmur oddalać od siebie. Smok włączył się po okolicy, oddając się swemu ulubionemu zajęciu, czyli polowaniu, a jego zdobycze trafiały do kuchni Nocnego Motyla. Poza tym przesiadywał u Monety. Kamyk spędzał czas z Wiatromistrzem, Mgłą lub z innymi głuchoniemymi mieszkańcami osady. Jeszcze sypiali obok siebie w jednej izdebce, ale coraz rzadziej rozmawiali ze sobą, a w końcu zaczęli mijać się jak przygodni znajomi. Każdy z nich miał swoje sprawy.

Księżyc odmieniał się, dążąc ku pełni. Co noc wisiał nad wierzchołkami drzew jak ogromny,

nadgryziony melon. Miedziany przepowiadał potężne przypyływy oceanu, które wepchną do delty Enite wielką mieszaninę wody, mułu, ryb, bursztynu i wodorostów. Odpyływ za to wyrwie kawałek łądu, jak to się już nieraz zdarzało. Czegoś przybędzie, czegoś ubędzie. Nowa robota dla rysowników map. Geografia delty i morskiego brzegu była bardzo zmienna, zwłaszcza tam, gdzie nie dbano o falochrony. Gigant, sprawca całego tego zamętu, świecił jak oszalały, nie dając szans swojemu maleńkiemu bratu, który lśnił niziutko nad widnokręgiem, błady i nieśmiały.

Wiatromistrz nie miał nic przeciw temu, by Kamyk korzystał z niewielkiego księgozbioru, który należał do nieobecnego „chwilowo” Strażnika Słów. Chłopak często wdrapywał się nocami na dach i czytał, korzystając z darmowego światła.

I właśnie taką sceneryę, pod olbrzymią, złotą tarczą księżycową, wybrał Pożeracz Chmur, by rozmówić się ze swym współlokatorem.

Czekał na szczycie dachu, oblany srebrzystą poświatą, jak stalowy posąg. Smocze oczy świeciły spod potarganej grzywy - dwa czerwone punkty w plamie cienia. Było coś groźnego w zgarbieniu jego ramion, w naprężeniu mięśni. Przypominał przyczajoną bestię. Z niefrasobliwego chłopaka, z którym Kamyk spędził tyle czasu, nie zostało nic. Miał przed sobą odmieńca, stwora nienaturalnego i obcego. Wahał się chwilę - zejść z powrotem po drabinie na dół czy zostać? Pożeracz Chmur zrobił pierwszy ruch. Niespodzianie, w brutalny sposób, Kamyk został wciągnięty w otchłanie smoczego umysłu. Raptem znalazł się w dwóch miejscach - ciele własnym i wewnątrz smoka. Uczucie rozdwojenia było tak szokujące, że zachwiał się i omal nie spadł.

„Patrz moimi oczami. Słysz moimi uszami. Tak mi smutno. Zostań ze mną, jestem taki samotny...”

Oszołomiony chłopiec, kurczowo wczepiony w kalenicę, wpatrywał się w smoka rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Pożeracz Chmur smutny? Samotny...?

A jednak przekazu mentalnego nie da się zafałszować. Pożeracz Chmur rzeczywiście był rozczarowany, smutny i nawet nieco zły. Najbardziej jednak rozczarowany. Szukał nowego sposobu na życie pośród obcego dla siebie gatunku. Jego zniechęcenie kładło się stęchłym smakiem na języku. Po co żyję? Jaki sens ma istnienie przez sześćset czy siedemset lat, gdy pozostawi się po sobie tylko kilkoro szczeniąt?

„Już nie rozmawiamy. Nie chcę wracać na Smoczy Archipelag, ale co miałbym robić tutaj? Nie tworzysz już iluzji i przestałeś mnie potrzebować” - dodał z goryczą.

Kamyk zawstydział się. Zrobiło mu się przykro. Z pozoru lekkoduch, łakomczuch i wygodnicki Pożeracz Chmur miał jednak ambicje i uczucia tak bliskie ludzkim. Chłopic uprzytomnił sobie, że nieświadomie skrzywdził swego towarzysza. Zwyczajnie go nie szanował. Skupiony na sobie i własnych problemach, wykorzystywał Pożeracza jak narzędzie. Brał, nie dając nic w zamian, a kiedy już przestał smoka potrzebować, nie zajmował się nim więcej.

„Myślałem, że ci przeszkadzam. Ciągle gdzieś chodziłeś sam” - próbował usprawiedliwić się niezręcznie.

„Chyba odwrotnie. Ty ciągle łąsisz dokoła tej ślepej samiczki i mało cię obchodzi reszta”.

Speszony Kamyk postanowił zmienić temat.

„Czemu właściwie trzymasz się ludzi? To chyba dość dziwne u smoka?”

„Ręce” - odparł Pożeracz Chmur lakonicznie.

- „....?”

„Ludzie mają ręce. Nawet nie wiedziałem, czego mi brakuje, póki nie przybrałem tego ciała.

Tyle można zrobić rękami, że to się prawie nie mieści w głowie. Ludzie są witalni - dodał po chwili. - Coś robią. Ich życie ma sens".

Kryzys osobowości u smoka? To coś zupełnie nowego. W dodatku był jeszcze taki młody. Osiemdziesiąt lat smoczego żywota przeliczone na ludzki wiek nie dawało chyba nawet piętnastu. W tym znaczeniu Pożeracz Chmur był młodszy od Tkacza Iluzji.

Kamyk wdrapał się wyżej na dach i usiadł obok smoka.

„Ludzie też nie wiedzą, czy życie na pewno ma sens. Ale zwykle szukają".

„Ty już chyba nie szukasz".

Pożeracz Chmur trafił w sedno. Jaki jest pożytek z Tkacza Iluzji, który nie tworzy iluzji? Kamyka od dłuższego już czasu trapiło poczucie własnej zbędności, tak silne, że nie była w stanie stłumić go nawet wylewna wdzięczność Miedzianego. Tak nie może być dłużej. Ten sens życia, o który tak dbał Pożeracz, znajdował się poza zasięgiem Kamyka, póki chłopak trwał w jednym miejscu. Miał zostać magiem. BYŁ magiem! Powinien przebywać w Zamku Magów.

„Wróć...! - postanowił w nagłym przebłysku odwagi. - Za jakiś czas..."

Z pewnością w Zamku czekały Kamyka nieprzyjemności, ale wszystko lepsze od tego beznadziejnego szarpania się na smyczy własnego tchórzostwa.

Pożeracz Chmur znów nawiązał kontakt.

„Ostatnio często tu wchodzisz. Ładny widok na księżyc, chociaż niewygodnie się siedzi".

„Trudno spać w białe noce. Przychodzę tu czytać. Czytanie też jest sposobem na szukanie sensu".

Pożeracz Chmur niedbale polizał wierzch dłoni, po czym przetarł nią oko.

„Ja nie umiem czytać" - była to myśl zabarwiona lekkim smutkiem.

„Dlaczego nie miałbyś się nauczyć? Pamięć masz znakomitą. Rysować umiesz, więc na pewno potrafiłbyś też pisać".

Natchniony nowym pomysłem, Kamyk podał Pożeraczowi przyniesioną ze sobą książkę.

„Spróbujesz? Nauczę cię wszystkiego, co sam umiem. Obiecuję".

Smok patrzył na tomik z posępną miną. Widać było, że się waha. Kamyk w mentalnym kontakcie doskonale wyczuwał, że Pożeracz Chmur nie ufa mu zbyt i zastanawia się, czy chłopiec dotrzyma słowa. Zrobiło mu się jeszcze bardziej głupio.

„Przepraszam. Źle cię traktowałem. Pozwól mi to wynagrodzić. Nauczę cię czytać i pisać. Będziemy łowić ryby. Pójdziemy razem na polowanie, jeśli chcesz".

„Razem z Mgłą?" - zapytał Pożeracz drwiąco.

Kamyk zaczerwienił się, co było widoczne nawet w księżycowym świetle.

„Bez Mgły!" - odparł stanowczo.

W następnej chwili przeraził się śmiertelnie, bo smok rzucił się na niego raptownie i złapał za szyję, jakby chciał mu złamać kark... albo przegryźć gardło. Katastrofa była nieunikniona. Obaj stracili równowagę, stoczyli się po trzciniowym dachu i z łomotem runęli prosto na wypieszczoną grzędę sałaty.

Wokół torsu chłopca ramiona Pożeracza Chmur zamknęły się ciasną obręczą, ledwo mógł oddychać. A na uchu poczuł zęby! To bolało!

„Zwariowałaś?! Puść mnie!"

„Obiecujesz? Obiecujesz...? Naprawdę?" - dopytywał się smok natarczywie.

Na wieczny Krąg i Miłosierdzie Losu! Czyżby był po prostu zazdrosny?!

„Obiecuję... Przysięgam nawet! Tylko mnie puść, bo się uduszę! Moje ucho!! Zabierz te zęby! Wariat!"

Większą część nocy Kamyk i Pożeracz Chmur spędzili na czytaniu w powodzi księżycowych promieni. Chłopiec szukał w książce najłatwiejszych symboli i objaśniał je smokowi, który nad ranem potrafił rozpoznać i nazwać ponad setkę znaków pisma, choć nie umiał jeszcze powiązać ich w sensowną całość. Nic nie mogło dorównać smoczniej pamięci, w której każdy szczegół odciskał się wyraźnie na całe życie - nawet osławione zdolności Strażników Słów.

Późnym rankiem zaspanego Pożeracza obudziły odgłosy awantury. Wysunął nos z piętka, które zajmowali z Kamykiem. Nad zrujnowaną sałatą stał ogrodnik, pomstując okropnie, grożąc szkodnikowi piekłem oraz wymyślnymi torturami. Smok obudził śpiącego wciąż słodko towarzysza i obaj chyłkiem wymknęli się do lasu. Oczywiście nie mieli zamiaru przyznawać się do winy, ale po co rzucać się w oczy ogrodnikowi?

*

Młody smok robił zdumiewające postępy. W ciągu tygodnia zaledwie opanował wystarczającą liczbę znaków, by czytać samodzielnie. Jednocześnie uczył się pisać, kopiując pod kierunkiem Kamyka kolejne linijki tekstu. Trzeba było widzieć Pożeracza Chmur, skupionego nad tabliczką jak artysta tworzący arcydzieło. Gorzej, gdy przyszedł czas na wykorzystanie nowej umiejętności. Fantazja Pożeracza Chmur nie znosiła ograniczeń, których domagała się ortografia. Dorabiał ideogramom rozmaite kropki, zygzaki i ogonki, bo „tak jest ładniej”, i z dużym oporem przyjmował do wiadomości, że owe zabiegi zmieniają sens zapisu. Poza tym w zapale pisał wręcz całym sobą, więc po lekcji zwykle miał czarne od atramentu ręce, łokcie... a nawet nos i język.

I tak mijał czas. Kamyk rzadziej odwiedzał Mgłę, ale dziewczyna nie wydawała się tym specjalnie zmartwiona, więc z całkowicie czystym sumieniem poświęcał dużo czasu grymaśnemu smokowi. Nikogo nie dziwiło, że „bliźniaki” włóczą się razem po sosnowych zagajnikach i wydmach porośniętych twardą trawą. Uważano Pożeracza i Kamyka za braci, a wiadomo, że bracia mają wspólne sekrety. Staczali niegroźne walki na gorącym od słońca piachu. Kamyk uczył Pożeracza chwytów zapaśniczych, jednocześnie surowo zabraniając gryzienia. Smok, zadowolony z okazywanego mu zainteresowania, czasem pozwalał chłopcu wygrywać w tych zmaganiach.

Wybierali puch z gniazd dzikich kaczek żyjących na nadmorskich diunach. Pożeracz Chmur zauważył, że piasek nad złożami bursztynu ma nieco inny zapach, zwłaszcza gdy rozgrzeje go słońce. Bez trudu nauczył się odnajdywać dobre miejsca, gdzie kopali jamy i zbierali obfite łupy, które później trafiały do Miedzianego. Kamyk był dumny ze swej użyteczności, gdyż z nawiązką spłacał wszelkie koszty utrzymania i czuł się jak zupełnie dorosły.

Bezpieczny od wścibskich oczu - powrócił do tworzenia iluzji, z zapalem tym większym, że po dłuższej przerwie znów nabrały posmaku nowości. Nie były to jednak dawne monotonne ćwiczenia doprowadzające do szału smoczego szczeniaka. Ku zachwytowi Pożeracza talent młodego Tkacza Iluzji tworzył rzeczy dziwne i tak zabawne, że naprędce wymyślona nazwa „zdziwiaczki” zdawała się pasować do nich jak ulał. Tak więc w zacisznych zakątkach wokół przyjaciół łąził różnobarwny zwierzyniec - jeże w ciapki i prążki albo różowe wiewiórki w odcieniu przyprawiającym o ból oczu. Salamandry ziały maleńkimi płomykami ognia. Ostrygi otwierały swe muszle, by niespodzianie zaprezentować obelżywie wywalone ozorki. Drapieżne jabłka oraz mandarynki łypały wrogo krągłymi oczkami i próbowały się odgryźć. Osmielony Kamyk puszczał wodze fantazji, stwarzając nawet całe krajobrazy wypełnione drobnymi

szczegółami. Nie bał się błędów, bo i kto miałby go wykpić i źle ocenić? Każda jednak iluzja wyglądała na bardziej dopracowaną od poprzedniej.

To był szczęśliwy okres i Kamyk życzył sobie w duchu, by trwał jak najdłużej. Ale czas mijał, w kosmicznym liczydłe przesuwały się kolejne gałeczki dni, aż do tego fatalnego, w którym Pożeracz Chmur omal nie umarł.

*

Owego przedpołudnia Kamyk usiłował zorientować się w niechlujnych, pogniecionych papierkach - notatkach Miedzianego. Northlandczyk stosował własny system znaków, który byłby może i łatwy do zrozumienia, gdyby mężczyzna zechciał rysować wyraźniej. Opanował jedenaście cyfr oraz pięć znaków kodu rachunkowego i niefrasobliwie przeplatał je bazgrołami mającymi przedstawiać konkretne przedmioty. Na szczególnie tajemniczym papierku widniała cyfra osiem, symbol przypominający ślimaka i coś, co mogło być garnkiem na nóżkach. Po odwróceniu kartki garnek przypominał jeża, ślimak pozostawał ślimakiem, za to ósemka zmieniała się w daszek. Zarówno gotowanie ośmiu kociołków ślimakowej zupy (lub ośmiu ślimaków w jednym garnku), jak i budowanie domków dla jeży wydawało się zupełnie bez sensu.

I właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie, nadeszło to straszne uczucie. Strach i ból oślepił chłopca na chwilę, niczym uderzenie w tył głowy - cudze cierpienie i obcy lęk, przekazany z oddali. Mentalny lament, wołanie o pomoc. Czyjaś świadomość gasła jak ostatnia iskra w popiele ogniska.

POŻERACZ CHMUR!

Kamyk zerwał się na równe nogi, nie zważając na to, że wylewa atrament na stół. Wypadł za drzwi, po drodze zderzając się z nadchodzącym Miedzianym. Biegł niemal na oślep prowadzony blednącą gwiazdką smoczej jaźni, tkwiącą gdzieś w głębi jego umysłu.

*

-Na boski młot! Co się dzieje?! - wykrzyknął zaskoczony mag, odzyskując z trudem równowagę. Towarzyszący mu syn zerknął szybko do izby, z której przed momentem wypadł wzburzony chłopak.

- Tu nic nie ma.

- Leć za nim! Jeszcze sobie łeb rozwali na jakim drzewie. Zbzikował?

Moneta skinął głową na znak zgody i pobiegł. Miedziany, najprędzej, jak tylko pozwalała mu chroma noga, ruszył w ślad za synem, którego czupryna chwiała się przed nim niczym z dala widoczny jaskrawy płomień.

Gdyby nie to, zgubiłby natychmiast kierunek, choć właściwie starczyłoby zwyczajnie iść prosto jak strzeł. Kamyk biegł na przełaj, zupełnie nie dbając o to, że po drodze przedziera się przez krzaki, łamie gałązki i zostawia na kolcach nitki wyprute z odzieży. Siłą rzeczy goniący go Northlandczycy musieli poruszać się tą samą trasą. Miedziany nieraz rzucał półgłosem przekleństwa, gdy jego noga protestowała przeciw pokonywaniu zarośniętych chaszczami rowów i próchniejących pni.

Zapomniał jednak o bólu i na chwilę kompletnie odjęło mu mowę, gdy z minimalnym opóźnieniem stanął przy boku syna gapiącego się z opadniętą szczęką na niezwykły widok.

Ogromne cielsko, pokryte zmechrany białym futrem, odbijało się kontrastowo od zieleni poszycia i zrudziałych sosnowych igieł. Nieruchome, bezwładne. Wydawało się dziwnie płaskie,

jak ścierwo zdechłego psa.

- Boże... to jest smok!

- Tak, tato... - szepnął Moneta.

Kamyk klęczał tuż obok wielkiego łba. Szarpał za spiczaste uszy, usiłował z wysiłkiem otworzyć paszczę owego straszliwego drapieżcy. Jęczał głucho, a brzmiało to tak rozpaczliwie, że Miedziany, niewiele myśląc, ruszył mu z pomocą.

Smocze zęby były trójkątne, bardzo ostre i miały żłobkowane krawędzie jak najlepsze noże rzeźnicze. Miedziany z wysiłkiem otworzył pysk bestii, czując, jak skóra na jego palcach ustępuje pod naciskiem tych morderczych narzędzi. Widział, jak Kamyk wkłada rękę między potężne szczęki, po łokieć, a nawet dalej. W nagłym przebłysku zrozumienia Miedziany pojął, że to wielkie zwierzę nie oddycha, więc chłopak po prostu usiłuje mu wyciągnąć język z gardła, a może usunąć coś, co w nim utkwilo, całkiem jakby miał do czynienia z chorym cielakiem.

Wiatromistrz przyłożył ucho do boku smoka. Głucha cisza. Mag z ulgą pomyślał, że bestia jest martwa, lecz w następnej chwili usłyszał pojedyncze łomotnięcie, jakby ktoś z wysiłkiem uderzył pięścią w żebra od wewnątrz. Potem szybkie kołatanie wielkiego smoczego serca, znów cisza... i znów nieregularne uderzenia, jakby z wysiłkiem zmuszało się do pracy.

Szkarłatne jezioro smoczego oka otwarło się powoli. Czerń pionowej źrenicy pulsowała. Smok zakrztusił się, uniósł chwiejącą się na boki głowę. Z pyska zwisały mu pasma gęstej śliny. Jego ciałem wstrząsały konwulsje, niczym u kota wymiotującego sierścią. Nareszcie w okropnym paroksyzmie, jakby cały chciał się przenieść na drugą stronę, złapał oddech.

Oniemiali ze zdumienia Miedziany i Moneta obserwowali, jak smok składa wielką głowę na ziemi tuż przy chłopcu, a ten głaszcze go i drapie za uszami, wciąż jeszcze drżąc w szoku.

Kamyk odczuł tak wielką ulgę, że omal się nie rozpłakał. Pożeracz Chmur, wzdychając głęboko, jakby rozkoszował się smakiem powietrza, poddawał się pieszczotom. Pozostawił w ziemi spore wgłębienie. Wyjaśnił, że wykorzystał glebę z tego miejsca jako budulec, by wyrzeźbić z niej nowe, większe ciało.

„Chciałem polatać, a chyba za mało zjadłem. Zabrakło mi sił na sam koniec przemiany. Nie mam wprawy, przemieniałem się z mniejszego w większe dopiero drugi raz w życiu”.

„Wyglądało tak, jakbyś umierał”.

„Masz rację, faktycznie umierałem. To byłaby bardzo głupia śmierć. Ale zdążyłeś. Dzięki”.

Miedziany i Moneta nadal patrzyli na niezwyklej komitywę człowieka i smoka. Nie pozostawało nic innego, jak wyjawić wszystko. Przedziwna historia ucieczki Kamyka i jego przyjaźni ze smokiem wywoływała okrzyki niedowierzania, ale dowód leżał tuż przed nosem - wielgachne smoczysko, łpiące czerwonymi ślepiami. Nader szybko naturalny lęk został wyparty przez ciekawość i obaj mężczyźni z zachwytem przyglądali się potężnemu stworzeniu.

- Skoro nie zjadłem was do tej pory, to tym bardziej nie zrobię tego teraz - oznajmił Pożeracz Chmur z kpina.

Moneta złapał się za głowę. Z opóźnieniem dotarło do niego, kogo uczył rysunku.

- Nikt mi nie uwierzy, jak to opowiem! - jęknął.

- Toteż lepiej nie opowiadaj - pouczył go ojciec. - Bliźniaki, psiakrew! Ależ daliśmy się nabrać. Tkacz Iluzji... uszy bym mu oberwał...

- Ludzka krew - wtrącił smok. - Z ludzkiej brałem wzór.

- Ojczy...? A czy nie myślisz, że jak Kamyka szuka Krąg, to powinni rozesłać listy? - spytał

Moneta po namyśle. - Nie było żadnych pism z Kręgu?

Miedzianemu mina się wydłużyła.

- Był list - przyznał niechętnie.

- Tatku!

- Cicho! Był list, ale do Cienia! Cudzych pism nie otwieram, a po wtóre czytać nie umiem i głowy mi tu nie zawracaj!

- Wygląda na to, że Kamyk miał sporo szczęścia, skoro trafił akurat tutaj. Gdzie indziej zarządcy są piśmienni - podsumował Moneta z ironią.

- Za mało cię za młodu lałem, pyskunie - mruknął Wiatromistrz, ale widać było, że nie bardzo się gniewa.

„I co teraz zrobisz? Dalej będziesz uciekał?” - zwrócił się do Kamyka w mowie rąk.

Chłopiec potrząsnął głową przecząco.

„Wróć. Chyba mnie jednak nie zabiją za to, co się stało”.

*

Pożeracz Chmur nie mógł pokazać się w osadzie w nowej (a może starej?) postaci. Wzbudziłby paniczny strach i okropne zamieszanie. Koniecznie też musiał coś zjeść, więc bez żalu zgodził się pozostać w lesie i zająć łowami. Natomiast pierwszą rzeczą, jaką Miedziany uczynił po powrocie do domu, było odszukanie nieco już zakurzonego listu, który minął się ze Strażnikiem Słów. Faktycznie dotyczył Kamyka, lecz ku jego wielkiej uldze, w treści nie było ani słowa o sądzie i więzieniu. Wynikało z niej raczej, że starszyzna martwi się o bezpieczeństwo pewnego narwanego adepta, z którym wiązała spore nadzieje.

Tak więc skończyły się beztrioskie czasy. Chłopcu żal było opuszczać miejsce, gdzie znalazł tylu miłych towarzyszy i gdzie traktowano go na równi z innymi. Największą jednak przykrość sprawiała mu myśl o rozstaniu z okropnym, rozpuszczonym, kapryśnym, nieobliczalnym dziwadłem, czyli Pożeraczem Chmur, który, nie wiadomo kiedy, z przypadkowego towarzysza podróży awansował na najlepszego przyjaciela.

O dziwo, młody smok musiał odczuwać to samo, gdyż na wspomnienie o rozłączeniu z Kamykiem wszczął namiętny protest. Twierdził, że nie można puścić chłopca w drogę samego, skoro na świecie grasują złoczyńcy oraz rozmaite drapieżniki, lamie, mantikory, skorpiony. Nie przekonywały go argumenty, iż jako żywo nikt nie widział w Lengorchii ani jednej lamii, a i skorpiony trafiały się rzadko. Przecież ktoś tak mały i słaby jak Kamyczek nie poradzi sobie samotnie. Będzie głodny, ktoś go skrzywdzi, a może nawet zje! Całkiem jakby cesarstwo Lengorchii było jakąś dziczą. W końcu Kamyk, aby tylko przerwać to straszliwe smocze marudzenie, pozwolił Pożeraczowi towarzyszyć sobie aż do Zamku.

Ostatecznie stanęło na tym, że chłopiec odbędzie najkrótszą i najbezpieczniejszą podróż do siedziby Kręgu - na smoczym grzbiecie. Oczywiście było to bezpieczeństwo wyłącznie w teorii. Kamyk na samą myśl, że ma się znaleźć na tak niebotycznej wysokości, odczuwał słabość w kolanach. Z drugiej strony perspektywa lotu wydawała się nadzwyczaj podniecająca. Nie znalazłby się chyba nikt w całej historii, kto mógłby się pochwalić, że dosiadał smoka!

Lecz nim jeszcze podniebna podróż doszła do skutku, jasne się stało, że smoczy jeździec musi mieć coś w rodzaju siodła. W przeciwnym wypadku ześlizgnie się z gładkiej sierści i po efektownym locie pionowo w dół znajdzie śmierć na ziemi. Po naradzie spiskowcy uznali, że niezbędne jest nie tyle siodło, ile sama uprząż, lekka i jak najprostsza, do której pasażer będzie

mógł się przywiązać. A tę w krótkim czasie sporządził Miedziany, który jako były żeglarz świetnie znał się na sznurach i węzłach.

„Sam sobie bym nie uwierzył...” - mruzczał mag, przymierzając swoje dzieło do smoczej postury, podczas gdy Pożeracz Chmur próbował, czy linki nie krępują mu ruchów.

Najedzony i starannie wylizany smok zupełnie nie przypominał wychudłego, zmiętoszonego stworzenia sprzed dwóch dni. Wymuskany, dziarski, z żywym błyskiem w oku, stwierdził, że wrócił do pełni sił i mógłby z łatwością unieść człowieka nawet dwa razy cięższego niż Kamyk. Gorzej czuł się sam pasażer. Nadal nieufnie traktował pomysł Pożeracza Chmur i jedynie to, że nie chciał wydać się tchórzem, powstrzymywało go od kategorycznej odmowy.

Pożeracz Chmur zbudowany był z kocią oszczędnością. Gdyby smoka pozbawić grubej futrzanej okrywy, zapewne stanowiłby szokujący widok. Chudy, kanciasty, składający się głównie z kości, żył i ścięgien. Jedynie na grzbiecie i barkach przeżyły się grube poduchy mięśni - tam, gdzie potrzebna jest siła do poruszania wielkimi skrzydłami. Tak więc uprząż zrobiona przez Wiatromistrza skryła się niemal bez śladu w smoczej sierści. Dwie pętle po bokach służyły do tego, by włożyć w nie nogi. Dodatkową linką można było przewiązać się w pasie.

Smok ostrzegał, że na górze zawsze jest zimno, więc Miedziany wyciągnął ze skrzyni swą starą, podbitą futrem kurtkę marynarską, którą dotąd spokojnie konsumowały mole, gdyż okazała się zupełnie nieprzydatna w ciepłym klimacie Lengorchii. Kamyk posłusznie włożył cuchnące smołą okrycie, ale uważał te zabiegi za przesadne. Panował taki upał, że czuł się niemal całkowicie ugotowany. A tu jeszcze Wiatromistrz wciskał mu gruby, wełniany szal! Chłopak tylko westchnął, obiecując sobie w duchu, że natychmiast się rozbierze, kiedy tylko zniknie magowi z oczu.

Ostatni raz pochylił się głęboko ze smoczego grzbietu, podając rękę Miedzianemu i Monecie. Uścisnęli sobie nadgarstki lengorchiańskim obyczajem.

„Opiekuj się Pożeraczem Chmur” - napomniał Wiatromistrz z uśmiechem.

Kamyk wyszczerzył zęby w szczerym rozbawieniu. Przed kim lub czym miałyby chronić takie ogromne bydlę? Chyba jedynie przed robieniem głupstw.

Z niejasnych powodów Pożeracz Chmur na miejsce startu wybrał teren sąsiadujący z niebezpiecznym urwiskiem. Przez całe lata fale przyływu wyrzywały tu kawałki lądu, aż stworzyły wysoką ścianę, oddzieloną od oceanu jedynie wąziutkim paskiem kamienistej plaży. Kamyk miał pewne podejrzenia, ale wolał nie roztrząsać smoczych pomysłów. Zamiany Pożeracza stały się jasne, kiedy ruszył kłusem wprost ku przepaści. Serce chłopca podskoczyło jak przerażona żaba i utkwili mu gdzieś w gardle. Zaciśnął powieki, wczepiając się z całych sił w smocze futro. Poczuł raptowne uderzenie wiatru i charakterystyczny skurcz - biegnący z brzucha aż do głowy - niczym na opadającej gwałtownie huśtawce. A gdy odważył się otworzyć oczy, dech zaparł mu najwspanialszy widok na świecie.

Smok majestatycznie płynął w powietrzu niczym żywy latawiec, a pod nim rozpościerała się cudowna, migotliwa, błękitna płaszczyna oceanu. Podmuch wiatru przeszorował Kamykowi uszy - to Pożeracz Chmur zacieśnił kontakt. Smok machnął dwa razy wielkimi skrzydłami, szukając nowego powietrznego strumienia. Chłopiec czuł, jak potężne mięśnie falują pod nim, unosząc go bez żadnego wysiłku, jak muchę siedzącą na karku olbrzyma. Pożeracz pochylił się na lewe skrzydło, zatoczył płaską pętlę i zanurkował ku wodzie długim ślizgiem, rycząc niby portowy róg przeciwmgielny. Gigantyczna niebieska przestrzeń pędziła na spotkanie smoka i jego jeźdźca. Kamyka przepełniało przerażenie i euforia jednocześnie. Czuł, że jeśli nie da im ujścia, rozerwą go chyba. Entuzjastyczny wrzask chłopaka zmieszał się z tryumfalnym smoczym

rykiem i Kamyk pomyślał z radosnym zdziwieniem, że chyba właśnie tak wygląda szczęście w czystej, niezmaconej postaci.

Wiatr niemal zrywał włosy z głowy. Pożeracz Chmur w ostatniej chwili zmienił kierunek lotu, prawie muskając brzuchem wierzchołki fal. Słony oddech morza chuchnął mu prosto w pysk. Smok wzbił się nieco wyżej. Chłopiec w pełnym kontakcie mentalnym słyszał nie tylko odgłos skrzydeł krojących powietrze, lecz także basowe mruczenie, biorące początek gdzieś w Pożeraczowym wnętrzu jako silne wibracje, doskonale wyczuwalne dotykiem, a potem wylewające się z przepastnej gardzieli - prosta śpiewka wielkiego smoczego zadowolenia.

Droga powietrzna rzeczywiście była wiele prostsza od lądowej. Mieli trzymać się linii brzegowej, lecąc z grubsza na wschód. Prędzej czy później musiało pokazać się ujście Enite, gęsto obrosłe licznymi przystaniami i osadami rybackimi. Natomiast sam Zamek z pewnością zobaczą już z daleka.

Dołem przesuwwały się szafirowe plamy głębin i błękitne łaty mielizn. Na falach blisko brzegu kołysały się łodzie rybackie. Z drugiej strony na horyzoncie można było dostrzec białe żagle statków handlowych i czerwone, należące do okrętów patrolowych. Kamyk zastanawiał się, czy ci, którzy dostrzegą lecącego smoka, dojrzą także malutką sylwetkę człowieka na jego grzbiecie. Ależ by się zdziwili! Odczuł pokusę, by się trochę popisać. Rozbawienie Pożeracza Chmur przepłynęło przez jego umysł jak złotoczerwony obłok i smok nawet na chwilę zboczył w stronę najbliższego stateczku, potem jednak ominął go z daleka.

„Lepiej się nie zbliżać. Strzelają z łuków” - wyjaśnił.

Zmieniał się pstrokaty pejzaż wybrzeża. Wyblakła zieleń wydmowa mieszała się z soczystą barwą niskich sosnowych zagajników. Jasne plamy, którym odległość odbierała wyraźne zarysy, mogły być wyszarzałymi strzechami wsi rybackich. Gdy Pożeracz Chmur zbliżył się do lądu, przed oczami zachwyconego chłopca rozpostarł się dywan pozszywany z barwnych łat: żółte zagony słoneczników, różowe łany kwitnącej koniczyny, poprzedzielane niebieskimi wstążeczkami kanałów. Gdzieniegdzie migwały schodkowe poletka, na których zapewne dojrzewał ryż.

Niebawem jednak nad pięknymi widokami zaczął brać górę całkiem przyziemny problem - zrobiło się zimno, tak jak zapowiadał Pożeracz Chmur. Wiatr wciskał się pod ubranie, wykorzystując najmniejsze szczelinki. To było coś niewiarygodnego, słońce świeciło w najlepsze, a Kamyk marzył coraz bardziej. Z zimna zaczęły boleć go uszy! Owinął głowę szalikiem podarowanym przez Miedzianego, żałując, że nie może zagrzebać się cały w wełnie. Schował ręce w rękawach kurtki. Całe szczęście, że Pożeracz Chmur grzał go choć trochę w nogi. Dopiero teraz chłopiec zrozumiał, dlaczego smok miał tak grube, puszyste futro i czemu smoczy oddech przypominał powiew z paleniska. Gdyby nie to, po kilku godzinach spędzonych w powietrzu pewnie wyziębiłby się tak, że spadłby na ziemię martwy.

*

Pożeracz Chmur potraktował dosłownie określenie „dolecieć do Zamku”. Szklisty mur magicznej siedziby zbliżał się w niepokojącym tempie, rosnąc w oczach jak pomnik nadchodzącej katastrofy. Kamyk szarpnął smoka za sierść.

„Rozbijemy się!”

„Ależ skąd...” - Smok pokonał ścianę z minimalnym zapasem, co wywołało kolejne nerwowe wzdrygnięcie u jego pasażera. Tego nie było w planach. Mieli opaść na ziemię gdzieś na uboczu, potem skromnie zapukać do bramy, a nie rozpląszczać się na miejscowej architekturze! Przechodnie już zadzierali głowy i z otwartymi ustami wskazywali sobie niezwykle widowisko.

Pożeracz Chmur, rad z wywołanego wrażenia, przysiadł na moment na szczycie dachu, pozując z rozpostartymi skrzydłami. A następnie puścił się w skomplikowane powietrzne tany między zamkowymi wieżami, kreśląc w przestrzeni pętle i spirale. Na próżno biedny Kamyk, któremu kręciło się w głowie od tych popisów, przestrzegał niemądrego szczeniaka. Znaleźli się w miejscu, gdzie magów było więcej niż pcheł na kundlu i kto wie, jakie nieprzyjemności mogły spotkać tu beczelne smoki. Równie dobrze mógł rzucać grochem o ścianę.

To przedstawienie skończyło się nagle i, zgodnie z ponurymi przewidywaniami Kamyka, nieprzyjemnie. Pożeracz okrążył właśnie nonszalanckim łukiem jedną z pięciu największych wieżyc, kiedy niespodzianie wpadł w gęstą ulewę, która pojawiła się nie wiadomo jak i skąd. Smoki oczywiście nie lubią wody. Zaskoczony Pożeracz Chmur zrobił najgłupszą rzecz pod słońcem - odruchowo usiłował cofnąć się w locie. Zatrzepotał bezsensownie skrzydłami, na sekundę stając niemal pionowo w powietrzu, po czym runął w dół jak kamień. Przekoziółkował, po drodze uderzając o ażurowy mostek, przerzucony między dwoma gmachami. Szarpnięcie sznura omal nie przecięło Kamyka na pół. Upadek zakończył się potwornym wstrząsem. Chłopcu pociemniało w oczach.

Później doszedł do wniosku, że stracił przytomność jedynie na chwilę. Kiedy uniósł powieki, pierwszym widokiem, jaki uderzył go swą niezwykłością, było niebo pod stopami. Natomiast nad głową rosły mu jakieś zielska. Dokoła unosił się intensywny zapach pietruszki. Zamrugał... świat powrócił do właściwej konfiguracji. Wisiał głową w dół, zaczepiony w asekuracyjnych pętlach. Obmacał się niepewnie, badając, czy jego kości nadal są na swoich miejscach. Główna linka musiała pęknąć, a może węzeł się rozluźnił. Tylko jak teraz wyplątać się ze strzemion?

Po mentalnej ścieżce przypląnęła żalosna skarga:

„Moje skrzydło! Moje skrzydło! Złamałem sobie! Ojejejeje...”

„Ciesz się, żeś sobie karku nie złamał, durniu! Gdybyś spadł na grzbiet, to już bym nie żył, ty zarazo! Zmiażdżyłbyś mnie!”

„Przepraszam”.

„Tylko tyle? Stłukłbym cię, gdybyś był mniejszy”.

„No to całe szczęście, że jestem większy” - odpyskował Pożeracz Chmur, liżąc zranione skrzydło.

Kamyk w niewygodnej pozycji walczył z zaciśniętym na kostce sznurem, więc smok, podwijając komicznie wargi, zaczepił linkę zębem. Wystarczyło jedno szarpnięcie, by uwolnić

chłopca z pułapki.

Dokoła rozciągał się ogród warzywny, banalne grzędy marchwi, pasternaku i kapusty, zarośla fasoli, grochu i bobu... Kontemplację otoczenia przerwał niespodziany atak. W niebotycznym zdumieniu przybysze ujrzeli, jak przez warzywnik szarżuje na nich mocarny wojownik o włosach rozwianych w bitewnym szale. Duże, wygięte ostrze wzniesione nad jego głową nie wróżyło niczego dobrego. Kamyk w mgnieniu oka ze zgrozą wyobraził sobie rzeź, do jakiej mogło dojść już za chwilę. Było oczywiste, że zraniony Pożeracz Chmur nie zachowa obojętności, a z napastnika zostanie co najwyżej tyle, by napełnić psią miskę. I to musiało się zdarzyć właśnie teraz, gdy Kamyk miał zamiar unormować swoje sprawy w Kręgu!

Nie było czasu do stracenia. Pożeracz już uniósł się do siadu, wibrysy przy pysku nastroszyły mu się agresywnie. Należało zatrzymać tego wariata za wszelką cenę!

Tuż przed nosem wojownika nagle wyrosła masywna, kuta w żelazie krata. Zaskoczony, bezwiednie usiłował ją ominąć - skręt ciała wytrącił go z równowagi. Dodatkowo Kamyk rzucił mu się pod nogi, łapiąc obiema rękami za kostkę. Napastnik potknął się o niego, przeleciał przez kratę jak przez powietrze, którym zresztą w istocie była. Przeszorował brzuchem po pietruszce, nie wypuszczając ani na chwilę miecza, po czym błyskawicznie obrócił się na plecy, nastawiając ostrze ku górze, jak skorpion grożący żądłem.

Pożeracz Chmur przechylił łeb, patrząc na niego z wyraźnym rozbawieniem. Spokojnie przycisnął zbrojne ramię łapą, po czym oblizał się jaskraworóżowym ozorem, prezentując przy tym cały komplet zębów. Mężczyzna zbladł jak papier, jego oczy rozszerzyły się ze zgrozy. Smoczy nos niuchał z zainteresowaniem, paszcza opadła niżej... aż wreszcie mięsisty, wielgachny niczym obrus język oblizał przybysza soczyście i z rozmachem. Uwolniony wojownik podniósł się, a potem zaczął wycierać z niewysłowionym obrzydzeniem.

Kamyk i Pożeracz Chmur dostali straszego ataku śmiechu.

*

Wiatr Na Szczycie jeszcze chwilę temu był bohaterem ratującym kogoś przed straszliwą bestią z narażeniem własnego życia. Obecnie czuł się jak półgłówek. Ten niewdzięczny szczeniak go Przewrócił! W głowie się nie mieści! Jeszcze tego nie było, żeby jeden człowiek rzucał się na drugiego w obronie... no tak, w obronę smoka. Smoka, który zamiast go zeżreć, obślinił. Czy ten świat już całkiem zwariował? Mag patrzył uważnie na rozgrywające się przed nim sceny. Młodziak już się nie śmieje. Zrzucił futro, rozgląda się coraz bardziej niepewnie i cofa w stronę bestii, jakby szukał tam ochrony. Nic dziwnego, coraz więcej gapiów gromadzi się na skraju ogrodu. Depczą zagony, a wytrzeszczają ślepią jak z zatwardzeniem. Widać wśród nich znajomych Wędrowców,

Stworzycieli i Iskry - to dobrze, bo gdyby smoczysku coś głupiego do łba przyszło, będą jak znalazł. Swoją drogą, jakby kto Wiatrowi coś takiego przy kuflu opowiadał, toby nie uwierzył w ani jedno słowo. Smok na grządce z pietruszką, też coś!

A chłopak, choć niedorostek, jest magiem i to na dodatek Tkaczem Iluzji. Wiatr Na Szczycie pomacał szczękę. Szczeniak niezły jest - obrazek był pierwszego sortu. Wiatr prawie czuł opór, kiedy przelatywał przez niego. Pewno gdyby miraż był nieco lepiej zrobiony, to miałby już tę kratę odbitą na gębie. Smok gapi się na niego, rusza jednym uchem i jęzor wywala, jakby się naigrawał, bydlak jeden.

*

Człowiek, który w pojedynkę rzucił się na smoka, był niewątpliwie Hajgiem - to widać na pierwszy rzut oka. Świadczyły o tym uszy przycięte na górnej krawędzi oraz tatuaże na twarzy. Górale nie lubili opuszczać swoich siedzib, więc Kamyk żadnego do tej pory nie spotkał, ale swego czasu czytał o plemionach z Gór Zwierciadlanych i dobrze pamiętał te barwne opisy.

Hajg miał na sobie krótką tunikę niebieskiego koloru spiętą bardzo szerokim pasem z klamrą, która wyglądała na srebrną. Obnosił się z gołymi kolanami, co nie wypadło dojrzałemu mężczyźnie, ale góral zdawał się traktować to z całkowitą obojętnością człowieka doskonale odzianego. Jego stroju dopełniały wysokie buty, ozdobione skórzanymi frędzlami. Równie dziwnie wyglądały włosy - nad czołem sterczące niczym szczotka, za to z tyłu długie jak u szlachetnie urodzonych i opadające luźno na plecy.

Kamyk był ciekaw, co też tu robi ten osobliwy człek. Na maga nie wyglądał. Może przypadkowy gość? A może poseł z gór?

Dokoła zgromadziło się sporo ludzi. Kamyk miał cichą nadzieję, że wśród nich ujrzy znajomą postać Płowego, ale Obserwator nie nadchodził. Chłopiec posmutniał. No tak, minęło tyle czasu, że pewnie Płowy wrócił już do domu. Miał przecież pracę i obowiązki wobec mieszkańców Żmijowych Pagórków.

„Co robimy dalej?” - zapytał Pożeracz Chmur.

„Muszę oddać list od Miedzianego, ale jak cię zostawię samego, to znów narozrabiasz”.

„A ten nastroszony cały czas się na mnie gapi”.

„Też byś się gapił, jakby cię smok oblizał”.

„Nie, jak smok, tobym się nie gapił. Ale jak człowiek by mnie polizał, to możliwe...”

Pogawędka została przerwana pojawieniem się czterech magów, którzy odważnie podeszli bliżej. Twarze przyoblekli w miny pełne godności, a stąpali sztywno wyprostowani, jakby połknęli kije. Ten, który szedł na przedzie, usiłował patrzeć tylko na Kamyka, ale widać było, że wzrok mu wciąż ucieka wyżej, do zębatej paszczy ziającej nad chłopięcą głową.

- To twój smok?

Biały nos błyskawicznie znalazł się na wysokości twarzy pytającego. Mag chybnął się z wrażenia do tyłu i gdyby usłudźni towarzysze go nie podtrzymali, zapewne runąłby na wznak w pietruszkę.

- Taaaak... mój - odparł Pożeracz Chmur sarkastycznym basem. - Jestem tak jakby, tego... własny.

Białoróżowe nozdrza powęszyły hałaśliwie.

- Coś ty jadł? - zdziwił się smok. - Czym tak śmierdzisz? A fe, ciebie bym się brzydził nawet polizać!

Z boku dał się słyszeć głośny rechot i plaskanie - to Hajg dawał wyraz swej radości, wałąc się dłońmi po udach. Ośmieszony delegat Kręgu zasnurował usta.

- Co cię tak bawi, Wietrze?

- Jego gadki i twoje gatki, bo widzę, jak ci się trzęsą. Czemu nie zapytasz, kim on jest, ten chłopak? Zdziwisz się.

Tymczasem chłopak wydobył zza bluzy poskładany w kilkoro papier i podsunął go pod nos stojącemu najbliżej magowi.

„Pozdrowienie i szacunek. List od Miedzianego Wiatromistrza z Bursztynowego Brzegu.”

W powietrzu rozwinęła się wstęga iluzyjnego pisma. Gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości co

do tożsamości dziwnego przybysza, teraz pozbył się ich ostatecznie.

Mężczyzna odebrał pismo, otworzył i przebiegł po nim wzrokiem.

„Nie pozdrawiam nikogo, bo mi zależłście za skórę jako kleszcze, wy sucze syny... - odczytał głośno, a głos załamał mu się lekko z zaskoczenia. - Ile jeszcze będę tu sam siedział bez nijakiej pomocy, do obesranej śmierci, czy co? Ciebie, znaczy się Strażnik Słów, nie wraca, a mnie łeb puchnie od roboty. Jakby mi ten chłopak nie pomagał, toby się powiesić przyszło, albo co. Za pisarza mi był i według rachunków mu się należą cztery srebrne smoki. Jak go który oszuka, to nogi z du...”

Czytający zakrztusił się i przerwał.

- Dalej są sprawy... eee... prywatne.

Wiatr wył z radości. Pożeracz Chmur spojrział na niego z sympatią.

- Ty mi się podobasz - rzekł łaskawie.

Kwestia, co zrobić z niespodziewanym posłańcem, zaczynała być palącą. Nadal uparcie tkwił u smoczego boku. Stało się jasne, że jakiegokolwiek nieprzyjazne gesty wobec chłopca pozostającego w ścisłej komitywie z bestią mogą skończyć się niemiło. Oczywiście, w ogrodzie znajdowało się sporo magów, których umiejętności pozwalały na zabicie nawet tak wielkiego, groźnego stworzenia. Jednak w ostatecznym rozrachunku lepiej było tego uniknąć, razem z nieodłącznym w takim wypadku zamieszaniem i bałaganem. Zarządcy zamkowi nie lubili bałaganu, a zarówno smok w warzywniku, jak i rozbawiony Hajg oraz ciżba rujnująca grządki byli elementami chaosu, które należało uporządkować.

„Spóźniony na egzamin?” - zapytał formalistycznie nadąsany Mówca, choć odpowiedź mogła być tylko jedna.

Chłopiec niepewnie skinął głową.

„Przyjmujecie jeszcze kandydatów?”

Mag zobaczył w jego oczach tyle nadziei, że nagle złagodniał i nawet zdobył się na lekki uśmiech. W końcu nie miał przed sobą żadnego przestępcy, tylko wyrostka, który miał pecha natknąć się akurat na potomka rodu Brin-ta-ena. Rzadko kiedy takie spotkania były przyjemne.

„Strasznie namieszałeś, chłopcze. Ty chyba lubisz się popisywać. Najpierw ucieczka, a teraz powrót z jeszcze większym rejwachem. Ale przynajmniej wróciłeś sam i nie musieliśmy cię tu przywlekać siłą”.

„Czy Iskra wyzdrowiał?”

„Nawet prędko. Przesunęliśmy mu termin i już chodzi w szarfi”.

„To był wypadek. Nie wiem, jak to się stało i wcale tego nie chciałem” - chłopak próbował się usprawiedliwić.

„Wiemy. I tylko dlatego nie zostaniesz ukarany. A co do egzaminu, to zobaczymy jutro, ile jesteś wart. Skoro tamten mógł stanąć do próby później, to ty też możesz”.

Dopiero wtedy chłopiec uznał, że może odwzajemnić uśmiech, a mag zdziwił się, jak bardzo zmienia się ta zacięta, ponura fizjonomia, kiedy rozświetla ją wyraz radości.

*

- Widział kto z was coś podobnego?

Takie i podobne wypowiedzi rozbrzmiewały wszędzie w Zamku, gdzie tylko zebrano się

choćby dwóch ludzi razem. Winiarnia w przyjemnie chłodnej suterenie nie była w tym przypadku miejscem wyjątkowym.

- Nie widziałem - zgodził się Wiatr Na Szczycie, kręcąc głową, po czym roześmiał się serdecznie.

- Gdzie są teraz?

- W szopie pod murem od zachodniej strony. Chłopak nie chciał zostawiać smoka samego, a we dwóch by się na pewno nie zmieścili w żadnej izbie. Prześpią się na słomie. Teraz tam siedzą i odpoczywają, a połowa służby zamkowej tłoczy się dokoła i próbuje zaglądać przez szpary. W mieście też już pewno huczy od plotek.

- Zaniósłem im coś do żarcia... no i to, co zostawił tu Obserwator - dodał Hajg. - A jutro zaprowadzę dzieciaka do Lotosowej Sali.

*

Szopa okazała się całkiem przyjemnym miejscem. Po jednej stronie przechowywano w niej rozmaite narzędzia ogrodnicze, w drugiej części gromadzono wiązki słomy i siano. Wewnątrz unosił się miły zapach. Słońce zaglądało przez szpary w drewnianych ścianach. W powietrzu unosiły się drobinki złocistego kurzu. Pożeracz Chmur natychmiast rozwalił się na sianie z westchnieniem głębokiego zadowolenia, po czym zaczął starannie wylizywać nadpęknięte skrzydło. W świetlikach pod samym dachem co rusz ukazywała się czyjaś zaciekawiona twarz, lecz wystarczało jedno krótkie warknięcie, by znikać natychmiast, jak zdmuchnięty płomyk świecy.

Smok po zjedzeniu połówki barana był w znakomitym humorze. Kamyk w zamyśleniu obgryzał dokoła placek. Okazało się, że Płowy przed wyjazdem zostawił torbę z rzeczami chłopca w Zamku i góral, który widać mianował się opiekunem dziwnych gości, przydzwigał także i ją.

„On się nazywa Wiatr Na Szczycie” - oznajmił z mlaskaniem Pożeracz Chmur.

„Kto?”

„Ten oblizany. Mówił, że jest magiem”.

Kamyk uniósł brwi ze zdziwienia.

„Nie nosi szarfy”.

„Miedziany też nie nosił - odparł smok. - Widzisz, jak się wszystko pięknie układa? Jutro dostaniesz tę niebieską szmatę i przestaniesz się gryźć”.

„Jeszcze nie wiadomo. Dostanę albo i nie dostanę”.

Kamyk podejrzewał, że zostałyby znacznie chłodniej przyjęty, gdyby nie obecność Pożeracza Chmur, którego same rozmiary wzbudzały respekt. Urażona starszyzna Kręgu mogłaby nie dopuścić chłopca do próby. Ukarać, zamknąć gdzieś i w ogóle zrobić z nim, cokolwiek zechcą.

Chłopak przyjrzał się krytycznie przyjacielowi. Na nim już dawno przestały robić wrażenie smocze zęby i krwistoczerwone ślepia, ale innym Pożeracz nadal musiał się wydawać straszliwym potworem. Jedno jest pewne, jego pojawienie się w Zamku będzie długo pamiętane.

Skórzana torba podróżna pociemniała ze starości i miała powycierane wszystkie kanty - nieładny, pocziwy rupieć, którego widok nagle wywołał tyle wspomnień o porzuconym domu, że Kamyka ścisnęło w sercu.

Odpiął sprzączki. Na samym wierzchu leżała złożona we czworo kartka. Chłopiec natychmiast rozpoznał znajome pismo Płowego.

Od Płowego Obserwatora do Kamyka Tkacza Iluzji.

Synku, piszę do ciebie na wypadek, gdyby wcześniej cię znalazła gwardia Kręgu. Jeżeli czytasz te słowa, to rzeczywiście jesteś teraz w Zamku. Mam nadzieję, że bezpieczny i w dobrym zdrowiu. Nie bój się niczego, a głupstw nie rób więcej, o to tylko proszę. Dzieciakowi rozum się do głowy wbija różgą, aleś ty już za duży na to. Samo życie cię przetrzepie, oby nie za boleśnie. Rozpytaj się o maga imieniem Wiatr Na Szczycie, gdyż jest on dobrym człowiekiem, choć oryginał wielki. Nad prostaczków takich jako my się nie wywyższa. Na pewno posłuży ci radą i pomocą. Ja teraz do domu wracam, gdyż i praca na mnie oczekuje, i zdrowie mi nie służy. A jak chorować, to we własnym łóżku, a nie w cudzym. Cokolwiek by się zdarzyło, do domu wracaj, bo czekam na ciebie, synu, i tęsknię.

Chłopiec złożył na powrót list drżącymi rękami. Płowy napisał „synu”, chociaż Kamyk był tylko wychowankiem. Mag nigdy nie wymagał, by Kamyk zwracał się do niego inaczej niż znakiem imienia. Ojcem był człowiek, którego prochy już dawno zmieszały się z ziemią gdzieś na skraju dalekiej wioski. A Kamyk już go prawie nie pamiętał. Pozostało mu zaledwie kilka oderwanych od siebie, niewyraźnych obrazów - czyjeś długie nogi, zamglona męska twarz pochylająca się do niego z wysoka (był przecież wtedy taki mały). Kłujący zarost. Para rąk, cierpliwie splatająca ze sobą rzemienie... i to było wszystko. Tylko tyle treści zawierało w sobie imię Chmura. To Płowy cierpliwie układał dziecięcą rękę do pióra, odpowiadał na setki najprzedziwniejszych pytań, opatrywał porozbijane kolana i chyba tylko jego jedyne obchodziły chłopięce ambicje i smutki.

Kamyk schował głowę w ramionach. Czuł się okropnie - samolubny, niewdzięczny... niewart tej miłości, jaką mu dano, w dodatku nie żądając nic w zamian. W głowie mu nie powstało, by posłać chociażby parę słów do domu, aby opiekun był o niego spokojny.

I czy naprawdę nie mógł nazywać Płowego ojcem? To tak niewiele... Możliwe, że Płowy tego oczekiwał, choć dotąd nigdy nie zdradził się z tym pragnieniem. A z pewnością miał prawo do tego miana.

Pożeracz Chmur przerwał wylizywanie, przyglądając się chłopcu badawczo.

„A ty co...? Znowu przeciekasz?”

„Nie... tylko mi tak smutno - odparł Kamyk. - Czy ty tęsknisz czasem za domem?”

„Trochę, ale nie bardzo. Widziałem rodziców dopiero co, czemu miałyby mi ich brakować?”

Pożeracz Chmur nie zaglądał w rodzinne strony dłużej niż Kamyk, ale jako długowieczny smok miał zupełnie inne poczucie czasu. Rok mijał szybko, miesiąc zdawał się mgnieniem, a cały dzień spędzony na leniuchowaniu był dla niego tylko krótkim odpoczynkiem. Widocznie jednak pytanie Kamyka skierowało myśli młodego smoka w stronę rodziny, bo po chwili znów nawiązał kontakt.

„Ciekawe, co było w jajku... on czy ona?”

„A co byś wolał?”

„Sam nie wiem. Ja w ogóle nie jestem przyzwyczajony do dzieci. Ale te w osadzie były nawet zabawne. Chyba jednak brata. Zresztą ten dzieciak na początku pewno będzie taki mały, że będzie się potykał o własne łapy. Więc zupełnie wszystko jedno. Ale jak podrośnie, to pokażę mu, jak się łapie kraby”.

„I jak się kradnie kury?” - podpowiedział złośliwie Kamyk.

„Przede wszystkim nauczę go latać! I grać w zagadki!”

„Może jeszcze bursztyn kopać?”

„Tak! I czytać! I rysować! - Zapał Pożeracza rósł. - Ale to później, jak zmądrzeje” - dodał

trzeźwo.

Te wyliczanki rozbawiły i pocieszyły Kamyka. Jeszcze jakiś czas wymieniali rozmaite rzeczy, których mogliby obaj nauczyć małego braciszka Pożeracza Chmur, oraz snuli mgliste plany na przyszłość, ale słońce chyliło się ku zachodowi i zmęczenie zaczęło brać górę. W końcu zasnęli obaj na miękkim sianie.

*

Wiatr Na Szczycie przywykł wstawać razem ze słońcem, a długi pobyt w Zamku nie zdołał zmienić jego obyczajów. O świcie zrywała się służba, więc dłuższe polegiwanie stało się wręcz oznaką wyższego statusu. Wiatr miał w głębokiej pogardzie pozory. Jednak tego dnia, zamiast jak zwykle zrobić obchód zwierzyńca i stajen, ruszył prosto do smoczej sypialni. Spodziewał się zastać chłopaka na nogach (to przecież wyjątkowy dzień dla niego), lecz w szopie panowała cisza, a kiedy zajrzał do wnętrza, ujrzał ogromny kłęb białego futra, przysypany z lekka żdźbłami suchej trawy, oraz adepta magii wtulonego w owo futro. Człowiek i bestia spali smacznie tuż obok siebie, jakby to było czymś absolutnie naturalnym.

Hajg wzruszył ramionami. Na górskich halach sam nieraz sypiał pomiędzy obłaskawionymi panterami, szukając ich ciepła w zimne noce. Smok czy drapieżny kocur - co za różnica, w końcu oba mają kły i pazury.

Wiatr połaskotał chłopca słomką w bosą stopę. Ten poruszył nogą, lecz spał dalej.

- Nadaje się na maga jak rzadko kto - mruknął Wiatr kpiąco.

- A żebyś wiedział - odrzekł smok, otwierając jedno ślepie. - To już czas wstawać?

Ziewnął szeroko, pokazując cały komplet zębów i jęzor zwijający się w rulon.

- Czas najwyższy. On jeszcze musi coś zjeść i umyć się. Nie pójdzie na próbę z sianem we włosach.

Hajg bezceremonialnie potrząsnął śpiącym i dopiero to odniosło skutek.

- A ty jakim rodzajem maga jesteś? - zapytał Pożeracz Chmur ciekawie, podczas gdy Kamyk przecierał zaspane oczy, usiłując oprzytomnieć.

- Oczywiście najlepszym - odparł Wiatr Na Szczycie, szczerząc się w beczelnym uśmiechu.

*

Odświętna tunika od długiego leżenia w torbie pogniotła się w kanty, co Kamyk stwierdził z ogromnym niezadowoleniem.

Gdyby przyszło mu do głowy sprawdzić to wcześniej, mógłby ją zamoczyć u studni i rozwiesić na noc, żeby się rozprostowała. Teraz zrobiło się już za późno - wyglądał okropnie i był wściekły. Tym bardziej że Hajg zerkał na niego co chwila, a na twarzy miał trwale wpisany wyraz rozbawienia. Płowy polecał go w liście jako człowieka uczynnego, ale Kamyk w głębi ducha uważał, że góral jest irytujący.

Dodatkowym powodem do złości stał się Pożeracz Chmur. Uparł się, że będzie towarzyszył Kamykowi aż do miejsca egzaminu. Stworzenie dwa razy większe od konia, nawet jeśli jest od owego konia zwinniejsze, naturalną koleją rzeczy nie może zmieścić się w wielu miejscach. Smok, nie dając rady się precyzyjnie przeskakiwać przez bramki i furtki, przeskakiwał je górą. Przelatywał ponad dachami budynków, po czym lądował gwałtownie na dziedzińcach, spadając jak grom z jasnego nieba pomiędzy zaskoczonych ludzi i wzbudzając zrozumiałą panikę. Raz omal nie

wpadł do sadzawki, w której praczki płukały bieliznę. Innym razem ześliznął się ze spadzistego dachu w deszczu łupkowych płytek i wylądował na pięknej rabacie kwiatowej, która w jednej chwili przestała być taka piękna. O dziwo, Wiatr Na Szczycie wydawał się zupełnie nieporuszony wyrządzanymi szkodami, podczas gdy Kamyk niepokoił się myślą, że ktoś może go obarczyć odpowiedzialnością. Z pewnością Pożeracza Chmur uważano za jego wierzchowca.

Kiedy przechodzili przez jeden z licznych ogrodów, Hajg wskazał Kamykowi grupkę ludzi, którzy stali w kółku z zadartymi głowami, trzymając się za ręce jak w dziecięcej zabawie. Jaskrawy błękit szarf rzucał się w oczy już z daleka. Nad częścią ogrodu unosiła się niewielka szara chmurka, z której padał gęsty deszcz. Kamyk aż przystanął z wrażenia. A więc stąd wzięła się tamta niespodziana ulewa, która strąciła Pożeracza w zagon pietruszki! Coś takiego! Najwyraźniej w taki to niezwykły sposób podlewano tutaj rośliny, co było może nieco fatygujące dla magów, ale trwało krócej i oszczędzało dźwigania wody wiadrami. Obłoczek wędrował sobie wolno nad kwitnącymi krzewami, pchany ledwo wyczuwalnymi podmuchami wiatru.

Pierwszy raz zdarzyło się chłopcu widzieć przy pracy Wiatromistrzów zmieniających pogodę według własnego widzimisię. Nic więc dziwnego, że zapatrzył się na nich i nawet na krótką chwilę zapomniał, gdzie szedł i po co. Pobłaźliwie uśmiechnięty przewodnik poklepał Kamyka po karku jak konia i skierował w dalszą drogę.

*

Lotosowa Sala była okrągła i bardzo obszerna. Przybyli nieco przed czasem, więc Kamyk miał okazję dokładnie ją obejrzeć. Na oko ocenił, że w tym jednym pomieszczeniu zmieściłaby się zapewne cała chatka Płowego, a jeszcze zostałyby miejsce na ogródek. Pośrodku pustej przestrzeni wznosiła się smukła kolumna, u góry rozwijająca się na podobieństwo kielicha kwiatu. Może właśnie dlatego nazywano tę salę Lotosową. Ściany pokrywał wzorzysty fresk. Blask słoneczny, przeświecający przez cztery wysokie witrażowe okna, kładł się barwnymi plamami na podłodze, która ostatecznie okazała się najbardziej interesująca. Kamyk przywykł, że układa się je z desek lub ubija z gliny. Widywał już także posadzki ze starannie wygładzonych kamiennych płytek, lecz pierwszy raz zdarzyło mu się oglądać coś, co, logicznie rzecz biorąc, nie miało prawa istnieć. Cała podłoga Lotosowej Sali stanowiła jednolity kawał różowo prążkowanego marmuru, wypolerowanego jak lustro. Nie dało się na nim wypatrzeć żadnej spoiny - choćby grubości włosa - ani załamania desenia. Tutaj również musiała zadziałać magia, prawdopodobnie talent Stworzycieli.

W sali stało tylko pięć rzeźbionych krzeseł z wysokimi oparciami. Na każdym zasiadł jeden z przedstawicieli wiodących kast. Chłopiec zauważył, że nad głową każdego maga znajduje się emblemat stosowny dla jego profesji. Były tam więc „usta” dla Mówcy, „żółw” dla Strażnika Słów, „słońce” wisiało nad krzesłem przeznaczonym dla Iskry, a „węzeł” nad głową Wędrowca. Natomiast ostatnie siedzisko, oznaczone jakże prestiżowym znakiem „płomienia” Stworzycieli, zajął Wiatr Na Szczycie - co przyprawiło Kamyka o niewielki szok. Hajgoński góral - potężnym Stworzycielem? Jeszcze jedno zaskoczyło go i zaniepokoiło: wśród tego małego zgromadzenia nie było ani jednego Tkacza Iluzji. Czy magowie innych kast potrafią właściwie ocenić jego zdolności? Miał wielką ochotę zapytać o to obecnych, lecz kimże był, aby wytykać błędy mistrzom Kręgu? I tak przypuszczał, że niewielu z nich jest mu przychylnych z powodu zamieszania, jakie niechcący robił wokół siebie.

*

Chłopak denerwował się, to było doskonale widoczne, ale też absolutnie normalne. Wszyscy adepci zawsze się bali. Mówca nie miał zamiaru straszyć młodego kandydata na maga jeszcze bardziej, choć, przyjrząwszy mu się bliżej, doszedł do wniosku, że ten akurat nie wyglądał na takiego, który nagle dostanie kurczów żołądka z powodu stresu.

„Zacznij od czegoś prostego, mój drogi. Potrafisz chyba zrobić jabłko?” - zaproponował łagodnie mag i natychmiast pożałował swej uprzejmości, bo z umysłu chłopaka wionęło pogardą. Na wyciągniętej dłoni Mówcy pojawiło się ogromne jabłko, wielkości nieomal dyni. Talent młodego Tkacza nadał mu do tego odpowiedni ciężar, więc Mówca nie mógł jedną ręką utrzymać owocu, który potoczył się po posadzce z głuchym łoskotem. Od pustych ścian odbiło się lekkie echo.

- Niezły jest - mruknął Wiatr półgębkiem, osłaniając usta dłonią

„Mniejsze!” - zażądał Mówca ostro. Najwidoczniej chłopak nie potrzebował wyrozumiałości. Raczej wędzidła.

Adept z niewinną miną wręczył mu maleńkie jabłuszko na długim ogonku. Wiatr Na Szczycie całkiem już jawnie roześmiał się głośno. Reszta magów natychmiast zmierzyła go spojrzeniami pełnymi potępienia, lecz Hajg nawet tego nie zauważył. Obserwował niepokornego chłopca z rosnącą sympatią. Dzieciak miał poczucie humoru, choć z początku niewiele na to wskazywało. Wiatr mrugnął do niego porozumiewawczo, chłopak odmrugnął, a kąciki ust drgnęły mu w powstrzymywanym uśmiechu. Wiatr Na Szczycie obserwował, jak posłusznie stwarza kolejne mirażę zgodnie z poleceniami maga prowadzącego próbę. Bławat Mówca widać czegoś się nauczył, gdyż nie proponował już chłopakowi tak dziecinnych ćwiczeń jak pokazywanie wizerunków owoców. Od martwych przedmiotów niemal natychmiast przeszli do roślin, a potem do zwierząt. Wiatr nie zapominał, że ów bezczelny młokos jest głuchy, był więc ciekaw, jak poradzi sobie ze znacznie trudniejszym zadaniem. Jednak iluzyjne psy potrafiły szczekać, koty mruczały całkiem poprawnie, choć może nieco przesadnie głośno, i nawet ptak, który pojawił się na końcu, wygwizdał zupełnie niezłe wezwanie godowe.

- Niech pokaże coś z własnej fantazji - podsunął Wiatr Na Szczycie. Chłopiec zastanawiał się kilka chwil, po czym na posadzce tuż przed Hajgiem pojawiła się duża, kolczasta jaszczurka. Zwierzątko miało przepiękne barwy. Jego łebek lśnił metaliczną zielenią, która na grzbiecie zmieniała się w rozmaite odcienie koloru czerwonego, by płynnie przejść do nasyconego fioletu na ogonie. Gad stroszył kolce i przewracał wypukłymi ślepiami, a jego głowa podrygiwała, jakby wprawiał ją w ruch niewprawny lalkarz.

Wiatr Na Szczycie pochylił się, by dotknąć jaszczura. Zwierzak zasyczał wrogo, cofając się niezdarnie. Przydepnął własny ogon, niezgrabnie przypadł do ziemi, po czym nagle... kichnął, co w wykonaniu jaszczurki wyglądało wyjątkowo śmiesznie i nienaturalnie. Zaciekawieni magowie powstali ze swych miejsc. Wędrowiec także próbował dotknąć opalizujących łusek, co znów wywołało gwałtowne ruchy zwierzęcia i agresywne syczenie. Mag błyskawicznie cofnął rękę, po czym roześmiał się nieszczerze, uświadomiwszy sobie, że zląkł się mirażu.

- Zapomniałem, że nie jest prawdziwa.

Mówca wzniosł oczy ku górze, potrząsając głową z dezaprobatą. Adept widocznie wziął ten gest do siebie, gdyż pospieszył z zapewnieniem:

Potrafię więcej!

Wszyscy wlepili w niego oczy, aż zmieszał się i lekko zarumienił. Wiatr Na Szczycie

ukradkiem dawał znaki Mówcy. Pokaz stawał się coraz ciekawszy. Jaszczurka tkwiła nieruchomo na posadzce, lecz nie rozplýwała się - wciąż tak samo wyrazista, choć chłopiec na nią nie patrzył.

„Dobrze. Pokaż, co uważasz za stosowne. Masz wolny wybór”.

Kamyk nie wiedział, co o tym sądzić. Widzowie siedzieli w swoich krzesłach sztywno i jakby niezadowoleni. Jedynie Hajg, rozwalony w swobodnej pozie na swoim siedzisku, zdawał się nie przejmować niczym. Reszta wyglądała, jakby cierpiała na dolegliwości żołądkowe, a ich myśli zajęte były wyłącznie kwestią, czy zdążą do wygodki. Chłopiec postanowił potrząsnąć odrobinę ową nieciekawą widownią. Ma wolny wybór? Ależ proszę bardzo!

Od ścian ku środkowi sali popęzły szerokie jęzory płowego piasku, w błyskawicznym tempie pokrywając całą posadzkę. Z sypkiego podłóża wyrastały całymi kępami wiotkie, strzępiaste rośliny. Wkrótce stworzyły nierównomierny kobierzec sięgający gdzieś do pół łydki. Powietrze niepokojąco zgęstniało, a pomieszczenie oblało się zielonkawą poświatą. Nie można było już dojrzeć ani centralnej kolumny, ani ścian. W poprzek odmienionej Lotosowej Sali, z gracją ożywionego półmiska, przepłynął nakrapiany żółw. Wszyscy magowie, jakby tknięci jedną myślą, spojrzeli ku górze. Nad ich głowami kołysała się łagodnie srebrna tarcza powierzchni iluzyjnego jeziora.

- Jesteśmy pod wodą - stwierdził Strażnik Słów niepotrzebnie.

- To widać! - burknął opryskliwie Hajg, ściskając poręcz krzesła, aż drewno skrzypiało.

- Źle się czujesz?

- Nie lubię wody!

Tymczasem między roślinnością przesunęło się giętkie ciało wodnego węża. Prązkowany gad złapał drobną rybkę i połknął ją w całości, konwulsyjnie poruszając gardłem. Woda zmętniała od drobinek mułu, a z dywanu wodorostów ku górze popędziły bąbelki powietrza jak naszyjniki z drobnych perełek. Jakby znikąd nadpłynęła cała ławica srebrzystego narybku - ruchliwa, nagle zmieniająca kierunek błyskawica rozbita na wiele migotliwych rozbłysków.

Sprawca tych cudów chodził sobie swobodnie po dnie między rybami, a jego włosy falowały w wodzie.

- Przypomnijcie, ile on ma lat? - szepnął Mówca i przełknął ślinę.

- Skończył piętnaście tej wiosny - odpowiedział ponuro Wiatr Na Szczycie, oddychając z wysiłkiem. - Czego szepczesz? Przecież on cię nie słyszy!

- Jego talent wykracza daleko poza przeciętną - wtrącił Strażnik.

- To widzę! Przekażcie mu, żeby skończył, bo zaraz się utopię!

Jakiś bezczelny kolcogrzebiet zawisł tuż przed twarzą górala, wachlując niespiesznie płetwami i gapiąc się na niego wyłupiastym okiem.

- To, co umie, chyba wystarczy?

- Aż nadto. Ale ciekaw jestem, ile jeszcze potrafi.

- Chcesz go przeforsować? - spytał Mówca półgębkiem. - Zemdleje z wysiłku albo nawet dostanie zapaści.

- Nie wygląda na zmęczonego - odparł Hajg, wskazując brodą na młodego maga, który właśnie przyozdabiał podwodny krajobraz nowymi gatunkami roślin, wodną strzałką i talerzowatymi liśćmi nenufaru.

Ku rozczarowaniu Kamyka starannie dopracowany miraż podwodnego krajobrazu chyba nie zadowolił obecnych, gdyż zażądano od niego nowej iluzji, z zaznaczeniem, że tym razem powinna zawierać jakieś dźwięki. Nie protestował. Zaledwie rok temu taki wysiłek zapewne skończyłby się dla niego monstualnym bólem głowy i krwotokiem z nosa. Tymczasem czuł lekkie znużenie, lecz było to zupełną błahostką. Chłopiec przechadzał się po sali, układając w głowie plan następnej iluzji. Wyjrzał przez okno. U podnóża szerokich schodów, prowadzących do jednej z głównych wież, leżał Pożeracz Chmur, grzejąc się w słońcu. Widocznie dostrzegł przyjaciela, bo zastrygł uszami, a chłopiec poczuł nadpływającą mentalną falę ciepła i sympatii.

Usiadł w wykuszu okiennym, w wygodnej pozycji z podkulonymi nogami. Widział ze swego miejsca doskonale całą przestrzeń, którą oddano do dyspozycji jemu i pięciu egzaminatorom. Zamknął oczy, koncentrując się na układanej w myślach wizji. Chciał pokazać ją od razu w całej krasie, bez uzupełnień i rozpaczliwych improwizacji mających zamaskować błędy.

*

Ostatnim widokiem z realnego świata, jaki dostrzegli, był chłopiec medytujący w poświacie, którą słońce obramowało jego smukłą postać. Nagle otworzył szeroko oczy. A wtedy w jednej chwili zniknęło całe pomieszczenie, dając miejsce pochmurnemu, zimowemu pejzażowi. Wiał chłodny wiatr. Magowie stali przed wysoką ścianą zbitej roślinności, w której gościnnie otwierało się jedno jedyne wejście. Gdzieś przenikliwie zaskrzeczał niewidoczny ptak.

- Aaaa-haaa... - rzekł tylko Wiatr Na Szczycie, kierując się ku zielonym wrotom. Reszta rozglądała się niepewnie, lecz dokoła rozpościerały się wyłącznie smętne ugory zarośnięte trawą i zielskiem.

- Mamy tam wejść? - dopytywał się Strażnik Słów.

- To chyba jasne - odparł Hajg.

- Ale...

- Na Płaszcz Pani Lawin! - zawołał góral z politowaniem, stukając się palcem w skroń. - Przecież nawet nie wyszedłeś z tej komnaty, chłopie!

Przekroczył tajemniczą bramę, a zawstydzona gromadka podążyła w jego ślady. Za zielonym murem rozciągał się labirynt. Choć „rozciągał się” było może określeniem niezbyt trafnym. Wyższe niż dorosły mężczyzna ściany skutecznie ograniczały widoczność. W obie strony otwierały się roślinne korytarze, skręcające łagodnie, każdy w inną stronę. Wiatr Na Szczycie bez wahania poszedł w prawo.

- Wietrze, gdzie idziesz?

- A czy to nie wszystko jedno? - odparł z niezmaconym spokojem. - Nie psujcie chłopakowi zabawy.

Żywopłoty ociekały wilgocią. Drobniotkie kropelki wody obsiadły liczne pajęczyny, porozpinane między gałązkami, zamieniając każdą w miniaturowe dzieło sztuki. Gdzieniedzie po brzegach ścieżek rosły kępki błyszczących, śliskich grzybków. Nisko snuł się delikatny opar. Tknięty nagłą myślą Hajg schylił się, przesuwał dłońią tuż przy ziemi. Z początku nic nie czuł, potem zaś napłynęło wrażenie lekkiego ciepła.

- To bestia... - mruknął z uznaniem.

Chłopak ich widział - co do tego mag miał już całkowitą pewność. Widział i był na tyle cwany, by przypomnieć sobie o tym, że we mgle zawsze jest nieco cieplej.

Korytarze labiryntu skręcały w nieoczekiwanych kierunkach, to znowu rozdzielały się na

dwie i trzy odnogi, pozornie identyczne, lecz różniące się jednak drobnymi szczegółami. Między gałązkami coś szeleściło, prychało lub skrzeczało, jakby buszowały tam stada niewidocznych zwierzątek. Zaczęło mżyć, zrobiło się mokro i nostalgicznie. Nie było widać końca tej przechadzki, więc magowie zaczęli się niecierpliwić.

Wędrowiec czuł się wyjątkowo sfrustrowany. Zlekceważył młodziutkiego Tkacza, a teraz zbierał owoce własnej lekkomyślności. Nie zadbał o to, by zapamiętać położenie stron świata, a w rezultacie zgubił się w tej komnacie - śmiechu warte - zupełnie jak jakiś smarkaty nowicjusz. Sapał z irytacją, krocząc na samym końcu kolumny, prowadzonej przez Hajga. Gdyby teraz zaryzykował krok na oślep w niewidzialną sferę, w najgorszym razie mógłby skończyć jako bardzo płaski element wprasowany we wnętrze ściany, w najlepszym - ośmieszyłby się sromotnie, lądując niezgrabnie w jakimś nieprzewidzianym miejscu. Tak więc nadal robił dobrą minę do złej gry. Kiedy kawalkada zatrzymała się na chwilę, usiłował nonszalancko wejść wprost w żywopłot, powtarzając sobie w myśli, że to przecież nie istnieje. Zły na samego siebie, wycofał się w ostatnim momencie, kiedy gałąź drapnęła go boleśnie w twarz.

- Oko sobie wydziubiesz, baranie - mruknął szyderczo Wiatr Na Szczycie. Zmierzył uważnym spojrzeniem ścianę zieleni, po czym wkroczył w nią energicznie. Wchłonęła go bez śladu, na oczach zaskoczonych widzów.

- Chodźcie za mną. Zamknąć oczy! - usłyszeli po krótkiej chwili rozkaz. - To przecież tylko iluzja.

Usłuchali. Nie mieli innego wyjścia. Smarkaty Tkacz Iluzji wodził ich za nos, zapewne bawiąc się przy tym znakomicie. Jediną nadzieją na wyjście z tej głupiej sytuacji było zaufanie Hajgowi.

Każdy nieświadomie spodziewał się oporu i drapania gałęzek, lecz poczuli tylko dreszcze przebiegające po całym ciele. Jeżeli któryś z magów miał nadzieję, że po otwarciu oczu ujrzy znajomą Lotosową Salę, nie przyznał się do tego głośno. I słusznie, gdyż otoczenie zmieniło się, owszem, lecz była to jedynie nowa odmiana mirażu. Stali na okrągłej polance, porośniętej równiutkim mchowym dywanem. Dokładnie pośrodku raptem wystrzelił ku górze wiotki, zielony pęd. Błyskawicznie rósł, grubiał, pokrywając się szarawą korą. Z jego szczytu rozwijały się na wszystkie strony gałęzie, które wypuszczały pęki liści i zawiązki owoców. Wkrótce kiełek stał się już młodym drzewem, a jego korona przykryła całą wolną przestrzeń zielonym dachem.

Ktoś westchnieniem przerwał ciszę, która zapadła po niespodziewanym pokazie. Wiatr Na Szczycie podejrzliwie pomacał drzewo.

- Jesteśmy pośrodku sali - orzekł następnie bez wahania.

- Skąd ta pewność? - spytał nieufnie Mówca.

- Stąd - odparł Wiatr, kopiąc z całej siły pień. Rozległo się pojedyncze stłumione dudnięcie. - To centralna kolumna. Znajdź swoim talentem chłopaka, a będziesz wiedział, gdzie jest okno.

- O ile nie przeszedł w inne miejsce - mruknął mag pod nosem, po czym wskazał palcem kierunek. - Jest tam. Bardzo już zmęczony - dodał głośniejszym głosem.

- Nie dziwię się - mruknął Hajg.

- Spójrzcie na to! - powiedział raptem jeden z obecnych, zadzierając głowę.

Pomiędzy soczyście zielonymi liśćmi rosły przedziwne owoce. Były to szklane kule wielkości dużego jabłka, w których tkwiły niewielkie wizerunki symboli, jakie obrały sobie rozmaite magiczne kasty z Zamku Dłoni. Sądząc po liczbie połyskliwych sfer, nie brakowało chyba ani jednego emblematu. Był tam „płomień Stworzycieli”, „węzeł” Wędrowców, a także „żółw”, „usta”, „słońce” przynależne Iskrom, „księżyc” Przewodników Snów i inne. Wiatr

ostrożnie zerwał najbliższą kulę z szypułki. Zgromadzeni z zaciekawieniem i podziwem oglądali w jej wnętrzu miniaturę żaglowca, który był godłem Wiatromistrzów.

Nagle kula rozprysnęła się z hukiem w drobne okruchy, aż wszyscy drgnęli z zaskoczenia. Szklane „owoce” eksplodowały kolejno. W powietrzu uniół się gęsty tuman srebrzystego proszku. Kiedy zaskoczona piątka magów poprzecierała zmęczone oczy, okazało się, że stoją wokół marmurowej kolumny pośrodku znajomego pomieszczenia.

Kilka kroków dalej na posadzce leżał młody Tkacz Iluzji - na boku, z rękoma luźno wyciągniętymi przed siebie. Wyglądało na to, że chłopiec zasnął i przewrócił się tak, jak stał, w jednej chwili.

- A nie mówiłem? - rzucił Mówca z niepokojem, pochylając się nad nim. Ujął leżącego za przegub, by policzyć mu puls. Chłopak westchnął głęboko i odruchowo cofnął rękę.

- Ależ... on po prostu zasnął... - bąknął zdziwiony mag.

W tym momencie z trzaskiem i brzękiem tłuczonych szyb do wnętrza komnaty wpadło okno wepchnięte od zewnątrz z potężną siłą. W otworze ze złowrogim warczeniem pojawił się wyszczerzony smoczy pysk. Wielkie jak sierpy pazury przeorały freski pod oknem, żłobiąc głębokie bruzdy w tynku. Mówca odskoczył w tył jak oparzony. Ponad ogólne krzyki zaskoczenia i przestachu wybił się jego histerycznie cienki głos:

- Precz! Nic mu nie jest! Nic mu nie jest!!! Precz!!!

Pożeracz Chmur przestał warczeć, obrzucił podejrliwym wzrokiem wnętrze sali, lecz jego wargi opuściły się, przysłaniając wielkie zębiska. Przyjrzał się śpiącemu chłopcu, który tylko poruszył się nieznacznie, śpiąc nadal głęboko.

- Dajcie mu jeść - burknął smok, po czym wy dostał łeb spomiędzy sterzących resztek połamanej futryny i wrócił na swój posterunek na dziedzińcu. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

*

Świadomość wracała powoli. Chłopiec otworzył oczy, wciąż jeszcze lekko oszołomiony i senny. Nad sobą ujrzał zagadkowo uśmiechnięte oblicze górala. Leżał na twardej posadzce, z głową ułożoną na kolanach mężczyzny. Podniósł się natychmiast. A jednak zemdłał... Niedobrze.

„Czy ja zdałem? Czy zdałem?”

Jednakże to całkiem naturalne pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Czterech magów rozmawiało między sobą, gestykulując zamasyżycie. Zaszczycali chłopca zaledwie przelotnymi spojrzzeniami, których wyrazu nie umiał określić inaczej niż coś w rodzaju zakłopotania. Z jakiegoś powodu magowie co rusz familiarnie klepali po ramionach hajgońskiego Stworzyciela. To znów pochylali przed nim głowy w wyrazie szacunku. Co się tu działo, na Los i do czarnej zarazy?!

Zirytowany i zaniepokojony Kamyk rozejrzał się szybko, po czym złapał się za głowę. Szczałki rozbitego okna rozrzucone po podłodze, ślad pazurów na ścianie - nieomylnie „podpis” Pożeracza Chmur. Jeżeli każą mu zapłacić za szkody, to on już się postara, aby piekielne smoczysko odpracowało je z nawiązką. A jeżeli Pożeraczowi coś się stało?! Tknięty tą nagłą myślą, chłopak podskoczył do wybitego okna, by wyrzeć na zewnątrz. Ku jego wielkiej uldze zobaczył smoka, rozciągniętego w niedbałej pozie na grzbiecie i wystawiającego brzuch do słońca. Najwyraźniej nie tylko nic mu nie groziło, ale nawet nie przejął się ruiną kosztownego fresku i jeszcze kosztowniejszego witraża.

Chłopiec na nowo skierował wzrok do wnętrza sali. Magowie nadal rozprawiali między sobą, nie zwracając na niego uwagi.

„Czy to wystarczy?” - wypisał pytanie w powietrzu, niebieskimi znakami.

Żadnej reakcji.

„CZY TO KONIEC? STARCZY? ZDAŁEM?” - tym razem symbole były wielkie i czerwone.

Wiatr Na Szczycie popatrzył na niego z krzywym uśmiechem. Reszta wymachiwała rękami, spierając się o coś nadal. Kamyk poczuł, że jego opanowanie kruszy się jak wyschnięta babka z błota. Od jego stóp we wszystkich kierunkach po marmurze z trzaskiem rozpełzły się szczeliny. Posadzka zadrżała, wibracje przeniosły się na ściany, z których zaczął płatami opadać tynk. Zdezorientowani magowie rozglądali się nerwowo. Tylko Wiatr Na Szczycie, zupełnie nieprzejęty, potoczył wzrokiem po pękających ścianach i wzruszył ramionami. Przed nim uformował się

W powietrzu duży, toporny, jakby wykuty z kamienia napis:

„JAK DLA MNIE WYSTARCZY. TAK SE MYŚLĘ, ŻE SIĘ NIE BOISZ IGIEŁ, CO, MŁODY?”

W jednej chwili iluzja rozwiała się. Na twarzy chłopca odmalowywały się kolejno: szok, zdumienie, a w końcu wyraz urażonej rezygnacji.

„Nie boję się igieł... Mistrzu Iluzji...”

Kamyk sam już nie wiedział, czy bardziej jest zły, czy rozbawiony. Dał się nabrać na krzesło z fałszywym znakiem, ale któż mógłby przypuszczać, że zwalisty i (co tu kryć) dość prostacki w obejściu Hajg para się tak delikatną sztuką jak tkanie miraży? Coś niewiarygodnego. Jego pierwsze w życiu spotkanie z innym Tkaczem Iluzji wypadło... delikatnie to określając... dziwnie. Przynajmniej jednak mógł się teraz jakoś z Wiatrem Na Szczycie porozumieć, kiedy ten odsonił swoją prawdziwą tożsamość. Znaki, wywoływane przez mężczyznę, były nieforemne i mało czytelne, ale rozpoznawalne. Używał najprostszego klucza, ze zrozumiałych powodów nazywanego „sklepiarskim”, gdyż stosowali go najskromniej wykształceni rzemieślnicy. Było to lepsze niż nic...

Sprawy zaczęły toczyć się coraz szybciej. Hajgoński mag nie opuszczał chłopca na krok, zupełnie jakby sam siebie wyznaczył jego strażnikiem. Razem zjedli posiłek w wielkiej kuchni zamkowej (jednej z kilku podobnych), potem Wiatr Na Szczycie towarzyszył chłopcu do szwalni, gdzie zmierzono, jak długa ma być nowa błękitna szarfa świeżo upieczonego maga, a następnie również razem poszli do komnat zajmowanych przez Mistrza Tatuazy.

Kamyk zdążył się przekonać, że choć magowie różnych stanów żyją rozmaicie - dostatnio lub skromnie, w mieście albo na zapadłej wsi - ich siedziby mają jedną wspólną cechę: cały dom zwykle jest jedną wielką pracownią. Bezczynność była czymś niemieszczącym się w pojęciu członka Kręgu. Nie inaczej prezentowała się komnata tatuażysty. Podobnie jak u Monety ściany bez reszty zawieszono pstrokatą mozaiką kolorowych rysunków. Z tym że u młodzieńczego malarza z Bursztynowego Brzegu dominowały pejzaże, natomiast tutaj chłopiec widział natłok barwnych wzorów, zwierząt roślin i symboli.

Leżąc już na stole Mistrza Tatuazy, wciąż jeszcze wodził wzrokiem po rysunkach, domyślając się, że są szablonami, według których mężczyzna wykłuwawa zawile wzory na skórze swych klientów. Z całą pewnością artysta nie zajmował się jedynie młodymi adeptami magii. Zajęty obserwacją, obróciwszy głowę w stronę ściany, Kamyk nawet nie zauważył, kiedy Mistrz Tatuazy podszedł do niego i bez żadnych ceremonii, wprawną ręką wbił igłę. Trafił prosto w

nerw. Chłopak podskoczył raptownie w górę, jak ryba rzucona żywcem na gorący olej.

*

Wiatr Na Szczycie ukradkiem obserwował młodego Tkacza Iluzji. Chłopak mu się podobał - miał siłę i charakter, chociaż uparciuch był z niego niewąski. Niezły byłby z niego Gwiazda, choć na to już trochę za stary. Gwiazdą dzieciak zostawał, zanim jeszcze dorósł do końskiego pyska, a ten tutaj tak się w górę wyciągnął, jakby konia chciał prześcignąć. Nikt nim nie kierował, to po oczach biło, a w każdym razie nie na sposób hajgoński. Ot, Jeź go kolnął igłą (z nagłą, po prawdzie), a już skoczył w górę jak ryba na hak nadziana. Nikt go nie uczył, jak ból chować do środka, jak sobie z nim radzić. Gdyby Wiatr mu na kark „cegi” założył, toby tylko skamlał jak psiak... a może i nie. Jedno pewne - ani uwolnić by się nie umiał, ani ruszyć nawet. Hajg pokręcił głową z niezadowoleniem. Marnotrawstwo, ot co. Chłopaczysko rosło, choć chude jak drąg, a układają go do pióra i pergaminów, zamiast do miecza i łuku. Marność, marność, ot co!

*

Po pierwszym ukłuciu igłą, które tak bardzo Kamyka zaskoczyło, chłopak zacisnął zęby z postanowieniem, że nie będzie z siebie robił pośmiewiska. Zabolało, owszem, ale przecież nie bardziej niż szycie ręki, które swego czasu przeprowadził na nim Płowy. Chłopak spojrzał z lekką obawą na starszego Mistrza Iluzji, ale nie zobaczył na jego twarzy drwiącego uśmiechu. Hajg przypatrywał mu się spod przymkniętych powiek, a jego kciuk jakby bezwiednie gładził niebieski pasek klanowego tatuazu, biegnący wzdłuż linii szczęki. O czym myślał? Może wspominał miedziane igły plemiennego szamana, a może dzień, w którym sam leżał na miejscu Kamyka, poddając się zręcznym dłoniom Mistrza Tatuazy?

Tatuazysta pracował za pomocą pęczka cienkich igiełek i czegoś, co wyglądało jak miniatura drewnianego młotka kamieniarskiego. Uderzenie... uderzenie... uderzenie... tępy ból rozlewający się pod skórą... dotyk gąbki, wycierającej krew... na końcu mężczyzna wcierał w drobne ranki sproszkowany barwnik, przypominający sadzę. Może to zresztą była sadza? A potem cała procedura powtarzała się od nowa i od nowa w jednostajnym rytmie.

„Dlaczego tamten chłopak poparzył się ogniem, który nie był prawdziwy?” - Kamyk zadał w końcu pytanie, które nurtowało go od dawna.

Wiatr Na Szczycie wzruszył lekko ramionami.

„Bo to nie jest tak, że to zwidy ranią albo coś nam robią. Wszystko mamy w głowie, młody.”.

„Tamten mag w Lotosowej Sali próbował przejść przez krzaki i tylko się podrapał, ale tobie się udało.”

„Bo mówię tobie jeszcze raz, że to wszystko to tylko nasze gdybanie - odparł Hajg za pomocą swego niezdarne pisma. Widoczne było, że nie jest przyzwyczajony do takiego sposobu komunikacji. - Puchacz za dużo miał we łbie, za dużo kombinował i dlatego zarobił krechę na pysku. Jakby nic nie myślał, nie bał się, toby przeszedł. Patrz.”

Nagle skądś wyciągnął nóż i z rozmachem wbił ostrze wprost w dłoń niczego niepodejrzewającego Kamyka, przybijając ją do blatu. Chłopak zawył zdławionym głosem, zerwał się gwałtownie, waląc przy tym głową prosto w nos pochylonego nad nim tatuazysty.

Mężczyzna chwycił się za twarz, skręcając się z bólu.

- Wiatr... ty zaraz... jesteś pomieszany jak chory borsuk! Jak ja mam pracować w takich warunkach?! - wybełkotał. - Leż mi tu! - burknął ze złością na chłopaka, popychając go z powrotem.

Ostrożnie odjął dłoń od nosa i sprawdził, czy nie pokazała się krew. Tymczasem młody Tkacz Iluzji w szoku wpatrywał się w swoją rękę. Już w następnej chwili ostrze ulotniło się. Kamyk z niedowierzaniem uniósł dłoń ku oczom. W miejscu, gdzie została „zraniona”, widniało brzydkie zaczerwienienie, pulsował z niego tępy ból, promieniujący aż do łokcia. A po paru sekundach przez skórę drobnymi kroplami zaczęła przesączać się krew.

„No i sam widzisz. Nóż nie był prawdziwy, ale ty wierzyłeś, że był. A nawet teraz jeszcze twoja głowa wierzy, że to się stało naprawdę” - podjął Wiatr Na Szczycie.

„To bolało! - napisał Kamyk, z gniewem marszcząc brwi. - Czemu to zrobiłeś?”

„Żebyś się czegoś nauczył. Teraz to se na pewno zapamiętasz” - odparł Hajg z kpiącą miną.

Kamyk ostrożnie zgiął i rozgiął palce. Ból zelżał, krew przestała się sączyć. „Wszystko mamy w głowie...” Rzeczywiście, w ludzkim umyśle kryły się rozmaite zadziwiające rzeczy, ale wolały uczyć się tego raczej w sposób łagodniejszy. Zerknął na Hajga, który znowu bawił się nożem - nie miał pewności, czy tym razem było to prawdziwe ostrze, czy znów miraż. Wiatr Na Szczycie mrugnął do niego żartobliwie, przykładając sobie ostrze do szyi.

„Przestań!” - Kamyk zacisnął powieki, w obawie, że zaraz zostanie poczęstowany nader realistycznym pokazem podrzynania gardła. Stanowczo, Wiatr Na Szczycie miał w głowie jeszcze gorzej poukładane niż Pożeracz Chmur, który był przecież smokiem!

Tymczasem Mistrz Tatuaży zmienił narzędzie, wykluwając bardziej zawiły wzór znaku profesji. Kamyk próbował unosić głowę, by spojrzeć na wyniki jego pracy, ale za każdym razem otrzymywał szturchnięcie w brodę, nakazujące, aby leżał bez ruchu, więc w końcu dał spokój. Wiatr zaprzestał sztuczek z nożem, toteż chłopiec podjął na nowo pisaną rozmowę o sprawach dotyczących tkania iluzji albo samego Znaku Dłoni.

Potem jednak tatuażysta przeszedł do kolejnego etapu swej pracy, która z niewiadomych powodów okazała się dużo bardziej bolesna. Chłopak leżał, zaciskając mocno dłonie na brzegach stołu. Wybrał jeden rysunek wiszący na ścianie i skoncentrował się na nim, usiłując nie myśleć o bólu. Ku jego zmieszaniu, łzy napływały mu do oczu, więc mrugał, próbując je odpędzić. Nie miał już ochoty patrzeć Mistrzowi Tatuaży na ręce. Cokolwiek się działo z tym kawałkiem ciała, należącym do niego, chłopiec miał wrażenie, że bezlitośnie zdarto mu z tego fragmentu skórę, a teraz tatuażysta grzebie w mięśniach rozpalonym gwoździem. Pojedyncza łza spłynęła Kamykowi po skroni. Zaczął mrugać jeszcze mocniej, marszcząc się przy tym gniewnie. Co za wstyd! Przecież nie on pierwszy i nie ostatni przez to przechodzi. Leżał na tym miejscu przed laty Płowy; to samo przeżyli wszyscy chłopcy, których widział tej wiosny w Zamku Magów, i z pewnością również sam Wiatr Na Szczycie. Popatrzył ukradkiem na górala, napotyając uważne spojrzenie czarnych oczu.

„Nic, młody, to nic. Przejdzie, minie.”

„Wiem” - odparł Kamyk z ponurą miną, zaciskając zęby jeszcze mocniej.

Tatuażysta odszedł na moment, by wyciągnąć coś z szafki wpuszczonej w gruby mur. Po chwili położył chłopcu na piersi zimny przedmiot, owinięty w chustkę. Ból, który zdawał się promieniować przez całe ciało na wylot, zelżał wkrótce do miejscowego pieczenia, a to dawało się znieść.

*

„Jak tam idzie?” - odezwał się w głowie Wiatru Na Szczycie znajomy przekaz mentalny Bławata Mówcy.

„Akurat go Jeź wytrawia. Niebawem koniec” - odpowiedział w myślach Hajg. Prawie mógł sobie wyobrazić, jak Bławat się krzywi.

„To pewno dzieciak wyje”.

„A właśnie nie wyje. Jeź lodem go obłożył zresztą. Słuchaj, Bławat, dajcie mi go. Nadałby mi się, mocny jest. Chcecie z niego skrybę zrobić? On ma i głowę, i rękę do ostrza”.

„Tobie by się każdy nadał. Ustalono z góry, że chłopak na razie wraca do domu. Jeszcze nie czas, żeby go tu sprowadzać. Nie mąć teraz. A ty posłuchaj, cośmy tu uradzili, bo będziesz potrzebny...”

Chłopak nadal leżał spokojnie, błądy i zmęczony, ale wciąż dzielny. Wiatr Na Szczycie słuchał widmowego głosu przemawiającego w jego głowie i uśmiechał się lekko. Szykowała się niezgorsza zabawa...

*

Nareszcie koniec! Kamyk odetchnął z ulgą, kiedy Mistrz Tatuazy ostrożnie wytarł resztki krwi wymieszanej z farbą.

„Chodź tu, obejrzyj się” - zachęcił Wiatr Na Szczycie, ciągnąc chłopca za rękę do lustra, stojącego na jednym ze stołów.

Kamyk zerknął nieufnie, a jednocześnie z wielką ciekawością. Miał niejasne obawy, że po tym wszystkim, co przeszedł, zobaczy na swej piersi wyrwaną okropną ranę. Tymczasem jednak, ku swemu zdziwieniu, ujrzał po prostu łatę zaczerwienionej, podrażnionej skóry, a pośrodku niej czarny symbol, „dłoń” oznaczającą kastę Tkaczy Iluzji oraz... dolną połowę okręgu!! Do czarnej zarazy! Po tym wszystkim tylko tyle? I dlaczego połowa? Był połową maga, czy co?!

„Dlaczego pół?” - wypisał w powietrzu, ze zdenerwowaniem spoglądając to na Hajga, to na tatuazystę.

Hajg wyszczerzył kpiąco zęby, a w odpowiedzi odsłonił własny tatuaz. Podobnie jak u chłopca, tworzył go pojedynczy znak pisma, który u dołu ograniczony był czarnym półokręgiem, za to u góry dopełniony półkolem błękitnym.

„Widzisz, młody, docenili twoja robotę. Pomyśleli se, że nadasz się im na błękitnego mistrza, no to dali ci już na zapas tę połowę, coby farby nie marnować. Będiesz się teraz jeszcze uczył, a potem się obaczy... może na moje miejsce przyjdiesz. Mało nas jest, znaczy Tkaczy Iluzji” - wyjaśnił Wiatr Na Szczycie.

Kamyk gapił się w lustro, oszołomiony. Ta nieszczęsna połówka okręgu okazała się większym zaszczętem, niż mógłby sobie wymarzyć. On - Tkaczem w randze Mistrza! Następcą Wiatru Na Szczycie w Zamku? To było coś niewiarygodnego, to chyba sen...! Jak bardzo dumny będzie z niego Płowy... Dotąd myślał o zdobyciu certyfikatu jak o czymś ostatecznym. Tymczasem wszedł na jedną górę, a za nią ukazała się następna. Ile jeszcze musi pracować, by błękitny łuk zwieńczył czarną podstawę?

Uniósł rękę, by dotknąć świeżego tatuazu, na którym zasychała cienka warstewka limfy. Mistrz Tatuazy złapał go jednak za przegub, przyłożył do rany czystą szmatkę, po czym zaczął bandażować, fachowo przeciągając pas białego płótna przez pierś i bark. Wytoczył przy tym

przed chłopcem cały arsenał przestróg i instrukcji, które Wiatr Na Szczycie tłumaczył skwapliwie na język pisany, ukradkiem przy tym przewracając oczami i robiąc miny.

Nie dotykać brudnymi łapami, nie odwijać, nie drapać, nie zrywać strupa wraz z opatrunkiem, nie chlapać się w rzece, bo woda brudna i się zakazi...

Kamyk z początku czytał to cierpliwie, ale kiedy doszło do „unikać alkoholu”, krnąbrnie zamknął oczy. Wychował się pod dachem medyka i większą część dzieciństwa zatruty mu podobne wykłady oraz pytania w rodzaju: „Co ci zaszkodziło i dlaczego niedojrzałe jabłka?”.

„I co teraz?” - zapytał chłopak po chwili, patrząc na Hajga z nadzieją.

„Teraz weźmiesz swoja nagrodę, młody” - odparł Wiatr Na Szczycie, klepiąc go po ramieniu.

*

Nazywam się Kamyk, syn Stokrotki, z ojca Chmury, z domu Obserwatora Płowego. Jestem teraz pełnoprawnym członkiem Kręgu Magów, ale jakoś nie czuję się inaczej niż przedtem - może tylko odrobinę mądrzejszy i bardziej doświadczony. To, co Mistrz Iluzji z Zamku - Wiatr Na Szczycie - nazywał „wytrawianiem”, pozostanie mi w pamięci do końca Życia. Zapewne właśnie to było zamierzeniem człowieka, który wymyślił tę torturę. Wykonanie tatuazu za pomocą kwasu wymaga pewnej ręki i niebagatelnych umiejętności (a także wyjątkowego hartu ducha u ofiary), za to taki rysunek jest niewidzialny. Dopiero kiedy Wiatr Na Szczycie potarł mocno swój tatuaz, zobaczyłem, że pod nabiegłą krwią skórą pojawiają się białe blizny, tworzące po obu stronach znaku kasty napis „Krag Magii”. Wiatr Na Szczycie wyjaśnił mi, że to ma zapobiegać pojawianiu się podrabianych Obserwatorów, Przewodników Snów i rozmaitych innych oszustów żerujących na ludzkiej naiwności. Podobno każdego roku łapie się paru ryzykantów z fałszywym tatuazem, chociaż wycina się im go potem z ciała dość brutalnie, a sam winowajca kończy smutno, zakopany po szyję w dole na Polu Żalości.

Myślałem, że to odbędzie się zwyczajnie, że po prostu dadzą mi księgę i szarfę, a potem będę mógł wrócić do domu, by na nowo obłożyć się książkami i kontynuować naukę - do chwili, gdy znajdzie się dla mnie odpowiedni promotor (Wiatr Na Szczycie nie nadaje się na nauczyciela, a błękitnych Tkaczy Iluzji jest znikoma liczba). Mój przewodnik zabrał mnie jednak do jakiejś małej komnatki, gdzie już czekali na nas Mówca i Wędrowiec, których znalazłem z próby talentu. Mówca otworzył przede mną drzwi prowadzące do następnej komnaty, ale zamiast zwyczajnego wnętrza zobaczyłem za nimi gęsty mur z gałązek i liści. Taką samą żywopłotową ścianę, jaką przedtem stworzyłem podczas egzaminu. Mówca uśmiechnął się drwiąco. „Teraz ty poszukaj drogi” - przekazał mi myśl wprost do głowy i zrobił zapraszający gest. Obejrzałem się na Hajga, ale on miał tak niewinną minę, jakby nie miał absolutnie nic wspólnego z ogrodem rosnącym w środku domu. Pomacałem żywopłot. To musiał być miraż, ale był to w takim razie ZNAKOMITY miraż.

Zajrzałem w przejście - zielone korytarze, tak jak się spodziewałem. Miałem się teraz po nich błąkać bezradnie, póki starzy nie nasycą się tą subtelną zemstą. Musiałem im jednak nieźle zaleźć za skórę. A wtedy przypomniałem sobie, co mi klarował Wiatr Na Szczycie. „To wszystko jest tylko w głowie”. Zamknąłem oczy, zaczęłem głęboko i regularnie oddychać, usiłując oczyścić umysł ze wszystkich śmieci - tak jak mnie uczył ojciec Płowy. A potem poszedłem naprzód. To nie było przyjemne - lubię widzieć, co mam przed sobą - ale okazało się skuteczne. Iluzja to tylko iluzja, choćby nie wiadomo jak dobrze utkana. Kiedy człowiek będzie się bardzo starał w nią nie

wierzyć, to ulotni się. Skupiałem się tylko na dotyku, co przypomniało mi Mglę (może kiedyś o niej tu napiszę). Pod stopami wyczułem kilka stopni. Wysunąłem nieco rękę, na wypadek, gdybym miał na coś wpaść. Przeszło mi przez głowę, że wyglądam na pewno śmiesznie, macając tak przed sobą jak w dziecińskiej grze w ślepuna. Otworzyłem oczy - wokoło nadal było zielono, więc znów skupiłem się na niemyśleniu. Wszędzie unosił się zapach liści, co trochę przeszkadzało, ale zacząłem wyobrażać sobie po prostu łąkę, pełną różnych pachnących ziół. Płaską i zupełnie bezpieczną. Raptem ktoś skubnął mnie za włosy, a potem trącił w ramię. Zacisnąłem powieki jeszcze mocniej.

„Jeśli podstawisz mi nogę, napuszczę na ciebie Pożeracza Chmur!” - zagroziłem, bo nie byłem w nastroju do głupich żartów.

„Nikt nie ma takiego zamiaru. Po prostu zaraz miniesz swój upragniony cel” - w głowie odezwał mi się Mówca.

Otworzyłem więc oczy i zobaczyłem, że faktycznie stoję obok pulpitu do czytania, na którym leżała gruba, oprawna w skórę księga z miedzianymi okuciami, bardzo podobna do tej, którą posiada Płowy. A na niej spoczywał pas błękitnego jedwabiu. „Błękit maga” - pomyślałem wtedy. Jedwab był chłodny i śliski w dotyku. A kiedy uniosłem głowę, aż wzdrygnąłem się z wrażenia. Komnata miała okrągły kształt, podobnie jak Sala Lotosowa, a wokół niej znajdowało się coś w rodzaju kruzganka z korowodem kolumn. Od niego zbiegało w dół kilka szerokich, płaskich stopni, co wyglądało tak, jakbym stał na dnie wielkiej, kanciastej misy. A pomiędzy marmurowymi słupami stało chyba z pięćdziesięciu magów i wszyscy gapili się na mnie! Niektórzy byli jeszcze bardzo młodzi - wyglądało na to, że nosili szarfę od roku, może dwóch; a co najmniej kilku siwizna już przysypała ciemne włosy. Jedni patrzyli z powątpiewaniem, a inni się uśmiechali (teraz sądzę, że chcieli po prostu być mili, ale wtedy wydawało mi się, że drwią ze mnie). Nie wiem, który pierwszy podniósł rękę do pozdrowienia, lecz potem coraz więcej starszych magów unosiło dłonie z rozpostartymi palcami, całkiem jakby chcieli w ten sposób pokazać symbol Tkaczy i przekazać wiadomość, że jestem jednym z nich.

Wiatr Na Szczycie wyjął mi szarfę z ręki, bo stałbym tak jeszcze - zupełnie ogłupiały - a potem pomógł mi się nią owinąć w pasie, bo szarfa magów jest prawie dwukrotnie dłuższa od tej, jaką noszą zwyczajni ludzie. A potem Hajg podniósł rękę, tak samo jak reszta, i napisał tymi swoimi niezdarnymi znakami:

„Będę na ciebie czekał, młody. Będę czekał, następcu”.

I właściwie dopiero wtedy uwierzyłem do końca, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

*

Kamyk uniosł głowę znad księgi i jego wzrok padł wprost w ciemnobrunatne oczy Pożeracza Chmur. Młody smok wyszczerzył ostre zęby w uśmiechu, a potem ziewnął, pokazując na moment czarny język - nadal miał zwyczaj oblizywania rysika. Przed nim leżał dopiero co ukończony rysunek. Czarne linie tuszu układały się w wizerunek smoka, który właśnie rozkładał skrzydła i odrywał przednie łapy od ziemi, jakby zrywał się do lotu. Niósł na karku jeźdźca. Obaj - człowiek i smok - patrzyli przed siebie z napięciem, jakby gdzieś poza granicami papieru działo się coś niezwykle zajmującego.

„Wiosną sprawdzimy, jak daleko jest horyzont” - przekazał Pożeracz Chmur, mrużąc oczy.

Kamyk uśmiechnął się w odpowiedzi. Wiosna niosła ze sobą wiele obietnic.

Kiedy zapominasz o czyichś urodzinach, źle to o tobie świadczy. Ale jeszcze gorzej, jeśli ktoś

zapomina o twoich urodzinach. Człowiek czuje się samotny jak pies i nikomu niepotrzebny. Natomiast jeśli nie znasz dnia własnych urodzin, to jest to rzecz godna pozazdroszczenia. Naprawdę jest to czysta przyjemność, wbrew pozorom. Możesz sobie wtedy wybrać taki dzień, który będzie ci się najbardziej podobał. Gdy Płowy wziął mnie do siebie, byłem jeszcze małym dzieckiem. Moich rodziców zabrała zaraza, nie miałem żadnych krewnych i nikt przecież nie mógł dokładnie pamiętać, kiedy urodziła się jedna z wielu sierotek. Wiadomo było tylko, że przyszedłem na świat wiosną, kiedy drzewa owocowe gęsto pokrywają się kwiatami. Wszystko wtedy pachnie oszałamiająco, a pszczoły dostają amoku. Słońce wstaje pod gwiazdozbiorem Rydwanu, który ponoć patroluje niespokojnym duchom. To dobry czas na świętowanie. Gdybym urodził się w samym środku zimowej pluchy, pewnie w końcu i tak przeniósłbym swoje urodziny na wiosnę, na przekór wszelkim gwiazdom. Każdej wiosny codziennie otwieram okno, rozglądam się po świecie, patrzę na kwitnące wiśnie. Poranki pachną mokrą od rosy trawą, kwiatami i dymem z paleniska, gdzie Płowy co rano gotuje mleko. Aż wreszcie nadchodzi taki dzień, kiedy w środku czuję bardzo wyraźnie, że to właśnie dziś, teraz i zaraz kończę jeden rok Życia, a zaczynam drugi.

Urodziny nie są aż tak ważnym zdarzeniem, aby je opisywać w kronice (nawet jeśli są to urodziny maga), ale właśnie tego dnia Pożeracz Chmur zadziwił mnie po raz kolejny. W ludzkiej postaci był bardzo podobny do mnie. Prawie ten sam wzrost, waga, kształt głowy i uszu... miał nawet identyczne zęby. W końcu nikogo innego, tylko mnie wziął sobie za wzór. Dlatego zresztą wszyscy w osadzie uwierzyli, że to rozwydrzone smoczysko jest moim odnalezionym po latach kuzynem. Ale nie o to chodzi. Przyzwyczailem się, że po obejściu krąży moja kopia - długonogi, kanciasty dryblas, sprawiający wrażenie, że ma za dużo kolan i łokci. A tymczasem dokładnie w dniu moich urodzin zauważyłem, że Pożeracz Chmur zmienił się nagle. Z dnia na dzień zrobił się jakby wyższy, szerszy w ramionach i ogólnie zgrabniejszy. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że Pożeracz Chmur w obcym ciele nie rośnie normalnie, tylko „dopasowuje się”. „Dopasowałem się właśnie” - oznajmił. Najpierw nie zrozumiałem, o co mu chodziło. „Do czego?” - zapytałem. Bardzo się śmiał. „Do ciebie!”

Coś takiego! To dlatego wszystkie moje koszule zrobiły się dziwnie ciasne! Zupełnie nie zauważyłem, że urosłem. Ale czy to moja wina, że w domu mamy tylko małe lusterko, w którym mieści się jedynie twarz?

Tak, Pożeracz Chmur różni się od człowieka, choć na pierwszy rzut oka wydaje się dość zwyczajny. Trzeba z nim pomieszkać przez dłuższy czas, by przekonać się, że nie rosną mu włosy ani paznokcie - po prostu schodzą co jakiś czas, podobne do półprzezroczystych rybich łusek. Zauważyliśmy też z Płowym, że Pożeracz nie ma żadnego konkretnego zapachu. Myje się ogromnie rzadko, więc wydaje się, że powinien zwyczajnie śmierdzieć jak zaniedbana obórka, ale nie. Nie ma własnego smoczego zapachu, co jest ogromnie dziwne. Przyjmuje woń otoczenia - pachnie sianem, kozami, drewnem albo wełną, w zależności od tego, gdzie przebywał ostatnio. Pisałem już wcześniej, że jest bardzo silny. Potrafi złapać mnie za ramiona i podnieść z taką samą łatwością, z jaką ja podnoszę wiązkę chrustu. Nie lubię tego. Zwykle wtedy staram się kopnąć go w goleń, bo jednak ból czuje tak samo jak każdy. Bardzo dobrze również widzi w ciemnościach. Niewiarygodne, ale Pożeracz Chmur potrafi złapać mysz gołą ręką. O tym nieraz przekonał się Płowy, kiedy smok urządził w nocy polowania na myszy, a potem tryumfalnie budził mojego biednego ojca, chwając się zdobyczą. Osobliwe i nieznośne stworzenie, ale przynajmniej się nie nudzę. Im więcej Pożeracz Chmur opowiada o swoich stronach i rodzinie, tym bardziej pragnę tam się znaleźć. Poczuc pod stopami gorący piach smoczego wyspy, zobaczyć

drzewa palmowe o pierzastych wierzchołkach. Przekonać się, czy rzeczywiście w tamtejszych lasach żyją gigantyczne węże, a w oceanie pływają syreny i ogromne lewiatany. Może mi się uda spełnić to marzenie.

Zgromadziliśmy ogromną ilość zapisków o Pożeraczu Chmur i jego obyczajach. Pracowicie spisywałem również jego opowieści „o domu”. Myślę, że nadszedł czas, by porównać opowieści z rzeczywistością.

Kamyk odłożył pióro i popatrzył z uśmiechem na przedmiot leżący na stole obok jego łokcia. Było to mordercze narzędzie - długi, ciężki nóż, wielkości niemal małego miecza. Czymś takim można było zarówno ściąć gałąź, jak i obronić się w razie potrzeby.

Tamtego dnia, w którym Kamyk zdecydował się na ukończenie szesnastu lat, Płowy jednocześnie uznał, że może przyznać się do porażki. Marzenie chłopca, by udać się ze swym smoczym przyjacielem za morze, zaczęło graniczyć z obsesją. Z jednej strony Obserwator, co tu kryć, obawiał się o bezpieczeństwo swego wychowanka, który, jak każdy nastolatek, uważał w głębi duszy, że jest nieśmiertelny, z drugiej zaś zdawał sobie sprawę, że okazja obserwacji smoków na ich własnym terytorium może już się nie powtórzyć. A Kamyk się upierał...

„Smoki są niebezpieczne” - powtarzał Płowy niemal do omdlenia rąk.

„Smoki są neutralne” - natychmiast ripostował chłopak i tak w kółko. W głębi duszy ciesząc się przy tym, że jest już nieco za duży na to, by wysłać go do łóżka bez kolacji. Pożeracz Chmur wspominał mu, co prawda, że istnieje ryzyko, iż gospodarze Smoczego Archipelagu nie przywitają zbyt miło człowieka... w praktyce oznaczało to, że Kamyk może zostać ciężko poraniony, a nawet zabity i pożarty, jeżeli akurat trafi na zły humor pobratymców młodego smoka. Pożeracz Chmur był inteligentny, przyjazny i posiadał nawet coś w rodzaju dobrych manier, ale nie należało rozciągać tych cech na całą smoczą rasę - z czego chłopiec doskonale zdawał sobie sprawę. Pokusa okazała się jednak zbyt silna, zduszając wszelkie głosy rozsądku. A przy tym Kamyk świetnie pamiętał mapę w domu Mówcy w Lenenji i tkwiącą w niej szpilkę o niebieskiej główce, oznaczającą pewnego odważnego maga imieniem Słony. Skoro ów Słony zaryzykował i przeżył, dlaczego nie miałyby się to samo udać jemu?

Aż w końcu, znękany uporem wychowanka, w dniu jego urodzin Płowy niechętnie wręczył mu ciężką klingę, na znak, że uznaje go za wystarczająco dorosłego, by odbył niebezpieczną zamorską wyprawę. Nóż był cudownym przykładem solidnej kowalskiej roboty. Tak świetnie wyważony, że nadawał się nawet do rzutów.

Płowy obserwował chłopca próbującego, jak leży mu w ręku nowa broń. Z drzew wiśniowych osypywały się białym deszczem drobne płatki - prześwietlone słońcem, osiadały Kamykowi na brunatnych lokach i na ramionach - dziwnie niepasujące do złowieszczego błysku na krawędzi ostrej klingi, która zdawała się wróżyć wielkie i groźne zmiany. Magowi ścisnęło się serce, gdy nagle pamięć podsunęła mu zamglony obraz mężczyzny, równie wysokiego, o tak samo pochmurnym i skupionym wyrazie twarzy. Kamyk bardzo mu przypominał swego nieżyjącego już ojca.

- On jest nherrau... przewodnik stada - mruknął Pożeracz Chmur, stojąc obok Płowego, zupełnie jakby czytał w jego myślach. Może zresztą tak było.

- To prawda, urósł, wydorósł - odpowiedział Płowy z westchnieniem. - Nie zatrzymam go tutaj. Tylko gdzie jego stado... hm?

- Wokół takich jak on stada same się zbierają - odparł smok i uśmiechnął się krzywo.

Gdy wyruszali, słońce dopiero wysuwało złote czoło ponad krawędź horyzontu. Krople rosy zwisały z traw i lśniły jak drobne klejnoty na liściach. Pajęczyny, oblepione poranną wilgocią, przypominały drogocenne naszyjniki. Rosa z poruszonych gałęzi spadała zniechęta na głowę. Szło się lekko, jakby wszelki lęk przed nieznanym, wraz z wyrzutami sumienia, pozostał na progu domu, gdy tylko Kamyk pożegnał się z przybrany ojcem.

Wraz z Pożeraczem Chmur wybrali odległy od wsi zakątek, na samym skraju pastwisk. Smok miał dokonać przemiany i lepiej, by nikt niepożądany go przy tym nie oglądał. Rosnące tu wysokie krzaki głogu zapewniały osłonę, a pastwisko tuż obok - wystarczająco dużo miejsca, by smok mógł wzbić się w powietrze.

Pożeracz Chmur rozejrzał się dokoła.

„Nikogo w pobliżu - stwierdził. - Żadnych ludzi. Wyczuwam tylko stado kóz i jakieś psy. Możemy zaczynać”.

Kamyk po raz ostatni ważył w ręku pakunki, które miały obciążyć grzbiet smoka. Starali się brać jak najmniej, licząc na własną pomysłowość i zręczne ręce. Jedna zmiana odzieży, ostrze do włóczni, dwa noże, nieco jedzenia i pudełko z solą, naczynie na wodę, krzesiwo i hamak (dodany w ostatniej chwili, gdy Pożeracz wspomniał mimochodem o robakach i skorpionach). Najwięcej ważyła paczka zawierająca ciasno zwinięte pergaminy, tusz w kostkach i rysiki z ołowiu. Z pewnością na Smoczym Archipelagu będzie wiele do obejrzenia i zanotowania. Płowy, u którego zmysł medyczny działał nawet przez sen, troskliwie skompletował przybranemu synowi obfity zestaw lekarstw, bandaże, a nawet jedwabne nici i znajome wygięte igły do szycia ran. Kamyk skwitował tę kolekcję tylko lekkim wzruszeniem ramion. „Jeśli coś mnie porani tak, żebym musiał się szyć, to pewnie i tak tego nie przeżyję” - pomyślał chłopiec i skierował uwagę w rejony przyjemniejsze. O ile można nazwać przyjemnym widok Pożeracza Chmur konsumującego kawał surowej wątroby. Smok jadł łapczywie i ze smakiem, pochłaniając wielkie kęsy krwawego mięsa, a sok spływał mu strużkami po brodzie, szyi i rękach, kreśląc na nich różowe ścieżki. Kamyk tylko westchnął. Pożeracz Chmur do przemiany potrzebował energii. Tak samo jak nie można rozpalić ognia bez wrzucania drewna do paleniska, tak samo nie ma co liczyć na to, że głodny smok zdoła przebudować swe ciało. A mięso było dla niego najlepszym „paliwem”.

Słońce pięło się tymczasem coraz wyżej, spijając rosę z trawy. Pożeracz Chmur przełknął ostatni kęs i oblizał palce. Rozebrał się, rzucając niedbale części ubrania na trawę.

Marszcząc brwi w skupieniu, przesunął po trawie bosą stopą. Zadreptał niezdecydowanie, wybierając miejsce niczym pies szykujący się do snu.

„Trochę jeszcze mokro”.

„Za parę minut będzie już całkiem sucho” - odparł Kamyk. Istotnie, słońce grzało coraz mocniej, a rosa ulatniała się z pośpiechem w niebiosa.

Pożeracz Chmur wybrał wreszcie kawałek murawy, który wyglądał najbardziej sucho. Zwinął się w kłębek, podkładając pod głowę ramię, jakby zamierzał zasnąć.

„Trzymaj się przynajmniej na cztery kroki ode mnie” - przykazał jeszcze surowo, zerkając niespokojnie na przyjaciela, po czym zamknął oczy i zerwał kontakt mentalny. Kamyk, który przywykł do odczuwania nieważkiego pomostu istniejącego zwykle między ich umysłami, wzdrygnął się z przykrością. Przez chwilę miał wrażenie, że tuż obok zatrzasnęły się gwałtownie grube drzwi i dostał nimi w czoło. Przykucnął, bezmyślnie zwijając w rękach rzuconą na bok tunikę. Nigdy dotąd nie był świadkiem smoczej przemiany i zdawał sobie sprawę, że Pożeracz

okazał ogromne zaufanie, pozwalając, by oglądał go przy zajęciu „brudnym, krępującym i niezbyt bezpiecznym”. Dodatkowo chłopca dręczyło wspomnienie z zeszłego lata, gdy młodemu smokowi ledwo powiodła się transformacja. Ale teraz przecież był starszy, bardziej doświadczony i najadł się na zapas...

Pierś Pożeracza Chmur unosiła się i opadała w głębokim, regularnym oddechu. Kamyk zaczął się już nieco uspokajać, kiedy po kolejnym wydechu pierś jego przyjaciela już się nie wzniosła. Kamyk ze zdenerwowania zaczął obgryzać paznokcie. Bezwładne chłopięce ciało, bezbronne w swej nagości, na jego oczach stawało się rzeczą. Tkacz Iluzji bezwiednie wyciągnął rękę w stronę smoka, lecz natychmiast cofnął ją. Pożeracz Chmur bardzo stanowczo zabronił mu dotykać się w czasie transformacji. Nie było to bezpieczne ani dla jednej, ani dla drugiej strony. Kamyk zdał sobie sprawę, że skóra Pożeracza blednie. Z każdą chwilą stawała się coraz jaśniejsza. Jego włosy powoli brązowiły, potem nabrały koloru słomy, podobnie jak brwi i rzęsy. Pożeracz Chmur tracił naturalną barwę niczym obrazek zbyt długo pozostawiony na ostrym słońcu. Wreszcie całe jego ciało przybrało kolor białego marmuru. Kamyk szeroko otwartymi oczami, z fascynacją przyglądał się, jak rysy twarzy Pożeracza - tak podobnej do jego własnej! - zacierają się. Całe ciało smoka zaczęło tracić pierwotny kształt, zupełnie jakby było ulepioną z chlebowego ciasta figurą rozpływającą się w upale. W końcu na trawie pozostała tylko nieforemna bryła nieprzypominająca już nawet człowieka.

Kamyk przełknął kurczowo ślinę i cofnął się. Czuł, jak ziemia drga mu leciutko pod stopami. W powietrzu unosił się dziwny zapach, którego w pierwszej chwili nie potrafił określić. Potem uświadomił sobie: pachniało burzą. Bryła pierwotnej materii, która do niedawna była ludzkim ciałem, teraz marszczyła się; po jej powierzchni przebiegały drobne fale. Zagarniała ziemię wokoło siebie, wchłaniając ją niczym łapczywa, ślepa bestia i rosnąc coraz bardziej. Proces trwał. Substancja zaczęła przybierać pewne określone kształty - wpierywając niezgrabne kontury zwierzęcia ciężkiego i niezdarnego jak zabawka ulepiona z gliny. Wkrótce jednak stworzenie nabrało smukłości i elegancji charta, i coraz bardziej przypominało smoka. Z jego grzbietu wyrosły skrzydła, a ciało pokryło lśniące białe futro. W końcu na dnie płytkiego krateru pojawił się Pożeracz Chmur we własnej postaci - nowiutkiej, ukończonej do ostatniego pazura i włosa. Czerwone ślepia otworzyły się powoli, smok poruszył nozdrzami, uniósł łeb i kichnął. Rozejrzał się, nieco oszołomiony, potrząsnął łbem. Wylazł z zagłębienia i przeciągnął się w koci sposób, wyciągając za siebie każdą łapę osobno, po czym zamasyżuje wytrząsnął piasek z sierści.

„Czy to nie bolało?” - spytał Kamyk, oddychając z ulgą, i usiadł na trawie.

„Niczego tym razem nie pomyliłem, więc nie bolało. Dobrze się czuję, tylko jestem głodny - odparł smok, wężąc intensywnie. Obliznął się wielkim różowym ozorem. - W pobliżu są jakieś krowy...”

„Nie wolno ci zjadać cudzych krów! - sprzeciwił się chłopiec. - To stado przecież do kogoś należy”.

Pożeracz Chmur zmarszczył nos i spojrzał na niego zezem.

„Krowa należy do kogoś, jak jest upolowana i nieżywa. Naprawdę nie widziałem nigdy, żeby CZYJAŚ zdobycz łąziła sobie po łąkach i srała w stokrotki”.

Kamyk nie miał sił ani ochoty, by się z nim kłócić. Smocza logika charakteryzowała się tym, że po pierwsze nie miała wiele wspólnego z ludzką, a po drugie trudno dyskutować z kimś o takich gabarytach. Pożeracz Chmur wystawił łeb ponad krzaki, lustrując okolicę. Nadal węszył przy tym zajadle i strzygł nerwowo uszami. Był znów głodny, a to sprawiało, że wszystko inne schodziło na plan dalszy, zwłaszcza dyskusje o moralności.

„Są!" - Pożeracz Chmur z podekscytowaniem przekazał wprost do umysłu Kamyka obraz niewielkiego stada, które spokojnie przeżuwało trawę na łagodnym stoku. Chłopak zamrugał, usiłując pogodzić ze sobą widok zarośli, jakie miał na wyciągnięcie ręki, z tym co pchało mu się nachalnie do głowy. Krowy miały rogi pomalowane jaskrawoniebieską farbą, wyraźnie widoczną z daleka. Wepchnął się między giętkie gałęzie, rozgarniając je na boki, i wytknął głowę z drugiej strony krzaka. Za bliższym stadem majaczyło drugie, nieco liczniejsze. Kamyk zmrużył oczy, próbując rozpoznać barwę, którą oznaczono zwierzęta.

„Pożeracz, czy tamte dalsze sztuki mają czerwone rogi?"

„Czerwone" - potwierdził smok nieuważnie, przeskakując z gracją krzewy. Oblizał sobie nos, futro na grzbiecie drgało mu z niecierpliwości jak kotu, który czai się na mysz. Kamyk wyszczerzył zęby w nieładnym uśmiechu. Tylko jeden gospodarz w okolicy znaczył swoje zwierzęta czerwoną farbą. Zębaty - skąpiec i zawistnik, przez lata zdążył zniechęcić do siebie wszystkich mieszkańców Żmijowych Pagórków, a zwłaszcza dzieci, które szczuł psem, jeśli odważyły się przekroczyć granice jego sadu. Kamyk, tak samo jak wszyscy chłopcy w okolicy, miał zatargi z Zębatym, za poszarpaną przez psa tunikę i za siniaki nabite laską.

„Mam prośbę. Jeśli ci to nie zrobi różnicy, zjedz którąś z krów z czerwonymi rogami".

„Proszę bardzo".

„Smacznego".

Smok wzbił się w powietrze i poszybował w kierunku czerwonorogiego stada, a Kamyk patrzył za nim, w pozie pełnej satysfakcji, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Nie było to dobre uczucie, lecz zemsta ma tak słodki smak, nawet jeśli czeka się na nią latami.

*

Latanie jest oszałamiającym doznaniem. Oglądania świata z góry nie da się porównać z niczym innym. Nagle wszystko staje się mniejsze, oddalone, a jednak widoczne, a świat widziany z tej perspektywy wydaje się dziwnie obcy i w pewien niezwykle sposób traci na znaczeniu. Trakty przypominały wąskie tasiemki, rzeki - srebrnoniebieskie węże pełznące pośród szmaragdowych równin. Lasy były wielkimi, ciemnozielonymi dywanami, wśród których tu i ówdzie widniały łysiny wyrębów. W osadach, nad którymi przelatywał smok, chaty widziane z góry wyglądały jak stada owiec zbitych trwożliwie w gromadki - siwe lub płowe, zależnie czym pokryto ich dachy. Pola, na których dojrzewało już wczesne zboże i rozmaite warzywa, kojarzyły się z pstrokatym, połatany płaszczem włóczęgi.

Smok szukał powietrznych prądów i płynął na nich, podtrzymywany wiatrem, oszczędzając siły. Kamyk z ciekawością oglądał krajobrazy poniżej, usiłując dopasować widoki do mapy, którą swego czasu studiował w domu i znał już na pamięć. Szeroka wstęga błękitu, po której pełzły niespiesznie ciemne punkciki tratw i żaglowych barek, musiała być rzeką Enite - największą drogą wodną cesarstwa. Po pewnym czasie na horyzoncie pojawiła się grupa całkiem wysokich wzgórz skupionych razem jak śpiące zwierzęta pokryte zielonym futrem. Pożeracz Chmur zniżył lot. Smoczy cień sunął po zboczach, niepokojąc pasące się tam kozy oraz pilnujących ich pasterzy i psy. Kamyk poklepał smoka po karku, zwracając na siebie uwagę.

„To chyba Wzgórze Iluzyjne. Zatrzymamy się tu?"

Podpisu oczywiście nie było, ale patrzyli prawdopodobnie właśnie na miejsce narodzin Białego Roga, uznawanego za najpotężniejszego dotąd Tkacza Iluzji. Nieduża rzeczka wiała się między wzgórzami, by w końcu rzucić się na łeb na szyję z niewysokiego uskoku. Pożeracz

Chmur wylądował u stóp wodospadu. Kamyk rozglądał się ciekawie. Więc to tutaj żył kiedyś człowiek, którego stawiano za wzór wszystkim Tkaczom Iluzji i któremu Kamyk - być może - dorównywał talentem. To była nawet dość podniecająca myśl. Może sto lat temu właśnie w tym samym miejscu siedział Biały Róg i tak samo jak oni patrzył na białą pianę kotłującą się w niecce pod wodospadem? W powietrzu unosiła się wilgoć osiadająca na ubraniu i przenikająca smoczą sierść. Pożeracz Chmur co rusz potrząsał kudłatą głową z niezadowoleniem. Jednak ta sama wilgoć, która tak dokuczała smokowi, sprawiała, że nad wodospadem powstała przepiękna siedmiobarwna tęcza. Zachwycające zjawisko, ściskające serce nieokreślonym zachwytem nad wspaniałością natury, która potrafiła stwarzać rzeczy tak piękne i, niestety, tak ulotne.

„Szkoda, że tęczy nie można zabrać ze sobą” - pomyślał chłopiec.

„Ja mogę - odparł smok. - Zapamiętam ją i zabiorę w głowie”.

Kamyk uśmiechnął się szeroko. To prawda. W pewnym sensie wszystko, co kiedykolwiek ujrzeli i zapamiętali, pozostawało ich własnością - do odtworzenia w wyobraźni albo talentem Tkacza Iluzji. Możliwe, że kiedyś zechce przypomnieć sobie dzisiejszy dzień i przywoła wtedy piękny obraz tęczy nad wodospadem rzeki Siostry.

Według mapy Siostra miała zaprowadzić podróżników aż do Zatoki Oness, skąd już niedaleko na Półwysep Wojenny. Podróż w powietrzu była nieporównanie szybsza od wszystkiego, co Kamyk potrafił sobie wyobrazić (prócz sposobu podróżowania Wędrowców, rzecz jasna), lecz niosła ze sobą pewne niewygody. Po paru godzinach nieruchomego siedzenia na smoczym grzbiecie traciło się czucie we wszystkich częściach ciała. Kiedy Pożeracz Chmur zarządził następny postój, chłopiec był tak odrętwiały, że spadł z jego grzbietu jak worek. Przed dłuższy czas leżał na ziemi, czekając, aż krew zacznie normalnie krążyć w jego ciele, a potworne owady o rozpalonych szczękach przestaną mu łązić pod skórą. Pożeracz Chmur prychnął niecierpliwie i skomentował:

„Myślałby kto, że ci co nogi urwało. Nie wyj tak”.

Był to już najdalszy kraniec Półwyspu Wojennego. Wszystkie ludzkie siedziby pozostały z tyłu, a przed wędrowcami rozciągał się tylko szmaragdowoniebieski przestwór oceanu. Gdzieś tam leżała ojczyzna Pożeracza Chmur. Gdzieś za tą masą falującego żywiołu rozciągał się łańcuch wulkanicznych wysp. Teraz nazywano je po prostu Smoczym Archipelagiem, ale kiedyś nosiły nazwę Fyena, co w bardzo starym narzeczu znaczyło „Trofeum”.

Kamyk przewrócił się na brzuch, podparł brodę rękami, mierząc wzrokiem tę niewiarygodnie ogromną płaszczyznę falującej wody.

Dalszy etap podróży będzie zapewne jeszcze bardziej fatygujący, więc należało przed nim odpocząć. Wstał z pewnym trudem, po czym uwolnił smoka od niewygodnych pakunków i jeździeckiej uprzęży. Pożeracz Chmur z przyjemnością zaczął tarzać się w sztywnej trawie wydmowej, a chłopiec rozwiązał jeden z tobołków w poszukiwaniu chleba.

Odpoczywali w zgodnej komitywie - chłopak i smok - tuż obok siebie. Pożeracz Chmur oblizywał się, wspominając zjedzoną o poranku połówkę krowy, Kamyk mełł zębami kawałek razowca. Obaj jak za dawnych czasów słuchali huku przyboju i morskiego wiatru, gwizdzącego w kępach turzycy.

„Zza zachodniego oceanu przyplłynęły okręty o czarnych burtach i czerwonych żaglach, a na nich przybyli wojownicy i magowie...” - zacytował Kamyk z miną człowieka poinformowanego. To początkowe zdanie z kronik historycznych zawsze wywoływało w nim dziwny i tajemniczy dreszcz podniecenia. Mnóstwo razy wyobrażał sobie zamglone morze i wyłaniające się z owej mgły smukłe kadłuby, sunące wolno i nieuchronnie w stronę wybrzeża.

„I co było potem?” - spytał Pożeracz Chmur.

„Potem była wojna. Niezbyt długa, ale krwawa. Z wielu rozproszonych księstw powstało cesarstwo Lengorchii, a na tronie zasiadł pierwszy z rodu Maiar-ena, zwany Stalowym. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie, błogosławiąc cesarza przynajmniej dwa razy na dzień” - Kamyk uśmiechnął się ironicznie, a smok spojrzał na chłopca zezem.

„A naprawdę?”

„Naprawdę to życie jest życiem. Mamy pożary, powodzie, epidemie, głupich urzędników... i oczywiście smoki, które same w sobie są jak jakiś rodzaj choroby” - Kamyk mrugnął porozumiewawczo.

„Jesteś okropny!” - oburzył się Pożeracz Chmur. Delikatnie pacnął chłopca wielką łapą, ale to wystarczyło, by Kamyk przewrócił się na ziemię. Smok szturchał go nosem, skutecznie uniemożliwiając mu przyjęcie na powrót postawy pionowej.

Fale nie zdołały zagłuszyć ostrych krzyków zaniepokojonych mew, które kołowały w powietrzu. Smocze uszy wyłowiły jeszcze jeden dźwięk w tym hałasie - ludzkie kroki. Pożeracz Chmur pod-niósł łeb.

„Ktoś idzie”.

Kamyk przez jakiś czas szukał wzrokiem źródła dźwięku. Słyszenie za pośrednictwem smoka miało swoje słabe strony. Między wysokimi kępami wydmowej trawy brodziła dziwaczna postać w szarej opończy i wysokim, spiczastym kapeluszu. Twarz nadchodzącego kryła się w cieniu ronda, tylko miotlasta siwa broda świadczyła o jego wieku. Rozgarniał trawy długim kijem i grzebał w nich tu i tam. Był coraz bliżej. W pewnej chwili wyprostował się, wyraźnie uradowany, z mewim jajkiem w ręku. Ograbiony ptak zaskrzeczał rozpaczliwie, zapikował wprost na spiczasty kapelusz. Odpędzony kosturem, wrzasnął jeszcze głośniejsze i z zemsty narobił złodziejowi na rondo, co jednak nie wywarło na starszym mężczyźnie żadnego wrażenia. Nadal wędrował z nosem zwieszonym ku ziemi, kierując się wprost na przygodnych obserwatorów. Kamyk i Pożeracz Chmur wymienili znaczące spojrzenia. Sterta białych kłaków na brzegu morza nie była czymś trudnym do zauważenia. Zwłaszcza gdy jest nią sporych rozmiarów smok. W końcu starzec dowlóknął się niespiesznie aż do Pożeracza Chmur i szturchnął go łapą w łapę.

- Nastąp się!

Bezbrzeżnie zdumiony smok posłusznie podniósł łapę, a nawet odsunął się nieco. Mężczyzna w kapeluszu upstrzonym mewimi odchodami rozejrzał się uważnie, po czym wyciął kozikiem kępkę jakichś suchych, kolczastych roślinek.

- Ty se uważaj, gdzie dupę sadzasz - warknął, pakując zdobycz do torby, przewieszanej przez ramię. A potem ruszył w dalszą drogę, jakby nigdy nic. Pożeracz Chmur doskonale słyszał, jak mamrocze pod nosem: „Smoki, wszędzie smoki... gdziekolwiek splunąć, smok...”

- To tu są inne smoki? - rzucił za odchodzącym swym głębokim, zwierzęcym basem Pożeracz.

Zbieracz chwastów i mewich jaj obejrzał się za siebie. Miotlasta broda drgała mu z irytacji.

- A jakże, są, zaraza... Onegdaj psa mi zeżarły. I mleko z cebra wychlały! - odparł starzec z goryczą.

- A może to koty były?

- Koty, co ostawiają tropy wielkie jak beczka?! - pogardliwe prychnięcie. Stary pogroził Pożeraczowi kosturem. - A ty, mądrusie, co byś się przy mojej chałupie nie kręcił, bo ci wsadzę strzałę w ten włochaty zadek.

I poszedł dalej, powracając do przetrząsania zarośli, ku rozpaczy mew.

Sytuacja wydawała się dziwna, lecz właściwie całkiem zwyczajna tutaj, na żyznych nizinach i mokradłach Półwyspu Wojennego. Smoczymi terenami według niepisanej umowy był archipelag, więc trzymały się swoich terytoriów, lecz tak jak rybacy naruszali czasem ich granice, tak i latające olbrzymy wyprawiały się pojedynczo lub małymi grupkami na kontynent. Obie rasy - smocza i ludzka - żyły obok siebie i musiały jakoś się godzić.

*

Siłą rzeczy, lot do domu Pożeracza Chmur musiał odbywać się etapami. Ta mała wysepka, od imienia jego ojca nazywana Wyspą Pazura, znajdowała się niemal na samym krańcu całego łańcucha, rzuconego w głąb oceanu przez wulkaniczny kaprys natury. Z początku chłopiec i smok cieszyli się wspólnym lotem oraz wspaniałymi widokami. Jaszczur - największa ze smoczycy wysp - przypominała bestię, śpiącą na błękitnym prześcieradle. Zdawało się nawet, że oddycha. Z krateru wulkanu, którego stożek górował nad wierzchołkami drzew, unosiły się siwe obłoki wierzewów.

„Mieliśmy tu często trzęsienia ziemi” - wspomniął mimochodem Pożeracz Chmur, przelatując nad wyspą.

„Mieszkałeś tu?”

„Tu się urodziłem” - wyjaśnił młody smok krótko, ale nie chciał opowiedzieć niczego więcej.

Kolejne wyspy przesuwają się pod smoczym brzuchem niczym gigantyczne, zielone żółwie morskie. Zwykle kołowało nad nimi kilka lub nawet kilkanaście smoków, zależnie od wielkości lądu. Szybowały na niewidzialnych powietrznych strumieniach. Odległość odbierała im barwę, zmieniała w ruchome kształty, nie bardziej groźne niż gnane wiatrem liście. Pożeracz Chmur mógł pić słoną wodę, lecz Kamyk musiał odnawiać zapas w zabranym na drogę bukłaku, więc raz zaryzykowali międzyładowanie i krótki odpoczynek na nieco większej od innych wyspie, którą chłopiec po namyśle uznał za Wyspę Wężową. Jakie miano nosiła w języku smoków, tego nie wiedział nawet Pożeracz Chmur. Smocze nazwy nie były czymś stałym. Zmieniały się zależnie od aktualnego właściciela terytorium, ostatnich wydarzeń w okolicy lub nawet dlatego, że poprzednia nazwa znudziła się mieszkańcom. Także imiona nie były czymś niezmiennym, chociaż smoki wybierały je podobnie jak ludzie, lecz znacznie uważniej i z dbałością o znaczenie. Imię określało tego, do kogo należało, i mogło zmienić się kilkakrotnie w ciągu długiego smoczego żywota. Również towarzysz Kamyka był już nazywany Puchatym, Tym Co Gubi Zęby, Kopaczem Nor oraz Niedobrym Szczeniakiem, i wcale nie było pewne, że imię Pożeracz Chmur zachowa do końca życia.

Woda, woda... i jeszcze więcej wody. Tematy do rozmów wreszcie musiały się skończyć, a monotonia krajobrazu, z rzadka tylko maconą widokiem stad koni morskich, zaczęła być nużąca. Kamyka piekły oczy, bez przerwy chłostane słonawym wiatrem, i pękały mu wysuszone wargi. Pożeracz Chmur usunął się gdzieś w głąbiny własnego umysłu, poświęcając rzeczywistości zaledwie tyle uwagi, by od czasu do czasu zamachać skrzydłami. Nawet miraż, które Tkacz Iluzji próbował stwarzać dla zabicia czasu, były blade i nieciekawe. Głowa chłopca chyliła się coraz niżej, aż w końcu zasnęła twardo, obejmując ramionami ciepłą smoczą szyję.

Obudził go wstrząs. Pożeracz opadł na ziemię ciężko jak worek piasku zrzucony z dachu.

„Jesteśmy na miejscu” - oznajmił z zadowoleniem. Przez ogólne uczucie ulgi przebiegało jednak zmęczenie i lekki niepokój. Nadal nie miał pewności, jak zostanie przyjęty jego ludzki towarzysz. Wielka słoneczna tarcza skryła się już niemal całkowicie za horyzontem. Złocista

plaża zszarzała. Zieleń przybrzeżnych zarośli stawała się jednolitym pasem czerni. Pochylając się nad piaskiem wysmukłe pnie palm zaczęły przypominać płaską wycinankę na tle jaśniejszego nieba. Na powierzchni morza słał się pas złotych cętek utkany przez ostatnie promienie zachodzącego słońca. Ten nieskazitelny obraz psuł jedynie ciemny garb sterczącej z wody przybrzeżnej skały.

Chłopiec uwolnił się od rzemieni, które zabezpieczały go przed upadkiem, po czym zsunął ze smoczego grzbietu. W nogach znów czuł roje mrówek, ale tym razem przynajmniej mógł chodzić. „Widocznie do wszystkiego można się przyzwyczaić” - pomyślał, po omacku szukając w gęstym futrze sprzączek uprząży. Słońce już zaszło całkowicie, a żaden z księżyców jeszcze nie zdecydował się na rozpoczęcie wędrówki po niebie. Pożeracz Chmur z czystego nawyku rozszerzył kontakt mentalny i raptem doznania Kamyka wzbogaciły się o szum fal i tajemnicze szelesty, dobiegające z zarośli. Coś pohukiwało w ciemności, coś skrzeczało, szurało i popiskiwało... tropikalny las nocą wydawał się kipieć życiem równie intensywnym jak za dnia,

„Moi rodzice są chyba po drugiej stronie wyspy” - wysunął przypuszczenie młody smok.

„Poczekamy do rana?” - spytał Kamyk, uwalniając go od bagażu. Nie uśmiechały mu się poszukiwania w nocnych ciemnościach. Szuranie w zaroślach nasiliło się, najwidoczniej przedzierało się przez nie coś dużego, a w chwilę potem ujrzeli dwie jaśniejące czerwienią plamy zawieszona w mroku - oczy smoka.

„Mama?!” - ucieszył się zaskoczony Pożeracz Chmur, ale natychmiast jego radość zbladła.

To, co nastąpiło później, w niczym nie przypominało czułego powitania. Z zarośli śmignął jakiś ciemny kształt i rzucił się Pożeraczowi Chmur do gardła. Dwa wielkie cielska kotłowały się, syjąc na wszystkie strony piachem. Obraz tym okropniejszy, że niemal nic nie było widać i przerażony Kamyk miał wrażenie, że tuż obok niego dwie bestie usiłują się nawzajem rozerwać na drobne kawałki. Aż wreszcie od tego kłębowiska nadpłynął rozpaczliwy myślowy komunikat: Pożeracz Chmur przegrywał i wzywał pomocy. Jakim cudem miałyby tej pomocy udzielić mu człowiek, Kamyk nie miał pojęcia ani nawet czasu, by się nad tym zastanawiać. Chłopak zacisnął pięści, całą siłą woli zmuszając się do opanowania. Czuł, jak puls wali mu w gardle i skroniach. Nie mógł przecież walczyć ze smokiem! Ale... mógł odwrócić jego uwagę i dać Pożeraczowi Chmur cenny czas na ucieczkę. Czego boją się smoki, czego boją się...?

Z ciemnej powierzchni oceanu wypiętrzyła się nagle potężna fala i majestatycznie, bez najcichszego plusku załamała ponad dwoma kłębiącymi się ciałami. Gdyby młody Tkacz Iluzji nie był tak zdenerwowany, zapewne efekt uznałby za komiczny. Dwie gryzące się wściekle bestie raptownie odskoczyły od siebie i prysnęły w przeciwną stronę, całkiem jak walczące kocury, na które ktoś chlusnął wiadrem wody.

- Skaaau! Ska!leee! U-cie-kaaai! - odtworzony z pamięci okrzyk-widmo był ledwo zrozumiały, lecz Pożeracz Chmur odebrał go, a cięgi, jakie zebrał, i strach przed następnymi zwyciężyły jego naturalny lęk przed wodą. Napastnik wydawał się w mroku jedynie ruchomą czarną plamą. Jego ślepią na moment błysnęły złowrogo ognistą czerwienią, jak gdyby wściekłość bestii gorzała w niej prawdziwym płomieniem. Kamyk konwulsyjnie zaczerpnął powietrza, cisnął w obcego smoka iluzyjną kulą wody i nie czekając już na nic, rzucił się do morza. Fale omyły mu kolana, już po chwili brodził po pas i piersi, cały czas mając wrażenie, że w każdej chwili potworne pazury mogą przeorać mu plecy. Pożeracz Chmur przycupnął na tym żalonym kawałku kamienia, mokry i sponiewierany. Kamyk z trudem wspiął się na skałę i usadowił obok. Miejsca było niewiele, akurat tyle, by na rafie zmieścił się jeden szczupły chłopiec i jeden chudy smok. Od stałego lądu odgradzał ich ochronny pas słonych fal. Obaj mieli

nadzieję, że przybysz nie zechce ich zaatakować z powietrza.

„Ale się wścieka - przekazał Pożeracz Chmur posepnie. - Rozwłóczą twój dobytek. Dużo chyba z tego nie zostanie”.

Kamyk posłał w stronę plaży następny iluzyjny pocisk - tym razem uwity z jaskrawych płomieni. Niecelnie, gdyż smok uskoczył w ostatniej chwili. Z plaży popłynął strumień plugawych przekleństw i straszliwych wizji rozdierania, zagryzania i tego rodzaju „przyjemności”, przekazywanych wprost do mózgu. W odpowiedzi chłopiec wysłał następny ognisty pocisk i poprawił wodnym, celując w smocze oczy, lśniące w oddali.

„Uciek!” - odetchnął Pożeracz Chmur.

„Kto to był?”

„Szaleniec”.

„To od razu widać - skomentował Kamyk kwaśno. - A poza tym? Tutejszy?”

Pożeracz Chmur otrząsnął się wściekle, aż chłopiec stracił równowagę i uczeplił się jego sierści, by nie spaść do wody.

„Szaleniec! Chory na głowę. Żeby mu się żaby w brzuchu załęgły! Żeby mu ogon wyliniał! To nasze terytorium! Gdzie moja rodzina?! Ten obrzydliwy staruch zawsze mieszkał na sąsiedniej wyspie!” - biadał Pożeracz Chmur.

„A może zabłądziłeś?”

„Głupiś” - uciał krótko smok.

Sytuacja była niewesoła. Tkwili uwięzieni na rafie. Co prawda Szaleniec wycofał się z plaży, lecz Pożeracz Chmur doskonale wyczuwał, że czai się gdzieś w zaroślach, wyczekując, aż intruzi odważą się wrócić na stały ląd. Pożeracz ułożył się na tyle wygodnie, na ile pozwalała mu szczupłość miejsca, wtulił nos w przednie łapy i niebawem zasnął. Kamyk pogłaskał jego mokre futro. Biedak, miał za sobą długi wyczerpujący lot; potrzebował wypoczynku i sił, by zaleczyć rany. Kilka razy do Kamyka dotarł z brzegu wyspy nieklarowny przekaz, coś w rodzaju: „intruzi” lub nawet „złodzieje”. Chłopiec czujnie wypatrywał na brzegu czerwonych oczu, lecz nie pojawiły się więcej. Tak, rzeczywiście, w porównaniu z dość monotonnym życiem w Żmijowych Pagórkach, tutaj nie można było narzekać na brak emocji. Chociaż może niekoniecznie niespodzianki powinny kończyć się przymusowym aresztem na twardych kamieniach, i to w przemoczonej odzieży. Szczęściem noc była ciepła, więc ubranie Kamyka i sierść Pożeracza Chmur schły szybko w podmuchach tropikalnej bryzy. Chłopiec zadarł głowę, szukając wzrokiem znajomych gwiazdozbiorów. Świeciły jasno, lecz inaczej ustawione na niebie, niż to pamiętał z domu. Wyłowił z gwiazdnej kaszy Pętlę, Jednorożca i Gryfy ciągnące Rydwan. Tuż nad horyzontem Byk pochylał swój groźny łeb przed Centaurem, a Syrena pławiła się w dymnej strudze Warkocza Smutnej Panny, który przecinał niebo ze wschodu na zachód. Po jakimś czasie znad wystrzępionego pasma drzew wysunął jasne czoło Gigant. Piasek wysrebrniał od jego widmowej poświaty, a oleista powierzchnia spokojnego morza pokryła się drobną łuską księżycowych promieni.

Śpiący dotąd Pożeracz Chmur zerwał się nagle, omal nie zrzucając Kamyka do wody. Chłopiec kurczowo uchwycił się jego sierści, walcząc o zachowanie równowagi. Dopiero po chwili nieznośny smok zaprzestał karkołomnych sztuczek.

„Mój ogon! Coś złapało mnie za ogon!” - przekaz mentalny tchnął niekłamany lękiem.

Chłopiec przewrócił oczami z irytacją.

„Na Miłosierdzie Losu, i tylko dlatego tak się miotasz? Co cię tu mogło złapać za ogon? Mam ochotę ci przyłożyć”.

„Szaleniec mi już przyłożył - zamarkocił smok, układając się na powrót i uważnie podwijając ogon pod siebie. - Coś mnie ugryzło, naprawdę. Tu są rekiny i wstężniki, i syreny. Dużo rzeczy mogło mnie ugryźć”.

Kamyk zerknął niepewnie na ciemną powierzchnię wody i wyżej podciągnął nogi.

„Szaleniec nazwał nas złodziejami”.

„Szaleniec ma nie po kolei w głowie - wyjaśnił Pożeracz Chmur ze złością, liżąc bark i skrzydło. - Zbiera muszle, kamienie i różne błyszczące śmieci. I na tym śpi. Kiedy byłem młodszy, to dla zabawy podbierałem mu to i owo. Chowalem, wyrzucałem, podrzucałem z powrotem... Szalał, ganiał mnie, skarżył rodzicom. Nieraz oberwałem, ale bawiłem się całkiem nieźle. Nigdy nie usiłował mnie jednak zabić. Wyraźnie mu się pogorszyło”.

„Jak się czujesz?”

„Trochę lepiej. Wszystko zagoiłoby się prędzej, gdybym nie był taki wykończony”.

Jedną z przedziwnych smoczyczych właściwości było szybkie powracanie do zdrowia. Właśnie dlatego tak trudno jest zabić smoka Kiedy jeszcze w Pagórkach Pożeracz Chmur gryzł się z psami, Kamyk nieraz widział, jak bez śladu zasklepiały się na nim w krótkim czasie nawet głębokie rany. Również teraz obrażenia, które sprowadziłyby śmierć na każde inne stworzenie, na nim miały zabiżnić się w ciągu kilku godzin.

Szaleniec zrezygnował z warowania w krzakach dopiero o świcie. Może zmęczył się, a może zwyczajnie znudził. Bagaż Kamyka ucierpiał mniej, niż się chłopiec obawiał. Kilka pakunków zostało rozdartych ostrymi kłami. Oglądał je, próbując na oko ocenić szkody. Przepadła część soli, ale z pewnością można było gotować na słonej wodzie morskiej. Czekalo go też trochę cerowania. Kiedy Kamyk zastanawiał się, jak załadować cały ten kram z powrotem w podarte torby, Pożeracz Chmur nagle wpadł w podniecenie.

„Ojciec! To mój ojciec! Tam, nad Wyspą Szaleńca!”

Kamyk spojrział we wskazanym kierunku, osłaniając oczy przed słońcem. Rzeczywiście, nad sąsiednią wysepką, oddaloną zaledwie o dwa lub trzy strzały z łuku, krążył skrzydlaty kształt.

„A jeśli to znów ten wariat?” - spytał chłopak z niepokojem.

„Myślisz, że nie poznałbym własnego ojca?!” - obraził się Pożeracz Chmur.

*

Nie, nie wiem, czy mu to kiedyś wybaczę. Może. Na razie jestem wściekły. Oczywiście, że tęsknił do rodziny i spieszyło mu się, ale naprawdę mógł tego nie robić! Latanie na smoku to jednak coś zupełnie innego niż zwisanie ze smoczego pyska z nogami dyndającymi w powietrzu. Od czegoś takiego można umrzeć na serce. Nie czekając na to, że bym go dosiadł, po prostu złapał mnie zębami za kołnierz i bez ostrzeżenia zerwał się do lotu. Skutek był taki, że przez cały czas, kiedy ten koszmarny idiota witał się z rodziną, ja usiłowałem nakłonić własne serce, by zlazło mi z gardła w niższe rejony, tam gdzie jego miejsce.

Ojciec Pożeracza Chmur nazywa się po prostu Pazur, za to matka nosi bardzo zawile imię złożone z szeregu określeń, które z trudem można przełożyć na ludzki język. Dobra, miła, spokojna, łagodna - tak opisywał ją kochający syn. I w ten sposób stała się dla mnie Łagodną. Myślę, że to bardzo trafne imię, gdyż dopiero teraz, po dwóch dniach od przybycia, rozumiem dokładnie, że gdyby nie obrona Łagodnej, Pazur by mnie zwyczajnie zabił. Tak, Pazur mnie nie lubi. „Nie lubi” to mało. Nie znosi mnie, nienawidzi, nie może na mnie patrzeć. Nie wiem, skąd to wiem, ale ile razy znajdę się w jego pobliżu, chodzą mi ciarki po plecach i mam wrażenie, jakby

za mną czaiło się coś groźnego. To chyba nieprzyjemne myśli Pazura tak działają. Pazur jest oczywiście większy od Pożeracza Chmur - widać, jakie rozmiary osiągnie to nieznośne smoczysko, kiedy już całkiem dorośnie. Kolor jego sierści jest ołowianoszary. Tylko uszy i koniec ogona ma czarne, jak zamoczone w smole. Łagodna jest płowa jak piasek, jedynie wzdłuż grzbietu i szyi ma brązową pręgę. Pożeracz Chmur ma siostrę! Nie widziałem jeszcze tego małego smoczka, bo nawet Łagodna nie ma do mnie aż tyle zaufania, by pokazać mi swoje dziecko, lecz Pożeracz twierdzi, że mała jest ruda! Przyjęło się, że dzieci powinny być podobne do rodziców, ale u smoków widocznie ta zasada w ogóle nie obowiązuje. Każdy jest innego koloru i nie widzą w tym niczego dziwnego.

Jak się okazało, pomyłka Pożeracza Chmur wynikała z tego, że Szaleniec i Pazur zamienili się terytoriami. Nie wiem, co mogło się nie podobać Pazurovi na jego poprzedniej wyspie i dlaczego Szaleniec zgodził się na zamianę. Mnie oba te skrawki lądu otoczone zewsząd wodą wydają się zupełnie identyczne. Urządziłem się na Wyspie Szaleńca (to znaczy teraz jest to Wyspa Pazura) w przyjemnym zakątku, gdzie pnie drzew wyrastają prosto z piasku. To jeszcze nie jest las, ale już nie goła ziemia wypalona tutejszym morderczym słońcem. Rozwiesiłem hamak między drzewami. Znalazłem miejsce do rozpalenia ognia. Gdzieś w głębi wyspy bije źródło i niewielki strumień niedaleko ma ujście do oceanu. Na plaży słodka woda miesza się ze słoną, ale wystarczy wejść w zarośla, by zaczerpnąć z czystego nurtu. To idealne miejsce. Wśród zieleni buszują stada bajecznie kolorowych ptaków. W morzu śmigają ławice barwnych ryb. Wokoło mnóstwo stworzeń fruwa, biega, pełza i skacze. Większość widzę na oczy po raz pierwszy w życiu. Zdaje się, że w książkach Płowego nie było nawet ich rysunków. Odkryłem też na smoczej wyspie rośliny, których nie umiem nazwać, ani nie widziałem podobnych w zielnikach Płowego. Wciąż jest bardzo gorąco, więc za cały strój służy mi tylko przepaska na biodrach i sandały. Bez nich upiekłbym sobie stopy w gorącym piasku albo posiekał na ostrych muszlach, których nie brakuje na plaży i dnie morza. Ubranie wkładam tylko wtedy, gdy wybieram się w głąb wyspy, między drapiące gałęzie, ciernie i liście, których brzegi potrafią przeciąć skórę jak nóż, o czym już zdążyłem się przekonać. To bardzo dziwne miejsce. Trochę nierealne, jakby wyjęte ze snu. A więc idealne dla Tkacza Iluzji - pracuję przede wszystkim wyobraźnią. Zauważyłem, że czas przestał dzielić się dla mnie na godziny. Istnieje tylko dzień i noc, świt i zmierzch. To smocze liczenie czasu. Teraz lepiej rozumiem Pożeracza Chmur i jego beztróskie podejście do obowiązków. Mam czas. Wydaje mi się, że tego czasu jest ilość nieskończona, a wszystko można zrobić, jeśli nie dziś, to następnego dnia. Gdy jestem głodny, łowię ryby lub zbieram owoce. Pracuję wtedy, gdy uznam to za stosowne. Czasem zastanawiam się, czy jestem leniwy, a potem uprzytamniam sobie, że zbieram rośliny, opisuję tutejsze zwierzęta, rysuję je (najlepiej, jak potrafię, ale nie są to zbyt dobre rysunki, co sam przyznaję), więc jednak wykonuję sporo pracy.

Chyba nigdy nie odgadnę, co właściwie sprawiło, że smoczyca zdecydowała, iż jestem godny zaufania. Może przekonał ją Pożeracz Chmur, a może sama uznała, że zachowuję się spokojnie i nie zagrażam w niczym jej dziecku. Pewnego dnia pojawiła się przy obozowisku, niosąc ostrożnie w pysku rudy kłębek. Za nią podskakiwał w podnieceniu Pożeracz Chmur, co wyglądało dość cudacznie przy jego rozmiarach.

Nigdy przedtem nie oglądałem żadnych smoczych dzieci, zresztą naprawdę niewielu ludzi mogłoby się tym pochwalić. Okazuje się, że paromiesięczne szczenię jest mało co większe od kota, a do tego ogromnie przedsiębiorcze i ciekawskie. Dziwna była myśl, że z tego drobiazgu miało wyrosnąć po latach stworzenie wielkości Pożeracza Chmur.

Smoczątko podeszło do mnie bez najmniejszego wahania, obwąchując ciekawie moje nogi i szarpiąc za rzemyki u sandałów. Mój zachwyty był tak bezkrytyczny i szczery, że do reszty roztopił rezerwę Łagodnej. Która matka nie lubi, kiedy ktoś podziwia jej dziecko? A siostrzyzka Pożeracza jest naprawdę śliczna. Nie ma nic ładniejszego od smoczego szczeniaka, może z wyjątkiem puszystego małego kotka. Łagodna podeszła bardzo blisko, prawie dotykała mnie nosem. Nie powstało mi w głowie, że powinienem się choćby trochę zaniepokoić. Tak się przyzwyczaiłem do Pożeracza Chmur, że nie robiły już na mnie żadnego wrażenia ani te wielkie, ostre kły, ani ślepią w kolorze krwawej czerwieni. Wyciągnąłem rękę, ufnym jak dziecko, pogłaskałem Łagodną po pysku. A potem pieszczotliwie podrapałem małą za uszami. Teraz uważam, że to było bardzo lekkomyślne. Gdyby na miejscu Łagodnej był Pazur, już nie miałbym ręki. Albo głowy.

Ryżę szczenię jeszcze nie ma imienia. Jej rodzice się nie spieszą, jak to smoki. Obserwują swoje najmłodsze i zastanawiają się, jakie imię będzie dla niej najlepsze. Imiona są ważne, to prawda. Mogą przynieść szczęście albo pecha, to nawet smoki wiedzą. Moje wydaje się bardzo biedne, ale jestem z niego zadowolony, kiedy pomyślę, co może zrobić zwykły kamyczek, gdy go wrzucić w maszynę młyna. Zresztą przecież szmaragdy, rubiny i diamenty to też kamiki, prawda? Pazur, Łagodna i Pożeracz mogą nazywać dziecko Dzieckiem, ale mnie to zawadza. Mała jest ruda jak wysuszona w słońcu glina, lśni jak miedziany wypolerowany kociołek, cała jest przede wszystkim tą swoją rudością i ruchliwością. Bardzo przypomina mi...

Kamyk wzdrygnął się gwałtownie, krzycząc z zaskoczenia i bólu. Jego rysik zatoczył niekontrolowany łuk na pergaminie, właśnie pracownicy wypełnianym znaczkami pisma. Wychylił się z hamaka, z irytacją patrząc w dół, prosto na rozradowany pyszczyk małego smoczątka.

„Ugryzła mnie!” - poskarżył się chłopiec.

Faktycznie, na stopie miał głębokie zadrapania, z których sączyły się krople krwi. Malutka smoczyca nie miała jeszcze wszystkich zębów, z wyjątkiem charakterystycznych spiczastych kłów, ale te za to były ostre jak igły. Najwyraźniej bose nogi zwisające z brzegu hamaka uznała za świetną zabawkę i doskonały obiekt ataku.

„Niedobra dziewczynka!” - pogroził jej Kamyk, jakby mogła go zrozumieć.

Dopisał pospiesznie pod krzywym zygakiem:

Przypomina mi małego, grubego lisa, więc na własny użytek dałem jej imię Liska, a i Pożeracz Chmur coraz częściej ją tak nazywa.

„Przestań już bazgrać, chodźmy nad morze” - ponaglił go smok.

*

Liska była zachwycona swoim dużym bratem nie mniej niż on nią. Podziwiała go bezgranicznie i starała się naśladować. Kamyk obserwował, jak obok dostojnie kroczącego olbrzyma toczy się ruda kulka. Potykała się na dołkach w piasku, padała na nos, machając bezużytecznymi jeszcze skrzydełkami, które sterczały jej z puchatego grzbietu jak dwa wachlarzyki. Pożeracz Chmur od czasu do czasu zatrzymywał się, by krótkie łapki Liski mogły odpocząć, lecz wydawało się, że smocze dziecko ma niespożyte zapasy energii. Tarmosiła brata za sierść, plątała mu się między łapami. Kiedy się kładł, łąziła po nim jak po pagórku, chociaż łapki obsuwały się jej na śliskim futrze i spadała, koziołkując, na łeb, na szyję, niczym po stromym stoku wzgórza. Turlała się w piasku i otrzepywała potem tak zamasyście, że często się przy tym znów przewracała. Natomiast jedną z najulubieńszych zabaw małego smoczątka było polowanie na własny ogon, nie licząc oczywiście czajenia się na ludzkie stopy i gryzienia sznurówek sandałów. Kamyk obserwował smocze rodzeństwo i gdzieś na dnie jego duszy kiełkowało ziarenko zazdrości. Nie miał siostry ani brata, ani nawet bliskiego przyjaciela wśród ludzi. Pożeracz Chmur był osobnikiem zbyt dziwnym, by można było ich relacje zaliczać do normalnych. Chłopcu nigdy nie dano szansy, by bawił się z kimś i okazywał mu taką czułość, jaką Pożeracz miał dla Liski; nie pamiętał już też, kiedy ostatnio okazywano ją jemu. Płowy był dla niego dobry, ale manifestacja uczuć nie była jego mocną stroną.

Pożeracz Chmur „uwielbiał uwielbiać” Liskę i rozpieszczał ją, ile się dało, a Kamyk (ku swemu zdumieniu) zorientował się, że robi to samo. Pożeracz Chmur uczył Liskę polowania na nieruchawe kraby kryjące się w nadbrzeżnych norach i wśród korzeni - zwierzynę w sam raz dla kilkumiesięcznego szkraba. Znosił jej kolorowe pióra papuzie, a nawet całe martwe ptaki. Bawiła się nimi, włóczyła po ziemi i oskubywała z piór. Kamyk natomiast zabawiał smocze dziecko iluzjami i wznosił też dla niej budowle z wilgotnego piasku, gdzie mogła chować się lub kopać nory, dowolnie zmieniając tę jednorazową architekturę.

Upał panujący w tych rejonach świata sprzyjał nieróbstwu. Zwłaszcza że jedzenie w większości rosło na drzewach. Kamyk jednak zmuszał się do systematycznego prowadzenia badań i notatek bez względu na upały, stan ducha czy atrakcyjność zajęć, jakie proponował Pożeracz Chmur. Codziennie sporządzał rysunki i opisy, wypełniając ciągami drobnych znaków kolejne stronicę. Koncentrował się jednak głównie na Lisce, słusznie uważając ją za idealny i najciekawszy obiekt obserwacji. Nie przypuszczał, by istniało wiele opracowań na temat smoczych szczeniąt. Na pewno żaden inny mag nie mógłby pochwalić się tym, że nosił takie stworzenie na rękach, i zapewne nikt też nie widział, jak matka karmi je przezutym i częściowo strawionym mięsem. Smoki, choć zachowaniem i obyczajami ogromnie przypominały koty, wylęgały się z jaj i nie karmiły przychówku mlekiem. Łączyły w sobie w dziwny sposób cechy kocie, psie, gadzie i nawet miały coś z nietoperza. A tak naprawdę były po prostu gatunkiem jedynym w swoim rodzaju.

Liska - urocze, pełne werwy smocze dziecko - chłoneła świat całą swą niewielką osobą. Kamyk nie zauważył, by rosła, a jednak zmieniała się w pewien sposób. Widział, jak w ciągu mijających tygodni tropikalnej wiosny (a może to już było lato?) Liska robi się coraz szybsza, sprawniejsza, silniejsza. Zdobywała nowe umiejętności w zadziwiający tempie. Pożeracz Chmur uczył ją lengorchiańskiego języka równoległe ze smoczym. Kamyk dołączał do tych

lekcji, korzystając z mentalnego połączenia, i choć Pożeracz nie był zbyt cierpliwym nauczycielem, sporo z nich korzystał.

Oczywiście nie liczyli na to, że takie smoczątko nauczy się fruwać. Skrzydełka Liski były jeszcze za małe i za słabe, by ją unieść. Pożeracz Chmur twierdził, że Liska zacznie sama próbować ćwiczyć latanie całkiem niedługo - pamiętał swoje pierwsze próby. „Kiedy?” - chciał wiedzieć Kamyk. „Niedługo, za jakieś dziesięć lat” - wyjaśnił Pożeracz Chmur. Smocze pojęcie „niedługo” jest bardzo względne. Również czas na legendarne zdolności do regeneracji i przemiany w dowolne zwierzę miał nadejść dużo później. Na razie Liska była stworzonkiem niedużym i delikatnym, jak każde dziecko. Łagodna twierdziła z dumą, że Liska chowa się doskonale, lecz jednocześnie przyznawała uczciwie, że w niczym nie wykracza poza smoczą przeciętność.

Tym bardziej zaskakujący był przypadek, który przewrócił do góry nogami fundamentalną teorię smokologii i dał Kamykowi wiele do myślenia.

*

Nocami fale przypływu wdzierają się na ląd. Pracują cierpliwie, lecz pośpiesznie, wybierając ustępliwy piasek. Mają czas tylko do świtu. Pozostawiają po sobie płytkie zatoczki i sadzawki wypełnione nagrzaną słońcem wodą. Roilo się w nich od drobnych morskich żyjątek, które pływały chaotycznie we wszystkie strony lub kryły się na dnie wśród strzępów wodorostów i odłamków koralu. Te dołki były bezpieczniejsze niż otwarte wody, gdzie łatwo stąpnąć na kolczastego jeżowca lub napotkać zaopatrzone w ostre haczyki i parzące macki pękate grona pęcherzy jak na ironię zwane „morskimi pannami”. Kamyk często przeglądał owe naturalne akwaria w poszukiwaniu ciekawych okazów, a czasami po prostu leniuchował w ciepłej wodzie.

Płynące pod powierzchnią stworzenie miało wręcz nieprawdopodobny wygląd, jakby wzięty z narkotycznego snu. Nie miało łba ani żadnych kończyn. Raczej przypominało falujący kawałek grubego koca - o ile przyszłoby komuś do głowy utkać koc żółty jak cytryna i przyozdobić go chabrowymi i jadowicie zielonymi cętkami. Kolor niejednoznacznie sugerował, że zwierzak jest jadowity. Możliwe, że był to jakiś przedstawiciel ślimaczej rodziny, choć Kamyk nie dałby za to głowy. Pomyślał, że Płowy czułby się na tej wyspie szczęśliwy jak dziecko, z zachwytem krojąc żaby i rozmaite inne paskudztwa.

Kamyk ostrożnie trącił patykiem płynącego dziwostwora. Ślimak poczerniał i zwinął się w kłębek. Po paru minutach rozprostował się na nowo, zafalował jeszcze gwałtowniej i raptownie zmienił kolor na jaskrawoczerwony. Plamki, prawem kontrastu, zrobiły się jeszcze wyraźniejsze. Liska siedziała na brzegu stawku, przypatrując się z ciekawością temu zjawisku. Nagle, nim chłopiec zdążył zareagować w jakikolwiek sposób, rzuciła się do wody, najwyraźniej z zamiarem pochycenia interesującej „zabawki”. Zdumiony Kamyk patrzył, jak zaaferowane smoczątko usiłuje złowić w zamąconej wodzie kolorowego ślimaka, który przepadł gdzieś w śmieciach na dnie. Oczekiwał strachu, szamotaniny, ucieczki z tego okropnego mokrego miejsca. Dołek był płytki, więc Liska siedziała zanurzona niemal po szyję. Straciła zainteresowanie ślimakiem i rozglądała się, zaciekawiona nową sytuacją,

Podniosła łapkę i pacnęła patyczek, pływający po powierzchni. Zastrzygła uszkami, szeroko otwierając ślepka ciemnoczerwone niczym dwie wiśnie. Kamyk zobaczył, jak zanurza łebek, by wyłowić coś z dna. Łyknęła wody, wynurzyła się czym prędzej, kichnęła parę razy i otrzepała uszy. Zerknęła na chłopca i znów pacnęła w powierzchnię, jakby zapraszając do zabawy.

Pożeracz Chmur w tej samej sytuacji już dawno siedziałby na szczycie palmy, jak najdalej od wody, susząc się zapamiętane. Kamyk uznał, że czas zamknąć usta i przestać wyglądać głupio. Delikatnie chlapnął na małą, pokazując jej język i dysząc lekko - tak właśnie wyglądał smoczy śmiech. Prychnęła i oblizała się, kłapnęła małymi ząbkami, usiłując go złapać za palce. Pokazał Lisce, jak zaczerpnąć tchu, a potem zanurkować, powoli wypuszczając srebrne pęcherzyki powietrza pod powierzchnią wody. Naśladowała go z łatwością. Ta niewinna zabawa została jednak przerwana nader gwałtownie.

„Wyciągnij ją!!!”

Pożeracz Chmur był nastroszony niczym szczotka, straszliwie zszokowany, jakby zastał przyjaciela na dokonywaniu dzieciobójstwa. Miał taki wyraz pyska, że na wszelki wypadek Kamyk natychmiast wyłowił Liszkę z kałuży. Zdenerwowany Pożeracz Chmur mógłby zrobić coś głupiego, na przykład użyć zębów, jak mu się to już raz zdarzyło. Później oczywiście byłoby mu przykro i okazywałby skruchę na wszelkie sposoby, lecz cóż to za różnica, gdy już się nie ma ręki lub innej części ciała?

Liska tymczasem wcale nie była zadowolona z nagłego końca miłej zabawy. Postawiona na suchym piasku, natychmiast wskoczyła na powrót do wody, z impetem, od którego bryzgi poleciały na wszystkie strony. Kamyk spojrzał na Pożeracza Chmur i bezradnie rozłożył ręce. Liska dokazywała w wodzie, a jej brat obserwował to ze zgrozą i osłupieniem wypisanym na pysku.

„Co ona wyrabia?” - spytał głupio.

„Kąpie się” - odparł Kamyk, wzruszając ramionami.

„Ależ... ona jest MOKRA!”

„Widocznie to lubi. Dlaczego właściwie smoki nie znoszą wody?”

Pożeracz Chmur otrząsnął się z obrzydzeniem i legł na piasku, nie odrywając wzroku od siostry.

„Nie wiem. Po prostu woda jest niedobra. Można się utopić”.

Liska tymczasem wygrzebała z sadzawki jakieś półprzezroczyste stworzonko o licznych odnóżach, wylazła z wody i włóczyła je po piasku z wielkim zaaferowaniem. Mokra sierść oblepiała ją i mała smoczyca wyglądała jak przemoczony szczurek.

„Mamie to się nie spodoba” - zawyrokuje ponuro Pożeracz Chmur. Kamyk popatrzył na niego i znów wzruszył ramionami. Zapewne smok miał rację, lecz cokolwiek się wydarzyło, już nie dawało się cofnąć. Zdaniem Kamyka nie było się czym przejmować. Co złego w tym, że Liska lubiła się kąpać?

Liska odkryła wodę, tak jak ludzkie dziecko odkrywa przyjemność łożenia po drzewach lub łapania węży na rozlewiskach. Czynności fascynujące z powodu niebezpieczeństwa, ale przede wszystkim zabronione przez dorosłych. Książki, które swego czasu czytał Kamyk, zawierały wiele informacji o smoczej rasie. Sporo z nich znalazło potwierdzenie w jego własnych obserwacjach, inne zweryfikował i poprawił, a jeszcze inne okazały się wierutną bzdurą. Jedno twierdzenie powtarzało się jednakże z podziwu godną regularnością: wszystkie smoki obsesyjnie nienawidziły wody. Nie umiały pływać i gardziły podobnymi umiejętnościami. Pożeracz Chmur za skarby świata nie przeszedłby w bród strumienia. Nie stąpąłby nawet w kałużę, a każdy deszcz był dla niego osobistą, cichą tragedią. Pazur, Łagodna i Szalenciec nie odbiegali od normy.

Liska okazała się absolutnym wyjątkiem. Mała kpiła sobie z naukowych teorii i pakowała się w każdą napotkaną kałużę, doprowadzając do rozpaczycy rodziców i brata,

*

Pazur unikał mnie już przedtem, ostentacyjnie udając, że nie istnieję, było to o tyle dobre, że nie usiłował mnie zjeść. Ale teraz nie widuję również Łagodnej ani Liski, co jest bardzo smutne. Pazur i Łagodna myślą, że to z mojego powodu zachowuje się tak dziwnie i nie po smoczemu - tak twierdzi Pożeracz Chmur. Podobno dawałem jej zły przykład. Człowiek demoralizujący smoka! To byłby pierwszy taki wypadek na świecie.

Tak więc do towarzystwa pozostał mi tylko Pożeracz Chmur. Widzę, jak próbuje pogodzić rodzinę z naszą przyjaźnią i wiem, że to nie jest łatwe.

Możliwe, że nie jestem odpowiednim towarzystwem dla młodego smoka. Ale czy smok jest odpowiednim towarzyszem dla dorastającego chłopca? Każdy z nas trochę ustąpił, trochę zmienił swoje zwyczaje i spotkaliśmy się gdzieś w połowie drogi. Pożeracz Chmur nosi ubranie, kiedy jest w ludzkiej postaci, a ja staram się pogodzić z tym, że ma nikłe poszanowanie dla cudzej własności, i że je surowe mięso, kiedy tylko ma po temu okazję.

Łagodna wolałaby pewnie, bym wrócił do domu i już nigdy nie postawił stopy na Smoczym Archipelagu, a w każdym razie na Wyspie Pazura. Ojciec Pożeracza Chmur bez wątpienia najchętniej wyprawiłby mnie na drugą stronę Bramy Istnień. Rzecz w tym, że ja już nie umiem rozstać się z Pożeraczem Chmur, a w każdym razie przysłoby mi to z wielkim trudem. Zbyt długo przebywaliśmy razem i za bardzo się zżyliśmy. Wiele nas łączyło i rozumieliśmy się aż za dobrze. Płowy, kiedy obserwował nasze „rozmowy”, był bardzo zdumiony. Sposób, w jaki się porozumiewamy z Pożeraczem, jest dość dziwaczną mieszaniną obrazów, wyobrażanych znaków pisarskich, zapachów, a także uczuć. Zasady tej swobodnej wymiany myśli są zmienne. Bawi nas z Pożeraczem Chmur wynajdowanie nowych pojęć i sposobów na wyrażanie pewnych rzeczy. Płowego przyprawiało to o zawroty głowy. Poddał się, próbując zrozumieć. Stwierdził, że równie dobrze mógłby starać się pojąć język wody i wiatru. W pewien sposób pochlebilo to nam.

Gdybym teraz miał się rozstać z Pożeraczem Chmur, bardzo by mi go brakowało. Byłem strasznie samotnym dzieciakiem. Moje stosunki z rówieśnikami w Pagórkach wyglądały tak, że ci silniejsi zabierali mi zabawki, a ci mniejsi przede mną uciekali. Długi czas winiłem za to swoje kalectwo, ale w końcu dotarło do mnie, że powodem jest nie moja głuchota, lecz talent. Dzieci, zupełnie jak małe zwierzątka, instynktownie odsuwają się od tych, którzy są „inni”. Tak więc wyrosłem na samotnego dużego chłopaka i miałem spore szanse na zostanie ponurym, niemłym, odcięty od ludzi mężczyzną. Nawet nie chodziło o to, że nie słyszę i trudno mi porozumieć się z innymi. Przeżyłem w Żmijowych Pagórkach dwanaście lat. To duża wieś, pretendująca nieśmiało do rangi miasteczka. Jej mieszkańcy jednak tkwią jeszcze obiema nogami w ciemnych wiekach. Jestem pewien, że wciąż jeszcze wierzą w stworzycy i czyhające na bagnach błotne demony. I w to, że białe węże wypijają mleko krowom. Gdy miejscowe dzieciaki kończyły nauki - a trzeba wiedzieć, że w Pagórkach mamy nauczyciela, który uczy dzieciarnię podstaw pisania, rachunków i opowiada im epizody z historii cesarstwa - ja naukę właściwie dopiero zaczynałem. W Żmijowych Pagórkach trzynastolatek powinien mieć opanowane podstawy konkretnego rzemiosła, pracować na roli na równi z dorosłymi i ogólnie mieć jakieś widoki na przyszłość. Więc żaden z tych solidnych rolników i hodowców nie miał poważania dla chłopaczyska, co nie bierze się solidnie do roboty, tylko ślęczy nad książkami albo siedzi godzinami bez ruchu, a wokół niego pojawiają się jakieś zwidy - wstyd, przekleństwo i obraza. Byłem po prostu inny.

Płowego szanowali, ale omijali z daleka jak kogoś chorego albo niespełna rozumu. Obaj żyliśmy nie tyle wśród ludzi, ile obok nich. Nikt nie chciał mieć bliżej do czynienia z człowiekiem, który słyszy cudze myśli, ani z takim, co uczciwy świat w kłamstwa ubiera.

Łatwo zrozumieć, że Pożeracz Chmur stał się dla mnie nie tylko pomostem do świata dźwięków. Jest moim przyjacielem, powiernikiem tajemnic i najbliższą mi istotą zaraz po ojcu. Czasem wydaje mi się, że go kocham, tak jakbym kochał brata.

*

Ciepłe wody oceanu kipiły życiem. Na płycznach morza spacerowały po dnie ogromne kraby, tkwiły zagrzebane w piasku rybo-stwory, którym widać było tylko słupkowate oczy. W przezroczystej wodzie unosiły się „wodne róże” - podobne kwiatom galaretki, pulsujące na podobieństwo małych różowych serc. Między pasmami wodorostów żerowały drobne rybki, kolorowe jak szklane paciorki. Ale zdarzali się i dziwniejsi mieszkańcy podwodnej kramy, w rodzaju ryb wyskakujących nad fale i szybujących ponad nimi, czy też ogromnych żółwi statecznie przesuwających się nad podmorskimi łąkami jak niewiarygodnie wielkie żywe wyspy.

Tym razem jednak Kamyk zaledwie ułamkiem świadomości podziwiał osobliwości tropikalnego oceanu. Oceniał raczej ich przydatność do spożycia. Stojąc w wodzie po kolana, trwał nieruchomo z ościeniem w rękę, wypatrując ryb żerujących przy dnie, między wodorostami. Owo lekkie i poręczne narzędzie sporządził sam i w głębi duszy czuł z tego powodu wielką dumę. Stalowe ostrze przywiózł ze sobą, natomiast całą resztę wykonał z miejscowych materiałów. Po pierwszych próbach dodał cztery „wąsy” z zadziorami, co sprawiało, że ranna zdobycz nie miała możliwości ucieczki. Jak skuteczna była to konstrukcja, świadczyło choćby to, że chłopiec miał już trzy ryby nawleczone na sznurek i czyhał na czwartą.

W pewnej chwili coś niespodzianie trąciło go w nogę. Wyobraźnia natychmiast podsunęła chłopcu obraz rekina i wielkiej ośmiornicy, lecz przekonał się, że to tylko Liska. Woda sięgała jej prawie do nosa. Mała smoczyca wpatrywała się w Kamyka wyczekująco okrągłymi wiśniowymi oczkami. Nasiąkniętą jak gąbka, ciężką od wody wziął czym prędzej na ręce. Wyglądała żałośnie i komicznie, zupełnie jak przemoczony kot. Na Los i Oko Jego, co ten szkrab robił tu sam? Kamyk popatrzył w stronę brzegu i natychmiast, przerażony, odskoczył na głębszą wodę, potykając się o nierówności na dnie.

Liska nie była sama. W bezpośredniej bliskości otwierała się potworna paszcza, zbrojna w cały arsenał białych zębów, wielkich i ostrych jak miecze! Niemal na wyciągnięcie ręki! Pazur szalał na brzegu - pewnie już od dłuższej chwili - chłopiec go nie słyszał, a córka najwyczejniej w świecie ignorowała. Zamaczał przednie łapy, usiłując dotrzeć do chłopca trzymającego jego dziecko, ale wstręt do wody był w nim najwyraźniej tak głęboko zakorzeniony, że nie mógł wejść głębiej. Gdyby Kamyk stał choć krok bliżej brzegu lub gdyby Pazur miał dłuższą szyję, prawdopodobnie doszłoby do krwawej rozprawy. Wystraszony chłopak cofał się coraz bardziej, zanurzając się po pas. Przyszło mu do głowy, że jeśli smok zdecyduje się zaatakować go z powietrza, to zanurkuje. Gotów był dla własnego bezpieczeństwa pozostać w morzu choćby i do nocy, ale co z Liską? Powinien jak najszybciej odstawić ją na brzeg, lecz wtedy z całą pewnością dopadnie go rozwścieczony smok, który najwyraźniej w świecie stracił wszelki rozsądek. Liska tymczasem z dziecięcą bez troską lizała Kamyka w ucho, zupełnie nie przejmując się całą tą awanturą.

Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie pojawił się Pożeracz Chmur, który na krótko

odwrócił uwagę Pazura. Kamyk mógł zaryzykować i podejść nieco bliżej, by nieznośna Liska w miarę bezpiecznie dotarła na plażę. Nie wiadomo, co powiedział Pożeracz Chmur ojcu, lecz chyba coś, co tylko wzmogło jego wściekłość. A może po prostu musiał się na kimś wyładować. Kamyk aż skulił ramiona, widząc, jak Pazur wali wielkimi łapami mniejszego od siebie Pożeracza. Biała sierść fruwała w powietrzu, młodszy smok uchylał się przed ciosami, cofał w kornej postawie z podkulonym ogonem, a wreszcie zrejterował całkiem, umykając w zarośla.

Tkacz Iluzji przezornie odczekał, aż Pazur wyłowi nieposłuszną córeczkę, chlapiącą się tuż przy brzegu, i oddali się z małą w pysku, rzucając jeszcze na odchodnym spojrzenia pełne nienawiści. Chłopiec czym prędzej przedostał się przez strefę przyboju, rzucił oścień na piasek i pobiegł na poszukiwania Pożeracza Chmur. Młody smok siedział zaszyty w zaroślach, skulony, z łbem zwieszonym i nakrytym namiotem skrzydeł. Ponuro gapił się w ziemię, a z nosa kapłała mu krew. Uszy miał smętnie oklapłe. Kamyk usiadł obok i czekał. Przez jakiś czas Pożeracz Chmur oblizywał tylko krwawiący nos i wzdychał ciężko. Wreszcie po dłuższym czasie chłopiec poczuł znajome dotknięcie smoczego umysłu moszczącego się gdzieś obok jego „ja”.

„Przepraszam, że tak wyszło. To nie moja wina” - wypisał w powietrzu.

Było mu naprawdę przykro. Zdawał sobie sprawę, że Pożeracz Chmur posłużył Pazurovi za ofiarę zastępczą. Właściwie to uratował Kamykowi życie, bo Pazur pewnie w końcu znalazłby sposób, by go rozerwać na kawałki.

Pożeracz Chmur frasobliwie potarł łapą nos.

„To nie przez ciebie. Ojciec jest wściekły, bo nie chcę tu żyć. Nie chcę siedzieć na tym końcu świata. Jest zły, bo nauczyłem się czytać i pisać. Mówi, że to są ludzkie sprawy - podejrzane, przeklęte i szkodliwe”.

Pożeracz Chmur przerwał na moment, a potem dodał:

„Pobił mnie, bo mu powiedziałem, że takie życie na wyspie jest głupie i wolałbym być człowiekiem”.

Kamyk otworzył usta ze zdumienia. Wiedział, że Pożeracza pociągała ludzka rasa, ale żeby aż tak...?

„Lubię być człowiekiem. Podoba mi się to - ciągnął młody smok. - Potrzebuję wtedy mniej miejsca, mniej jedzenia. Jako człowiek mam ręce, a tyle można zrobić rękami. Łapą da się co najwyżej dziurę w ziemi wygrzebać. Ludzie mają mnóstwo ciekawych zajęć. Żyją tak... szybko, mocno... rozumiesz?”

Kamyk pokiwał głową twierdząco. Pożeracz Chmur powtarzał to, co kiedyś już wyjaśniał mu na Bursztynowym Brzegu.

„Ty to masz dobrze - smok znów westchnął głęboko. - Płowy bardzo cię kocha. I nigdy nie bije. A mój ojciec...”

Kamyk uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

„To nie tak do końca prawda. Ojcowie niezbyt różnią się między sobą. Ja też nieraz obrywałem. Zebrałem w życiu chyba więcej różeg, niż mam włosów na głowie. Przestałem broić, jak miałem koło trzynastu lat, i Płowy odetchnął. Stwierdził, że może jednak nie skończy w więzieniu. Raz dostałem chyba jeszcze gorzej niż ty teraz”.

Pożeracz Chmur szeroko otworzył oczy ze zdumienia i zgrozy.

„Płowy cię podrapał? Ugryzł? Za co?”

„Ludzie nie gryzą - poprawił go chłopak z pobłażliwą miną. - Podpiłowałem deskę w wychodku karczmarza, bo mnie szarpał i mało mi ucha nie urwał. Długo nie można go było doczyścić”.

Wyobraźnia zrobiła swoje. Obaj zaczęli się strasznie śmiać, a smok aż dostał czkawki. Jego zły humor ulotnił się zupełnie. Popłynęły opowieści z czasów dzieciństwa - wspomnienia przygód, psot i żartów. O dziwo, chociaż Pożeracz Chmur żył parokrotnie dłużej od Kamyka, przegrywał w tej dziwnej licytacji. Zrzucanie przegniłych owoców na głowę nielubianej ciotki nie mogło równać się z inwazją stada iluzorycznych szczurów na miejscowe hafciarki. A straszenie rybaków wydawało się zajęciem dość monotonnym wobec niektórych wyczynów nieletniego Tkacza Iluzji: pojawiające się pośrodku Pagórków stada jednorożców, znikające domy, deszcze zdechłych ryb... albo ludzie zmuszeni do paradowania ze zwierzęcymi pyskami w miejscu twarzy.

„Płowy mówił, że byłem wcielonym demonem z samego dna piekielnej otchłani, i że to przeze mnie do końca osiwiiał” - Kamyk wyszczerzył psotnie zęby.

Pożeracz Chmur wywalił język.

„Wygląda na to, że ja za to byłem bardzo grzecznym dzieckiem. W porównaniu oczywiście”.

„Pewnie nie miałeś zbyt wielu okazji ani możliwości, żeby się wykazać, biedaku. Rodzice cię aż tak pilnowali?”

Wspomnienie o starszych smokach znów skierowało myśli Kamyka na wcześniejszy niefortunny wypadek.

„Dlaczego Pazur mnie tak strasznie nienawidzi?” - spytał z żalem.

Smok zmieszał się.

„On cię nie nienawidzi. To znaczy, nie tylko ciebie... wszystkich ludzi”.

„Dlaczego?” - Kamyk ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

Pożeracz Chmur popatrzył na niego z miną wyrażającą głęboki namysł, a w końcu podniósł się i nakazał z nagłą determinacją:

„Włóż mi na kark, coś ci pokażę”.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie, sadowiac się wygodnie na miękkim futrze. Pożeracz ruszył między splątana zieleń serca wyspy. Umykało przed nim wszystko, co żyło, pomijając wielkie jak pięści ociążałe żuki, którym rozmiary oraz owadzia głupota dodawały pewności siebie. Również wszędobylskie mrówki taszczyły swe brzemiona zaaferowane własnymi sprawami. Nie tylko ogromny smok, ale nawet przemarsz całej armii cesarskiej pewnie wprowadziłby jedynie chwilowe zamieszanie w mrówczych szeregach, po czym na nowo podjęłyby swoje zajęcia. Kamyk słuchał odgłosów dżungli przefiltrowanych przez smocze uszy. Pomiedzy gałęziami złorzeczyły im papugi, a małpy wydawały przenikliwe ostrzegawcze krzyki: „Idzie smok! idzie smok!”. Chłopiec nigdy nie zapuszczał się aż tak głęboko w duszną zieleń, gdzie wszystko rozpychało się, oplatając wzajemnie wokół siebie i szukając chciwymi pędami każdej kropli wilgoci, każdej plamki słońca. Wszędzie było pełno cierni i liści o ostrych brzegach. Pożeracza Chmur chroniła gruba sierść, ale Kamyk nie miał na sobie nic prócz sandałów i kawałka płótna okręconego wokół bioder. Kiedy raz i drugi skórę Kamyka naznaczyły cienkie linie zadrapań, pożałował, że nie zawrócił po spodnie i bluzę lub chociaż tunikę, lecz z drugiej strony w gęstwinie stał nieznośny duszny upał - inny niż gorąco plaży, gdzie powietrze mieszała rześka bryza znad oceanu. Przyłgnął mocno do szyi swego towarzysza, szukając osłony za lekko uniesionymi skrzydłami. Wreszcie Pożeracz Chmur zatrzymał się.

„To tutaj” - oznajmił, a Kamyk zorientował się, że myśli młodego smoka dalekie są od nastroju bez troski.

Przed nimi wznosiły się ruiny, niemal kompletnie zasłonięte rozbuchaną zielenią, kamienne ściany rozsypywały się z wolna, katowane kolejnymi porami deszczowymi i pędami roślin,

wciskającymi się w każdą szczelinę. Zarośnięte pnączami mury gdzieśgdzie były jeszcze całkiem wysokie, lecz nieubłagane kruszyły się od góry. Większość zawałała się jednak zupełnie, tworząc kupy gruzu, zagarnięte niemal całkowicie przez roślinność. Kamyk zamknął oczy na dłuższą chwilę. Próbował wyobrazić sobie to miejsce przed laty, gdy żyli tu ludzie. Czy domy były równie wysokie jak te, które widział w stolicy? Czy ich ściany w podobny sposób pokrywały barwne freski? Tam, gdzie dziś panowały się chwasty o mięsistych liściach i kolczaste pnącza, kiedyś rosły kwiaty. Wytyczone ścieżki prowadziły między rabatami i kamiennymi ławami, na których przysiadali zmęczeni przechodnie. Pewnie pracowali tu kiedyś ludzie, biegali dzieci i oswojone zwierzęta. Ale teraz wszystko zagarnęła puszcza. Chłopiec otworzył oczy: zielony półmrok, roje drobnych owadów unoszące się nad zbitym kłębowiskiem lian.

„Wszyscy z twojej rasy odeszli stąd już bardzo dawno temu”.

„Myślisz, że minęło więcej niż sto lat?” - zastanowił się Kamyk.

„Na pewno - odparł smok. - Nikt z tych, których pytałem, nie pamięta ludzi na Smoczym Archipelagu. Musiało minąć co najmniej kilkaset lat. Zostały tylko ruiny, ale za to są wszędzie, na każdej wyspie. Na Jaszczurze też. Często się tam bawiłem... z bratem...”

Pożeracz Chmur spuścił smutno swą wielką głowę. W umyśle Kamyka pojawił się wizerunek małego szarego smoka - miniaturowy Pazura w białych pończochach.

„Miałem wtedy dopiero osiemnaście lat, a Szperacz jeszcze mniej” - ciągnął smok.

„Co się stało? Został na jaszczurze?” - spytał chłopiec, ogarnięty złym przeczuciem.

„Tak, został... Umarł. Wpadł do starej studni w ruinach. Nie było w niej wody, ale była bardzo głęboka, a otwór miała wąski”.

„Zabił się?”

„Uduśił. Świeże powietrze nie dochodziło do samego dna. Ojciec nie potrafił go wyciągnąć. Czuwał tylko aż do samego końca. A od tamtej pory zmienił się. Nienawidzi ludzi, obwinia ich za tamto nieszczęście. Zmienialiśmy terytoria, ciągle przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, bo ojciec chciał uciec jak najdalej od waszej rasy. Ale wszędzie są jakieś resztki: ruiny, rzeźby, różne przedmioty. Nawet tu, na tej wyspie, też stały ludzkie domy”.

„Czy Pazur wie o tym?”

Pożeracz Chmur machnął uszami lekceważąco.

„Nie mam pojęcia. Może wie, ale udaje, że nie wie. Ta wyspa to już ostatni skrawek lądu, a dalej jest tylko woda. W końcu gdzieś trzeba żyć i wychowywać Liskę. Gdzie byśmy poleciali, to i tak natrafimy na ludzi. Jesteście jak szczury, mnożycie się w zawrotnym tempie i rozłazicie wszędzie”.

„Wypraszam sobie. Tylko nie szczury” - zaprotestował Kamyk, nadąsany.

„To nie ja tak mówię, to mój ojciec” - sprostował Pożeracz.

„Wszystko jedno, nie porównuj mnie do szczura. I chodźmy już - poprosił chłopiec. - To miejsce jest przygnębiające. A na dodatek muchy mnie jedzą”.

Po tym jak Pożeracz Chmur pokazał mi ruiny, zacząłem inaczej oceniać Pazura. Sam przecież straciłem rodziców. Zdarzyło się to bardzo dawno temu, kiedy byłem jeszcze mały, ale i tak odczułem to jako bardzo bolesną stratę. Nie pamiętam ojca. Płowy twierdził, że jestem do niego podobny, ale nie umiem go sobie porządnie wyobrazić. Za to często śniła mi się mama - blada, z ustami całymi w strupach - odpycha mnie od siebie, zabrania mi podejść, jest przerażona

i gniewa się na mnie... ktoś mnie łapie wpół i gdzieś niesie. Wyrrywam się, ale twarde ręce trzymają mocno i sprawiają ból. Byłem jedynie małym chłopczykiem i nic nie rozumiałem, wiedziałem tylko, że matka już mnie nie kocha i nie chce widzieć. Ten sen powtarzał się często. Budziłem się z rozpaczyliwym płaczem i zasypiałem na powrót dopiero w bezpiecznych ramionach Płowego. Skoro mnie tak bardzo bolało zaledwie jedno wspomnienie, jak musiał cierpieć Pazur, którego smocza pamięć przechowywała wszystkie zdarzenia świeże i wyraźne, jakby wydarzyły się zaledwie wczoraj?

*

Mławka przepływająca przez Żmijowe Pagórki była nie tyle rzeką, ile rzeczka. Zwłaszcza w porze letniej suszy kurczyła się do skromnej wodnej wstążki, pełzającej po dnie wyschniętego koryta. Jednak wiosną i na początku lata pojawiało się w niej tak dużo wody, że można było pływać. Kamyk umiał pływać i znał groźne właściwości rzecznych wirów. Wiedział też, czego można spodziewać się po jeziorach i stawach gęsto zarośniętych wodorostami. Podczas pobytu na Bursztynowym Brzegu zapoznał się z groźnym zjawiskiem wstecznego morskiego prądu. Nigdy nie przyszedłoby mu do głowy, że można się utopić na głębokości niespełna trzech łokci.

U brzegów wyspy zdarzały się skupiska skalnych złomów, wystających z wody niczym grzbiety śpiących lewiantów - z wierzchu wygładzonych przelewającymi się falami, a u spodu chropowatych od narastającego koralu. Kamyk leżał na jednym z takich naturalnych tarasów i korzystając z odpływu, śledził intensywne życie podwodne. Troskliwie chroniąc kawałek pergaminu przed wilgocią, usiłował naszkicować zwierzę, kryjące się w zagłębieniu między ukwiałami. Od czasu do czasu spomiędzy barwnych pióropuszy wysuwały się długie szczypce lub macka, ostrożnie badając otoczenie, a następnie szybko chowały się z powrotem. Między podmorskimi zaroślami migotały skrawki pancerza nakrapianego brązowo, różowo i w kolorze lila, prawie nie do odróżnienia od tła. Woda falowała, utrudniając obserwację. Kamyk krytycznie spojrział na swe dzieło i westchnął ciężko. Gdybyż jeszcze te piekielne kwiaty nie były tak ruchliwe... ciekawe, że morskie zielska często poruszały się niezależnie od fal i prądów, zupełnie „nierozłinnie”.

Ma cztery macki, za pomocą których pływa, i parę rogowych szczypiec. Lewe są większe od prawych i bardziej wygięte - napisał chłopiec pod rysunkiem. - Wiele czasu spędza w ukryciu...

W zamyśleniu włożył do ust końcówkę rysika, po czym w pośpiechu wyjął i splunął solidnie. Ołów był trujący. Koło kryjówki nakrapianego stworzenia przepłynęło stadko niewielkich niebieskich rybek. Spomiędzy falujących zarośli wystrzeliła błyskawicznie długa macka, porywając jedną.

Zjada małe ryby - dopisał Kamyk z satysfakcją i znów zatopił spojrzenie w morskich odmętach. Nagle jego uwagę przyciągnął szybki ruch nieopodal. Jakieś smukłe ciała śmigały w szmaragdowoniebieskim przestworze, to w jedną, to w drugą stronę. Wydawało się, że gonią się nawzajem. Chłopiec z ciekawością wychylił się dalej nad brzegiem rafy, usiłując dojrzeć coś więcej. Rekiny, o których tyle czytał? Te groźne drapieżniki rzadko gościły u brzegów Lengorchii, lecz krążyło wiele opowieści o ich ogromie, ostrych zębach i przerażającej żarłoczności. Ale nawet jeśli to nieprawda i przeciętny rekin nie osiągał rozmiarów łodzi rybackiej (co Kamykowi zdawało się mocno przesadzone), te stworzenia, poruszające się szybko pod powierzchnią wody, były z pewnością za małe na rekiny. Jeden z szarych kształtów podpłynął bliżej. Chłopiec z fascynacją wpatrywał się w zdumiewającą istotę. Falująca

powierzchnia wody lekko zniekształcała obraz. Z dołu patrzyły na Kamyka szeroko rozstawione okrągłe oczy osadzone w płaskiej twarzy. Pasma włosów, ciągnące się wzdłuż szczytu czaszki, unosiło się w wodzie jak smuga dymu. Krępy tułów tej istoty zwężał się w ogon zakończony poziomą, dość szeroką płetwą. Z całą pewnością miał przed sobą syrenę. Raczej niedużą i wyglądającą niegroźnie. Oczywiście nie przypominała również piersiastych ślicznotek spotykanych w niemal wszystkich żeglarskich legendach. Była stworzeniem żyjącym w wodzie i doskonale do takiego środowiska przystosowanym.

Chłopiec i syrena obserwowali się nawzajem. Inni członkowie stada z wolna zaprzestawali chaotycznego krążenia po płyciźnie, zbierając się wokoło głazu. Kamyk szkicował gorączkowo, wypełniając pergamin krzywymi kreskami. Dłonie trzęsły mu się z podniecenia. Syreny zbliżyły się do siebie, gestykulując oszczędnie krótkimi rękami i stykając się czołami. Wyglądało na to, że się naradzają lub wymieniają jakieś wieści. Kamyk głowę by dał, że poruszenie w stadzie wywołała jego obecność. Pewnie syreny były tak samo zaskoczone tym spotkaniem, jak i on. Zaintrygowany, podpierając się rękami, wychylił się jeszcze bardziej, usiłując dostrzec więcej szczegółów.

Atak nastąpił w mgnieniu oka. Ponad powierzchnię wyprysnęło gibkie szare ciało, a silne palce wczepiły się chłopcu we włosy. Stracił równowagę i runął w fale. Wokoło spieniła się woda od przepychających się syrenich ciał. Kamyk odruchowo wstrzymał oddech i zacisnął powieki, chroniąc oczy przed piekącą solą. Uderzył w coś czołem. Przeszorował brzuchem po szorstkiej skale koralowej i muszlach. Ostre pazury drapnęły go po plecach, wczepiły się w ramiona. Wleczony po dnie, zmusił się do otwarcia oczu. Wszędzie kłębiły się popielate, śliskie cielska. Odpychał je niezdarnie, bezradny w obcym, wrogim żywiole. Walka na pięści nie wchodziła w rachubę - woda stawiała zbyt duży opór. Kamyk usiłował uwolnić głowę, podnieść się i zaczerpnąć powietrza. Niestety, stwory uczepliły się również jego kostek. Szarpany i wleczony, zorientował się, że półludzkie bestie ciągną go w stronę brzegu podwodnego klifu, w głębiny, gdzie nie będzie miał najmniejszej szansy na ratunek. Już zaczynało brakować mu powietrza. Wbił palce w szczelinę koralowej skały, zdecydowany nie dać oderwać się od niej choćby i po śmierci. Dusił się. Przed oczami zaczęły mu wirować żółte płatki. Ugryzł szponiastą łapę, która zagroziła jego twarzy. Ostatkiem przytomności zaciskał palce i walczył z chęcią nabrania oddechu, który napełniłby mu płuca słoną wodą. Żółta zawierucha przed jego oczami poczerniała, a w końcu czarne drobiny połączyły się w jedną wielką, ciemną plamę.

„Tonę... - pomyślał, nagle spokojny i absurdalnie obojętny. - Nie dokończę rysunku...”

Serce chłopca jeszcze łomotało o żebra niczym oszalały ptak o pręty klatki. Nie poczuł już tego, że jego kurczowo zacisnięte palce rozluźniają się. Osunął się w ciemność i bezwład.

*

Pierwszym wrażeniem, które znów do niego dotarło ze świata żywych, był ból pod powiekami, pieczenie w ustach i nosie. Kamyk odetchnął i rozkaszał się. Powoli otworzył jedno oko. Wszystko rozmazywało mu się przed oczami, tworząc płowobiałe nieregularne plamy. Zamrugał z wysiłkiem i niewyraźne plamy w końcu przemieniły się w piasek tuż przy jego twarzy. Leżał na brzuchu, a coś... ktoś... szorował go czymś po obolałych plecach. Otepiały umysł kilkakrotnie obrócił tę informację, aż wreszcie chłopak zdecydował się oderwać policzek od ziemi i spojrzeć w górę. Nad nim zwieszał się mokry smoczy pysk. Pierwszą myślą Kamyka było: „Pożeracz Chmur”, lecz w chwilę później rozpoznał Łagodną, która lizała go po plecach.

Purpurowe oko przyjrzało się uważnie przytomniejącemu Kamykowi, a smocze „ja” niezgrabnie i jakby z pewną rezerwą wsunęło się do umysłu chłopca, poszukując najlepszego sposobu porozumienia.

„Dobrze? Dobrze?” - zapytała Łagodna, a jej niepokój niósł się mrowiącą mentalną falą. - Woda niedobrze. Niedobrze”.

„Dobrze” - uspokoił ją chłopiec, siadając.

Stwierdził z narastającym niezadowoleniem, że jest cały oblepiony piaskiem i krwią. Jego brzuch, pierś i uda wyglądały, jakby ktoś przeciągnął po nich żelazną tarką. Pazury syren poznały jego barki długimi czerwonymi kreskami, a kiedy obejrzał obolałe i wciąż jeszcze krwawiące ramię, rozpoznał półkolisty ślad ostrych zębów i spóźniony lęk chwycił go za gardło.

Smoczyca potrzasała mokrą głową, strzepywała każdą łapę osobno, podobnie jak robią to zmoczone koty.

„Woda niedobrze - tłumaczyła surowo. - Niebezpiecznie. Ryby, syreny, dużo zęby. Zabijanie. Ty nie wolno wchodzić do morze”.

„Dziękuję. Uratowałaś mnie. One by mnie... pożarły, prawda?”

Smoczyca spojrzała krzywo, susząc się zawzięcie.

„Tak” - to krótkie potwierdzenie miało dość cierpki posmak.

Kamyk oblizał suche wargi. To musiała być prawda. Smoki tak straszliwie bały się wody, że Łagodną do wskoczenia w fale mogło zmusić wyłącznie zagrożenie życia - własnego lub cudzego. Tym bardziej należało docenić jej poświęcenie.

„Dziękuję” - powtórzył Kamyk, wciąż wyczuwając pasmo mentalnego połączenia między sobą a Łagodną. Starał się zebrać i wyrazić myślą całą swą wdzięczność i podziw. Smoczyca znów dotknęła go przelotnie swym miękkim, wilgotnym nosem.

„Dobrze, ty żyjesz. Nie chcę, żeby dziecko umierało. Żadne dziecko. Nie smok, nie człowiek. Nigdy”.

W pierwszym odruchu chciał zaprotestować. Nie uważał się za dziecko! W chwilę później zrozumiał: dla Łagodnej nie był dorosły. Jeśli znała jego wiek - a prawdopodobnie Pożeracz Chmur opowiedział jej o nim wszystko - Kamykowe szesnaście lat musiało wydawać jej się liczbą wyjątkowo mizerną. W jej pojęciu był szczeniakiem, nawet nie rówieśnikiem jej syna... dzieckiem, i to dzieckiem pozbawionym opieki matki. Może to właśnie ten niepokój i nieświadoma troska o niedorośle ludzkie młode przygnała ją akurat w porę, by uratować mu życie? „Nie chcę, żeby dziecko umierało”. Może miała na myśli tylko Kamyka, a może także małego szarego smoka imieniem Szperacz, którego musiała zostawić daleko stąd.

Tuż obok z impetem wylądował Pożeracz Chmur, syjąc piachem na wszystkie strony.

„Coś się stało?! Jak ty wyglądasz? Skąd ta krew?!” - zasypał natychmiast Kamyka gradem pytań. Nim jednak chłopiec zdołał pozbierać rozproszone myśli, młody smok już odwrócił się do matki. Przez moment dwa smoki patrzyły sobie w oczy, najwyraźniej rozmawiając w myślach, po czym Pożeracz Chmur z pogardą po psiemu zamiótł za sobą łapami.

„Syreny! Mogłem się domyślić. Bestie! Głupie rybie mózdzki”.

„Nie takie głupie, skoro mnie złapały” - zauważył Kamyk ponuro, klękając przy najbliższym bajorku i próbując zmyć z siebie ostrożnie krew i piasek. Skaleczenia piekły od słonej wody.

„Tak... - to znów był charakterystyczny, rwany i nieklarowny przekaz Łagodnej. - Ty teraz wiesz. Woda niedobra. Zła dla mojego dziecka. Szara/ryba, syrena, wąż i inne złe/groźne zwierzęta. Smok musi się bać wody. Musi się bać mały smok, jak się nie boi, to umiera”.

Kamyk wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w smoczycę.

„Ty - człowiek/szczeniak - pilnuj moją córkę. Ja proszę. Tak? Tak? Ty zrobisz tak?" - mentalny przekaz Łagodnej przenikały niepokój i natarczywa prośba.

„TAK. Oczywiście. Zrobię wszystko dla Liski”.

To chyba wystarczyło Łagodnej, bo oddaliła się, na odchodnym jeszcze pocierając pieszczotliwie nosem o pysk Pożeracza Chmur. Kamyk pociągnął go za sierść.

„O co chodzi, dlaczego mam pilnować Liski?”

Biały smok położył się na ziemi i opuścił głowę do poziomu oczu chłopca.

„Zdajesz sobie chyba sprawę, że to miejsce nie może wykarmić trzech dorosłych smoków?”

Kamyk przygryzł wargę. Podejrzewał to już od dawna. Na tej niewielkiej wysepce nie było dużych zwierząt. Zdążył się zorientować, ile mięsa pochłania Pożeracz Chmur w swojej naturalnej postaci - chociaż smoki jadały zdumiewająco mało w porównaniu z rozmiarami i potrafiły obywać się bez jedzenia przez kilka dni, to jednak przy najostrzejszym reżimie żywnościowym zwierzyna łowna musiała się kiedyś skończyć.

„Oszczędzaliśmy na jedzeniu. Staraliśmy się zużywać mało energii, ale to i tak nie wystarcza - ciągnął smok, potwierdzając podejrzenia Kamyka. - Rodzice lecą na kontynent. Chcą się najeść na zapas. Liskę muszą zostawić tutaj. Ale jeśli ona znów wejdzie do wody, to ja nie będę jej mógł wyciągnąć! A ocean nie jest bezpieczny, sam się o tym przekonałeś. Mama cię szukała, żeby poprosić... żebyś pilnował Liski na plaży i kiedy wskoczy do morza, żebyś ją wyciągnął”.

Chłopiec pokiwał głową. Wszystko stało się jasne. Nowe doświadczenia, nowe problemy, nowe wpisy do pracy o smokach.

„Jasne, dla Liski i twojej matki zrobię wszystko. Mam u niej spory dług wdzięczności. Gdyby nie ona, już byśmy tu nie rozmawiali”.

Ciemny kształt, przewalający się bezwładnie w falach przyboju, zwrócił uwagę Kamyka. Była to martwa syrena, którą najwyraźniej dosięgły zęby Łagodnej. Zwalczył w sobie uczucie obrzydzenia i wyciągnął ciało na brzeg. Skóra stworzenia była śliska i dziwnie porowata w dotyku, jak mokry grzyb. Właściwie Kamyk nie miał najmniejszej ochoty go oglądać. Jednak Płowy z pewnością bardzo zainteresuje się anatomią syreny i poprosi o dokładny opis.

Syrena była mała jak dziecko. Zdumiewające, że ktoś o tak niewielkich rozmiarach bez trudu mógł obezwładnić rosnącego młodego człowieka. Z drugiej strony, w stadzie musiały czuć się bardzo pewne siebie. Dysponowały też niewątpliwie inteligencją większą niż zwykła ryba, i to nie tylko z powodu swego podobieństwa do ludzi. Czaszka syreny była nieco spłaszczona, widocznie po to, by mogła szybciej pływać. Bez wątplenia temu samemu celowi służyła krótka szyja i wąskie ramiona. Jednej z rąk brakowało - w miejscu barku ziała potworna rana zadana smoczymi zębami. Z poszarpanego mięsa sterczała złamana kość.

Prócz wąskiego pasa wiotkich włosów na głowie syrena nie miała innego owłosienia. Jej twarz, bez brwi, robiła dziwne wrażenie. Na oczy, pozbawione powiek, nachodziła od dołu cieniutka błona, podobnie jak u węży. Nozdrza były jedynie ukośnymi szczelinami nad linią bezwargich ust. Syrena nie miała także uszu - w miejscu, gdzie powinny się znajdować, chłopiec odkrył koliste miękkie membrany, a tuż za nimi coś, co niewątpliwie było skrzelami.

Kamyk odetchnął głęboko.

„Jestem naukowcem - pomyślał. - Ludzie nauki powinni robić takie rzeczy”.

Zaciskając usta ze wstrętu, otworzył syrenią paszczkę. Zęby stworzenia wyglądały paskudnie - drobne, ale za to trójkątne i tak gęsto ustawione, że przypominały piłę. Mimowolnie chłopak zerknął na skaleczone ramię. Szrama stanowiła wierne odbicie tego, co ujrzał przed chwilą. Z pewnością syrena byłaby w stanie wyrwać mu kawałek ciała za jednym zamachem.

Niewiele brakowało. Żebra odznaczające się pod skórą wyglądały zdecydowanie nienormalnie: nie stykały się tam, gdzie powinien znajdować się mostek. Klatka piersiowa morskiego stwora przypominała niedokończony koszyk z wikliny. Na miękkim, bladym brzuchu wyraźnie odznaczał się pępek - widocznie syreny rodziły się, a nie wylęgały z jaj jak smoki. Jednak Kamyk nie dopatrywał się ani sutków, ani widocznych genitaliów. Tak więc nie można było rozstrząsać, czy Łagodna uśmierciła „jego” czy „ją”. Płowy zapewne z zapałem zrobiłby sekcję, wywlekając z syreny wszystkie wnętrzności, a potem sporządziłby mnóstwo ciekawych (i obrzydliwych) preparatów. Kamyk jednak nie potrafił się zdobyć na nic podobnego. Rozgrzeszył się i usprawiedliwił brakiem umiejętności, po czym zagrzebał martwe stworzenie w piachu, mając nadzieję, że fale przyływu go nie odślonia i nie będzie musiał go więcej oglądać.

Niebezpieczne zajście z syrenami otworzyło mi oczy na kilka spraw. Namiętność Liski do wody jest rzeczywiście groźna. Woda może być groźna również dla mnie. Nieświadomie oczekuje się, że istoty podobne do ludzi zachowają się wobec nas przyjaźnie albo przynajmniej neutralnie. Nic bardziej mylnego. Przecież to właśnie ludzie toczą między sobą wojny, mordując się i torturując okrutnie. Pożeracz Chmur twierdzi, że pod tym względem ludzie go przerażają. Nigdy nie spotkał się z przypadkiem, by jeden smok zabił drugiego, by odebrać mu terytorium lub zdobycz. Widocznie syreny są bardziej podobne do ludzi niż smoki. To nie jest miła myśl.

Pazur zrobił poważny błąd, sprowadzając rodzinę na Wyspę Szaleńca. Było to urocze miejsce, ale... dla ludzi. Zapewne też dość wygodny teren dla jednego starca z niewielkim apetytem, lecz kompletnie nie nadawało się dla smoczej rodziny. Łagodna i Pazur odlecieli, a na wyspie została tylko młodzież. Oznacza to dla mnie i Pożeracza więcej zajęć, bo Liskę trzeba karmić i pilnować jej, ale również, że nastał czas swobody i beztrudnych zabaw. „Myszy tańczą, gdy kot śpi”. Będziemy urządzać wyścigi krabów, robiąc zakłady o różne fanty. Włóczyć się po lesie i uczyć Liskę polowania. Kąpać się (oczywiście tylko ja i Liska). Skorzystam z nieobecności dorosłych i nauczę Liskę pływać. Kto wie, czy to się jej kiedyś nie przyda. Robimy rozmaite plany na przyszłe dni.

To piszę ja, to znaczy Pożeracz Chmur. Kamyk już nie może pisać, bo jest ranny. Nie wiem, co robić. Rana jest głęboka i nie chce się goić, chociaż bardzo starannie ją wylizałem. Dlaczego on nie zdrowieje? Ludzie są bardzo nieodporni. Kamyk nic nie je, chociaż przynoszę mu najlepsze mięso, jakie tu jest. Tylko ciągle chce mu się pić. Jest bardzo gorący, to chyba niedobrze. Właściwie to na pewno jest zupełnie źle, bo on jest nieprzytomny i już w ogóle nie poznaje ani mnie, ani Liski. Nie kontroluje talentu i widać wszystkie jego sny - zupełnie okropne, pomieszane koszmary. Liska straszy się ich boi. Ja boję się chyba jeszcze bardziej, ale nie tych wszystkich widoków, co się snują nad Kamykiem. Czuję się całkiem bezradny. Kamyk kaszle krwią, wycieram mu usta i to jest wszystko, co mogę zrobić. Walczy o każdy oddech, a ja liczę te oddechy i tak się strasznie boję, że któryś będzie ostatni. Nie wiem, co robić, zupełnie nie wiem, co robić! Co ja zrobię, jak Kamyk umrze? Co się robi, kiedy umierają ludzie? Czy ich pogrzeby są podobne do naszych? Będę chyba musiał oddać te wszystkie zapiski Płowemu. Kamyk na pewno by też tego chciał. A ja chcę, żeby mama już wróciła.

*

Łzawe przepowiednie Pożeracza Chmur na szczęście się nie sprawdziły, chociaż niewiele brakowało. Stałem już przed Bramą Istnień, a Pani Strzał uchylała drzwi i kiwała na mnie zachęcająco palcem. Po raz pierwszy od wielu dni jestem w stanie utrzymać pióro w ręku, ale

męcę się szybko. Postaram się jednak po trochu spisać ostatnie zdarzenia. Z pewnością warto byłoby umieścić w diariuszu te dramatyczne wypadki, w których Krągomal nie stracił dobrze zapowiadającego się Tkacza Iluzji. Jeśli ktoś jeszcze sądzi, że tatuaż Kręgu chroni od wszelkich niebezpieczeństw, ja pierwszy nazwę go naiwnym. Smoczy Archipelag to nie Lengorchia, tak samo jak wody go otaczające, i za nic tu się ma to, że cesarz na kawałku mapy napisał „to moje”.

*

Kamyk przerwał pisanie, zmęczony, oparł głowę na szorstkiej powierzchni hamaka i zamknął oczy. Nawet tak niewielki wysiłek sprawiał, że czuł znużenie. Pod powiekami przemykały mu minione wydarzenia: wciąż żywe w jego pamięci, jakby to wszystko działo się zaledwie wczoraj. Zagrożenie, lęk, walka... chłopcu mocniej zabiło serce, oblizwał suche wargi. Zapewne czas zatrze to wszystko, ale jeszcze nie dziś, nie teraz - bał się prawie tak samo jak wtedy...

*

Mimo nieobecności Pazura i Łagodnej Szaleniec nie próbował szukać pomsty na Pożeraczu Chmur za naruszenie granic swego terytorium. Stary smok jakby się zapadł pod ziemię. Pożeracz niejednokrotnie latał u północnego brzegu wyspy, na wszelki wypadek wypatrując napastliwego starca, ale po drugiej stronie cieśniny panował idealny spokój.

Zajmowanie się Liską również nie nastroczało kłopotów. Była na tyle grzeczna, na ile może być grzeczne entuzjastycznie nastawione do świata smocze szczenię. Wystarczyło, by starszy brat opowiadał jej historyjki, a trzymała się go jak uwiązana i nie próbowała na przykład włączyć do morza. Natomiast dostarczenie zabawek w postaci grzechocących muszli, orzechów, kolorowych piórek i kostek do obgryzania zapobiegało zjadaniu przez niesforne smoczątko czegoś niejadalnego lub wręcz trującego, jak na przykład śmierdzący żuk.

Motyl siedział spokojnie wśród kolczastych pędów, z wolna składając i rozkładając ogromne skrzydła, pewien swego bezpieczeństwa. Wzór na ich powierzchni lśnił metalicznie czernią i błękitem. Kamyk przyglądał się owadowi z mieszaniną podziwu i respektu. Do tej pory widywał go unoszącego się wysoko, poza zasięgiem rąk, jakby motyli olbrzym kpił sobie z wysiłków chłopca. Kolekcja owadów, przeznaczona dla Płowego, wyglądała już całkiem okazale, a błękitny motyl miał zostać jej największą ozdobą. Kamyk, wstrzymując oddech, zarzucił na swą zdobycz kawałek jedwabiu.

Motyl wyglądał tak pięknie, że żał go było zabijać. Chłopiec cieszył się jeszcze przez chwilę urodą czarno-niebieskich lśniących skrzydeł, po czym odetchnął głęboko i potrząsnął głową. Mężczyzna powinien być twardy, czyż nie? Po paru ostrożnych manewrach owadzi klejnot spoczywał już w pudełku na okazy - tak wielki, że ledwo się w nim mieścił. Kamyk jeszcze raz obejrzał zawartość pojemnika. Dziś miał szczęście. W szczątkach zbutwiałego pnia udało mu się wypatrzeć ogromnego rogatego chrząszcza, a potem uzupełnił kolekcję wielką jasnozieloną modliszką o oczach błyszczących i krągłych niczym perły. Z niewiadomych powodów całe robactwo dorastało tu do zadziwiających rozmiarów, co było kłopotliwe zwłaszcza w przypadku kąśliwych mrówek. (Tak... mrówki, podobnie jak skaczące nadrzewne pijawki, dokuczały wszystkim najbardziej). Chłopiec na wszelki wypadek przecesał starannie palcami włosy,

pomacał się po karku i ramionach, a także sprawdził, czy nogawki nadal tkwią w cholewkach butów. Bluza z długim rękawem, spodnie z samodziału - wahał się, czy je zabrać, a teraz okazały się niezbędne podczas wypraw w splątany gąszcz, podobnie jak nóż.

Trudno określić czas po słońcu w środku lasu, ale prawdopodobnie nadeszła pora, by wracać. Kamyk skierował się na przełaj w stronę plaży. Wybierał drogę z grubsza, tak by wyjść wprost w miejsce obozowiska. Uśmiechał się na myśl o swoim dzisiejszym trofeum. Pożeracz Chmur z pewnością je doceni albo przynajmniej bardzo dobrze uda zainteresowanie.

Gdyby nie jego ułomność, Kamyk usłyszałby ludzkie głosy już z daleka i zachowałby ostrożność. Niestety, widok grupy przybyszów zaskoczył go kompletnie. Przez chwilę, która nie trwała dłużej niż parę uderzeń serca, ludzie trwali nieruchomo jak żywy obraz, kierując wzrok na chłopca, który wynurzył się niespodzianie z zieleni. Kamyk nie zdążył policzyć obcych ani nawet przyjrzeć się im dokładniej. Jego oczy uchwyciły tylko ogólny obraz - musiało być ich więcej niż dziesięciu; wszyscy odziani niedbale w splowiałe łachmany, od pierwszego spojrzenia odstręczający nieokreślonym wrażeniem wulgarności i barbarzyństwa. Najgorsze jednak, że jeden z mężczyzn trzymał Liskę za tylne łapki, kołysząc ją nad ziemią jak ubitym królikiem. Mała wiła się w powietrzu, bezskutecznie usiłując sięgnąć zębami dręczącej ją ręki.

W ciągu sekundy chłopca ogarnął zimny dreszcz grozy, a natychmiast potem poczuł w piersiach płomień gniewu, który wybuchnął, przesłaniając mu oczy krwawą mgiełką. Kamyk miał w ręku ciężki nóż, którym dotąd torował sobie drogę w zaroślach. Nie widział, gdzie uderzył - cięcie, klinga zagłębiła się w czyjeś ciało, cios pięścią w twarz... Następny był dręczyciel Liski. Zasłonił się pałaszem przed uderzeniem Kamykowego ostrza. Chłopiec nie czekał już na nic. Chwycił upuszczone smoczątko i pognał z powrotem, by ukryć się w gąszczu. Oszałała z przerażenia Liska wbiła mu pazury w ramię, skowycząc cienko. Ktoś zdołał pochwycić go za koszulę, więc uderzył łokciem do tyłu, nie oglądając się za siebie. Trafiony w gardło pirat upadł na plecy, charcząc i trzymając się za szyję. Zbawcza ściana zieleni rosła tuż, tuż... Uderzenie w plecy na moment pozbawiło Kamyka tchu. Zachwiał się, potknął, ale biegł dalej, doskonale wiedząc, że jedynym ratunkiem jest ucieczka i schronienie w lesie. Smocze dziecko nadal drapało w ataku paniki, krwawo znacząc mu ramię pazurami. Czuł tępy ból w boku, lecz wszystkie te doznania były stłumione, jakby nadpływały z oddali i nie dotyczyły go bezpośrednio. Niebezpieczeństwo! Kryć się, ocaleć - oto co liczyło się tu i teraz.

Zdyszany chłopiec zatrzymał się dopiero wtedy, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa ostatecznie. Osunął się na kolana, upuszczając na ziemię Liskę i nóż. Brakowało mu powietrza, a przed oczami pływały srebrne punkciki. Oddychał ciężko, chrapliwie... bolesny atak kaszlu zdawał się rozrywać płuca, w ustach czuł smak metalu. Dotknął mokrych warg palcami, a potem z niedowierzaniem uniósł je ku oczom. Krew.

Czuł, jak coś spływa mu po skórze. Mokra koszula lepiła się do ciała. Na jasnym płótnie rozlewała się ciemnoczerwona plama. Oszołomiony Kamyk przesunął po niej dłonią, czując pod palcami twardy grot strzały sterczący spomiędzy żeber. W głowie chłopca obracała się jedna mętna myśl: to niemożliwe. To sen. Takie rzeczy przecież się nie zdarzają. To z pewnością tylko mu się śni. Zaraz obudzi się we własnym łóżku, a ojciec zagoni go do roboty przy szorowaniu garnków lub sortowaniu ziół. Niestety, strzała była jak najbardziej realna. Tak samo jak ból, który pojawił się, gdy tylko opadło podniecenie walką i ucieczką.

Ziemia uniosła się, uderzając chłopca w czoło. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w deseń zbutwiałych liści i zeschniętych łodyg.

„Nie mogę... - pomyślał mętnie. - Nie mogę... nie mogę... nie mogę... co?”

„Nie mogę teraz zemdleć” - dokończył myśl z wysiłkiem.

Bardzo wygodnie byłoby stracić przytomność, zostawiając cierpienie po drugiej stronie ciemności. Tuż obok jednak kuliło się wystraszone, skrzywdzone dziecko i naprawdę nie było ważne to, że nie jest to dziecko ludzkie. Z pewnością pościg znajdował się już w drodze - mieli niewiele czasu, być może zaledwie minuty. Napastnicy z łatwością ich znajdą, podążając tropem zgniecionych roślin i śladów krwi. Chwilową przewagę dało Kamykowi jedynie zaskoczenie. Przybysze niewątpliwie byli wyrzutkami, piratami, handlarzami niewolników lub przemytnikami trucizn i narkotyków. Wiadomo, czego się można spodziewać po takich indywidualach.

Chłopiec z wysiłkiem podniósł wierzące się smoczątko i ukrył się w kępie wielkich, pierzastych liści. Nie miał sił iść dalej. Po prawdzie nie miał również pomysłu, jak dalej działać. W napięciu wypatrywał wrogów, którzy mogli nadejść lada chwila. Machinalnie głąskał Liskę, w nadziei, że to ją trochę uspokoi i nie zacznie skamleć. Zdawał sobie też sprawę, że może ich zdradzić coś innego - jego własny, ciężki i pewnie głośny oddech. Chłopiec oddychał płytko i z trudem. Z każdym oddechem czuł coraz większy ból, aż w końcu stało się to jednostajną torturą. W zapadniętym płucu zbierała się krew i Kamyk miał wrażenie, że jego prawy bok wypełnia piasek. Po głowie snuły mu się strzępy wiadomości przekazywanych mu niegdyś przez przybranego ojca-medyka. „Przebite płuco zapada się. Krew napełnia tkanki i częściowo się wchłania, a częściowo krzepnie. Trzeba opatrzyć rany i nie dopuszczać zewnętrznego powietrza, by nie zakaziło płuca od środka, inaczej ranny umrze”. Ranny umrze... Kamyk zamknął oczy i wtulił twarz w miękkie futerko Liski.

„Umrę - pomyślał tępo. - Umrę tu, zastrzelony z łuku. A Płowy myślał, że mnie smoki zjedzą... Właściwie to jest śmieszne”.

Pościg nadciągnął szybko, tak jak się tego Kamyk spodziewał. Uciekinierów skrywały liście oraz iluzja niewidzialności, lecz ranny Tkacz Iluzji nie wiedział, jak długo zdoła ją utrzymać. Szok i ból nie ułatwiały koncentracji. W dodatku coraz natrętniej zaczęła prześladować go jedna myśl: gdzie jest Pożeracz Chmur? Gdzie podział się jego przyjaciel? Dlaczego zostawił siostrę samą?

Piratów było tylko dwóch. Nadeszli bez pośpiechu, pewni celności strzału. Kamyk obserwował ich z ukrycia. Podobni do siebie jak bracia. Chudzi, żyłaści, zarośnięci i wysmagani wiatrem na kolor mahoni. Na ich ciemnej skórze lśniły drobne kropelki potu. Czoła przewiązali identycznymi, wypłowiałymi czerwonymi chustami. Rozglądali się, raptem zdezorientowani, gdyż trop, po którym szli, urywał się nagle, jakby ofiara uleciała w powietrze. Obaj dzierżyli wielkie noże do wycinania gałęzi, ponadto jeden z mężczyzn niósł na ramieniu kuszę. Chłopiec widział, jak rozglądają się czujnie, marszcząc brwi. Ich usta poruszały się - rozmawiali o czymś - z jakiegoś powodu zdawali się zaniepokojeni i jakby zirytowani. Kusznik rozgarniał zarośla. Potem zatoczył ramieniem półkole, wskazując coś nieokreślonego. Kamyk domyślił się, że piraci nie widzą jego ani Liski, lecz prawdopodobnie słyszą. Liska dygotała w jego objęciach, może piszczała właśnie? A może docierało do nich ciężkie, nierówne dyszenie rannego człowieka... a może odgłos jego serca, które waliło jak szalone?

Kamyk starał się oddychać jak najłżej. Z rozpaczą obserwował przetrząsających zarośla mężczyzn, którzy niebezpiecznie zbliżali się do jego kryjówki. Z coraz większą trudnością utrzymywał maskującą iluzję.

Chłopak gdzieś tu musiał być - słyszeli aż za dobrze, jak rzezi. Jednak te pieprzone chaszczce zarastały wszystko tak gęsto, że trzeba było się przez nie przerażać. Dziurobij pomyślał, że tak czy owak, młokos zdechnie gdzieś w tej kolczastej zieleninie. Wszyscy widzieli, że strzała trafiła go w grzbiet. No, ale skoro Tygrys chce go wypytać... to i będą szukać, choć mała nadzieja, że dowłoką szczeniaka na brzeg żywego. Nie tacy jak on i Korzec sprzeciwiali się Tygrysowi - i wiadomo, że źle na tym wyszli. Dziurobij z rozmachem ściął kolejną gałąź. Duchota, parno i robali jak na robalowym weselu, tfu... Słyszał, jak za jego plecami Korzec mamroce pod nosem jakieś przekleństwa.

- Jak myślisz, co ten smark tu robi? - zagał, jednocześnie wypatrując na liściach kropel krwi. - Korzec...?

Cisza.

- Korzec, do... - odwrócił się akurat na czas, by ujrzeć wielkiego, muskularnego wojownika, zamierzającego się nań mieczem. Mężczyzna zareagował odruchowo: ciął z całej siły w poprzek, na wysokości żołądka, jednocześnie uchylając się przed ciosem spadającego ostrza. Obcy zawył i zgiął się wpół, przyciskając ręce do rozplatanego brzucha. Dziurobij uderzył go w kark, niemal odcinając głowę. Klinga zgrzytnęła na kości, a ciało napastnika zważyło się na ziemię, bluzgając krwią. Obraz zamglił się, rozpląnął lekko, a zdeorientowany pirat zamrugał i przetaił oczy. Na zmierzwionej ściółce leżał trup... jego towarzysza, nie było nikogo innego, złuda, omamienie... Lodowate pazury przerażenia schwyciły mężczyznę za gardło, ścisnęły rękę okrwawionego noża, aż zbieleły mu palce. Zaczął się cofać, w panice wodząc wzrokiem po splątanych ścianach zieleni.

- Zaraza... - wytchnął i splunął. Każdym nerwem czuł, że obserwują go czyjeś złe, okrutne oczy, i w każdej chwili może rzucić się na niego jakaś bestia... Wrzasnął, czując dotyk na szyi, ale była to tylko gałąź. Nie czekając już na nic, rzucił się do ucieczki po własnych śladach.

*

Kamyk wypełzł z kryjówki, drząc z wyczerpania. Liska niepewnie obwąchała zwłoki pirata, jakby zdziwiona niezwykłą zmianą. Jeszcze parę minut temu dwunogi stwór był ruchliwy i niebezpieczny, teraz leżał nieruchomo - równie niegroźny jak kamień lub pień drzewa. Polizała krew, która splamiła liście. Czarne oczy martwego człowieka zdawały się patrzeć na nią spod przymkniętych powiek już obojętne na sprawy doczesne. Tylko usta wciąż otwarte były do krzyku. Chłopiec zmarszczył brwi i pociągnął lekko małą za ucho. Nie powinna próbować ludzkiej krwi. W jakiś sposób wydawało mu się to nieodpowiednie.

Zabił człowieka - po raz pierwszy. Zabił? Czy zabójstwo wykonane cudzą ręką można liczyć jako swoje? Klęczał przy martwym ciele, gapiąc się na nie tępo. Nie czuł nic. Żadnego wstępu, żadnego poczucia winy. Jeśli cokolwiek się w nim kołatało, to ulga, że pościg się skończył i może odpocząć choć chwilę. Może powinien mieć wyrzuty sumienia, żałować swego czynu choć trochę, tymczasem był tylko otępiały i zmęczony.

„Pewnie jestem potworem. To straszne” - pomyślał obojętnie, sięgając ręką w tył, ku plecóm. Drzewce strzały sterczało z ciała w paskudny, wywołujący mdłości sposób. Kamyk jeszcze raz zbadał grot. Na szczęście nie było to bojowe ostrze z wielkimi zadziorami ani zmyślnie pękające przy uderzeniu w ciało na kilka luźnych metalowych drzazg, inaczej już by nie żył. Strzała ominęła główne arterie i krwotok wewnętrzny był chyba nie tak duży, ale czy to w ogóle można nazwać szczęściem? Chłopak potrząsnął głową. Może lepiej umrzeć od razu, nie mając przed

sobą w perspektywie długich męczarni. Zaciskając mocno zęby, usiłował złamać drzewce.

O nie... wszelkie historie o bohaterach, wrywających sobie strzały z ciała, jakby to były zwykłe drzazgi, należało włożyć z powrotem między bajki. Trudno wyobrazić sobie bardziej bolesną i trudniejszą do wykonania operację, może z wyjątkiem usuwania własnych zębów trzonowych, pomyślał Kamyk sarkastycznie, kiedy świat nareszcie przestał się kołysać, a on mógł zaczerpnąć łytko powietrza. Wyglądało na to, że dokończy żywota jak kawałek mięsa do upieczenia, nadziany na patyk.

Podniósł się niezgrabnie i poklepał po udzie, dając Lisce ustalony znak: chodź za mną. Rude smocze dziecko popatrzyło na chłopca z wahaniem, jakby dziwiąc się, że duży człowiek nie bierze go na ręce, a potem posłusznie podreptało za nim, bohatersko brnąc wśród zieleni, która kryła je z głową. Kamyk zrezygnował z używania noża, z trudem rozgarniając gałęzie ramieniem. Ślady cięć doskonale wskazywałyby drogę, gdyby ktoś jeszcze zechciał ich ścigać, a to należało brać pod uwagę. Poza tym zwyczajnie nie miał siły unieść ostrza. Od czasu do czasu drzewce strzały zaczepiało o pnącza i z ust chłopca wrywał się bolesny jęk. Nie miał planu, dokąd się udać. Plaże były terenem otwartym, a więc niebezpiecznym. W lesie z kolei czaiły się inne groźby: węże, skorpiony, jadowite pająki, stada żarłocznych mrówek i inne, równie nieprzyjemne stworzenia.

Kamyk szedł po prostu przed siebie, walcząc ze słabością - byle dalej od wybrzeża. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy jego ręka oparła się na zwietrzałym kamieniu oplecionym siecią pnączy. Dotarł do ruin, które tak niedawno pokazał mu Pożeracz Chmur. Dziwne zrzączenie losu zaprowadziło go wprost do mizernych pamiątek po dawnych mieszkańcach. Chłopiec osunął się na ziemię pod wyszczerbionym murem i oparł o niego tętniącą skroń. Liska skuliła się u jego stóp, patrząc mu w oczy i obliczając się nerwowo. Pogłaskał ją.

„Zostajemy tu. I tak nie będziemy tu bezpieczniejsi niż gdzie indziej. Ale jak mam się wykrwawić, to wolę przy tym siedzieć”.

*

Pożeracz Chmur podniósł głowę, rżąc ciężko. Spomiędzy szczęk ciekła mu krew. Dokoła niego rozlewała się woda, całe mnóstwo obrzydliwej mokrej wody! Był mokry! Przeczłogał się z zalewanej falami mielizny na suchy ląd. A niech to... Z początku zdawało mu się, że boli go absolutnie wszystko, lecz wkrótce ból zogniskował się w paru miejscach: bok, pierś i szyja. Czuł, jak krew piekącą strużką spływa mu po przetyku, gdzie utkwiał jeden z grotów. Skoncentrował się. Komórki ciała, cząstki obcych przedmiotów, raniących i wytaczających z niego cenną krew. Drewno, metal. Po chwili na piasek z nikłymi pacnięciami upadły strzały. Smocze tkanki walczyły z obcymi obiektami, odrzucając je. Najgłębiej wbity grot Pożeracz postanowił zasymilować. Już nie krwawił, za to był głodny, jak zawsze po większym wydatku energii. Podniósł głowę i zaczął węszyć niespokojnie. Głodny, mokry, zły i wystraszony. Gdzie jest jego mała siostrzyczka? I gdzie jest Kamyk? Przestrzeń smoczego wnętrza jarzyła się drobnymi świetlikami okolicznych żywotów. Mentalne zdolności ukazywały mu chaotyczne myśli zwierząt i ptaków rozsiane po całej wyspie; na przeciwległym krańcu skoncentrowana grupa agresorów... a w centrum dobrze mu znane jasne płomyki magicznego talentu i smoczej jaźni. Pożeracz odetchnął z ulgą.

*

Kamyk nie wierzył własnym oczom. Pożeracz Chmur był w strasznym stanie. Mlecznobiały, starannie wyczesany smoczy młodzieniec, którego oglądał jeszcze tego ranka, zniknął jak sen. Teraz młody smok przypominał brudną, moką i zakrwawioną ścierkę. Starannie obwąchał Liskę, trącając ją lekko nosem. Mała, całkiem już uspokojona obecnością dużego brata, łapała go pazurkami za pysk i opowiadała coś z zapalem w smoczym dialekcie.

„Co się z tobą działo? Dlaczego zostawiłeś małą?” - spytał Kamyk.

Pożeracz Chmur zwiesił łeb, zawstydzony.

„Gorąco było i zasnąłem. Zdążyli rzucić kotwicę, zanim ich zauważyłem. To duży okręt, Kamyk. Ma dwa maszty. A na brzeg dopłynęli łodzią. Chciałem ich przepędzić, ale nabili mnie strzałami jak jeża. Straciłem przytomność i zleciałem do morza. Gdybym nie spadł na mieliznę, pewno bym się utopił. Zanim zregenerowałem się na tyle, żeby móc chodzić, upłynęło sporo czasu”.

„Mało nie zabili Liski!”

„Nic jej nie jest!” - bronił się smok.

„Trzeba było uciekać, a nie rzucać się na ludzi z łukami, ty bezmyślny idioto”.

Kamyk rozkaszłał się i otarł krew z warg. Dopiero wtedy Pożeracz Chmur, dotąd niemal bez reszty zaprzątnięty Liską, dostrzegł krew na jego koszuli.

„Jesteś ranny!”

„Broniłem Liski”.

„Dlaczego nie wyciągnąłeś strzały? W ten sposób to się nigdy nie zagoi”.

„Nie umiem. Nawet gdybym potrafił... wiesz, to się chyba nie zagoi. Raczej tego nie przeżyję”.

Pożeracz Chmur aż się otrząsnął.

„Nie myśl o takich bzdurach! Oczywiście, że przeżyjesz! Nawet nie próbuj się poddawać. Zabiję cię, jeśli umrzesz!”

Kamyk uśmiechnął się blado, doceniając niezamierzony dowcip.

„Mam krew w płucu. Nie jest dobrze, zwyczajnie topię się po trochu”.

„Ale jeśli nadal będziesz tu siedział z tym patykiem w boku, wykrwawisz się na śmierć. Wyciągnę ci to!”

Mina Kamyka jednoznacznie pokazała, co myśli o tego rodzaju pomysłach.

Niestety, Pożeracz Chmur miał jednak rację. Chłopiec czuł się coraz słabiej i gdy trzeba było stanąć przed wyborem: powolna śmierć lub smocza operacja, wniosek był oczywisty.

Płowy załamały ręce i szarpał się za brodę z desperacji, widząc te prymitywne warunki. Pożeracz Chmur obejrzał z powątpiewaniem brzechwę strzały, która przy jego potężnym pysku wyglądała jak słomka.

„Chyba starczy zwyczajnie pociągnąć...”

Kamykowi zrobiło się nieco mdło.

„Nie! Grot ma zadziory, wyrwiesz go razem z mięsem. Przegryź strzałę”.

„Tylko spokojnie, tylko spokojnie...” - powtarzał Pożeracz Chmur, wchodząc w bliższy kontakt mentalny. Kamyk usłyszał głośnie smocze sapanie za plecami, a potem pojawiło się znajome uczucie przebywania w dwóch ciałach jednocześnie. Był sobą (bardzo przestraszonym sobą)... oraz smokiem, który właśnie szykował się do wykorzystania swych monstualnych zębów. Z równym skutkiem można by zbierać stokrotki za pomocą kowalskich cęgów. Kamyk czuł miękkie pysk Pożeracza Chmur na plecach, potem usłyszał chrupnięcie. W ustach poczuł

niemiły smak krwi i drewna Splunął odruchowo, choć wiedział, że to tylko złudzenie.

„Po wszystkim. Odwróć się” - polecił smok.

„To dopiero połowa wszystkiego i to ta łatwiejsza” - poprawił go chłopiec ponuro.

Pożeracz Chmur ostrożnie, samymi końcami zębów ujął grot.

„Poczekaj. Policzę do trzech. Nie, do czterech! Albo do pięciu...”

Kamyk czuł, jak narasta w nim uczucie paniki. To było najgorsze doświadczenie w jego dotychczasowym życiu. Nawet koszmarnie wspomnienie z dzieciństwa nie mogło się z tym równać. Nawet „wytrawianie” u Mistrza Tatuazy. Ze wszystkich sił próbował się zmobilizować. To będzie bolało...

„Raz... dwa...”

Oczywiście Pożeracz Chmur szarpnął na „trzy”.

Nie bolało, a w każdym razie mniej, niż to sugerowała wyobraźnia, choć może zwykły ból byłby lepszy od tego okropnego wrażenia, że wraz z obcym przedmiotem wyciągane są z Kamyka tkanki, powietrze, oddech, dusza... wszystko, co stanowi o życiu i istnieniu. Świat przechylił się, a potem wszystko zrobiło się czarne.

Kiedy na powrót wracał z ciemnych, mętnych otchłani, pierwsze, co poczuł, to dotyk czegoś miękkiego na ciele i na twarzy. Coś ciepłego dmuchało mu w nos. „To” było mokre... Otworzył powoli oczy, widząc tuż przed sobą pyszczek Liski, która lizała go po policzku. Pożeracz Chmur pracowicie wylizywał krwawiące rany chłopca.

„Wystraszyłeś nas. Myślałem, że już się nie obudzisz” - przekazał smok.

„Długo to trwało?”

„Na tyle długo, żebym się zaczął martwić”.

Kamyk powoli uniósł się na łokciu i spojrzał w dół z lekką obawą. Smocza ślina musiała mieć jakieś specjalne właściwości, bo dziura między żebrami zdawała się już nieco zasklepiac. Co jednak nie zmieniało faktu, że oddychał jednym płucem. I że musiał ratować się tym, co miał aktualnie pod ręką: liście, którymi zasłonił rany (tak jak zrobiłby to Płowy), i bandaże z podartej koszuli. Powstał wyjątkowo niezdamny opatrunek, choć Pożeracz Chmur starał się pomagać, delikatnie przytrzymując zębami końce płótna.

Do obozu nie mieli po co wracać. Piraci rozpanoszyli się już w nim zapewne na dobre. Chłopcu pięści zaciskały się same, gdy pomyślał o zagrabionych lub zniszczonych rzeczach. Z pewnością żaden z najeźdźców nie umiał czytać ani nie cenił tej umiejętności, więc niewątpliwie zniszczyli wszystkie Kamykowe notatki i zbiory. Tyle zmarnowanej pracy i czasu...

Pożeracz Chmur próbował ustalić, ilu obcych przebywa aktualnie na wyspie i co robią. Strzygł wrażliwymi uszami, wyciągał długą szyję, jakby to mogło mu pomóc w liczeniu ludzkich dusz. Smocze zdolności pokrewne talentowi Obserwatorów były jednak od niego słabsze i działały na mniejsze dystanse.

„Za dużo przekazów nakłada się na siebie. Niewyraźne. Są podnieceni. Czegoś szukają”.

„Nas?”

Pożeracz Chmur zmarszczył nos, co było smoczym zaprzeczeniem.

„Nie. Szukają... czegoś. Jakiegoś miejsca. Nie kogoś... tak jakby chodziło o terytorium, o ziemię...” W końcu zniechęcony dał za wygraną.

„Co my zrobimy? Myślisz, że oni tu zostaną na zawsze? - zapytał młody smok niepewnie. - Moi rodzice, jak wrócą, będą walczyć o swoje”.

Kamyk pokręcił głową.

„Tacy jak ci nie osiedlają się, tylko pływają. Może chcą tylko jedzenia”.

Potem przyszło mu na myśl, że chyba nawet piraci potrzebują jakiegoś miejsca, w którym można by chować łupy, odpocząć, przeczekać sztormy lub dokonać niezbędnych napraw - a to im źle wróżyło. Wyglądało na to, że będą musieli czekać, ukryci gdzieś w gęstwinie, na powrót Pazura i Łagodnej albo aż piraci sami odpłyną. Kamyk nie miał wątpliwości, że to skończy się źle, przynajmniej dla niego.

„Pożeracz, proszę, żebyś potem poleciał do Płowego i powiedział mu, co się stało”.

Smok odczytał powietrzne pismo przyjaciela i znów zmarszczył nos.

„A ty na nowo swoje? Mówiłem, że nie umrzesz”. „To chyba raczej nie zależy ode mnie”.

„To co robimy dalej?” - zapytał Pożeracz Chmur, spoglądając na Kamyka nieco bezradnie.

„Skąd mam wiedzieć...?”

„Myślałem, że wiesz. Jesteś... starszy” - odparł smok, a chłopiec otworzył szerzej oczy ze zdziwienia. „Starszy” - to było coś nowego. Osiemdziesięcioletnie smoczysko, uważające szesnastolatka za starszego od siebie. Ale właściwie... ile mógłby mieć lat Pożeracz Chmur, gdyby był człowiekiem? Jedenaście? Dwanaście? Akurat wiek, w którym działa się bez zastanowienia, a w razie kłopotów szuka się oparcia w kimś doroślejszym. Wydawało się, że Liska zapomniała o tak niedawnych straszliwych przejściach. Tarzała się na grzbiecie między łapami starszego brata i skubała go za sierść, a ten udawał, że chce ją ugryźć.

„Na razie muszę odpocząć, potem pomyślę” - wykręcił się Kamyk. O Losie nielitościwy, wyglądało na to, że ma na głowie opiekę nad dwojgiem dzieci.

Nie dane im było cieszyć się długo spokojem. Raptownie Pożeracz Chmur poderwał głowę do góry i nastawił czujnie uszu.

„IDA!!”

Kamyk miał uczucie, jakby uderzono go w brzuch. Rozkaszłał się, znów wykrztuszając cienkie nitki krwi. Zasłonił usta ręką, usiłując stłumić zdradliwy kaszel.

„Jak blisko? Słyszysz ich?”

„Niezbyt blisko, ale słyszę już, jak gadają do siebie. I zbliżają się. Wiedziałem, że tu jest ciasno, ale nie myślałem, że aż tak! - rozzłościł się smok. - Więcej tu ich niż komarów nad bagnem!”

Nie mieli chwili do stracenia. Kamyk wdrapał się na grzbiet Pożeracza Chmur, a smok podał mu w pysku Liskę. Był to dużo wygodniejszy i szybszy sposób podróżowania - w bezpiecznym zagłębieniu między złożonymi skrzydłami, które osłaniały przed uderzeniami gałęzi i drapiącymi liśćmi. Pożeracz Chmur sunął między drzewami ostrożnie i płynnie niczym białe widmo. W końcu dotarli do nadbrzeżnych zarośli na przeciwległym krańcu Wyspy Pazura, w miejsce położone prawie na wprost siedziby Szaleńca.

„Jestem głodny - przekazał Pożeracz Chmur niepewnie i jakby z lekkim zawstydzeniem. - Wiesz, muszę coś zjeść... regenerowałem się. I Liska też jest głodna”.

Kamyk tylko machnął dłonią.

„Idź. Przypilnuję małej. Uważaj na siebie”.

Pozbawiona towarzystwa Pożeracza Chmur Liska znów zaczęła okazywać niepokój.

Próbowała się bawić, ale jakoś bez przekonania. Wygrzebywała dołki w ziemi, obgryzała patyczki i ciągała z miejsca na miejsce duże liście. Próbowała biegać za własnym ogonem. Szybko jednak porzucała każde zajęcie, jakby żadne nie sprawiało jej przyjemności. Chwilami mała smoczyca przysiadła bez ruchu, wpatrując się w niebo przysłonięte koronką zieleni lub w głąb lasu. Od czasu do czasu oglądała się na Kamyka, który odpowiadał jej smutnym spojrzeniem i wysiłonym uśmiechem. Nie mógł nic dla niej zrobić. Nie potrafił przecież ani

sprowadzić jej rodziców z powrotem do domu, ani przepędzić wrogów. Mógł tylko uśmiechać się, głaskać ją i udawać, że wszystko w porządku, by się nie bała.

Pożeracz Chmur wrócił bardzo podniecony. Jeszcze nie wynurzył się spomiędzy drzew, a już sięgnął ku chłopcu smoczym zmysłem.

„Nie uwierzysz, co oni tam wyrabiają!”

„Oni” oczywiście oznaczało nieproszonych gości. Wkrótce smok ukazał się, niosąc w pysku bezwładne ścierwo jakiegoś drobnego szczirowatego zwierzątka. Upuścił je na ziemię, gdzie natychmiast zaczęła je skubać Liska.

„Co się dzieje?” - spytał Kamyk, korzystając z mentalnego połączenia.

„Siedzą w ruinach i wycinają tam krzaki. Coś mi się zdaje, że chcą zostać na dłużej”.

„Katastrofa. Obóz w ruinach?” - zdziwienie Kamyka sięgnęło zenitu. - To beznadziejne miejsce, kompletnie zaduszone dżunglą. Duszno, mokro i pełno moskitów. Lepiej byłoby im na brzegu”.

Pożeracz Chmur zamachał pogardliwie uszami, zabierając się do dzielenia mięsa dla Liski. Mała połykała łapczywie podsuwane jej kąski. Kamyk odwrócił oczy w stronę prześwitu między zaroślami, w którym widać było niedaleki brzeg Wyspy Szaleńca. Skoro piraci zamierzali pozostać na włościach Pazura, uciekinierzy nie mieli najmniejszej szansy, by przeczekać w ukryciu, gdy przybysze zaczną trzebić tutejsze zasoby zwierzyny i jadalnych roślin. Należało się stąd wynieść, i to jak najprędzej. Może Szaleniec, jeśli wyjaśni mu się trudną sytuację, okaże wyrozumiałość?

Szaleniec wydawał się zdecydowanie mniej groźny niż gromada bandytów uzbrojonych w kusze i łuki. Co prawda, istniała możliwość, że piraci trafią i na sąsiednią wyspę, lecz przenosiny dawały przynajmniej trochę czasu. Wreszcie zapadł zmierzch, słońce schowało się za horyzontem, a ciemność zapewniła zbiegom bezpieczeństwo, lecz nadciągnęły nowe problemy. Oczywiście było, że Liska - jak każdy smoczy maluch - może podróżować w pysku brata, lecz zwyczaje obejmujące smoczy przychówek nie mogły dotyczyć człowieka, zwłaszcza rannego. Kamyk był tak osłabiony, że nie zdołałby się utrzymać na karku Pożeracza Chmur bez zabezpieczenia. Smok jednak zdawał się nie przyjmować tego do wiadomości i podsuwał rozmaite nierealne pomysły w rodzaju trzymania się jego sierści lub przeniesienia w pysku właśnie. Kamykowi mrówki biegały po grzbiecie na samą myśl o takiej możliwości. Starczyła chwila spędzona w szczękach Łagodnej, by jej zęby przecięły mu skórę (na szczęście były to zaledwie zadrapania). Jediną alternatywą wydawało się przepłynięcie, co z kolei przeraziło Pożeracza Chmur śmiertelnie. Czas uciekał nieubłaganie, chłopiec czuł się coraz gorzej, a smok nadal protestował. Wreszcie Kamyk uciął te jałowe dyskusje.

„Albo przepłyniesz na tamtą wyspę ze mną na grzbiecie, albo przelecisz beze mnie, tylko z Liską! Jasne?”

Kamyk położył się i zamknął oczy na znak, że uważa sprawę za zakończoną, przynajmniej ze swej strony. Teraz nadeszła kolej Pożeracza Chmur na podjęcie ważkiej decyzji. To nie było łatwe, o nie. Pożeracz na myśl o bliższym kontakcie z wodą czuł, jak futro samo mu się podnosi ze strachu, z drugiej strony wiedział, że innego wyjścia nie ma. No cóż, w zasadzie było - mógł po prostu zostawić Kamyka samego, lecz doskonale zdawał sobie też sprawę, że potem nie dałoby mu to spokoju do końca życia. Cokolwiek by twierdził ojciec młodego smoka, Kamyk należał do stada, a członków stada nie pozostawiało się bez pomocy.

Kamyk drzemał, wyczerpany wpływem krwi. Pożeracz Chmur dotknął go lekko nosem, czując, że chłopak jest cieplejszy niż zwykle.

„Pewnie się regeneruje” - pomyślał smok. To chyba dobry objaw. Nie bardzo wiedział, co mógłby zrobić poza oczyszczeniem ran Kamyka. Ludzie zawsze dość słabo sobie radzili z chorobami, więc proces gojenia zapewne potrwa parokrotnie dłużej niż u niego, ale oczywiście Kamyk grubo przesadzał, twierdząc, że nie przeżyje. Nie miał uszkodzonego żadnego ważnego organu. Strzała ominęła wątrobę i serce, a przebite płuco...? Cóż to jest przebite płuco... - smok machnął pogardliwie uchem - nic doprawdy. Za trzy dni nawet nie wspomni tej strzały.

Ponownie szturchnął delikatnie chłopca, który otworzył oczy i gwałtownie poruszył głową.

„Obudź się. Weź Liskę i włącz na mnie, ty potworze bezlitosny. Wygrałeś. Wejść do wody i będę pływał. Ale jak się utopię, to będzie twoja wina”.

Od strony Tkacza Iluzji napłynęło wyraźne uczucie ulgi. Pożeracz Chmur położył się na brzuchu, by ułatwić mu wdrapanie się na zwykłe miejsce między skrzydłami, po czym podał chłopcu senną i nieco marudną Liskę.

Nie dalej jak dwa skoki od nich fale lizały brzeg. Smok bezwiednie zmarszczył pysk, jego skóra zadrgała niczym u zdenerwowanego kota. Czuł ciężar Kamyka na karku, słyszał jego chrapliwy oddech. Pożeracz Chmur ostrożnie wysunął się z ukrycia, penetrując jednocześnie wzrokiem otoczenie. To, co dla oczu człowieka zdawało się niemal całkowitą ciemnością, dla niego było zaledwie szarówką.

„Nikogo nie ma. Kamyk, żeby cię pokręciło... nienawidzę wody... nienawidzę... Wyzdrowiej tylko, a zobaczysz, jak cię stłukę...!”

Pierwsza fala obmyła Pożeraczowi Chmur łapy - cofnął się, jakby go coś ugryzło.

„TO JEST MOKRE!!!”

Kamyk ze złością szarpnął go za sierść na szyi.

„To co, że jest mokre! Myślałby kto, że masz się wykąpać we wrzątku! Włącz, zarazo, to nie boli”.

Smok włożył ostrożnie do wody wpiersz jedną łapę, potem drugą. Z obrzydzenia wszystkie włosy stanęły mu dęba. Zanurzał się coraz głębiej. Wyginał w dziwaczny sposób grzbiet, usiłując odwlec moment, gdy słona fala sięgnie mu brzucha. Gdy wreszcie to się stało, biedny (i mokry) smok omal nie wyskoczył z powrotem na brzeg.

„Ja naprawdę nie umiem pływać!!!...” - to był ostatni wybuch paniki. Kamyk szarpnął go znowu za futro na karku, jakby ściągał wodze narowistego konia.

„Nie podskakuj, bo spadniemy z Liską! Machaj łapami. To jest naprawdę łatwe”.

Machaj łapami... łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Pożeracz Chmur szedł wpiersz po nierównym dnie, czując pod poduszkami łap jakieś podejrzanе obiekty. Wolał sobie nawet nie wyobrazić, co to mogło być. W końcu ostatecznie stracił grunt pod nogami i odruchowo rozłożył skrzydła. Okazało się to dobrym pomysłem. Zorientował się, że utrzymują go na wodzie niczym tratwa. W sumie przypominało to nieco unoszenie się w powietrzu, z tą różnicą, że nie widział, co ma pod brzuchem - może i lepiej. Spróbował machnąć skrzydłami, ale wtedy zanurzył się głębiej. Bezradnie unosił się na powierzchni tego okropnego żywiołu, znoszony wzdłuż brzegu lekkim prądem, nie wiedząc, co począć dalej.

„Poruszaj łapami” - powtórzył Kamyk.

Pożeracz Chmur spróbował zamachać łapami na próbę, a wtedy okazało się, że może się posuwać w jakimś kierunku. Aha... więc na tym polega pływanie.

„Świetnie ci idzie. Bardzo dobrze. Tylko tak dalej. Umiesz pływać, znakomicie...” - zachęcał go Kamyk. Pod tym sztucznym entuzjazmem kryły się jednak pokłady wyczerpania. Pożeracz odwrócił głowę, sprawdzając, czy Kamyk nie ma zamiaru zrobić czegoś nieodpowiedniego - na

przykład zemdleć i utopić się. Chłopiec siedział na smoczym grzbiecie przygarbiony i zgaszony, ale trzymał się jako tako. Pożeracz Chmur utkwiał spojrzenie w przeciwległym brzegu. Wyspa Pazura rosła w oczach. Mniejszy z księżyców wspiął się na niebo, świecąc nieśmiało seledynowym blaskiem. Pożeracz zaczął energiczniej przebierać łapami. Przebywanie w wodzie z wolna stawało się jakby mniej okropne, choć smok nadal miał nieprzyjemne wrażenie, że coś w każdej chwili może go ugryźć w ogon. Niebawem za swym młodszym bratem miał ukazać się złoty Gigant, a wtedy staną się doskonale widoczni. Ogromny satelita zdążył wysunąć tylko jasne czoło znad krawędzi horyzontu, gdy smok dotknął łapami dna. Piasek plaży zachował jeszcze resztki ciepła dnia. Kamyk zsunął się na plażę po smoczym skrzydle i opuścił na ziemię senną Liskę. Młody smok otrząsnął się z rozmachem i strzepnął zmoczonymi skrzydłami. Polizał łapę i parsknął z obrzydzeniem. „Słone...”

Niespodzianie Kamyk zrobił coś, co jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło: objął wielką smoczą głowę i z powagą ucałował prosto w nos Pożeracza Chmur, który zastrzygł uszami, ogromnie zdumiony.

„Czemu mnie oblizujesz? Myślałem, że ludzie tego nie robią”.

„Jestem z ciebie dumny” - oświadczył Kamyk. I to była prawda - jego myśli leżały przed Pożeraczem Chmur, otwarte jak książka. Był zmęczony i chory, ale rzeczywiście zadowolony i dumny z tego, że jego przyjaciel zdobył się na tak bohaterski czyn jak przepłynięcie cieśniny.

To jakoś pocieszyło młodego smoka.

„Drobiazg - przekazał Pożeracz Chmur z nonszalancją. - Mógłbym to zrobić jeszcze raz”.

„Kłamczuch” - odparł Kamyk pobłaźliwie.

Nie odważyli się zapaść w głąb wyspy. Spotkanie z Szaleniec niosło ze sobą spore ryzyko, a Pożeraczowi Chmur nie uśmiechały się zatargi o terytoria, zwłaszcza że Szaleniec był od niego większy i bardziej doświadczony w bojach. Tworzyli smętną gromadkę: zszargany, zmęczony niedorośli smok, ledwo trzymający się na nogach chłopiec i wystraszone smocze dziecko. Poszli spać pod nisko zwisające gałęzie, z nadzieją, że tej nocy już się nic nie wydarzy.

*

Kamyk obudził się o świcie, gdy tylko pierwsze przesiane przez listowie promienie słońca padły mu na twarz. Bolała go głowa, świat zdawał się rozplýwać, a na dodatek straszliwie chciało mu się pić. Smocze skrzydło przykrywało go częściowo jak skórzasta kołdra, jakby Pożeracz Chmur chciał go chronić przez sen. Powoli i ostrożnie, by nie obudzić smoka, Kamyk wysunął się na zewnątrz. Pożeracz spał jednak jak zabity, trzymając między przednimi łapami Liskę. Leżała na grzbiecie, z łapkami w górze, rozkoszna niczym futrzana zabawka. Kamyk marzył o wodzie. Chłodnej, czystej - takiej prosto ze źródła. Napić się, aż do utraty tchu! Marzył, by zmyć z siebie zaschniętą krew i piasek. Morze rozciągało się tuż obok, ale Kamyk odwrócił wzrok od kuszącego błękitu. Taka kąpiel zawsze zostawiała na skórze cienką warstwę soli, a to nie byłoby nic przyjemnego. Nie wspominając już o tym, co morską sól zrobiłaby z jego ranami. Kamyk skrzywił się na samą myśl. Pić! Może Szaleniec jeszcze śpi? Na wyspie powinno być źródło słodkiej wody albo przynajmniej sadzawki, w których zbierała się deszczówka. Chłopiec wahał się jeszcze przez chwilę, a potem skierował do wnętrza wyspy.

Noc porozwieszała na roślinach drobne perły rosy, których łapczywe słońce nie zdążyło jeszcze wysuszyć. Oblizywał z liści te drobiny wilgoci, co dawało chwilową ulgę spieczonemu językowi. Szedł prosto, kierując się w stronę serca wyspy, z zamiarem powrotu po własnych

śladach. Czasem ludzie zadają sobie pytanie: co by było gdyby? Co by się stało, gdyby spragniony chłopiec nie wszedł o świcie w niebezpieczną strefę smoczego terytorium? Co by było, gdyby pewien smok nie zmusił się do przepłynięcia kawałeczka oceanu?

Wtem zarośla przeredziły się i Kamyk ujrzał opuszczone zabudowania, a właściwie ich nędzne pozostałości. Podobnie jak na Wyspie Pazura nie ocalał ani jeden dach, a ściany zwietrzały i pokruszyły się, choć chłopak uznał, że są w nieco lepszym stanie niż te, które oglądał wcześniej. Na niektórych zachowały się nawet szczątki reliefów: fragmenty kół wozu, prawdopodobnie wojennego rydwanu, gdyż tuż obok znajdowały się uniesione kopyta, które nie niosły już rumaka. Na innej Kamyk odkrył - częściowo zasłonięte pnączem - stopy obute w sandały, nad którymi tkwiły sztywne fałdy marmurowej szaty i dłoń zawieszona na płaszczyźnie ściany jak motyl lub kwiat. Zaintrygowany szedł między tymi pamiątkami przeszłości, aż zatrzymał się przed zrujnowanym portalem. Jego zwieńczenie kiedyś podtrzymywały dwie kamienne figury. Z jednej pozostały już tylko nogi. Druga wciąż była rozpoznawalna, choć poobijana i wymyta przez setki deszczów. Wyobrażała mężczyznę naturalnej wielkości. Miał na sobie kusy, składający się z wielu elementów strój przypominający zbroję. Jedna z dłoni wojownika leżała na piersiach, drugą wskazywał nieokreślonym gestem gdzieś przed siebie. Palce utracono dawno temu... Może kiedyś trzymał w ręku jakiś przedmiot? Miecz? Włosy rzeźby zaczesane były do tyłu i dziwacznie pokarbowane, jakby artysta miał zamiar wyobrazić w ten sposób, iż zapleciono je w wiele warkoczy. Teraz już nie dawało się tego rozpoznać z całą pewnością. Wokół głowy na uszkodzonym portalu rozchodziła się osobliwa aureola z promieni, liści, a może piór. Jednak najbardziej w tej rzeźbie uderzył chłopca wygląd twarzy. Dawno już straciła nos, a zacięte uparcie wargi, stanowczy podbródek i śmiałe brwi wygładził czas, odbierając im wiele drapieźności, lecz puste oczy wciąż miały charakterystyczny kształt - były wąskie i lekko skośne, niemal identyczne z tymi, jakie setki razy Kamyk widywał w lustrze. Przesunął palcem wzdłuż górnej powieki, rozważając jej kształt.

„Za zachodniego oceanu przyplłynęły okręty o czarnych burtach i czerwonych żaglach, a na nich przybyli wojownicy i magowie...”

Z lekkim żalem porzucił rzeźbę i poszedł dalej. Ciekawe, kim był człowiek, który do niej pozował? Chyba kimś ważnym. Wojownikiem czy może magiem? A jeśli magiem, to jakiego rodzaju talentem władał? Kamyk wyobraził sobie długi szereg przodków, ciągnący się daleko w przestrzeni i czasie - przez setki lat. Czy nie zabawne, gdyby tak okazało się, że rzeczywiście miał coś wspólnego z człowiekiem przedstawionym w kamieniu? O ile naprawdę kiedyś ktoś taki istniał, a nie był jedynie tworem wyobraźni rzeźbiarza.

Zamyślony, przycisnął się przez wyrwę w murze i wtedy ujrzał niespodziewany widok, który sprawił, że szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Dość szczupła przestrzeń między zrujnowanymi ścianami lśniła w porannym słońcu docierającym tu między koronami drzew. Chłopiec zamrugał, usiłując rozeznąć się w tym potoku migotania. Gdzie spojrzeć, leżały (lub tkwiły, pozatykane w szparach murów) lśniące muszle, kamyczki, kawałki szkła czy może miki, czerwone blaszki, wyglądające na wypolerowaną starannie miedź, ale także (ku zdziwieniu chłopca) zdechłe motyle i kolorowe żuki. W samym centrum tego zwariowanego śmietnika znajdowała się niewielka górka usypana z rozmaitych błyszczących przedmiotów - wzrok Kamyka przesunął się po płataninie złotych łańcuchów, bransolet, monet i innych rzeczy, nierozpoznawalnych, ale kłujących oczy rzucanym blaskami. A na tym wszystkim leżał zwinięty w kłębek jakiś człowiek.

Kamyk przez pół minuty zastanawiał się, czy przypadkiem nie śni jakiegoś wyjątkowo

cudacznego, wywołanego gorączką snu. Uszczypnął się w ucho - zabolalo. Śpiący przewrócił się niefrasobliwie na drugi bok, przeciągając się przy tym w dziwnie koci sposób. Był straszliwie brudny, za to skołtunione włosy lśniły od powpinanych w nie klejnotów. Jego kark oplatały masywne złote i srebrne naszyjniki, ramiona obciążały migocące od drogocennych kamieni bransolety założone jedna nad drugą; podobnie było z nogami. Kamykowi przemknęło przez myśl, że ów dziwny człowiek chyba z trudem się porusza, obciążony tym całym złodem. Mieszkaniec złotego śmietniska ziewnął, rozciągając szczęki na niewiarygodną szerokość i ukazując potężne, dość nieludzkie kły. Dopiero wtedy chłopiec otrząsnął się z otępienia. Mimo panującej dokoła tropikalnej duchoty poczuł, jak przenika go zimny dreszcz. To nie był człowiek!

Zaraza! To dlatego ostatnio nie widywali Szaleńca fruującego nad swoim terytorium! Po prostu przybrał ludzką postać (bogowie chyba tylko wiedzą, skąd miał wzorzec), by polerować swe skarby i cieszyć się nimi na swój własny obłąkany sposób.

Przeklinając w myślach swą nieostrożność oraz złośliwość losu wycofywał się ostrożnie, patrząc to pod nogi, aby przypadkiem nie potraćić jakiegoś kawałka gruzu, to znów na leżącego przed nim smoka. Starał się nawet nie oddychać. Szaleniec przewalał się powoli na swym niewygodnym „łożu”, ziewając raz po raz. W każdym momencie mógł otworzyć oczy i dostrzec intruza. Nawet jako człowiek z pewnością miał tyle siły, by skrócić chłopcu kark jednym ruchem.

Dopiero gdy Szaleniec zniknął mu z oczu, Kamyk odważył się odetchnąć. Przeklinał własną głupotę i nieostrożność. Zawsze szczyił się darem obserwacji, a tym razem nie dał mu do myślenia fakt, że roślinność w ruinach została mocno przetrzebiona: powyrywane krzaki, zdeptane chwasty lub nawet starannie przygryzione tuż przy ziemi, jakby ktoś specjalnie o to zadbał. Trzeba było doprawdy upaść na głowę... albo mieć naprawdę potężną gorączkę, by zlekceważyć tak oczywiste znaki czyjejś obecności.

Najszybciej, jak tylko mógł, Kamyk wrócił na plażę, spocony i podrapany, po drodze mając wciąż nieprzyjemne uczucie, że czyjeś niezyczliwe spojrzenie klei mu się do pleców. Na szczęście to tylko wyobrażenia. Pożeracz Chmur czekał już na niego, poważnie zaniepokojony nieobecnością towarzysza. Kamyk niemal upadł na piasek obok niego, kaszląc znowu i czując w ustach smak krwi.

„Gdzie byłeś?!”

„Szukałem wody” - odparł Kamyk ponuro, wycierając usta wierzchem dłoni.

„Znalazłeś? Jak się czujesz?” - dopytywał się smok.

„Marnie. A zamiast wody znalazłem Szaleńca”. Pożeracz Chmur momentalnie nastawił uszu, a pysk sam zmarszczył mu się w grymasie obrzydzenia.

„Co zrobił?!”

Kamyk wzruszył ramionami i podrapał za uszami Liskę, która akurat wpakowała mu się na kolana.

„Nic. Jakby zrobił cokolwiek, to już bym nie wrócił. Pić! Gdzie tu jest woda?!”

Okazało się, że poszedł w złym kierunku. Ujście jednego z dwóch strumieni na Wyspie Pazura znajdowało się bardzo niedaleko, oddalone nie dalej niż rzut włócznią. Chłopiec wreszcie zaspokoił dręczące go pragnienie, a potem umył się. Zostali całą trójką nad strumieniem, uznając, że jest to miejsce równie dobre jak każde inne. A nawet lepsze ze względu na bliskość słodkiej wody.

Kamyk bawił się z Liską, udając, że zabiera jej patyczek, ale jego myśli krążyły wokół czego

innego. Zastanawiał się, skąd Szaleniec miał aż tyle złota. Nawet gdyby zbierał klejnoty od stu lat, udało mu się zgromadzić całkiem imponującą ilość. Zresztą widać było, że nie ceni jej wartości ludzkimi kategoriami - po prostu zagarniał wszystko, co odbijało światło, jak jakaś przerośnięta sroka. Druga myśl, jaka nie dawała chłopcu spokoju: skąd na wyspach takie drogocенności? Czyżby Szaleniec wyprawiał się po łupy aż na kontynent?

„Nie wspominałeś, że Szaleniec zbiera biżuterię. Ma tam pełno złota”.

Pożeracz Chmur machnął lekceważąco uchem, gdy odczytał znaki wypisane w powietrzu przez Tkacza Iluzji.

„A kogo obchodzi złoto? Zjeść się nie da, do spania za twarde...”

Kamyk uśmiechnął się, przypominając sobie Szaleńca, który jak typowy skąpiec z bajki sypiał na swoim majątku.

„Ale skąd on to wszystko ma?”

Pożeracz Chmur zastanowił się, grzebiąc w pamięci.

„Zawsze coś kombinował. Zbierał jakieś muszle, skorupy... ciągle grzebał w ruinach i szukał kawałków szkła. Wcale bym się nie dziwił, gdyby te złote śmieci też wykopał w ruinach...”

Kamyk gwałtownie poderwał głowę.

„Wykopał w ruinach...?!”

Kawałki łamigłówek dopasowały się do siebie. Popatrzył w stronę Wyspy Pazura, nad którą unosiła się smuga dymu, jakby ktoś zrobił na niej wyjątkowo duże ognisko albo wręcz wypalał las.

„Pożeracz, musisz dostać się na tamtą wyspę i zobaczyć, co robią piraci”.

Młody smok wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, z miną, jakby zastanawiał się, czy jego przyjaciel jest przy zdrowych zmysłach.

„Teraz?”

„Teraz. Potrafisz chyba tak do nich podejść, żeby cię nie zauważyli? Wyobraź sobie, że jesteś na polowaniu”. Młody smok oblizwał się nerwowo. „Spróbuj”.

Kamyk obejrzał go krytycznie.

„Tylko lepiej, żebyś zmienił kolor. W białym futrze widać cię z daleka”.

Co prawda sierść Pożeracza trudno było w tej chwili nazwać białą (przybrała kolor raczej szary i wisiała na nim w paskudnych strąkach), lecz nadal miała dość jasną barwę i mogła przykuwać wzrok wśród soczystej zieleni. Za radą chłopca wytarzał się na błotnistym brzegu strumienia, po czym wyglądał tak, jakby nigdy w życiu nie był biały.

„Do końca życia się nie doczyszczę” - narzekał, oglądając się z niezadowolaniem”.

„lepiej być brudnym niż martwym - pocieszył go Kamyk. - Świeciłbyś się z daleka jak latarnia”.

Pożeracz Chmur wzbił się w powietrze, sprawdziwszy przedtem, czy na przeciwległym brzegu nie emanuje przypadkiem żadna iskra ludzkiej jaźni. Kamyk jeszcze przez moment obserwował, jak popielata sylwetka smoka nurkuje w stronę koron drzew na sąsiednim skrawku łądu, po czym wsunął się głębiej w zarośla, obejmując wierzącą się Liskę. Pozostawało czekanie.

Pożeracz Chmur wrócił zdumiewająco szybko. Zwalił się na ziemię i dyszał, jakby próbował się ochłodzić.

„Rozbierają ruiny! - ogłosił z niebotycznym zdumieniem. - Burzą ściany, przetaczają kamienie i ryją w ziemi jak stado kretów! Po prostu kompletnie poszaleli”.

Kamyk westchnął ciężko i złapał się za bok, gdyż rana odezwała się, naruszona gwałtownym ruchem żeber. No tak... O ile wcześniej jeszcze istniała nadzieja, że załoga pirackiego okrętu

długo tu nie zabawi, o tyle teraz rozwiąła się ostatecznie. Równanie z ziemią kamiennych ścian to ciężka praca i nikt nie robi tego dla przyjemności. Rozwiązanie zagadki nasuwało się samo: skarby.

„Jakie skarby?” - zdumiał się Pożeracz Chmur.

„Smocze skarby - wyjaśnił Kamyk. - To jest smocza wyspa, tak? Szukają smoczego skarbcza, dam za to głowę. A jeśli nie smoczego, to jakiegoś innego. W każdym razie chodzi na pewno o to samo złoto, które teraz ma Szaleniec”.

„Powariowali - stwierdził Pożeracz Chmur z niesmakiem. - A myślałem, że mamy tu tylko jednego wariata. Ryzykowali spotkanie z nami, smokami, dla jakichś świecących blaszek?”

Chłopiec wzruszył ramionami i zaraz tego pożałował, gdyż rana znów dała mu się we znaki.

„A dużo tu widziałeś tych straszliwych, groźnych smoków? Szaleniec siedzi w krzakach, w ludzkim ciele, a ciebie, bohaterze, ustrzelili zaraz na początku, jak jaką cyraneczkę nad stawem”.

Pożeracz Chmur obraził się na chwilę i zaczął demonstracyjnie lizać łapę. Jednak szybko ożywił się.

„Ale przecież nic nie znajdują! Skarb ma Szaleniec, więc muszą obejść się smakiem. Odpłyną niedługo!”

Chłopiec potrząsnął głową.

„To nie jest takie proste. Wygląda na to, że doskonale wiedzą, że tu coś jest. A właściwie, że powinno być. Zaczęli od ruin, ale są tacy uparci, że przeryją całą wyspę. A jak nic nie znajdują tam, to się przeniosą tutaj. A ja za dwa dni mogę być już tak chory, że się nie podniosę. Co zrobimy wtedy?”

Pożeracz Chmur spojrzał tylko bezradnie, a potem polizał Lisę, która próbowała wspiąć się na jego łapę i ześlizgiwała się raz za razem.

Kamyk zamyślił się ponownie. Teoria zdawała się sprawdzać. Oto zwariowany smoczy kolekcjoner znalazł skarby przed wiekami ukryte na krańcu Smoczego Archipelagu i zagarnął je dla siebie. Klejnoty te były kiedyś własnością „wojowników i magów” lub zgromadzonymi dobrami jednego z legendarnych „tygrysów morza”. Skąd piraci dowiedzieli się o tym potężnym majątku, nie wiadomo. Kamyk i Pożeracz Chmur mogli sobie snuć dowolne hipotezy. Może zbóje postanowili sprawdzić krążące wśród żeglarzy plotki, może dały im do myślenia jakieś legendy albo weszli w posiadanie tajemniczej mapy - cokolwiek to było, skutki okazały się opłakane dla obu stron. Szaleniec już wcześniej przywłaszczył sobie skarb.

Rozczarowani i wściekli przybysze będą szukać go na próżno, przy okazji mordując okolicznych mieszkańców.

Plan, jaki zaczął się rodzić w głowie chłopca, w pierwszej chwili wydawał się dość szalony, ale czyż okoliczności również nie odbiegały dalece od zwykłych?

Ów skarb, o którym sama myśl doprowadzała piratów do nieopanowanych ataków chciwości, dla Pożeracza Chmur stanowił jedynie stertę rupieci, twardych i niemłych w dotyku, a do tego kompletnie niejadalnych. Co prawda Kamykowi przemknęło przez głowę, że całkiem miło byłoby posiadać coś ze smoczego kolekcji (w końcu zawsze dobrze mieć pieniądze), ale myśl ta pojawiła się tylko na mgnienie oka i niemal natychmiast została zatarta przez bieżące kłopoty. Chłopiec zachował zdumiewającą obojętność wobec fortuny leżącej niemal na wyciągnięcie ręki. Czuł raczej zdumienie i ubolewanie na myśl, jaki ciężar dźwigał na sobie Szaleniec oraz jakie niewygody znosił dobrowolnie, powodowany własną chciwością.

Pożeraczowi nie przyszło do głowy, że mógłby unieszkodliwić Szalenca, co nie stanowiłoby problemu, póki ten nosił ludzką skórę. Natomiast pomysł podebrania części jego własności

przyjął nawet z pewnym entuzjazmem. Zapewne przypominało mu to minione zabawy dzieciństwa. Bo właśnie to mieliby zrobić: uszczuplić ukochaną kolekcję Szaleńca i zaspokoić pirackie apetyty częścią skarbu. Istniała pewna nadzieja, że to im wystarczy i odpłyną.

Dla smoka pojęcie kradzieży było nieco mniej pojemne niż dla człowieka, co Kamyk zauważył już dawno. Przystępstwo to ograbienie kogoś z pożywienia - bez jedzenia nie sposób przetrwać - albo wypędzenie z jego terytorium, co znów sprowadzało się do jedzenia. Wydawało się, że całe smocze życie obraca się wokół tej jednej sprawy, więc nic dziwnego, że Pożeracz Chmur tak straszliwie się nim znudził. Natomiast przedmioty codziennego użytku Pożeracz traktował z wielką swobodą i było mu doskonale wszystko jedno, kto ich aktualnie używa. Nieco większym pietyzmem obdarzał książki, traktując je jak coś w rodzaju ludzkiej „papierowej pamięci”. Tak więc zniszczenie przez bandytów Kamykowych notatek było czynem wysoce nagannym, natomiast zawłaszczenie smoczego złota - zaledwie drobnym wykroczeniem przeciw moralności.

*

Gdyby młodemu Tkaczowi Iluzji podobny wypadek zdarzył się w domu, leżałby w łóżku na prawach ciężko chorego, obłożony opatrunkami z gojącą maścią i pojony rozmaitymi obrzydliwymi naparami z ziół. Płowy karmiłby go wzmacniającym rosołem z gołębia i nie pozwalał ruszyć choćby palcem. Tymczasem rolę lekarza odgrywał smok, a jego instrumentarium był po prostu język. Bandaż ze szmat, wypłukany w strumieniu i założony znów na mokro, wysechł, skurczył się, tworząc opatrunek sztywny niczym pancerz. Rany ściągnęły się i już nie krwawiły, lecz chłopiec czuł, że jest coraz słabszy, a oczy piekły go od rosnącej gorączki. Od czasu do czasu chwycił go atak kaszlu i wykrztuszał ciemne grudki zakrzepłej krwi. Ciężko ranna ofiara pirackiej strzały czaiła się w krzakach z zamiarem ograbienia smoczego skarbcza, a w nielicznych momentach trzeźwego osądu Kamyk sam uznawał, że jest to kompletne, bezdennie szalone i absolutnie doskonałe wariactwo. Przychodziło mu namyśl, że przypomina w tej chwili zabawkę - wirującego bąka puszczanego w ruch pociągnięciem sznurka. Kręci się i kręci... Już niby ma upaść, lecz wciąż robi kolejne obroty, jakby wbrew prawom natury. Nieoczekiwanie odnalazł w sobie zdumiewające pokłady sił, które pozwalały mu poruszać się, myśleć i działać mimo postępującej choroby.

Wydawało się, że Szaleniec nie wie o ich obecności na swoim terenie, a jeśli nawet wie, to ignoruje ten fakt. Jednak już samo podchodzenie w pobliże smoczego legowiska równało się zaproszeniu: „Tu jesteśmy, proszę, możesz nas zjeść”. Podniecona do ostatecznych granic Liska plątała się pod nogami, ryzykując podeptanie, to znowu przepadała w chaszczach. Zachowywała się jak naprawdę niegrzeczny dzieciak, aż Kamyk ostatecznie stracił cierpliwość. Wyciął odpowiednio długi kawałek cienkiego, elastycznego pnącza, oczyścił z liści i uwiązał niesforne szczyt na zaimprovizowanej smyczy. Oburzenie Liski było niemal bezgraniczne: ciągnęła, usiłowała wyrwać łebek z pętli albo przegryźć pnącze, lecz zęby dopiero jej się wyrzywały, a igiełkowatymi kłami nie mogła sobie poradzić.

Pożeracz Chmur, pełznąć na brzuchu, skrył się za niskim wyszczerbionym murkiem. Wszystkie smocze zmysły powiadamiały go, że Szaleńca nie ma „w domu”. Młody smok rozejrzał się jeszcze, podejrzliwie lustrując okolicę. Świat trwał w bezruchu dżunglowej sjesty. Tylko jakieś ptaszysko rozdarło się gdzieś w koronach drzew, nadając sygnał „drapieznik w pobliżu”, a potem umilkło, jakby zniechęcone upałem. Beładna kupa wyrobów złotniczych

błyszcząca w słońcu, opuszczona. Najwyraźniej trywialny głód czasem jednak zwyciężał namiętność Szaleńca do tarzania się w złotym złomie.

„Nie ma go. Pilnuj Liski” - przekazał Pożeracz Chmur i prześlizgnął się przez wyrwę w murze. Na ugiętych łapach podkraść się do lśniącego stosu. Nie przebijając, nabrał do pyska pokąsną porcję kosztowności i niezwłocznie zawrócił. Wszystko szło gładko, do momentu, gdy przeciskał się na powrót przez dość ciasną dla niego dziurę. Właśnie tę chwilę wybrała Liska, by ugryźć Kamyka w palec - z zemsty za uwiązanie na smyczy lub po prostu z nudów - a na dodatek przypadkiem trafiła swoim ostrym jak igła kielkiem na bardzo czuły punkt u nasady kciuka. Taki wrzask mógł wydać tylko ktoś, kto sam siebie nie słyszy. Kamyk odruchowo puścił Liskę, a ta natychmiast uciekła w najmniej odpowiednim kierunku. Smyrgnęła między łapami starszego brata wprost do legowiska Szaleńca. Pożeraczowi Chmur sierść stanęła dęba. Mała, skuszona niecodziennym widokiem, pobiegła do błyszczącego kopczyka. Krótką chwilę oglądała go z ciekawością, a potem porwała kawałek złotego łańcucha i zaczęła nim potrząsać zadowolona z nowej zabawki. Jeżeli Szaleniec zlekceważył jakimś cudem ludzki krzyk, to teraz już z pewnością był w drodze do legowiska, zaalarmowany metalicznym brzękiem. Pożeracz usiłował zawrócić w ciasnym przejściu i zaczepił skrzydłem o zwisające gałęzie. Szarpnął się desperacko, czując, jak delikatna błona rozdziera się o jakiś sęk.

- Ough...! - jęknął głucho i zakrzuszył się w ataku paniki.

Kamyk precyzyjnie się obok niego, ocierając boleśnie skórę o chropawy kamień. Usiłował schwytać nieposłuszne smoczętko, ale mała wymykała się, a on nie miał ani siły, ani czasu, by ją gonić.

„WRACA! WRACA! IDZIE TU!” - to Pożeracz Chmur nadawał rozpaczliwe ostrzeżenie.

W końcu Kamykowi udało się przydepnąć koniec smyczy wlokącej się za Liskę. Szaleniec wynurzył się pomiędzy ruin jak demon zemsty - nadal w ludzkiej postaci. Twarz i ręce ubrudzone miały krwią, co świadczyło o udanym polowaniu. Jego wargi uniosły się w grymasie wściekłości, odsłaniając długie, ostre zęby. Zawarczał głucho, patrząc na Pożeracza Chmur, tkwiącego wciąż w pułapce. W gardle młodszego smoka zrodziło się chrapliwe bulgotanie, które zmieniło się w wyzywający ryk. Pożeracz Chmur zakłapał zębami w stronę Szaleńca, który widać zdał sobie sprawę ze swych aktualnych rozmiarów, gdyż przygarbił się nieco i cofnął o mały krok. Liska pisnęła cicho i wypuściła z pyszczka łańcuch, który brzęknął, upadając na ziemię. Jakby dopiero wtedy Szaleniec zauważył pozostałą dwójkę intruzów. Błyskawicznie odwrócił się w ich stronę, znów szczerząc kły i wyciągając dłonie z palcami zagiętymi na kształt szponów, a potem zaatakował. Kamyk zamarł ze zgrozy i odzyskał zdolność ruchu dopiero po chwili, gdy potworne palce prawie już dotykały jego gardła. Trzymając na rękach Liskę, mógł zareagować tylko w jeden sposób. To był odruch, po prostu zadziałał instynktownie. Napastnik kopnięty z całych sił w krocze postawił oczy w słup i zgiął się wpół. Okropne wycie bólu wypełniło przestrzeń między ruinami.

Kamyk, ściskając protestującą Liskę w objęciach, rzucił się w stronę Pożeracza Chmur. Gnany strachem, wdrapał się na jego kark, przylgnął płasko do grzbietu. Pożeracz uwolnił się w końcu od gałęzi i rzucił do ucieczki przez parny las, choć wiadomo było, że Szaleniec w najbliższym czasie raczej nie da rady podjąć pościgu. Wysiłek sprawił, że chłopiec rozkaszłał się na nowo, dodając do zacieków na smoczym futrze nowe, krwawoczerwone wzory. Pożeracz Chmur zatrzymał się dopiero w znajomym miejscu nad strumieniem, kiedy łapy zaryły mu się w mokrym piachu. Dyszał gwałtownie.

Kamyk zsunął się na ziemię, wypuszczając Liskę z rąk. Położył się - niemal upadł - na

piasku, oddychając ciężko i chrapliwie.

Pożeracz, wstrząsany nerwową czkawką, beształ siostrzyczkę, a nawet dał jej lekkiego klapsa wielką łapą. Przyzwyczajona do ciągłego uwielbienia i swobody, zdziwiona i rozżalona nagłą zmianą, wcisnęła się między korzenie drzewa, wyglądając stamtąd z miną smutnego psiaka.

„Gdzie masz to nieszczęsne złoto? Zgubiłeś?” - zapytał Kamyk.

Uszy Pożeracza Chmur opadły jak mokre szmatki. Nie mógł opanować czkawki, która wciąż nim wstrząsała.

„Ja... ja to... połknąłem - poskarżył się ze wstydem. - Jak zobaczyłem Szaleńca. Niechcący!”

Kamyk uniósł głowę, popatrzył na przyjaciela z niedowierzaniem, po czym parsknął niepowstrzymanym śmiechem. Zaraz jednak jego wesołość zmieniła się w grymas cierpienia i odruchowo pomacał się po zranionym boku.

„Wypluj to!”

„Ale ja to chyba już trawię...” - przekazał smok niepewnie. „Oszalałeś? Nie jesteś piecem hutniczym. Wyrzuć to z siebie!” Kamyk zerknął w stronę strumienia. „Najlepiej od razu do wody”.

Nikt, kto wymiotuje, nie wygląda zbyt elegancko, a już widok rzygającego smoka jest chyba najgorszy. Kamyk odwrócił wzrok, by nie patrzeć na te żenujące czynności. Po paru minutach w potoczku płukał się ich łup - około szekala złotej biżuterii, częściowo wysadzanej drogimi kamieniami.

„Uważasz, że to ładne?” - spytał Pożeracz Chmur zupełnie bez entuzjazmu. Nadal trapiła go czkawka.

„A według ciebie jadalne?” - odparł chłopiec, wyławiając ozdoby z wody. Pożeracz Chmur tylko pogardliwie machnął uchem. Wciąż niespokojnie przepatrywał zarośla, spodziewając się widoku rozeźlonego Szaleńca. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że plan miał jednak jeden słaby punkt: rozwścieczonego właściciela złotego skarbu, który mógł zjawić się w każdym momencie i pokiereszować go jeszcze dotkliwiej niż przy pierwszym spotkaniu. Przypuszczali obaj z Kamykiem, że względny spokój skończy się niebawem.

Poturbowany Szaleniec wkrótce dojdzie do siebie i z pewnością zjawi się w znacznie groźniejszej postaci, dysząc żądzą zemsty. Uciec nie mieli dokąd. Z jednej strony rozwścieczony smok, z drugiej - zgraja bandytów uzbrojonych w łuki, kusze i rozmaite ostre żelastwa, skonstatował Kamyk ponuro. Obgryzał paznokcie niemal do żywego mięsa, co już od lat mu się nie zdarzało. Ale też nikt do tej pory nie usiłował go zabić. Oczekiwanie na nieuchronne stawało się torturą nie do zniesienia. Pożeracz Chmur wysuwał i wsuwał na powrót pazury, węsząc i wciąż niespokojnie lustrując otoczenie. Liska zasnęła twardo, jak to dziecko - nieświadoma niebezpieczeństwa. Zmęczyła się, a teraz przesyiała okres niełaski. Kamyk ostrożnie przykrył ją wielkim, pierzastym liściem. Stanowiło to słabą ochronę, lecz w razie napadu Szaleńca lepiej usunąć smoczątko z widoku i liczyć, że ocaleje w tej kryjówce, a rozgniewany stary smok da jej spokój, gdy wyładuje złość na starszych.

Atmosfera była napięta i pierwszy nie wytrzymał tego Pożeracz Chmur.

„Paznokcie już skończyłeś. Teraz zaczniesz obgryzać sobie palce?” Kamyk wyjął palec z ust.

„Ile to już czasu minęło? - zastanowił się. - Gdzie ten dziadyga? Nie powinien nas już tu obszczekiwać?”

Chłopiec i smok wymienili niepewne spojrzenia.

„Brzuch mi mówi, że to już rzeczywiście trwa za długo” - odparł Pożeracz Chmur.

„I słońce się spory kawałek przesunęło” - uzupełnił Kamyk.

Upłynęła już ponad godzina, a Szaleniec się nie pojawiał. Coś było nie w porządku.

„Zabiłeś go!” - przeraził się Pożeracz Chmur.

„Nie umiera się przecież od kopnięcia w jaja” - odparł Kamyk kwaśno.

„Ja bym umarł po tym, co mu zrobiłeś”- upierał się Pożeracz Chmur. Uszy mu obwisły. „Co teraz będzie? Ojciec ze skóry mnie obedrze...” - zaczął biadać.

„Nie masz innych zmartwień? - uciął Kamyk krótko. Akurat opinia nieobecnego w tej chwili Pazura obchodziła go najmniej. - Jak się martwisz o tego wariata, to idź i sprawdź, czy żyje”.

Uszy Pożeracza wyprostowały się.

„Dobry pomysł”.

„Pójdiesz?”

„Jeszcze nie zwariowałem. Sięgnę”.

Pożeracz Chmur trwał nieruchomo kilka minut, zapatrzony gdzieś w przestrzeń. Na jego wyrazistym pysku malowały się kolejno rozmaite uczucia. Kamyk, zapatrzony w tę smoczą mimikę, usiłował domyślić się, co też jego towarzysz dojrzał w przestrzeni wewnątrzwidzenia. Wtem od strony Pożeracza Chmur nadpłynęła ku niemu fala ogromnego zdumienia, niedowierzania, a wreszcie ulgi, która przerodziła się z kolei w dziką uciechę. Miody smok zerwał się na równe łapy i zaczął podskakiwać jak szczenię. Kamyk czym prędzej odsunął się na bezpieczną odległość, czekając, aż Pożeracz będzie zdolny do konkretnych wyjaśnień. Usiadł wreszcie.

„Szaleniec nie przyjdzie. To znaczy, przez długi czas raczej mamy go z głowy” - poprawił się. Musiało zdarzyć się coś naprawdę niebywałego, gdyż wręcz promieniał, a uszy sterczały mu dziarsko w górę.

„On nie może się przemienić!” - rzucił triumfalnie. „Nie może? Jak to nie może?” - spytał chłopiec z niedowierzaniem.

„Nie może!”

Pożeracz Chmur zaczął śmiać się po smoczemu, otwierając szeroko pysk, co wyglądało dość niemądrze. Kamyk przewrócił oczami.

„Nie mam do ciebie cierpliwości. Czy ja się w końcu dowiem, o co chodzi?”

„Pamiętasz, co ten wariat miał na sobie?” - podjął po chwili Pożeracz Chmur.

„Kupę złomu. Nie rozumiem, jak mógł chodzić z tym ciężarem, o polowaniu nie wspomnę”.

„Miał na szyi rozmaite łańcuchy, a teraz nie może tego zdjąć. Jest wścickły. Ma do wyboru: albo transformuje tak jak jest i wchłonie metal w siebie, albo nie, ale wtedy się udusi”.

„Jest bardzo silny. Rozerwie ogniwa” - Kamyk nie podzielał optymizmu towarzysza.

„A jednak są wystarczająco mocne, by nie dał rady. Zrezygnował i właśnie szaleje ze złości. Nie odważy się tu przyjść, póki jest ode mnie mniejszy. I na pewno nie wchłonie tego złota w siebie, bo jest na to za chciwy!”

„Może przecież zamienić się w coś niedużego. Na przykład w węża. I wtedy wyślizgnie się z tej obroży” - zaoponował Kamyk, rozważając różne możliwości.

Pożeracz Chmur drwiąco spojrział na niego z ukosa.

„Zmienić ciało to nie takie proste jak włożenie innego ubrania. Nawet jak przyjdzie mu to do głowy, nie wytrzyma dwóch przemian w krótkim czasie. Jest już na to za stary. Mamy więc chwilę spokoju”.

A więc byli bezpieczni, przynajmniej na razie. Kamyk z niemrawym zdumieniem stwierdził, że wewnętrzny kontakt z Pożeraczem Chmur rozmywa się. Głowę miał coraz cięższą, a myśli mętne, jakby wypełniły ją mokre wióry.

„Kamyk? Co się z tobą dzieje?...”

I nagle ziemia stanęła dęba, uderzając chłopca w skroń. Cały świat wypełniły ogromne, zeschnięte liście, gigantyczne żdźbła traw oraz wielkie owady wędrujące tu i tam. Czerwone mrówki biegały nerwowo, machając czułkami. Przenosiły ciężary o wiele większe niż one same. Dwa masywne, błyszczące żuki walczyły między sobą, bezskutecznie usiłując przewrócić rywala na grzbiet. Zielona gąsienica wspinała się po patyczku, co chwila unosząc przód ciała, jakby węszyła.

Oszołomiony chłopiec zamrugał, a wówczas wszystko wróciło do normalnych rozmiarów. Ciężar spod czaszki ulatniał się powoli. Niezgrabnie uniósł się na łokciu i klepnął Pożeracza Chmur w nos.

„Nie liź mnie! Koszmar, znów będę się lepił”. Smok sapnął z oburzeniem.

„Mógłbyś mnie nie straszyć! Tyle czasu minęło, że już dawno powinieneś wyzdrowieć”.

Kamyk skrzywił się z rozdrażnieniem.

„Nie jestem smokiem, głupku. Ludzie nie zdrowieją w pięć minut. Nie jesteś w stanie tego pojąć?”

Pożeracz Chmur obraził się, ale tylko na chwilę. Przeważył niepokój.

„Źle wyglądasz. Potrzebujesz czegoś? Chcesz jeść?” Kamyk pokręcił głową. Nie czuł głodu, wręcz przeciwnie, na samą myśl o jedzeniu żołądek skręcał mu się nieprzyjemnie z odrazy. Wciąż za to dręczyło go pragnienie.

„Chciałbym być w domu” - pomyślał tęsknie. Uroki Smoczycy Wysp spowszedniały. Dom pozostawiony daleko na północy nagle wydał mu się najbezpieczniejszym i najmilszym miejscem na ziemi. Zateśnił jak nigdy dotąd za ojcem, własnym kątem i książkami, a nawet za nudnymi obowiązkami w gospodarstwie.

„Ja też chciałbym wrócić do domu” - skomentował Pożeracz Chmur, a Kamyk ze zdumieniem stwierdził, że smok nie ma na myśli terytorium zajmowanego przez rodziców, lecz, o dziwo, właśnie skromną siedzibę Płowego w Żmijowych Pagórkach.

Liska przebudziła się i wylazła spod liścia. Przeciągnęła się, ziewnęła szeroko, pokazując różowe gardło, a demonstrację zakończyła solidnym kichnięciem. Podrapała się za uchem i poczęła rozglądać dokoła, czy jest coś ciekawego do zrobienia. W tym wieku niewielkie ma się kłopoty, akurat na własną miarę, i zapomina się o nich prędko.

*

Ograbienie skarbcza Szaleńca było dopiero połową całego przedsięwzięcia. Oczywiście jawne układy z piratami zupełnie nie wchodziły w grę. Pozostawało podrzucić im klejnoty i oczekiwać, że sami odejdą, przekonani, iż osiągnęli cel. Kamyk zapakował złoto w szerokie, mocne liście i owinał sporządzoną w ten sposób paczkę włóknem palmowym, by Pożeracz Chmur niczego nie rozsypał, nie zgubił lub przypadkiem znów nie połknął. Tym razem smok miał wyruszyć samotnie, gdyż Kamykowi gorączka wciąż rosła. Kiedy ponownie zmieniał opatrunek, okazało się, że rany się jętrzą i jakiegokolwiek eskapady są już dla niego absolutnie niewskazane i wręcz niebezpieczne.

Zmrok zapadł jak zwykle szybko. Sylwetka Pożeracza zmieniła się w ciemnopopielaty cień, prawie nieodróżniający się od tła. Ostrożnie ujął w zęby pakunek, po czym wyszedł na otwartą przestrzeń plaży, wziął rozbieg i wzbił się w powietrze. Kamyk siedział pod palmą, oparty plecami o pień. Wokół nadgarstka okręcony miał koniec smyczy Liski. Mała nie była

zachwycona ponownym uwiązaniem, lecz wybór między sznurkiem a pogonią za niesfornym szczeniciem wydawał się oczywisty. Niebawem Liska pogodziła się ze swym losem i zaczęła bawić się schwytanym chrabąszczem. Od czasu do czasu unosiła łebek, a wtedy w jej ślepkach odbijało się światło księżycy, przemieniając je w dwa wielkie rubiny.

Kamykowi zdawało się, że czekają już długo, więc zastanawiał się, gdzie jest i co porabia Pożeracz Chmur. Nadpłynęło znajome uczucie - to smok wepchnął się dość obcesowo Kamykowi do głowy. Pełny kontakt dawał trudne do zniesienia uczucie przebywania w dwóch ciałach jednocześnie. Chłopiec walczył z zawrotami głowy i podchodzącym do gardła żołądkiem. Wbijał palce w piasek - sypki, szorstki, przemieszany z odłamkami muszli, a równocześnie czuł... pod poduszkami łap dotyk liści i wilgotnej ziemi. Wdychał duszny zapach roślin, słuchał odgłosów lasu i ludzkich rozmów rozlegających się całkiem blisko. Czuł w ustach... w pysku... ciężar pakunku.

„Jestem na miejscu - zameldował Pożeracz Chmur. - Co mam teraz robić?”

Młody smok znajdował się tuż przy ruinach, a raczej obok tego, co z nich zostało. Kamyk oglądał teren smoczyimi oczami, wstrząśnięty tym, jak ogromne spustoszenia poczynili najeźdźcy w tak krótkim czasie. Nie ocalało ani jedno z młodych drzewek, zakorzenionych w szczelinach murów. Miejscami wycięto, a raczej powyrywano z korzeniami całą roślinność, co było pracą wręcz gigantyczną. Zdumiewające, że bandyci podjęli się tak wielkiego wysiłku, ale Kamyk doszedł do wniosku, że może spodziewali się wyjątkowo obfitych łupów. I tak by się stało, gdyby wcześniej nie zagarnął ich Szaleniec.

„Rozczarują się swoją zdobyczą” - pomyślał chłopak, a smok zgodził się z tym.

Wśród ruin płonęło ognisko. Kamyk naliczył wokół niego około dwudziestu ludzi. Część z nich szykowała się do snu, inni zwlekali jeszcze, rozmawiając ze sobą. Narzekali na zmęczenie, przeklinali albo snuli fantazje o tym, co zrobią ze swoją częścią łupu. Kilku piratów grało w kości. Dał się słyszeć głuchy grzechot, gdy potrzęsali kubkiem. Ktoś zagrał kawałek jakiejś melodii na piszczałce, lecz inni zakrzyczeli gniewnie muzyka. Zmęczeni ciężką pracą ludzie chcieli przede wszystkim spać. Paru chodziło wokół obozu z bronią, trzymając wartę.

„Mruż oczy. Pamiętaj, że świecą w ciemnościach” - przypomniał Kamyk.

Pożeracz Chmur przemykał się między zaroślami i pniami drzew cicho, nieomylnie, zaledwie lekko tylko szeleszcząc. Raz przeszedł obok niego wartownik, nie przypuszczając nawet, że prawie otarł się o smoka. Obaj z Kamykiem penetrowali teren, obserwując ruchy wart. Obeszli wokoło niemal całe ruiny, zanim nareszcie znaleźli odpowiednie miejsce - jeden z ostatnich zakątków nienaruszonych jeszcze przez poszukiwaczy skarbów. Smok, zaczajony za hałdą gruzu, nastawiał uszy, oczekując grzechotu kości do gry. Wówczas wrywał kolejny kamień, powiększając dziurę, w której miał spocząć skarb.

„Skaleczyłem się. Połamie zęby” - warczał w myślach ze złością.

Kamyka ogarniało coraz większe znużenie. Marzył o tym, by Pożeracz Chmur wypuścił go w końcu ze swego umysłu i pozwolił odpocząć. Nie rozróżniał już, czy odczuwa swoje wyczerpanie, czy może zmęczenie smoka. Bolała go/ich głowa od ciągłego napięcia. Pożeracz rozerwał opakowanie z liści i wypełnił dół złotem. Następnie zaczął układać na powrót kamienie, starając się zostawić po sobie jak najmniej śladów. Kamykowi zdawało się, że trwa to w nieskończoność. Niemal mechanicznie dawał przyjacielowi wskazówki. Nareszcie wszystko zostało skończone. Smok starannie zebrał pogniecione liście i wycofał się, nadal delikatny niczym powiew wiatru. To było wręcz niesamowite przy jego rozmiarach.

Pożeracz Chmur spojrział po raz ostatni na oświetloną przestrzeń, próbując oszacować liczbę

piratów.

„Nieży podarunek im tu zostawiamy” - pomyślał.

„I dobrze im tak - odparł Kamyk szyderczo. - W tej dziurze leży majątek, ale jak go podzielić, to niewiele wypadnie na jednego, zwłaszcza że przywódca zgarnie pewnie najwięcej. Zobaczysz, wezmą się za łby przy podziale. Może nawet padnie parę trupów. Chodź już, nie mamy tu nic do roboty”.

Smok wycofał się w głąb zarośli.

„Wracam”.

Raptem Kamyk znów był sam we własnym ciele. Sam i bardzo, bardzo wyczerpany. Złożył skołatana głowę wprost na ziemi. Oczy same mu się zamykały. Ślepka Liski krążyły wokół, błyszczące jak czerwone świetliki, i mnożyły się w dziesiątki...

Wirujący bączek wykonał ostatni obrót i znieruchomiał. Dla Kamyka, syna Stokrotki, skończyły się spotkania z piratami.

*

Znalazł się w dziwnym, zamglonym świecie pełnym koszmarów. Znów walczył z syrenami i tonął w ciemnych głębinach. Dokoła krążyli zakrwawieni ludzie. Szaleniec wpatrywał się w niego czerwonymi jak krew oczami, pakując do ust klejnoty i pożerając je chciwie. W majakach wciąż pojawiała się kobieca postać, spowita w powiewne szaty, unosząca się w bezkresnej tęczy przestrzeni. W jednej ręce trzymała długą strzałę, a w drugiej zegar wodny. Powoli przechylała czasomierz, wylewając z niego wodę, aż do ostatniej kropli. Jej oczy były czarne i puste jak dziury, a ich spojrzenie przejmowało Kamyka straszliwym lękiem.

*

Świtało. Żłociste światło dnia w błyskawicznym tempie zalewało plażę i przesączało się przez liście. Zrozpaczony Pożeracz Chmur patrzył na mgliste fantomy pojawiające się nad ciałem nieprzytomnego chłopca. Talent młodego Tkacza Iluzji, pozbawiony zwykłej kontroli, szalał, pokazując powykrzywiane, groteskowe kształty, rojące się bezładnie niczym kłębowisko robaków. Kamyk był ciepły. Za ciepły. Pożeracz Chmur przywykł, że ludzie są zimnokrwistą rasą i zwykle ich temperatura niewiele się różni od ciepłoty przeciętnej jaszczurki. Jednak gdy Kamyk robił się coraz cieplejszy i cieplejszy, a w końcu stracił świadomość, do smoka dotarło, że jest bardzo źle. Próbował wyłowić coś sensownego z majaczeń przyjaciela, cokolwiek, co oznaczałoby choć cień poprawy, ale nic nie wskazywało na to, by szło ku lepszemu. Raczej wręcz przeciwnie.

Piśniece wystraszonej Liski zwróciło uwagę jej brata. Z gęstwiny wyłonił się Szaleniec. Pozbył się częściowo swych ozdób, tylko wokół szyi wciąż miał okręcony pęk złotych kolia i łańcuchów, zasupłanych tak, że nie sposób było ich zdjąć. Szedł na czworakach, czasem tylko podnosząc się do pozycji pionowej. Pożeracz Chmur zawarczał głucho, złowroźnie obnażając zęby. Stary smok odwzajemnił się tym samym.

- Gherrr mmm thaf ogrma'en.... pffff.... - zakończył pogardliwym prychnięciem.

Pożeracz wyciągnął pysk w stronę siedziby swego ojca, nad którą wznosiła się właśnie gruba kolumna popielatego dymu.

- Hy - odparł krótko.

- Thaf - powtórzył Szaleniec ze złością, orząc ziemię brudnymi paznokciami, które przypominały szpony. - Thaaaaaaafff!!! - zawył ponownie, plując, miotając się i usiłując bezskutecznie zerwać z szyi feralne ozdoby. - Ahorg am! - zażądał.

Pożeracz Chmur tylko niechętnie zmarszczył pysk. Akurat! Miałby mu to zdjąć i ryzykować życie siostry i przyjaciela? Nie był taki głupi. Delikatnie polizał Kamyka po twarzy, czując słony smak jego potu. Liska ze zdziwieniem i pewną obawą przyglądała się Szaleńcowi, który przycupnął nieopodal i nadal manipulował przy złotej obroży, mamrocąc pod nosem inwektywy w smoczym języku.

Czas płynął. Kamyk oddychał płytko i ciężko, jakby każdy oddech sprawiał mu ból. Może zresztą i tak było. Liska, idąc za przykładem brata, lizała rękę chłopca. Czasem skubała go zębami za palce, dziwiąc się, że nie otwiera oczu i nie wstaje, by się bawić.

Wtem tuż obok rozległ się dziki wrzask. Pożeracz Chmur błyskawicznie odwrócił głowę, by ujrzeć Szaleńca tryumfalnie wymachującego złotym łańcuchem. Najwidoczniej złote sidła blokował jeden jedyny element, który wreszcie poddał się i puścił. Szaleniec rzucił Pożeraczowi dzikie spojrzenie i umknął na powrót w gąszcz, porywając ze sobą swój skarb. Młody smok bezgłośnie obnażył kły, patrząc za nim. Pojawił się nowy problem.

Jakiś mały ptak, wypłoszony przez Szaleńca pomiędzy gałęzi, przeleciał w niewielkiej odległości. Pożeracz Chmur w mgnieniu oka wyciągnął szyję i schwytał go w locie. Potężne szczęki zatrasnęły się niczym pułapka, niespokojne ptasie popiskiwanie urwało się nagle. Pożeracz Chmur wypluł zdobycz przed Liską. Mała powinna już coś zjeść.

Niebawem po niebie przesunął się cień ogromnych skrzydeł - to Szaleniec leciał, by wziąć odwet na piratach i odebrać im swoją własność. Pożeracz popatrzył za nim, po czym z politowaniem ruszył uchem. Gdyby był człowiekiem, pewnie wzruszyłby ramionami.

Szaleniec wrócił niecałe pół godziny później, lądując na brzegu swego terytorium ciężko jak worek. Piasek pod nim szybko zabarwił się krwią. Smok dyszał chrypliwie i jęczał.

„Tak, tak... może oni są i mniejsi, ale bardziej cwani. I mają łuki” - pomyślał Pożeracz Chmur zgryźliwie, wychodząc z kryjówki, by pomóc starcowi uwolnić się od strzał, które głęboko wbiły się w niego.

*

Następny dzień nie przyniósł poprawy. Szaleniec łaskawie zaakceptował obecność sąsiadów na skrawku swojej ziemi, ale poza pilnowaniem ich z pewnego oddalenia oraz regularnymi lotami - na odpowiedniej wysokości - ponad obozowiskiem najeźdźców, nie robił nic. Pożeracz Chmur, trochę uspokojony co do kłopotliwego sąsiada, transformował do ludzkiej formy, by lepiej zająć się rannym. Niewiele jednak mógł zrobić poza przynoszeniem wody i starannym oczyszczaniem ran Kamyka, który wciąż miał wysoką gorączkę i majaczył. Kto wie, jak skończyłoby się to dla Tkacza Iluzji, gdyby Pazur i Łagodna nareszcie nie wrócili do domu.

*

- Po prostu zabijmy ich wszystkich! - warknął Pazur, strosząc sierść na karku.
- Mają te rzeczy do rzucania kolcami - przypomniała Łagodna. - Omal nie zabili Pożeracza Chmur. Nie zostaną tu na zawsze, to nie jest dla nich dobre miejsce, odejdą i wrócimy na swój teren. Teraz trzeba ratować ludzkie szczenię.

- Po co?

- Ocalił twoją córkę! Dla niej zaatakował własny gatunek! - Łagodna pokazała zęby. - Dla mnie należy do stada.

- A dla mnie to źle o nim świadczy, że zdradza swoich - burknął Pazur, lecz doskonale czuła, że są to tylko słowa. Odwrócił wzrok i ziewał nerwowo.

Spojrzała w stronę syna. Pożeracz, nadal w postaci człowieka, lizał ranę swojego ludzkiego przyjaciela. Jego umysł emanował niepokojem i wielkim smutkiem. Cokolwiek o tym sądził Pazur, nie mogła zignorować tej szczególnej więzi, która połączyła tych dwóch - należących do różnych ras, a tak sobie bliskich. Jeśli chłopak umrze, Pożeracz Chmur będzie rozpaczał.

- Na Jaszczurze są ludzie - oznajmiła smoczyca bez cienia wahania. - Zostaniesz z dziećmi i będziesz ich bronił w razie potrzeby. Ja sprowadzę pomoc.

Oczy Pazura spoczęły na dwóch ludzkich postaciach i kręcącej się dokoła puchatej rudej kulce. Jego pysk wykrzywił się w niechętnym grymasie, a boki uniosły się i opadły w ciężkim, sfrustrowanym westchnieniu.

- Leć...

Po czym popatrzył w stronę swej wyspy, nad którą znów unosił się pióropusz dymu. Smocze źrenice zwężyły się złowrogo, a uszy przylgnęły płasko do głowy. Słońce chyliło się ku zachodowi. Niebawem miała zapaść noc - ciemna dla ludzi z łukami i całkiem jasna dla smoczycy ślepi...

*

Przywódca piratów, zwany Tygrysem, splunął w ognisko. Ślina zasyczała na rozżarzonych węglach. Nad tą wyprawą wisiało jakieś fatum. Liczyli się ze smokami - w końcu po to wzięli te łuki z większym naciągami i kusze - ale żeby zaraz pierwszego dnia natknąć się na jakiegoś bezczelnego młokosa, który na oczach całej kompanii zaciukał im sternika, to naprawdę trzeba mieć zasrane szczęście. Dwóch ludzi stracił w godzinę, a trzeci kołował jakiś wrócił i od rzeczy bredzi.

Trafili w zaznaczone na mapie miejsce i nie zostawili tu bodajże kamienia na kamieniu, i na co? Na to tylko, żeby znaleźć tyle złota, ile się mieści w kapeluszu. Żeby to zaraza... Załoga się burzy po kątach, ani się obejrzyj, a zadyndać możesz na jakiej gałęzi.

W dżungli dokoła błyskały wciąż ślepią dzikich zwierząt - zielonkawę, żółte i czerwone latarenki. Coś skrzeczało, wyło, pohukiwało... ech, na morzu co najwyżej wiatr w wantach gwizdże, reje skrzypią i fala za burtą chlupocze. Nie, to nie miejsce dla wodołaza, w tej zielonej duchocie.

Raptem odgłosy lasu zmącił nowy dźwięk. Coś stęknęło, zaszamotało się... a potem znów zapanował spokój. Tygrys nadstawił uszu. Coś było nie w porządku. Wstał z kłody, biorąc do ręki pałasz. Zmordowani ludzie z jego załogi spali jak kamienie. Ze swego miejsca widział jasną koszulę jednego z wartujących, ale jakoś nie mógł dojrzeć drugiego. „Odlać się poszedł czy jak?” - pomyślał Tygrys, kierując się w tamtą stronę.

Scena, która rozegrała się przed nim, trwała nie dłużej niż parę sekund. Jakiś ciemny kształt błyskawicznie wysunął się z mroku, błysnęły czerwone ślepią, po czym rozległ się ohydny mlaszczący dźwięk i trzask. Odgłos upadku i znów cisza... bezruch.

- ALARM! - ryknął Tygrys, zaciskając palce na rękojęści i cofając się w bezpieczny krąg światła.

Rozespani, wystraszeni ludzie stłoczyli się za jego plecami. Ktoś przyniósł pochodnię. W jej świetle wszyscy zobaczyli leżące na ziemi ciało strażnika. Nie miało głowy.

*

Pierwszą rzeczą, jaką Kamyk ujrzał po odzyskaniu przytomności, były zielone pióropusze na szczytach drzew, które omiatały błękitną połąć nieba niby wielkie pędzle. Nie myślał o niczym konkretnym. Jego myśli pełzały ospale, dążąc od jednego wrażenia do drugiego. Jasno. Ciepło. Wygodnie. Nic nie boli.

Obrócił powoli głowę i jego wzrok padł na postać odwróconego tyłem, siedzącego tuż obok mężczyzny. Człowiek ten miał szerokie ramiona, plecy umięśnione jak zapaśnik i skórę spaloną słońcem na kolor dobrze wypieczonego chleba. Niesforne czarne loki owiazał kolorową chustą.

Kamyka zalała mdląca fala lęku. Obcy...! Wróg!

Mężczyzna odwrócił się, jakby czując, że ktoś na niego patrzy. Brodata twarz, w kąciakach oczu drobne zmarszczki, jakby lubił się często uśmiechać, co zresztą właśnie czynił. Nie wyglądał na bandytę, raczej na wesołego oberżystę lub drwala. Pochylił się, badawczo zajrzał chłopcu w oczy. Jego uśmiech rozszerzył się. Na piersi mężczyzny, przykuwając niemal od razu spojrzenie, widniał czarny krążek ze znakiem „usta” pośrodku. I właściwie już niepotrzebnie przekazał w chwilę później, nadal uśmiechając się przyjaźnie:

„Jestem Mówcą. Nazywam się Słony. Miło, że do nas wróciłeś”.

Niewiele pamiętam z tamtych trzech dni. Śniły mi się koszmary i wciąż widziałem Śmierć - tak jak się ją wyobraża na obrazkach, jako Panią Strzał. Kto wie, może rzeczywiście czekała na mnie? Stałem już przecież na progu Bramy Istnień. Pożeracz Chmur transformował w człowieka, by lepiej się mną opiekować, lecz nie wiedział, w jaki sposób mnie ratować. Nie pisałbym teraz tych słów, gdyby nie powrócili ze swej wyprawy Pazur i Łagodna.

Piraci odpłynęli, pozostawiając po sobie nieład, wypalony krąg po ognisku, niedbałe zasypany świeży grób oraz jednego trupa zakopanego po szyję w piachu na granicy przyboju. Miał okropną śmierć - utopił się na raty podczas przyływu.

Wszystkie moje rzeczy ze starego zakątka przepadły lub zostały zniszczone. Na szczęście ocalała część spisywanych z takim trudem obserwacji i trochę rysunków. Są podarte, tu i ówdzie brakuje kawałków. Poczciwy Pożeracz Chmur uzupełnił te luki, odtwarzając moje zapiski tak, jak je zapamiętał, ze wszystkimi szczegółami. Nie pominął nawet tej krechy, którą zrobiłem na stronicy z winy Liski. Nie miał papieru, więc użył wysuszonych liści. Mają trochę nierówną powierzchnię i czasami trudno jest coś odczytać. Ale to nie jest ważne. Ważne jest to, że zrobił to dla mnie, chociaż tak naprawdę nie widzi w mojej pracy szczególnego sensu. Zachowam całość jako piękną pamiątkę przyjaźni.

Zawdzięczam życie kilku ludziom. To znaczy nie tylko ludziom. Gdyby Pożeracz Chmur mnie nie ochraniał, gdyby Łagodna nie sprowadziła Słonego i gdyby Słony nie starał się ze wszystkich sił wyciągnąć mnie z beznadziejnego właściwie stanu... dużo „gdyby”. Jestem chyba szczęściarzem. Słony twierdzi, że nic by nie mógł zrobić, gdyby nie to, że Pożeracz Chmur leczył mnie wcześniej po swojemu. Smocza ślina ma właściwości gojące, bez tego dostałbym gangreny i już byłoby po mnie.

Słony trochę się zna na leczeniu. Zdaje się, że po trochu zna się na wszystkim. Od wielu już lat żyje sam na Jaszczurze - największej wyspie Smoczego Archipelagu. Znów się myślę. Nie jest sam, ma rodzinę. Jego żona nosi piękne imię Księżycowy Kwiat. Ma też córkę (prawie w moim

wieku), która nazywa się Jagoda. A potem następuje jakaś straszna liczba dzieci, których imion nie pamiętam. Nic dziwnego, że zdobył rozmaite pożyteczne umiejętności, skoro musi dbać o tę gromadkę. Mieszka i prowadzi obserwacje na Jaszczurze, o czym wiedzą chyba wszystkie smoki na wyspach. To właśnie jego szpilkę widziałem kiedyś na mapie w wieży Mówcy w Lenenji.

Słony podszedł do chłopca, który znów zdawał się spać z rysikiem w rękę. Uparte chłopaczysko... Prawdziwy kamyk z niego, nie do rozłupania. Jest tak chudy, że przez skórę można mu policzyć żebra, i jeszcze tak słaby, że męczy go nawet pisanie. Lecz mimo ciężkiej choroby z uporem prowadzi dziennik i wypytuje o wszystko, co mu przyjdzie do głowy. Zupełnie jak Jagoda... Będzie miała dziewczyna upartego i inteligentnego towarzysza.

Liska - swoją drogą, cóż za trafne imię - bawiła się pod hamakiem, czając się na zwisającej stopą chłopca. Nim Słony zdążył ofuknąć psotnicę, już wczepiła się w nią pazurkami, aż Kamyk podskoczył, szeroko otwierając brązowe oczy. Smoczątko kołysało się w powietrzu, uczone jak kosmaty owoc, i wyraźnie się śmiało. Kamyk również parsknął cichym, przytłumionym śmiechem. Słony pokręcił głową. Dzieci... wszystkie takie same, bez względu na rasę.

Mag podsuwa chłopcu kubek z ziołowym naparem, ale Kamyk udaje, że tego nie widzi. No cóż, sam Słony też nie miałby ochoty pić tego paskudztwa. Jak na dłoni widzi myśli które przelatują chłopakowi przez głowę.

„Matko Świata, ratunku! Jakie to jest ohydne.... Może udawać, że piszę i nie widzę? Stoi nade mną... No tak, ale on wie, że ja udaję... I ja wiem, że on wie, że ja wiem...”

Słony uśmiecha się w gęstwinie brody.

Rzeczywiście, zupełnie jak Jagoda...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ